

R

G

B

WH

GR

BL

Grey Scale #13

C

M

Y

K

DANES-PICTA.COM

A

1

2

3

4

5

6

M

8

9

10

11

12

13

14

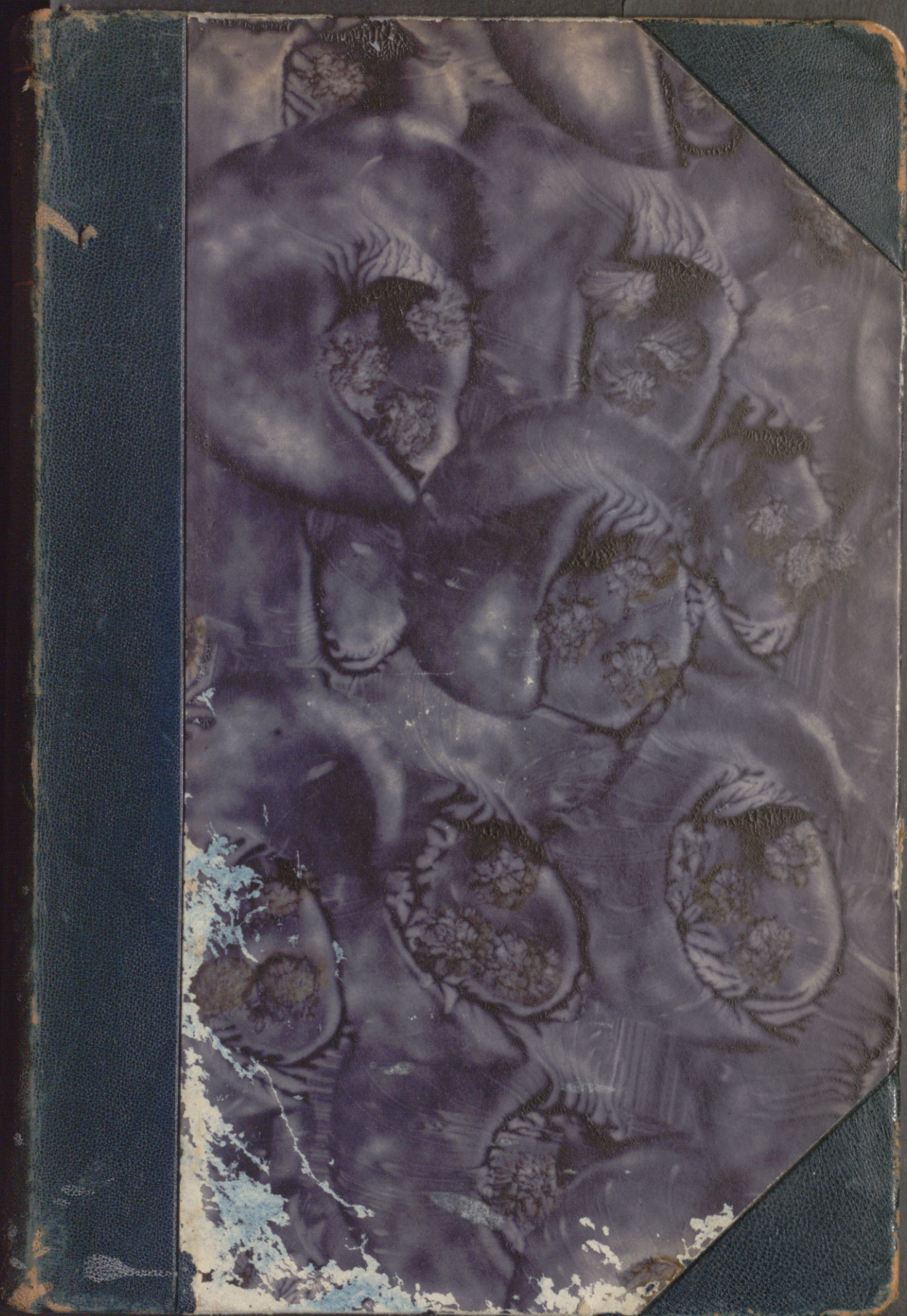
15

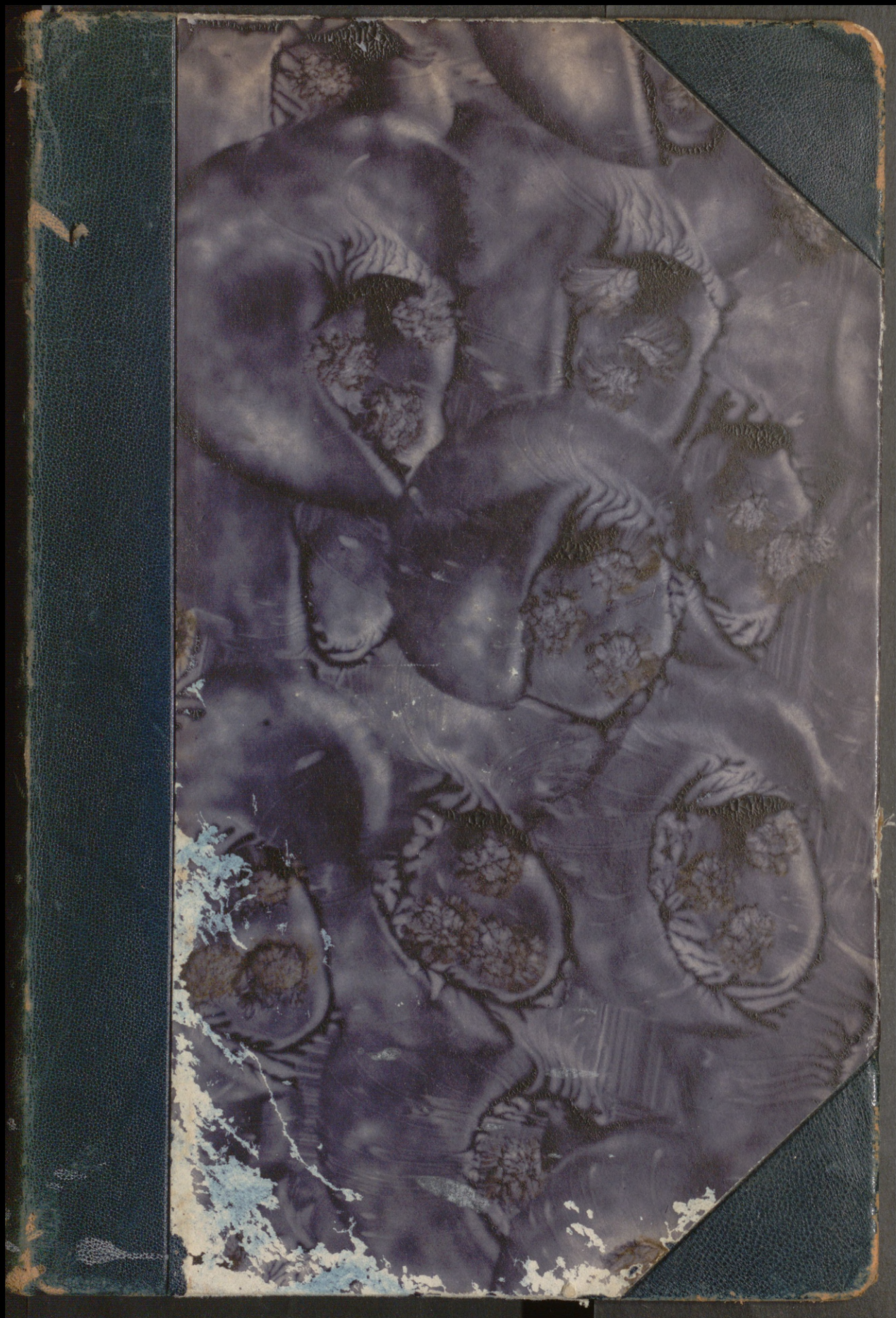
B

17

18

19







Dr. Mahrburg.

60.-

Z ZAPOMOGI KASY POMOCY DLA OSÓB PRACUJĄCYCH NA
POLU NAUKOWYM IMIENIA D-RA JÓZEFA MIANOWSKIEGO

PISMA FILOZOFICZNE

ADAMA MAHRBURGA

POD REDAKCJĄ

WŁADYSŁAWA SPASOWSKIEGO

TOM PIERWSZY

Z PORTRETEM I ŻYCIORYSEM

Świata wymyślić nie można,
trzeba go poznać.

Teoria celowości.

WARSZAWA — 1914
FERDYNAND HOESICK

1: 92 (Mahnung 4)

25328/2



PRZEDMOWA.

Realizując obecnie zamiar, siedem lat temu powzięty, i puszczając w świat tom pierwszy „Pism filozoficznych” Adama Mahrburga, spłacamy dług wdzięczności, zaciągnięty przez społeczeństwo względem człowieka, który swoją olbrzymią wiedzą, swym bardzo wybitnym talentem literackim i pedagogicznym, swą rzetelną i wytrwałą pracą położył wielkie zasługi na polu nauki i filozofji polskiej.

Rzeczywistość obala rozpowszechnione błędne mniemanie, jakoby Mahrburg niewiele napisał. Załączona w tym tomie bibliografja drukowanych pism jego wykazuje 286 pozycji i wynosi, nie licząc oczywiście przekładów, około 155 arkuszy druku, czyli osiem tomów, jak niniejszy. Pozatym rozporządzamy znaczną po nim spuścizną rękopisową.

Tom pierwszy tego wydawnictwa zawiera rozprawę p. t. „Teorja celowości ze stanowiska naukowego” oraz artykuły polemiczne, w jej obronie pisane.

Pierwsze wydanie tej świetnej rozprawy—zarówno w XXII tomie wydawnictw Akademji Krakowskiej, jak

i w osobnej książkowej odbitce — jest już wyczerpane. Studium to zamyka pierwszy—petersburski—okres działalności naukowej Mahrburga i znakomicie odzwierciedla właściwości dzielnego umysłu. Za podstawę do drugiego wydania „Teorii celowości” postużył tekst pierwotny, przejrzany i dopisami opatrzony przez autora.

Opracowanie bodaj krótkiego życiorysu filozofa, z ustaleniem bibliografji pism jego, byłoby wielce utrudnione bez tych danych faktycznych, głównie w postaci listów Mahrburga i wogóle pozostałych po nim rękopisów, — danych, których mi bardzo chętnie dostarczyli prof. Napoleon Cybulski, p. Fanina Mahrburżyna, p. Stanisław Michalski, p. Stanisław Posner, prof. Andrzej Sznuć, za co im, a także p. Janowi Fejstowi, p. Bronisławowi Mahrburgowi, d-owi Marjanowi Massoniusowi, p. Helenie Piltzowej, prof. Józefowi Rostałńskiemu oraz prof. Kazimierzowi Żórawskiemu — składam szczerze i serdeczne podziękowanie.

Władysław Spasowski.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Przedmowa	V
Adam Mahrburg. Życie i praca filozofa	IX
Wstęp. I. Pochodzenie i szkoła. II. Studja uniwersyteckie.	
III. Spółpracownik <i>Kraju</i> . IV. Kraków i Lipsk. V. Niedoszła profesura. VI. Działalność w Warszawie do r. 1900.	
VII. Ostatnie lata działalności krytycznej. VIII. Zmaganie się z niemocą i śmierć. IX. Filozof. X. Nauczyciel filozofji.	
XI. Zakończenie	
Biblijografia chronologiczna pism Mahrburga	
Teorja celowości ze stanowiska naukowego.	
Wstęp	3
I. Pojęcie przyczyny sprawczej i przyczyny celowej. Ich wzajemny stosunek	5
II. Wyobrażenia celowe. Ich analiza psychologiczna. Ich stosunek do przyczynowego biegu wypadków	16
III. Pogląd Janeta na celowość. Książka ks. Morawskiego „Celowość w naturze“. Uwagi krytyczne	30
IV. Racjonalizm. Konsekwencja subiektywna, jako probierz prawdziwości subiektywnej. Rozciąganie praw rozumu na świat obiektywny. Właściwe znaczenie racjonalizmu	66
V. Pojęcie przypadku. Treść pojęcia jest subiektywna. Matematyczne pojęcie przypadku. Przypadek obiektywny nie może być poznany. Pojęcie przypadku, jako instancja wyjaśniająca przyrodę.	96
VI. Rozum najwyższy, jako koncepcja antropomorficzna. Krytyka tej koncepcji. Analogja tworców przyrody i wyrobów człowieka. Mechanizm i organizm	119
VII. Ciąg dalszy. Analogja teleologiczna. Granice celowości. Wyobrażenia celowe nie są pierwszymi przyczynami. Psychicz-	

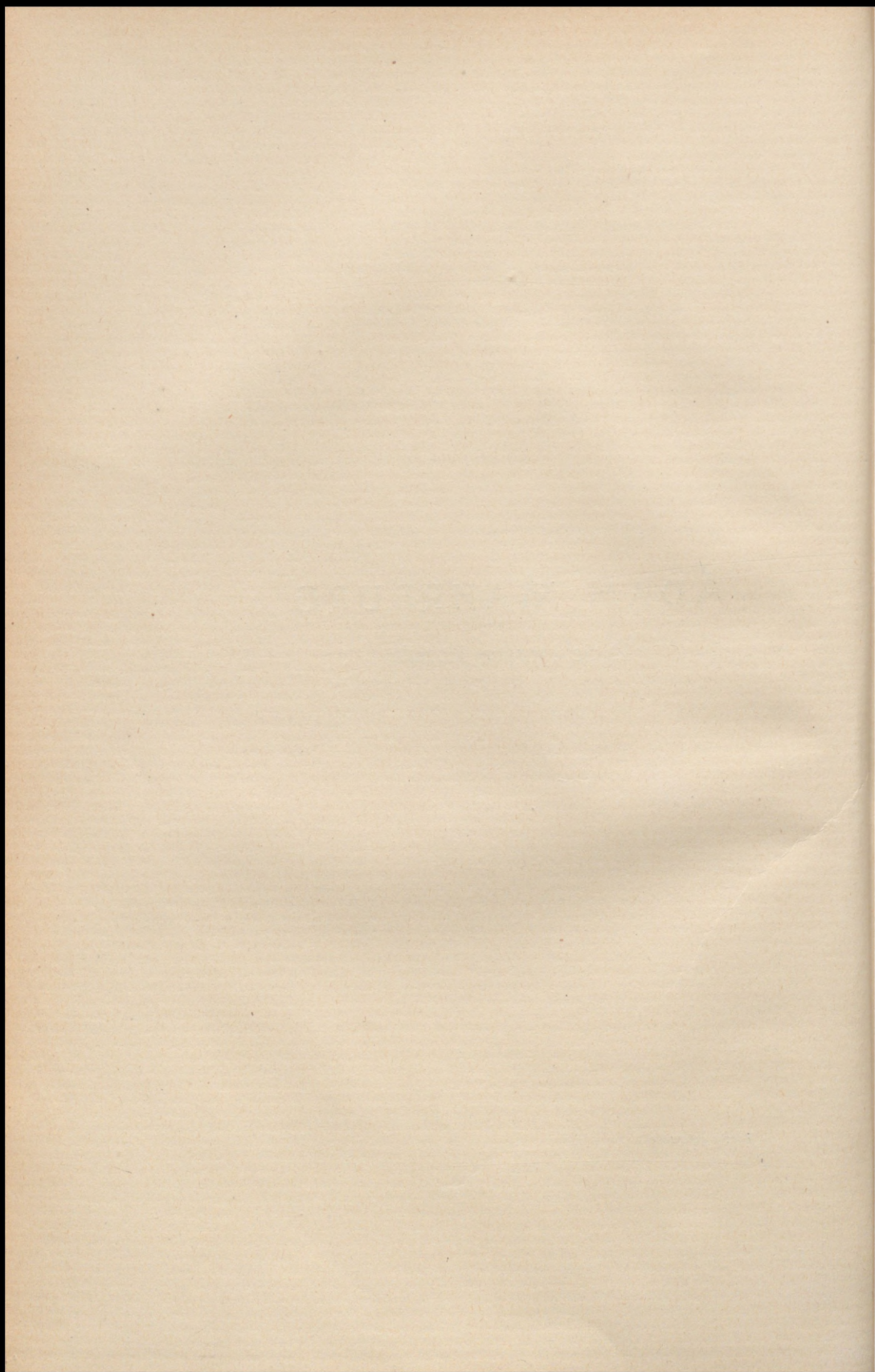
VIII

	<i>Str.</i>
ne odwrócenie porządku naturalnego. Ewulcjonizm i jego język teleologiczny. Pogląd Fechnera	149
VIII. Plan teleologiczny przyrody i jego niekonsekwencje	187
Zakończenie	206
Artykuły polemiczne w obronie „Teorii celowości”	
Artykuł pierwszy	211
Artykuł drugi	219
Artykuł trzeci	226
Artykuł czwarty	240
Przypisy	251

Uwaga: gwiazdka w tekście odsyła do przypisów w końcu tomu.

ADAM MAHRBURG

Życie i praca filozofa



Kto tam wędkę zarzuca, gdzie ryb niema,
ten nawet powierzchownym dla mnie nie jest.
Nietzsche. *Tak mówił Zaratustra.*

A waszą jedyną żądzą jest stać się mistrzami i rzemieślnikami; w czci dla wszelkiego rodzaju mistrzostwa i dzielności i z najbezwzględniejszym odparciem wszystkiego, co pozorne, napót rzetelne, wirtuozowskie, demagogiczne, aktorskie *in litteris et artibus*, — wszystkiego, co nie może się przed wami wykazać bezwzględną uczciwością karności i przygotowania.

Nietzsche. *Wiedza radosna*

Fakt znamieny i ciekawy: Adam Mahrburg pochodził z kresów. Dzieje narodu polskiego i w szczególności polskiej umysłowości wymownie świadczą o tym, jak wiele wybitnych u nas umysłów — poetów, uczonych i filozofów — z kresów bierze rodowód. Weźmy tylko wiek XIX: dwóch wieszczów największych wydały nam kresy północne i wschodnie, wydały też długi szereg profesorów, czynnych na naszych i wielu innych wszechnicach, oraz pokaźny zastęp uczonych i literatów wogóle.

Rodowód kresowy niewątpliwie ma strony dodatnie. Niebezpieczeństwo polega na tym, że nie zawsze wyższa kultura zwycięża. W walce dwóch kultur, tak odmiennych, jak np. polska i rosyjska, najprzedniejsze umysły bywały nieraz i bywają wchłaniane przez rywalkę i giną wówczas bezpłodnie dla społeczeństwa, które je wydało: dość wspomnieć chociażby o niektórych wybitnych profesorach Uniwersytetu Petersburskiego.

Z drugiej zaś strony walka na kresach wpływa niez-

wodnie na rozszerzenie widnokregu umysłowego, na głębsze uświadomienie stanowiska kulturalnego, sprzyja powstawaniu twardszych kręgosłupów ducha, usuwa zwiotczałość umysłów, woli świadomej dodaje hartu i jednolitości, słowem—urabia takie zdeklarowane, jasne stanowiska umysłowe i takie charaktery nieugięte, jak to widzimy u Adama Mahrburga: w bardzo ciężkich warunkach bytu własnego i społecznego swe wielkie zdolności, rozum i wiedzę wcielił on w czyn życia, w niezmordowaną pracę nad rozbudzeniem na niwie nauki polskiej ducha filozofji krytycznej.

I. Pochodzenie i szkoła.

Niemiecki ród Mahrburgów, osiadły pod Lublaną w Austrii, opodal sztyryjskiego Marburga, na przełomie wieków XVIII i XIX miał się rozszczepić na dwie gałęzie, z których jedna wywędrowała do Włoch, drugą zaś los zapędził aż na północno-wschodnie kresy państwa polskiego. Mianowicie dziad naszego filozofa, jako lekarz— chirurg wojskowy przywędrował w r. 1812 z wojskiem napoleońskim na Litwę i po klęsce *boga wojny* nie wrócił już do ojczyzny; osiadł w Mińszczyźnie, spolszczył się, zdobył sobie uznanie, praktyką lekarską dorobił się znacznego majątku i nabył pod Mińskiem rozległe dobra Czyki. Tu, w dziadowskiej siedzibie, 6 sierpnia 1855 r. urodził się Adam Mahrburg. ¹⁾ Lecz Czyki były wów-

¹⁾ Notatka Henryka Struvego w „Historji logiki, jako teorii poznania w Polsce“ (str. 418) o tym, jakoby Mahrburg miał urodzić się w r. 1860, studja uniwersyteckie odbyć w Lipsku i tam otrzymać doktorat filozofji, jest wymysłem autora, nic wspólnego z prawdą nie mającym.

czas już tylko nikłą resztką wielkiej, półmilionowej fortuny dziadowskiej, ojciec bowiem Adama Konstanty Mahrburg, prawnik z wykształcenia, człowiek dość światły, lecz rozpróżniaczony, żadną pracą systematyczną niezajęty, patryjota i miłośnik sztuki, pędził życie towarzyskie nad stan, hojnie szafując na zbiory książek, rycin, starej porcelany itp.

Burza roku 1863 przerzuca rodziców Adama ze wsi do Mińska. Odtąd też datuje się początek nauczania Adama, najstarszego z trzech braci, pod kierunkiem ojca i przy pomocy nauczycieli. W końcu r. 1866 nauczanie przybiera charakter bardziej systematyczny i w r. 1868 dwunastoletni chłopiec wstępuje do drugiej klasy gimnazjum mińskiego. W klasie czwartej traci matkę Emilję (z Jabłószewskich), która, z natury bardzo wątła, po wieloletnich cierpieniach umarła na suchoty. Ze śmiercią matki, kobiety dobrej, spokojnej, całkowicie oddanej gospodarstwu domowemu i pielęgnowaniu dzieci, Adam, poniekąd głowa rodziny, gdyż ojciec coraz rzadszym bywał w domu gościem, zaczyna pracować na siebie, zarabiając korepetycjami.

Jednocześnie z tą samodzielnością budzi się w nim żądza wiedzy. Korzystając z bogatej biblioteki ojcowskiej, zaczyna rozczytywać się w literaturze ojczystej, a od klasy piątej występuje jako organizator sobotnich koleżeńskich zebrań literackich, na których czytano klasyków polskich najpierw z petyzmem, potem debatowano o nich coraz śmieiej, odczytywano artykuły pism perjodycznych i rozprawiano o różnych zagadnieniach literacko-naukowych.

Były to ciężkie, straszne czasy popowstaniowe, z zaledwie przebrzmiałym echem słynnych rządów Murawjewa, czasy bezwzględного ucisku i prześladowania na Litwie wszyściego, co polskie, wszelkich aspiracji do wolności narodowej

i niezależności duchowej: niewolno było mówić po polsku nawet na ulicy. Władze szkolne z przebiegłością niestychaną tropiły każdą książkę polską, to też młodzież, zgodnie zresztą z naturą własną i prawami młodości, gęsto przeplatała koleżeńskie zebrania owe grammi towarzyskimi, przedstawieniami i tańcami.

Rozczytywanie się w prozaikach polskich doprowadziło nie tylko do zapoznania się z ich utworami, lecz stworzyło mocny fundament dla znajomości polszczyzny. I rzeczywiście, Mahrburg nie tylko celował w gimnazjum między kolegami, wśród których widzimy znakomitego później profesora fizjologii Napoleona Cybulskiego i bardzo czynnego, rzutnego publicystę Józefa Potockiego (Marjana Bohusza), tym, iż na dowolny temat mógł pisać stylem Krasickiego, Śniadeckiego, Kremiera lub Libelta, lecz, jak zapewniają wiarygodni świadkowie, należał wogóle do bardzo nielicznych podówczas jednostek w Mińsku, dobrze władających mową polską. Według świadectwa prof. Cybulskiego, z zapalem oddawał się wówczas pisaniu wierszy. Pozatym zaczął studjować dzieła przyrodników i, między innymi, na ławie szkolnej zapoznał się z teorią Darwina, którego epokowe dzieło o powstawaniu gatunków wyszło w r. 1859. Do nauki szkolnej nie lgnął specjalnie, a nawet w klasach wyższych traktował ją z góry, naogół jednak uczył się dobrze: w niższych klasach celował w matematyce, w wyższych—w greczyźnie i łacinie oraz kompozycjach na tematy oderwane i literackie. Gdy, jako uczeń klasy siódmej, napisał rozprawkę o Antygonie Sofoklesa, wzbudziła ona zachwyt wśród nauczycieli i władze szkolne przez pewien czas nie porzucały zamiaru jej wydrukowania; wreszcie poprzestano na tym, iż przyznano autorowi nagrodę pieniężną w kwocie rb. sześćdziesięciu, za co młodocia-

ny poeta zafundował sobie i bratu zegarek! Względem nauczycieli wcześniej już zajął stanowisko krytyczne: zarzucał im niejasność i nieściśłość wykładu. Sam zaś, jako zdolny korepetytor, od początku cieszył się uznaniem i powodzeniem, wykazując już wtedy, jak świadczy o tym uczeń jego dr. Marjan Massonius, wrodzony talent pedagogiczny.

W roku 1875 zdobył maturę i złoty medal, lecz omal że zamiast medalu nie dostał wilczego patentu na skutek zajścia na egzaminie z nauczycielem łaciny. Gdy bowiem ów pedagog, przez młodzież nielubiany, zadał mu pytanie, z czym nie należy płać danego przepisu gramatycznego, Mahrburg z najzimniejszą krwią i właściwą sobie dobitnością w tonie i ruchach odciął krótko: „Z niczym“. Tylko dzięki energicznemu poparciu przychylnie dlań usposobionego dyrektora udało się poskromić rozwścieczonego filologa, żądającego natychmiastowego wydalenia niesforne go ucznia.

„W naszych czasach, czasach systemów szkolnych, gdzie szkolarstwo uważa się za wiedzę, gdzie szkoła jest w absolutnej niezgodzie z psychologią człowieka, gdzie metody uczenia i cele nauki nie mają nic wspólnego z człowiekiem żywym i życiem rzeczywistym, w czasach, kiedy pedagogja ma na celu wyuczenie nie już latania w obłokach, nie chodzenia na nogach nawet, — tylko na szczudłach, w naszych czasach, zabija się na marne, na nic, drze się na strzepy i zamienia się w śmiecie najdzielniejsze, najlepsze siły młodej duszy... Nie nauka, nie wiedza, nie rozwój talentu, nie cnota: świadectwo dojrzałości!... Ta szkoła, która trzyma na obroży pięciu przynajmniej gramatyk przez szereg lat umysł dziecka i umysł człowieka dorastającego; ta szkoła, którą żeby raz skończyć, trzeba skończyć połowę prawie przeciętnego życia w ciężkiej pracy, napięciu nerwów i wyczerpaniu bez żadnej

korzyści, bez żadnej zdobytej umiejętności, ta szkoła zjada tyle sił i życia, że tylko niesłuchanie silne natury mogą się później odgiąć i stać się jeszcze samodzielniemi i energicznymi ludźmi, których wytwórczość będzie odpowiadała rzeczywistej możliwości ludzkiej natury".¹⁾ Każdy szczerzy, jasny i niewypaczony umysł uzna powyższy sąd Witkiewicza za słuszny.

Tegoż zdania zawsze był również Adam Mahrburg. Już w kilka lat po zdobyciu matury pisał: „Gimnazjum klasyczne, o ile wszędzie jest pod wielu względami szcążkową pozostałością z okresu humanizmu, o tyle też jest łożem prokrustowym, z którego nieliczny zastęp młodzieży cało wychodzi, by się oddać dalszym studjom naukowym".²⁾

Lecz należał on do tych nielicznych wybrańców losu, których ugnać i zgnębić nie łatwo, a którzy, zrzuciwszy jarzmo szkolne, z łatwością się odginają i, poczuwszy swobodę ruchów, tym energiczniej i z większym zamiłowaniem próbują samodzielności własnej natury.

II. Studja uniwersyteckie.

Jako dwudziestoletni młodzieniec, pełen zdrowia i werwy, czytany i biegły w sześciu językach, z pustką w kieszeni i teką wierszy własnych, z umysłem jasnym i żądnym wiedzy prawdziwej zjeżdża Adam Mahrburg do Petersburga i zapisuje się na wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu. Jak sobie radzi na początku, gdzie znajduje grunt i oparcie, nie wiemy. Wiemy natomiast, że gorliwie i z zapa-

¹⁾ Stanisław Witkiewicz. *Dziwny człowiek*. 1903. str. 24—25.

²⁾ *Kraj*, 1886, № 19.

łem odrazu bierze się do studjów naukowych. Dwa lata przedtym zmarł John St. Mill, tegoż 1875 roku umiera Fr. A. Lange, Wilhelm Wundt obejmuje katedrę profesora w Lipsku, a Herman Helmholtz pisze pamiętne słowa: „Co do mnie, sądzę, że filozofja wówczas tylko będzie się mogła podźwignąć, gdy poważnie i z zapałem odda się studjom nad poznanie i metodami naukowemi. To bowiem jej zadanie oczywiste i usprawiedliwione. Budowanie zaś hipotez metafizycznych jest tylko czczym grymasem... Niepodobna nie uznać faktu, że filozofja utknęła w drodze dlatego, iż wyłącznie pozostawała w ręku ludzi o wykształceniu literackim i teologicznym, oraz że nie zaczerpnęła życia nowego u źródła potężnego nauk rozwoju“¹⁾).

Z głębokim uznaniem zdeklarowanego miłośnika nauki podzieli wkrótce Mahrburg powyższą opinię wielkiego uczonego, którego będzie studjował już na ławie uniwersyteckiej.

Trafnie powiedział tenże Helmholtz, na usprawiedliwienie zamiłowania swego do poezji, że człowiek lubi robić to, co mu przychodzi z łatwością: dobra znajomość greczyzny oraz popęd do poezji i filozofji popchnęły Mahrburga do pilnych studjów nad Platonem i Eurypidesem. Z odziedziczoną po przodkach iście niemiecką skrupulatnością miał dokładnie, jak zapewnia kolega jego uniwersytecki prof. A. Szuk, przestudjować nie tylko Eurypidesa, lecz całą wogóle istniejącą o nim literaturę. Co zaś do Platona, to korzystając z ogłoszonego przez uniwersytet konkursu na temat porównawczy „Rzeczypospolitej“ i „Praw“, jako student drugiego kursu złożył fakultetowi rozprawę o filozofji Arystoklesa, za którą

¹⁾ Ob. Ostwalda „Les grands hommes“, str. 174.

dostał odznaczenie i złoty medal. W roku trzecim studiów obiera filozofję za specjalność i wstępuje do sekcji filozoficznej. Wykłada tu i kieruje seminarjum tłumacz Kanta, zwolennik idealizmu metafizycznego i wróg zażarty materjalizmu prof. Władisławlew, którego prelekcje Mahrburgowi zupełnie się nie podobają i w sumie nic nie dają. Natomiast w seminarjum filozoficznym, gdzie roztrząsano Arystotelesa, Kanta i Lotzego, bierze czynny udział i staje się odrazu biczem logicznym, bardzo dokuczliwym dla profesora: kompromituje Władisławlewa kilkakrotnie tak, że ten przez zemstę na egzaminie z filozofji daje Mahrburgowi stopień tylko dostateczny i tym sposobem zamyka przed nim podwoje kariery uniwersyteckiej. Ponieważ stan nauk na wydziale historyczno-filologicznym wogóle podówczas dużo pozostawiał do życzenia, usilnie przeto pracuje samodzielnie nad filozofją, zapoznaje się gruntownie z Kantem, Millem i Al. Langem, studjuje wyższą matematykę, zgłębia takie zagadnienia, jak metodologja nauk i klasyfikacja wiedzy, uczy się angielskiego, włoskiego, sanskrytu. Zwabiony świetnym zastępem wybitnych profesorów na wydziale przyrodniczym, gorliwie bierze się też do przyrodoznawstwa. Uczęszcza na wykłady zoologii i anatomji porównawczej prof. Wagnera, słucho wykładów chemji organicznej prof. Mienszutkina, chemji nieorganicznej stojącego u szczytu sławy Miendielejewa, wreszcie wykładów dzielnego uczonego i profesora fizjologii Sieczenowa, ucznia Du Bois—Reymonda, Helmholtza i Ludwiga. O Miendielejewie i Sieczenowie zawsze potym wspominał Mahrburg z uznaniem. Miendielejew był pierwszym uczonym, który zaimponował mu wszechstronną wiedzą i duchem filozoficznym swych prelekcji.

Pozatym literaturą i poezją polską i obcą interesuje się stale, od czasu do czasu pisuje wiersze. W kółku koleżeńskim wyróżnia się już rzetelną i rozległą wiedzą, chętnie i z wybitnym talentem deklamuje utwory poetyckie, w kwestjach języka polskiego uchodzi za wyrocznię, wogóle jest jednostką wysoce sugiestywną, pełną temperamentu i isticie attyckiego dowcipu.

Ukończywszy w r. 1879 uniwersytet ze stopniem kandydata nauk filozoficznych, wierny zasadzie Solona — „starczy się i wciąż uczyć się dalej“ — osiada w Petersburgu na stałe, ażeby, utrzymując się w ciągu dalszym z lekcji, korzystać nadal z bogatych zbiorów Biblioteki Cesarskiej. Oddaje się całkowicie studjom nad filozofją i jej historją, pracuje nad *Wundtem*, którego epokowe dzieło — „*Grundzüge der physiologischen Psychologie*“ wyszło w r. 1874, gorączkowo wchłania zdobycze wieku XIX w zakresie przyrodoznawstwa, lingwistyki, socjologii i pedagogji. Nie zapomina przytym o starych pisarzach polskich: pogłębia znajomość polszczyzny i, jak to później autorowi wyznawał, wszelkimi sposobami dąży do wykorzenia wpływów szkoły obcej, z której umysły, z kresów pochodzące, walczyć muszą przez całe życie.

W tym czasie kolega i przyjaciel jego N. Cybulski, słuchacz Akademji medyczno-chirurgicznej, namawia Adama do rozpoczęcia pracy z zakresu psychofizjologii w zakładzie wybitnego fizjologa i psychologa prof. *Tarchanowa*, ucznia *Goltza*, *Claude Bernarda* i *Vulpiana*. *Mahrburg* ogromnie miał się do tej pracy zapalić i przez kilka miesięcy bardzo pilnie uczęszczał do zakładu, badając okres reakcji świadomej w rozmaitych warunkach. Okazało się jednak, że go nie zadowala eksperymentalna strona psychologii: w do-

świadczeniach, przerabianych z Tarchanowym i Cybulskim, dopatrywał się zwykle tylu źródeł błędów, że w jego oczach traciły one wszelką wartość. Nadmiernie rozwinięty zmysł krytyczny, surowe wymagania ścisłości poznawczej, oraz wrodzone zamiłowanie do teorii — nie zostały zaspokojone przez eksperymenty i Mahrburg, zaprzestawszy pracy w laboratorium psychofizjologicznym, powrócił do swych studjów nad filozofją. Śród notat Mahrburga z r. 1880 znalazłem ciekawą rozprawę o moralności, świadczącą, iż autor zapoznał się gruntownie z odnośną literaturą francuską, niemiecką i angielską nie tylko książkową, lecz i czasopiśmienniczą, oraz że studjował Biblię i księgi Manu. Z notatek z r. 1881 widoczna, że studja jego objęły, między innymi: Düringa, Laasa, Helmholtza, Huxley'a, M. Müllera, Wundta, Sabatiera, materjalistów, Volkelta, Hartmanna, Liarda, Avenarius, Darwina i innych.

W r. 1882 po raz pierwszy spędza Mahrburg lato w Królestwie Polskim, w wycieczce pieszej z kolegą S. zapędza się aż do Krakowa, pod wpływem wezbrania uczuć patryjotycznych pisze kilka utworów poetyckich, z których dwa, przypadkiem ocalałe a dość charakterystyczne, tutaj łączam:

Góra Chełmowa.

Ani w chmury nie strzela niebotycznym szczytem,
 Ani się orły ważą pierścieniem dokoła,
 Nie lśni całunem śnieżnym pod ciemnym błękitem
 I skargą wodospadów wędrowca nie woła.
 Nieznużoną, bezpieczną wejdiesz na szczyt stopą:
 Otoczy cię szum lasu, jak westchnienia głuchy;
 Owioną cię powietrza rzeźwego podmuchy;
 Wzrok oprze się o Tatry, pierś westchnie Europą.

Tam — daleko... pobiegly wzgórz zielonych fale;
 Przyodziewa je lasów żywa, ciemna szata.
 Jak kadzidło, co w niebo kłębi się wspaniale —
 Nad wąwozem głębokim siny opar wzlata.
 Od wzgórz tych — aż po Tatrów dalekie podnoża
 Roztacza się równina — jak zasięgniesz okiem:
 Kwieć się łąk kobierce, złotem płyną zboża,
 Tulą się wioski białe pod lip chłodnym zmrokiem.
 A dalej — Kraków stary — ta pramacierz święta,
 Wawel — niegdyś kolebka — dzisiaj grób przeszłości,
 Cudny gotyk Marjacki wieżę w niebo prości...
 Tam — kopiec bohatera, co rwał ludów pęta;
 Nade mną — niemy świadek — krzyż rozpiął ramiona,
 Ramiona miłosierdzia, dla słabych opieki;
 Na nim miłość dla ludzi śród katuszy kona,
 By miłość pośród ludzi rozkrzewić na wieki.
 Gdzież ten raj krwią kupiony? Świat brnie w zbrodni dalej:
 Gwałt, podstęp, wyzysk podły kala te rozłogi;
 Tuż oto lud zdeptany, szarpany przez wrogi,
 Od wieku bez nadziei u stóp twych się zali...
 A przecież już od twojej na zachód Golgoty
 Jeż się nowych krzyżów męczeńskich tysiące,
 Wciąż duszą węzowe despotyzmu sploty
 I słycać klęsk harpije w powietrzu syczące.
 A przecież — Panie — przecież od wieku, co nocy
 Duch Łokietka z jaskini wychodzi ponury:
 Kroczy ten król pod krzyż ten ze skargą do góry
 I dla narodu żebrze skądkolwiek pomocy.
 On niegdyś spajał zręby Polski jednolitej,
 On wrogie i potężne wygnał Czech zastępy,
 On z Ojczyzny kilkakroć nanowo zdobytej
 Krwiożercze na północy gniótł krzyżackie sępy.
 Dziś rozpacz, dziś zwątpienie, dziś noc bez nadziei
 I rozdartego ludu brzęczą dziś kajdany...
 Gdzież miłość, sprawiedliwość dziejowych kolei?
 Gdzie znak twojej potęgi — brzask swobód różany?

Cicho... W świetle się słońca kapie okolica
 I las wzdycha głęboko, jakby we śnie marzy;
 Tam kościółek w drzew wianku... tuż za nim granica...
 I błyska stal bagnetów dzielącej nas straży.

Przyjacielowi A. S.

Nie myśl, że trupy minionych stuleci
 Zgniły na prochy w mroku zapomnienia,
 Lub że ich próchno z księgi tylko świeci,
 Tli w mrzonkach wieszczych, tchnie z mogił kamienia.

Nie myśl, że czynów ustały już tętna,
 Co krwią i życiem tryskały w przeszłości,
 Że ciepło uczuć i żądz gra namiętna
 Pierzchły, jak cienie w jałowej nicości.

Czynów dziedzictwo i myśli spuścizna
 Płyną w twym sercu i pracują w głowie,
 A kto się do krwi swych ojców nie przyzna,
 Ten skłamię prawdzie i życiem odpowie!

Nie wierz tym kłamcom, co w ciemnej prostocie
 Przodków twych cienie, jak aniołów tłumi,
 Do nieba wiedzą, hołdując ich cnocie,
 Na czele ludów, w zaślepieniu dumy.

Nie wierz zwątpieniu, co, rodem z niedoli,
 Miota przekleństwa na ojców swych winy,
 Widzi — co czarne, zna tylko — co boli,
 A chce rozbratać z przeszłością jej syny.

Aniołów miejsce nie tu, lecz na niebie;
 Z potomstwem całym precz do piekieł czarty!
 Ludzie — na ojców pozostaliśmy glebie —
 Żyć i o życie toczyć bój zaarty.

I cnót wawrzyny, i wad gorzkie chwasty,
 Polane trudem, krwią na polach bitwy,
 Święcone mieczem, ofiarą modlitwy,
 I myślą mędrca, i łzami niewiasty,—

Wszystko co wzniosłe, wszystko co poziome
 Zlicz, jak wódz liczy swe siły i braki —
 I w trud się uzbrój, bo masz drogi strome,
 By, walcząc ze złem, iść w światlejsze szlaki.

Wódz Belizarjusz, dzikich hord pogromca,
 Dzielnym ramieniem dźwigał miecz zwycięski;
 W walkach on krwawych spędził wiek swój męski —
 Najeźdźców mściciel, ojczyzny obrońca.

Wódz Belizarjusz, starzec ociemniały,
 Miecz swój zamienił na kostur żebraczy:
 Potknąć się gotów o kamyczek mały,
 Szedł bez przytułku, jak nędzarz tułaczy;

Lecz starzec ślepy na swych barkach dźwiga
 Syna słabego z światłym orlim wzrokiem;
 Ojciec atleta stąpa silnym krokiem,
 Syn zaś kieruje i dal okiem ściga.

Więc, gdy dziś miecza nie udźwigniesz w dłoni,
 Ni słabym krokiem zdolnyś przebyć drogi,
 Gdy sam nie sprostasz tej świata pogoni,
 Ni się chcesz tarzać przed cudzemi bogi...

Uszanuj barki przeszłości sędziwej,
 Co cię wyniosły przez dziejów obłądy;
 Czerp z niej dziedzictwo siły zdrowej, żywej,
 Do wad jej wstręty i do cnót popędy.

Ścigaj swym wzrokiem w tym bezbrzeżnym morzu
 Szczęścia i światła dziś odległe słońca, —
 Lecz pomnij, że ten, co przeszłość odrzaca,
 Marnieje podle na losów rozdrożu!

III. Spółpracownik „Kraju“.

Oprócz wspomnianej wycieczki do Królestwa i Krakowa, nie opuszcza Mahrburg Petersburga nawet w lecie. Studja pochłaniają go całkowicie, a w wolnych chwilach marzy w gronie przyjaciół o karierze naukowej. O założeniu ogniska rodzinnego nie chce słyszeć, samą myśl o tym z oburzeniem odtrąca, dowodząc, iż *tacy* nie mają prawa tworzyć małych rodzin, że obowiązkiem ich jest praca dla dobra wielkiej rodziny — ludzkości. Stale walcząc z niedostatkiem, ima się prac rozmaitych: opracowuje, między innymi, słownik łańskie-rosyjski, a od r. 1883, zaproszony przez miejscowe Towarzystwo pedagogiczne, zaczyna wygłaszać odczyty z dziedziny psychologii, pedagogji i filozofji ¹⁾.

W lipcu 1882 r. zostaje założony w Petersburgu, przy spółdziale Wł. Spasowicza, wielki, znakomicie redagowany tygodnik polityczno-społeczny *Kraj*, organ ugodowców. W roku następnym, jako dodatek do *Kraju*, powstaje *Kurjer literacki*, rozszerzony potem i przemianowany na *Dział literacki*. I oto w końcu tegoż 1883 r. Mahrburg dostaje się do redakcji *Kraju*. Tu, na początku jego kariery literackiej, przypada mu w udziale niewdzięczna robota korektora, tłumacza, sprawozdawcy z pism polskich i obcych, robota, której dziś nie sposób już rozpoznać, która utonęła nazawsze w grubych tomach pisma. W drugiej połowie r. 1884 zostaje redaktorem *Działu literackiego*, który w r. 1886 (Nr. 37) przekształcono na *Przegląd literacki*, i na tym stanowisku pozostaje do chwili wyjazdu za granicę. Jako kierownik literacki, za swój sąd ostry i bezwzględny puryzm filozoficzny

¹⁾ Ob. *Kraj*, 1883, № 49.

i językowy dostaje w redakcji złośliwe przezwisko „korepetytora języka polskiego“. Nie wszyscy też lubili tego dziwaka, co to życia towarzyskiego nie znosił, czas dłuższy nieraz spędzał w zupełnej samotności, pogrążony w pracy, a zaczepiony przez natręta, umiał odcinać się nadzwyczaj zjadliwymi dowcipami. W bliższym atoli kółku bardzo bywał lubiany: z zamiłowaniem wówczas wykladał, nauczał, chętnie słuchany, gdyż sąd w sprawach filozoficznych miał już wyrobiony i niezależny. Zdobył też sobie odrazu uznanie redakcji i serdeczną życzliwość S p a s o w i c z a. Począwszy od maja r. 1884 aż do r. 1890 zamieszcza w *Kraju* swe prace, nieraz niepodpisane, przeważnie, zwłaszcza na początku, natury sprawozdawczo-krytycznej — z dziedziny psychologii, pedagogji, filozofji, socjologii, filologii i nauk przyrodniczych. Pisane wytrawnie, wymownie świadczą te artykuły o rozległej wiedzy autora i jego zupełnie niezależnych poglądach filozoficznych. W sprawach zaś ściśle politycznych nigdy nic Mahrburg nie pisał. W r. 1885 i 1886 drukuje kilka wielkich artykułów wstępnych, których nie podpisuje, a to dlatego, ażeby, jak się wyraża w liście do przyjaciela, móc ostrzej godzić, gdy chodzi o sprawy żywotne nauki polskiej. Jego uwagi krytyczne, nazywające rzeczy po imieniu, szczerze a dobitnie, wywołują szereg replik ze strony Dawida, prof. Dybowskiego, prof. Rostafińskiego i innych, — replik, na które daje klasyczne odpowiedzi, wysuwając się na czoło, jako świetny polemista.

Rzecz godna uwagi, od samego początku, od chwili swego wystąpienia na niwie literackiej staje Mahrburg na jasnym, określonym stanowisku teoretycznym w filozofji i na tym stanowisku pozostaje do śmierci, rozwijając je tylko, uzupełniając i pogłębiając. Oto co pisze w r. 1884: „*Nie-*

tylko pozytywistą, lecz wogóle żadnym istą nigdy nie byłem i nie jestem... Filozofję uważam za naukę, wolną od wszelkich partji i szkół; jej przedmiotem jest wiedza naukowa, jej zadaniem — teoria nauki, jej ideałem — prawda... Nauki nie są częściami filozofji, gdyż specjalna treść każdej z nich... nie należy do filozofji, która krytycznie uzasadnia reguły zdobywania i organizowania tak każdej teorii naukowej z osobna, jak całej wiedzy naukowej wogóle¹⁾. Zarówno materializm, jak spirytualizm odrzuca Mahrburg stanowczo, jako fałsz, jako doktryny, których twierdzenia nie dają się ani dowieść, ani stwierdzić. „Hasła — pisze²⁾ — partje i szkoły nie zdołają dziś nauki wywieść w pole“. „Filozofja dzisiejsza — dodaje gdzieindziej³⁾ — stoi w takim samym stosunku do prac Platona, Arystotelesa, Bako-
na, Kartezjusza, Spinozy, Locke'a, Leibniza, Malebranche'a, Kanta, Schopenhauera, w jakim astronomja spólczesna do Hiparchów, Ptolomeuszów, Koperników i t. d., albo chemja — do van Helmontów, Stahlów, Berzeliusów i t. d.“ Weźmy, dla przykładu, Kartezjusza, który jest doniosłym zjawiskiem tak dla gienjalnych odkryć, jak i dla wielkich błędów swoich w rozwoju myśli ludzkiej; „nikt dziś — powiada Mahrburg — nie będzie utrzymywał poważnie, że Descartes w rozmyślaniach swoich, za pomocą niesmacznej sofistyki i błędnych kołowań logicznych, zdołał dowieść istnienia Boga, tego przedmiotu wiary, albowiem dość być cokolwiek włożonym do myślenia ścisłego, aby na każdym kroku, przy czytaniu „Rozmyślań“ po-

1) *Kraj*, 1884, № 45.

2) *Kraj*, 1885, № 11.

3) *Kraj*, 1885, № 27.

dziwiać powierzchowność i nieściśłość rozumowań jego. W stopniu niemniejszym przestarzała już osławiona teza: *cogito — ergo sum*, boć przecie nikt już dziś na serjo nie będzie, dla udowodnienia samemu sobie rzeczywistości własnego bytu, grać z sobą samym w ślepą babkę i ukrywać się przed własną świadomością, by się potym za pomocą własnych sylogizmów z tryumfem odszukać; taksamo, jak trzeba być bardzo słabym w teorii poznania i mieć nader nieokreślone wiadomości z zakresu dziejów myśli ludzkiej, by przyjąć za dobrą monetę dwie, a właściwie trzy substancje dekartesowskie: materję, ducha i Boga (mowa tu nie o pojęciu teologicznym) i wszystko to, co o nich prawi filozof¹⁾. Doktrynom metafizycznym przeciwstawia Mahrburg „doktrynę, która u jednych przybiera postać materjalizmu, u innych mechanistycznego na świat poglądu, lecz w najczystszej swej treści formułuje się w taki sposób: *poznawać zjawiska we wszechświecie, klasyfikować je na zasadzie podobieństwa i różnic i badać, jaka jest wzajemna tych zjawisk od siebie zależność. Wszystko, co tylko umysł ludzki zdobył dotychczas w nauce, zdobył pod tym sztandarem*. Gdyby się uczeni trzymali tej metody, wypracowanej kosztem wielu obłądów, gdyby nie podawali za niewątpliwe pewniki swoich uprzedzeń metafizycznych w rodzaju tego, że wszystkie zjawiska życiowe i psychiczne już zdołali zredukować do prostych własności materji i odtąd psychologja i biologja staje się tylko działem mechaniki molekularnej, nauka zyskałaby na tym o tyle, że zdążałaby bez przeszkód i bałamutnych zboczeń w tym samym kierunku, w jakim z trudnością od wieków już zmierza i nadal zmierzać będzie“²⁾. Niestety,

¹⁾ *Kraj*, 1885, № 27.

²⁾ *Kraj*, 1885, № 9.

stare nałogi myśli są tak uparte, że „*mary metafizyczne różnemi drogami i pod różnemi postaciami wciąż jeszcze powracają, a może i zawsze powracać będą*”¹⁾. Tymczasem same perspektywy widnokreślne nie wystarczają, trzeba gruntu pod nogi, *trzeba granitu faktów pod tęcze systemów*“²⁾. Ceniąc wysoce koryfeuszów descedencji — Darwina i Haeckla³⁾ i wogóle stale podnosząc stanowisko przyrodnicze, a czyniąc ostre wycieczki przeciwko Heglowi⁴⁾, słał naukę i kładł nacisk na metodę naukową, nazywając ją „iskrą Prometeusza”⁴⁾.

To też zagrzewał, jak mógł, ogół inteligencji do wspierania nauki, do pracy nad wytworzeniem dla niej gruntu swojskiego. „Rozumiemy poniekąd — wołał —⁵⁾ jakie korzyści płyną z nagromadzenia zapasu sił fizycznych lub bogactw ekonomicznych..., lecz nie rozumiemy, jaka siła spoczywa w nagromadzonej wiedzy, w nauce, która polega na uogólnianiu faktów szczegółowych i sprowadzaniu ich do jedności za pomocą praw teoretycznych“. Wobec wielkich teorii naukowych XIX w. nauka polska „zdaje się świadczyć, żeśmy zdolni jedynie do drobnych prac rutynicznych, do chodzenia na pasku wytkniętych teorii i kierunków, że wobec każdego szerszego i bardziej teoretycznego zagadnienia tracimy równowagę, żeśmy nie w stanie objąć szerszych widnokręgów“... „Wolno wobec pewnych okoliczności zarzekać się wielkiej polityki, ale niewolno zarzekać się wielkiej nauki. Wolno ulec na polu walki fizycznej, ale niewolno ulegać na polu pracy duchowej, która najbar-

1) *Kraj*, 1887, № 21.

2) *Kraj*, 1885, № 10.

3) *Kraj*, 1885, № 1—2.

4) *Kraj*, 1886, № 37.

5) *Kraj*, 1885, № 19. Rola nauki.

dziej stanowi w kwestji wartości tak pojedynczych jednostek, jak całych społeczeństw⁴. Obeznany dobrze z rosyjską literaturą naukową, nie pogardzał nią, jak to się u nas zwykle dzieje, raczej zazdrościł, że nie możemy w wielu razach i rzeczach sprostać Rosjanom na tym polu. Co zaś do naszych wszechnic galicyjskich, stawiał im szereg ostrych zarzutów, podnosząc zresztą zasługi dzielnej garstki pracowników nad podźwignięciem nauki polskiej, zwłaszcza w Krakowie. „Katedry nasze—pisał¹⁾—z wyjątkiem niewielu przykładów istotnie dodatnich, przedstawiają synekury dla niedołęstwa, które nic wspólnego z nauką nie ma, które stanowi jedynie szaniec obronny obskurantyzmu, tak bujnie porastającego na uniwersytecie np. lwowskim“.

IV. Kraków i Lipsk.

W tym czasie Napoleon Cybulski, powołany na profesora fizjologii do Krakowa, nie znalazłszy tam wcale wykładów psychologii, w korespondencji swojej z Mahrburgiem namawia go, ażeby, mimo zniechęcenia w zakładzie Tarchanowa, zajął się przecie psychologją eksperymentalną i w tym celu wyjechał za granicę; jednocześnie zaś pisze do Spasowicza i Piltza, prosząc ich o znalezienie środków na wyjazd Mahrburga. Skuszony nadzieją, iż wydział filozoficzny Wszechnicy Krakowskiej w razie, gdyby zdobył doktorat i przedstawił parę prac z zakresu psychologii, postara się o uzyskanie odpowiedniej katedry, i, otrzymawszy kilkaset rubli z Kasy Miannowskiego, decyduje się Mahrburg na wyjazd do Wiednia;

¹⁾ *Kraj*, 1886, № 19. O kształceniu młodzieży naszej akademickiej.

dla bliższego zaś omówienia programu pracy i projektów na przyszłość po drodze wstępuje do Krakowa w pierwszych dniach listopada 1886 r. Tu bawi przez dwa miesiące, zapoznaje się ze stosunkami uniwersyteckimi i głównymi działaczami, „tak sobie, dla formy“ uczęszcza na wykłady niektórych profesorów oraz zwiedza pracownię i laboratorja. „Przedwczoraj, pisze w liście do brata (30. XII), miałem możność poznania całego prawie koła profesorskiego na wydziale filozoficznym. Mianowicie Sokołowski, profesor historii i sztuki... urządził wieczorek wyłącznie profesorski, gdzie figurowałem sam pośród czternastu profesorów. Pierwszy raz w życiu jestem w takim rozgardjaszu wizyt i rewizyt“ „Profesorowie Cybulski, Rostański, Malinowski, Baraniecki przyjmują go z uznaniem, jak najserdeczniej i wręcz mówią mu o katedrze. „Muszę ci wyznać, pisze Mahrburg do prof. Sznuka (16. XI. 1886), że byłem grubo zdziwiony, gdym spostrzegł, jak ci ludzie daleko zaszli w planach mojej osoby dotyczących i jak stanowczo traktują o tym, co mi się zdawało zaledwie odległym na widnokręgu punkcikiem... Domyślasz się oczywiście, że ponieważ ci ludzie wręcz mówią mi o profesurze, więc sytuacja moja jest dość drażliwa; słucham ich zapewnień, że rzecz jest ukartowana ostatecznie i że chodzi jedynie o doktoryzację, ale ze swej strony muszę się zachowywać z rezerwą“, by nie urazić prof. M. Straszeńskiego, o którego zdolnościach i działalności profesorskiej wydaje sąd bardzo ostry.

W styczniu, zmieniawszy pierwotny plan, udaje się Mahrburg do Lipska i przede wszystkim zapisuje się na wykłady Wilhelma Wundta. „Od początku tego semestru aż dotąd—donosi prof. A. S. (1. II. 1887) w liście, którego początek zaginął, niestety—wykłada Wundt psychologję mowy; ja zaś

trafiłem na wykład psychologicznych podstaw semazjologii. Na ostatniej lekcji przystąpił do kwestji o początku mowy. Świetne to są rzeczy i ściągają tłum słuchaczy. Tak więc cztery razy tygodniowo Erkenntnisslehre i dwa razy Völkerpsychologie. Nadto słucham wykładów Heinze go—historji filozofji nowożytnej; na inne wykłady uczęszczam sporadycznie, nie epidemicznie“. Do prof. Cybulskiego zaś pisze 24 lipca t. r.: „Bardzo rad jestem, że wymagacie ode mnie logiki: właśnie teraz przekuwam olbrzymią „Logikę“ Wundta i zdumiony jestem ogromem nauki i wiedzy tego człowieka“.

W tym czasie donosi też bratu: „Rozprawę i doktoryzację swoją ukończę dopiero w jesieni, wtedy wprost udam się do Krakowa dla habilitacji“...; 12 zaś września pod tymże adresem pisze: „Zdrów jestem i niezłej myśli. Pracuję dużo, głównie pochłania mię praca w laboratorjum i rozprawa. Przy tym wciąż otrzymuję z Krakowa różne instrukcje, zawierające desiderata fakultetu. Kurs swój rozpocząć mam od wykładu logiki, jeżeli mi wogóle sążone jest go rozpocząć“...

Gdy na początku r. 1887 jezuita krakowski ks. M. Morawski, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego i gorący obrońca nowoscholastycyzmu, wydał książkę p. t. „Celowość w naturze. Studium przyrodniczo-filozoficzne“, krakowscy przyjaciele Mahrburga, z prof. Cybulskim i Malinowskim na czele, zwracają się do Mahrburga z prośbą o napisanie krytyki tych wniosków i praw, do których Morawski w swej pracy dochodzi. Mahrburg nadsyła studjum pełne myśli i poglądów oryginalnych, tak dalece trafiających do przekonania czterem wspomnianym profesorom, iż jednomyślnie postanawiają zwrócić się do autora z żądaniem rozszerzenia i uzupełnienia swej pracy oraz usunięcia niektórych zbyt ostrych wycieczek polemicznych, projektując umieścić rozprawę w wydawnic-

twach Akademji. „W sprawie „Celowości“ Morawskiego, odpowiada Mahrburg prof. C. (24. VII. 1887), bardzo mi przyjemnie będzie zastosować się do waszych życzeń i wskazówek; nie chodziło mi zresztą bynajmniej ani o ścinanie Morawskiego, ani o figurowanie ze swoim nazwiskiem; chodzi mi jedynie o to, że wyszła książka, która prawdopodobnie znajdzie u nas wielu czytelników i pobałamuci im słabe i bez tego już zmacone mózgi, trzeba więc przeciwdziałać temu wedle możności; jest to kwestja sanitarna, profilaktyczna“... Tak powstaje studjum filozoficzne p. t. „Teorja celowości ze stanowiska naukowego“ i w grudniu r. 1887 zostaje nadesłane na ręce prof. Malinowskiego, który je wnosi do Akademji. Referent wydziału filozoficznego ks. Pawlicki, pomimo iż zupełnie, jako gorliwy katolik, nie godzi się z poglądami Mahrburga, staje jednak, jak to słusznie podkreśla prof. Cybulski, na wysokości, odpowiadającej godności uczonego, i ze względu na wysokie zalety dzieła podaje wniosek o przyjęcie pracy do wydawnictw Akademji ¹⁾. W sprawie tej Mahrburg tak pisze do brata: „Mam bardzo dużo pracy, a im bliżej do doktoryzacji, tym gorzej. Muszę jednak spieszyć, bo w Krakowie czekają mię z wielką niecierpliwością. Obecnie krakowska Akademia Umiejętności przyjęła i drukuje... moją większą rozprawę... która jednocześnie posłuży mi za rozprawę habilitacyjną... Cybulski i prof. Malinowski donoszą mi, że rozprawa ta bardzo się wszystkim podobała, prezes zaś Akademji Mayer ma być nawet nią zachwycony i przedkładając ją na posiedzeniu filozoficznego wydziału Akademji miał wyrzec: „Z prawdziwą przyjemnością przeczytam tę rozprawę

¹⁾ „Teorja celowości“ wychodzi w t. XXII *Rozpraw i sprawozdań Akademji Umiejętności*. 1888.

raz jeszcze w druku; życzę jej autorowi powodzenia w wydziale“... Fakt ten obok strony nader dla mnie pomyślnej i pochlebnej, bo pisząc rozprawę wcale nie marzyłem o Akademji, ma jeszcze jedną ciekawą stronę: dotąd Akademia tak dalece wybredna była na rozprawy filozoficzne, że nigdy ich nie drukowała. Było to prawdopodobnie skutkiem obawy angażowania się w jakiegokolwiek wogóle poglądy filozoficzne, aby się nie narazić tym i owym. Wiadomą zresztą jest rzeczą, iż Akademia wogóle zażywała sławy prawdziwie krakowskiej, t. j. stanowczo skłaniała się ku konserwatyzmowi i klerykalizmowi. Tymczasem obecnie przyjmuje pod swoje skrzydła rozprawę, która, co prawda, surowo trzyma się drogi naukowej, ale bądź co bądź zawiera cały rozdział o Bogu, dowodzący z całą energją i naciskiem, że o nim nic a nic w nauce powiedzieć nie możemy, że owszem pojęcie to jest z gruntu nienaukowe i odrzucone być winno... Jak to zjawisko tłumaczyć sobie, nie wiem, ale fakt stał się. Widocznie zmienia się porządek rzeczy i światło przenika. Mam nadzieję, iż w książce mojej czytelnicy znajdą nieco oryginalnych pomysłów i poglądów“...

Wychodząc z takich założeń, jak: „Świata wymyślić nie można — trzeba go poznać“; „nie masz faktów, nie masz hipotezy“; „wiedza nasza o świecie przybiera postać takich symbolów subiektywnych, jak wyobrażenia, pojęcia, prawa przyrody, hipotezy, teorie“; „cechą rozumu ludzkiego jest to przedewszystkim, że całą wiedzę swoją o świecie zewnętrznym musi zdobywać z doświadczenia, *a posteriori*“; „obowiązkiem jest dla przedstawicieli nauki nigdy nie wbijać słupów granicznych dla państwa przyczynowego, lecz zawsze posuwać się dalej, mając za sobą warowny szaniec wiedzy naukowej“; „aparat nasz logiczny, albo mechanizm rozumowy koniecznie

musi operować na pewnej treści doświadczalnie zdobytej. Rozum, logicznie działający, wszystko, jak młyn, przemiele, co się do kosza wsypie; ale nie dziwny się, jeżeli, wysypawszy plewy zamiast ziarna, w rezultacie otrzymamy również plewy, nie zaś mąkę“,—wychodząc z tych i podobnych założeń, poddaje tu Mahrburg subtelnej i ściślej analizie psychologicznej i logicznej pojęcie przyczyny sprawczej i celowej, burzy metafizykę racjonalistyczną, roztrząsa pojęcie przypadku i rozumu najwyższego oraz, wykazując niekonsekwencje teleologicznego planu przyrody, przychodzi do wniosku, że „przyroda z naukowego stanowiska nie jest ani *teleologiczna*, ani *dysteleologiczna*; przyroda jest, dla naukowego poznania przynajmniej, *ateleologiczna*, co znaczy, że ze stanowiska celowości naukowo objaśniana być nie może“.

W rozprawie tej, pisanej świetnie, jasno i ściśle, świadczącej o gruntownej i rozległej wiedzy autora zarówno w filozofii, jak w przyrodoznawstwie, zużytkował Mahrburg prace Janet a, Morawskiego i Gumpłowicza jako materiał sekcyjny i ilustracyjny do wykazania bezpodstawności doktryny teleologicznej; wywołała ona całą powódź replik i recenzji w „Przeglądzie katolickim“, „Prawdzie“, „Ateneum“, „Przeglądzie tygodniowym“, „Przeglądzie polskim“, „Przeglądzie powszechnym“, „Niwie“ i innych, — recenzji, na które Mahrburg odpowiedział z właściwą sobie werwą polemiczną i swadą, szczerością i bezwzględnością, odnosząc — śmiało rzecz można — zwycięstwo na całej linii.

W lipcu r. 1888 udaje się do Berlina, ażeby zapoznać się nieco z uniwersytetem a głównie z psychofizyczną pracownią Ebbinusa, a potem w ciągu lata robi kilka wycieczek, przeważnie pieszo, po Niemczech i Szwajcarji, zwiedzając przytym znaczną ilość zakładów dla obłąkanych.

Zarazem całkowicie pochłaniają go studia w Lipsku. Przez dwa semestry pilnie ucześnie do pracowni psychologicznej W u n d t a, którego uznanie zdobywa dla siebie tak, iż długo po wyjeździe Mahrburga z Lipska wspomina W u n d t o nim, jako o jednym z najwybitniejszych swych uczniów; zaprzyjaźnia się z pierwszym jego asystentem, późniejszym prof. K ü l p e m; gromadzi uporczywie materiały do pracy z teorii poznania o stosunku pozytywizmu do nowokantyzmu, zamierzając ogłosić ją w języku francuskim, ucześnie na wykłady fizyki, chemji, a głównie fizjologii prof. L u d w i g a, oraz, jak zawsze zresztą, niezmordowanie oddaje się pracy samodzielnej, krytycznie, sceptycznie a nawet ironicznie podżartowując z profesorów niemieckich.

„Wydział filozoficzny w Lipsku — pisze Mahrburg do *Kraju* w r. 1889—pomimo licznych w łonie swoim przedstawicieli filozofji..., w gruncie rzeczy jest muzeum starożytności metafizycznych. Profesorowie Seydel — zwolennik Schellinga, Konrad Hermann—Hegla, Strümpel—Herbarta, to trójka, która z rozrzewniającą wytrwałością broni do końca zdobytych już pozycji. I jak ów stary klucznik Gierwazy... nosił za pasem pęk kluczy od drzwi zrujnowanego zamczyska, na których otwieraniu nie zależało nikomu, albo które już nie istniały, tak i oni noszą klucze od tajemników metafizycznych mistrzów swoich. Prof. Heinze, sumienny redaktor kilku już wydań klasycznego podręcznika historii filozofji Ueberwega, z pozoru raczej typ naszego starego szlagona, niż filozofa niemieckiego, bynajmniej nie jest oryginalną i płodną siłą teoretyczną... Docentów filozofji jest kilku, ale wolimy o nich nie mówić... Przyciągającą siłą filozoficzną w Lipsku jest chluba współczesnej nauki niemieckiej i niewątpliwie jeden z najwy-

bitniejszych, chociaż nie najbardziej popularnych dziś psychologów i filozofów na świecie—prof. Wilh. W u n d t.

Codziennie o kwadrans na szóstą wielka aula Collegium Bornerianum... wypełnia się tłumem słuchaczy. Są tu filozofowie, przyrodnicy, medycy, prawnicy. Punktualnie o oznaczonym czasie ukazuje się we drzwiach figura średniego wzrostu, szczupła, pochylona nieco; przy hałaśliwym tupotaniu kilkuset par nóg... zdobywa kilka stopni katedry. Mamy przed sobą W u n d t a. Twarz blada, suchotnicza, rysy nieregularne, skronie i policzki zapadłe; z poza szkieł ciemnych nie widać oczu, szron siwizny przyprószył i dziś jeszcze czarne włosy gładko przyczesanej głowy i podstrzyżonej brody. Wygląda na lat 56 do 58. Nazewnątrz żadnych szczególnych znamion inteligencji, nic niepospolitego; czoło tylko dość szerokie, nosi to charakterystyczne a niedające się określić znamię, właściwe osobom, które się długo oddawały samodzielnej pracy umysłowej; myśl wypisuje tam jakieś nieczytelne znaki swoje.

Nigdy nie słyszałem tak pięknego wykładu. Organ barytonowy, przyjemny i dość silny; wymowa dobitna, spokojna, płynna; sposób wyrażania się ścisły, odrobinę górnieszy od powszedniej muzy naukowej, ale zwięzły w zdaniach, wiązany w okresach i wykończony jak do druku. W u n d t prawdziwie posiada sztukę wykładu naukowego, nie zaś czyta lub napół czyta, jak większość nudziarzy *ex cathedra*. Wykłada on popularnie, jeżeli się wykład jego porówna z tym, co pisze; ale uczony profesor ma zbyt wiele do powiedzenia, aby te nawet elementy, które w lekcjach podaje, były dla wszystkich odrazu dostępne. Kto studjował dzieła jego, ten w wykładzie nie znajdzie nic nowego, chociaż zalety wykładu opłacą mu się sownie.. Gdy treść

jest bardziej teoretyczna i wkracza w dziedzinę osobistych poglądów profesora, zapala się on widocznie, chociaż ani na chwilę nie zakłóca się zewnętrzny spokój wymowy; staje się ona tylko jeszcze bardziej potoczysta, polotniejsza, występują rumieńce na twarzy mówcy i zapał ten udziela się audytorjum, które po skończonej lekcji odruchowo i czasem frenetycznie wyraża zadowolenie swoje — nogami“.

Ceniąc w Wundcie umysł niezmiernie rozległy, który przemyślał teoretycznie, oświecił historycznie i zbadał filozoficznie ogrom wiedzy z dziedziny fizjologii, fizyki, mechaniki, matematyki, lingwistyki i mitologii, oraz wysuwając na czoło jego zasługi na polu psychologii i teorii poznania, gdzie się okazał twórcą i mistrzem, Mahrburg nie tylko zarzucał Wundtowi kompromisowość i eklektyzm w filozofii i etyce ¹⁾, dualizm w psychologii, bezpodstawność jego krytycznego realizmu, wikłanie się w pojęciach ontologicznych, nie tylko odrzucał całą jego metafizykę woluntarystyczną wraz z teorią apercpcji, lecz, jak twierdzi prof. Cybulski, zjadliwie żartował sobie w Lipsku ze staruszka, ostro krytykując to wszystko, co robiono w słynnej jego pracowni psychofizjologicznej.

Oburzony milczeniem przyrodników po wyjściu „Teorii celowości“, pisze (27. I. 1889) do prof. C.: „W literaturach zagranicznych dziś, po upadku metafizyki, przyrodnicy z filozofami idą ręką w rękę; każdy poważniejszy badacz przyrody usiłuje wytworzyć sobie jakiś szerszy pogląd na zadanie swoje; tacy uczeni, jak Helmholtz, Tyndall, Clark Maxwell, Du Bois Reymond, Kirchhoff, Preyer, Mach, Haeckel, Virchow, Zöllner itd. są filozofami pierwszego kalibru, którzy się wiel-

¹⁾ „Ethik“ Wundta wyszła w r. 1886.

ce przyłożyli do wytworzenia najcenniejszych poglądów filozoficznych naszych czasów, dźwignęli filozofję z gruzów, w których ją zakopali metafizycy niemieccy i wyraźnie przyznają, że badają szczegóły nie dla szczegółów, lecz dlatego, aby się wznieść do jakiejś całości teoretycznej. Nasi przyrodnicy nie chcą palcem poruszyć dla zagadnień, nad którymi najpotężniejsze siły przyrodnicze nauki europejskiej pracują z zapalem prawdziwych sług wiedzy i prawdy. Czasze byłby i nam nareszcie wybrnąć z okresu dziecięctwa umysłowego i zacząć myśleć“.

Niezrażony tym niepowodzeniem, z właściwą sobie energią pograża się w dalszej pracy. „Co do pism polskich, donosi prof. A. S. (30. V. 1889), redakcje od pewnego czasu stały się tak uprzejme, że przysyłają mi je darmo i mam ich coś dziesięć. Książki także polskie, jakich mi potrzeba, mam albo od autorów, albo od redakcji *Kraju*. Nie mam tylko rosyjskich w zakresie swej specjalności, chociaż od czasu do czasu wychodzą tam rzeczy z tytułów przynajmniej interesujące“. Zamieszcza w tym czasie w *Kraju* szereg dłuższych, świetnie pisanych rozpraw i ocen krytycznych, jak—„Gienjusz i obłąkanie“, „Artur Schopenhauer“, „Zadowolenie i cierpienie“, „Społeczeństwo i organizm“, „W u d t i jego teoria poznania“; w *Świecie* krakowskim drukuje, między innymi, studjum o spirytyzmie, względem którego staje na stanowisku, nazwanym przez Goethego „thätige Skeptis“; polemizuje ze Struvcem, Bąkowską, Heryngiem, Krupińskim, Wł. Kozłowskim, przesyła do *Ateneum* rozprawę p. t. „Dziedziczność pod względem empirycznym“, przepojoną nawskroś duchem krytycznym, gdzie składa dowody swego wielkiego odczytania w literaturze dotyczącej dziedziczności i zagadnienia psychopatologicznego, wreszcie z zamięłowaniem, o czym

świadczą liczne notaty, wyciągi z dzieł i szkice, oddaje się badaniom nad utopistami, filozofją prawa oraz filozofją Giordana Bruno, o którym pisze studjum, nie wydrukowane, niestety, przez *Kraj* dlatego, że, jak to sam z oburzeniem w liście do przyjaciela zaznacza, miało nie odpowiadać wymaganiom prawa!

W życiu umysłowym Lipska bierze też udział niejaki: „Piszę z pośpiechem..., donosi bratu (20. I. 1888), bo wychodzę w tej chwili na zebranie filozofów, gdzie zamierzam dziś z dziwną odwagą wobec Niemców rznać Kanta. Na to trzeba znacznej odwagi cywilnej, bo Kant dziś w Niemczech jest byzyszcem, czymś w rodzaju Biblii lub Arystotelesa w epoce scholastycznej. Chodzi mi o tę część „Krytyki czystego rozumu“, która się nazywa „Estetyką transcendentną“...

Kolegą był wyjątkowo uczynnym: zawsze gotów był spieszyć z pomocą, gdy chodziło o naukę, o jakąś poważną pracę naukową. Zarówno prof. Cybulski i prof. Sznuć, jak lipscy koledzy Mahrburga: dr. Massonius, prof. Żórawski, dr. Bystroń — wszyscy zgodnie podnoszą jego bezprzykładną gotowość świadczenia usług, wymagających nieraz pracy pilnej i wytrwałej przez dłuższy okres czasu.

„Oprócz dość znacznych zajęć — czytamy w liście z 18. IX. t. r. — mam do tego i korespondencję dość rozległą, tak iż niekiedy po 3—4 listy dziennie wysyłać muszę, i to listy po kilka bitych arkuszy, nad którymi często dużo myśleć trzeba i dużo czytać. Taki już zawód. Nadto mam tu dość jeszcze roboty z poprawianiem różnych tłumaczeń, z którymi do mnie ten i ów się zwraca itp.“

Dla jednego z uczonych przyjaciół swoich opracowuje słownik porównawczy wyrazów psychologicznych. Do innego

znów, którego zachęca do zajęcia się zastosowaniem psychologii do badań semazjologicznych, pisze (8. XII. 1899): „W tym celu należałoby poznać dobrze, co najmniej psychologiczną teorię asocjacji i apercpcji według Lazarusa, Steinthala i Wundta, bo każdy z nich inaczej tę rzecz rozumie, następnie... zebrać całą przeważnie broszurową literaturę o Bedeutungswandel, prawie wyłącznie rozprawki niemieckie; wreszcie zebrać polski materiał historyczno-etymologiczny, zawarty głównie w rocznikach Akademji i Rozprawach filologicznych“, gdyż całą rzecz należałoby oczywiście zastosować do języka polskiego i na jego materiale zasady samej teorii wyjaśnić. Jest to przedmiot z wielu względów bardzo wdzięczny, w którym można jeszcze wiele zrobić przy stosunkowo niewielkim wysiłku, a wszystko pozostaje do zrobienia w zastosowaniu do polszczyzny...

Nastęcza się tu sposobność zmodyfikowania, a być może i zupełnego zakwestjonowania teorii apercpcji. Zapuszczając się stopniowo w tę kwestję, przekonasz się, że w tym węzle splatają się interesy lingwistyki, psychologii i logiki, a jeżeli się dalej wmyślisz, to i historii cywilizacji — bardzo żywotnie... Gdybyś się tą pracą zajął poważnie i stanowczo, moglibyśmy korespondować celem bliższego porozumiewania się. Kolejno także mógłbym podać całą literaturę przedmiotu i odnośne ustępy z dzieł najważniejszych...

Skorobyś się wjadł w tę sprawę, mógłbym ci przełożyć wątpliwości swoje co do teorii apercpcji... która, jak mi się wydaje, dałaby się z pożytkiem dla jasności i naukowości zredukować do teorii asocjacji. Taki zwrot posiadłby nie tylko znaczenie teoretyczne, lecz bezpośrednio oddziałyłaby na interpretację materiału lingwistycznego, a jeszcze dalej... dostarczyłby broni naukowej przeciwko metafizycznym zapędom

Wundta w etyce. Być może nawet, iż w tym czasie zdążę wykończyć i ogłosić pracę swoją o apercepcji pod względem, naturalnie, czysto psychologicznym, tak, iż jej wyniki będziesz mógł snadniej ocenić, niż to się przez dorywczą korespondencję da załatwić". Jeszcze innemu koledze, któremu lekarze zalecili roczny wypoczynek na wsi, pomaga Mahrburg w ten sposób, że sam czyta całą literaturę przedmiotu i w obszernych, kilka arkuszy nieraz wynoszących, listach przesyła szczegółowe, własnymi uwagami krytycznymi opatrzone streszczenia kilkudziesięciu prac, dotyczących estetyki transcendentalnej Kanta.

Jest to tymbardziej znamieny rys charakteru i umysłu Mahrburga, że prawie stale ciężko walczyć musi o byt materialny. Utrzymuje się z honorarjów za artykuły przesyłane do pism polskich, zarobek ten atoli nie zawsze na skromne nawet życie wystarcza. Wydanie zaś artykułów swoich w tomię zbiorowym uznaje co najmniej za zbyteczne i rzeczywistym ideowym potrzebom nie odpowiadające. „Czyby się nie dało skąd wyrwać pieniędzy, które mogłyby dostarczyć gruntu do przeobrażenia porywów wyobraźni w rzeczywistość“, pisze do prof. S. (30. V. 89), marząc o projektowanej z nim wycieczce do Saskiej Szwajcarji i Pragi. „Teraz jestem poprostu zakłopotany brakiem środków, czytamy w liście pod tym samym adresem z 16. VII, tegoż roku, i suszę głowę nad tym, jakby jutro nie minąć się z obiadem, w tym zaś celu muszę coś pisać, coby się naprędce spieniężyć dało i basta... Bardzoby mi przyjemnie było, gdybym mógł być pewnym, że każdej chwili, gdy zapotrzebuję pieniędzy na pokrycie kosztów doktoratu, będę je mógł otrzymać... Tymczasem jednak myślę poprostu o robotach zarobkowych, bo nie stać mię na najprostsze potrzeby“. 8 zaś grudnia donosi: „O so-

bie mogę niewiele powiedzieć: uderza przede wszystkim to typowe zjawisko, że jestem przedziwnie goły, chociaż znoszę to z animuszem, jak na rzetelnego chrześcijanina przystało“.

Ta ciężka walka o byt wcale zresztą nie przeszkadza Mahrburgowi, w chwilach wolnych od pracy, wesoło spędzać czas w gronie bliższych kolegów i przyjaciół, otaczających go, jak świadczy prof. Cybulski, głębokim szacunkiem, posuniętym nieraz do uwielbienia. Całymi wieczorami umie bawić swych towarzyszków niewyczerpanymi dowcipami i konceptami, w których zawsze uchodził za nieprześcignionego w pomysłach mistrza. Odwrotna strona medalu nauki niemieckiej, jej uniwersytetów i profesorów, z ich rutyną, pedantyzmem, przesadami, anachronizmami i nieodzownym piwem—dostarczały Mahrburgowi obfitego materiału do zjadliwych żartów, kpin i docinków. Wówczas bawiono się znakomicie.

V. Niedoszła profesura.

Jeszcze w styczniu r. 1888, charakteryzując Kraków i zestawiając „zewnątrzne strony wolności narodowej“ z panującym tam „zaduchem w życiu duchowym i społecznym“, jako skutkiem niewoli z nieodłączną od niej zgnilizną, pisał Mahrburg w liście do brata: „W każdym razie nie ulega wątpliwości, iż gorąco pragnę dostać się tam i zająć stanowisko, któreby mi dało możliwość oddziaływać na ludzi i, o ile potrafię, budzić życie. Przedmiot, który mam wyklądać, jest potęgą w umiętnych rękach, a im bardziej przyglądam się młodzieży akademickiej, studjującej w Krakowie lub opuszczającej uniwersytet tameczny, tymbardziej widzę gwałtowną potrzebę silnej i energicznej ręki, któraby te zagnojone

przez nieuctwo i safandulstwo stajnie Augjasza wymiotła i przebiła okna dla światła". Były to pragnienia bardzo trudne, niestety, do urzeczywistnienia. Wyraźne bowiem stanowisko filozoficzne Mahrburga, jego radykalizm teoretyczno-poznawczy i ustawiczna walka z doktrynami metafizycznymi, jego „Teorja celowości“, która niepokoiła i oburzała hr. St. Tarnowskiego i wielu innych profesorów krakowskich, gorliwie broniących szaićów metafizyki ontologicznej oraz tradycji religijnej, stworzyły tamę nie do usunięcia na drodze do jego profesorskiej kariery w Krakowie. Ostatnią kroplą, przepelniającą czarę goryczy profesorów wszechnicy Jagiellońskiej, był list Mahrburga do młodzieży krakowskiej o „samokształceniu się w filozofji“. List ten z dnia 23/II. 1889, jako odpowiedź studentom uniwersytetu krakowskiego, wydrukowany w Nr. 1 i 2 *Ogniska*, organu uczącej się młodzieży polskiej, jest, między innymi, oczywistym dowodem, jak dalece sam Mahrburg nie ubiegał się o katedrę w Krakowie, lecz, przeciwnie, wznosił na tej drodze coraz to nowe przeszkody swoją szczerością i radykalizmem nie znajdującym żadnych kompromisów ani w teorji, ani w życiu. W ciekawym tym liście, z zachwytem przyjętym przez młodzież, a przez wielu profesorów uważanym za policzek im wymierzony, Mahrburg, odsyłając zresztą studentów po wskazówki przedewszystkim do jej bezpośrednich kierowników, doradza od siebie studja nad psychologją, logiką, etyką i religją, poleca dzieła Spencera, Wundta, Höffdinga, Darwina, Claude Bernarda, Guyau i innych, ostrzega przed nienaukowością metafizyki i, dając szereg wskazówek metodologicznych, gorąco zachęca do gruntownych studjów naukowych: „Jakby u nas zanikł organ głodu duchowego — pisze w myśl poglądów Mickiewicza

i Guya u -- jakby nam zbywało na tym zmyśle, znamionującym wiek młodzieńczy, zmyśle, który serce i umysł popycha do zagadnień najszerzych, najbardziej ogólnych i to w okresie życia, gdy człowieka nie krępują jeszcze żadne więzy zawodu, gdy... bezinteresownie... zrywa się na skrzydłach niedoświadczonych jeszcze, ale przez zapał zagrzewanych do lotów wyższych, zakłada sobie cele szczytniejsze i bardziej zuchwale na strome wyżyny spogląda. Z tych porywów i lotów zawsze coś pozostaje... tylko wybrani pozostają na wyżynach życia duchowego, ale iskra, raz porwana, zawsze będzie przyświecała w każdej późniejszej pracy zawodowej, uszlachetni ją, podniesie, chce powiedzieć — zrodzi tę nierównowagę, która jest rękojmą postępu, która nie pozwala zaskorupiać się w rutynie fachu i zawsze ciąży w kierunku tego, co wyższe. Trzeba raz przynajmniej w życiu podlecieć wyżej, aby potem wiedzieć, co to jest latać, aby nawet wtedy, gdy się pełzać musi, tęsknić do wyżyn i nie zapominać, że one istnieją. Utrzymuję, że potęgę i bogactwo duchowe społeczeństwa stanowi suma jego popędów idealnych w kierunku prawdy, dobra i piękna, chociaż jednocześnie nie wątpię, że tęcza ta powinna się opierać na twardym granicie pracy powszedniej i jej owoców“.

Gdy wieść o wrażeniu, jakie list wywarł w Krakowie, dochodzi go w Lipsku, pisze do prof. S. (16. VII. 1889) w tonie stanowczym i pełnym gorczy: „Żałuję bardzo, że się nie na wszystkie punkty katechizmu krakowskiego zgodzić mogę, a przeczuwam, że takich punktów z czasem okaże się więcej jeszcze. Oni chcieliby wszystko robić dla efektu, ja tego nie chcę, nie potrzebuję, nie mogę. Przyszedłem do przekonania, że drukować prace swoje w Akademji, to mniej więcej to samo, co chować je na strych na pastwę myszom.

Nie chcę prac swoich ogłaszać w Akademji dla wielu powodów, a gdyby się okazało, że żadnego innego nakładcy nie znajdę, to przestanę pisać, ale nie będę grał komedji akademickiej“. Ma rację Fr. Nietzsche, że ludzkość patrzy na giesty chętniej, niż słucha argumentów!

Życie atoli nagli, woła do pracy. Studja nad moralnością i etyką, którym, jak to widzieliśmy, oddawał się pilnie już w Petersburgu, przykuwają znów na dłużej uwagę filozofa. Pracuje nad etyką Wundta i bada stosunek moralności do różnych dziedzin życia materialnego i duchowego. Na początku zaś grudnia tegoż roku czytamy w liście jego do prof. S. „Wczoraj zwrócił się do mnie Karłowicz z propozycją, abym się podjął spółpracownictwa w nowym słowniku języka polskiego. Ma on być wzorowany na Słowniku Wileńskim, tylko obszerniejszy i bardziej naukowy. Pieniądze na wydawnictwo to szczęśliwcy już posiadają... Mam opracowywać część filozoficzną, czyli zastąpić w danym razie nieboszczyka Trentowskiego, który z tamtego świata ze zgrozą będzie spoglądał na mój wandalizm, tępiący jego kwiatki filozoficzne. Słownik ma... wyjść ostatecznie w początku roku 1892 (!). Waham się jednak, czy przystało mi podejmować się tej niewątpliwie zaszczytnej, ale dla teoretyka wysoce niewdzięcznej misji“. Do tego słownika powrócimy jeszcze.

Prof. matematyki w Krakowie K. Żórawski, który od kwietnia r. 1889 do lipca r. 1890 studjował w Lipsku razem z Mahrburgiem, utrzymuje, że Mahrburg dużo pracował wówczas nad psychofizyką i teorią poznania, i tak go charakteryzuje (w liście do autora z 28. I. r. b.): „Mahrburg odznaczał się łatwością jasnego i precyzyjnego formułowania swoich sądów, każdą kwestję naukową ujmował z jej najbardziej

zasadniczego punktu i oświecił wielostronnemi uwagami i porównaniami... Miałem możność z pełnym przeświadczeniem uznawać w nim człowieka o gruntownej wiedzy filozoficznej, wysoko rozwiniętym zmyśle krytycznym, bardzo trafnie oceniającego wzajemny stosunek różnych umiejętności i ich wzajemne oddziaływanie“.

Na wiosnę r. 1890 kończy Mahrburg rozprawę p. t. „Monizm społeczny i echa jego u nas“, w której, wychodząc z założeń społecznych teorii fizycznych i chemicznych, roztrząsa krytycznie filozofję Spencera, Noirégo, Haeckla i innych monistów i przychodzi do wniosku, że zupełnie prawidłowym jest tylko monizm naukowy, syntezujący wszechświat zjawisk według poznanych praw ich wzajemnej i stałej zależności, wszelki natomiast monizm metafizyczny, na pojęciu ducha, materji lub energii oparty, w gruzy się rozpada pod tchnieniem krytyki teoretyczno-poznawczej.

W lecie tegoż roku, machnąwszy ręką na doktorat, do czego faktycznie nie miał środków, a wrodzona duma nie pozwalała zwrócić się do tak życzliwych nawet mu ludzi, jak Spasowicz, i zrezygnowawszy z katedry wobec piętrzących się trudności natury ideowej, krótko w powrotnej drodze zabawiwszy w Krakowie, zjeżdża do Warszawy, ażeby tu, nie licząc paru letnich wyjazdów, pozostać już do końca życia.

Niesłusznym byłoby wobec tego sądzić, iż kandydaturę na profesora w uniwersytecie Krakowskim sam dobrowolnie odrzucił, jak to utrzymuje prof. Cybulski. Raczej może działała w nim ta sama siła wyższa, która kazała Spinozie odmówić proponowanej mu profesury, aby tylko, wobec zewnętrznego nacisku, nie utracić niezależności stanowiska naukowego oraz wolności głoszenia swych przekonań filozoficznych. Pozostaje fakt niezbity, że tylko drobna garstka pro-

fesorów krakowskich była mu rzeczywiście przychylna, poza tym zaś poglądy Mahrburga w punktach najistotniejszych różniły się zasadniczo z zapatrywaniami ogółu członków Akademji oraz duchem, kierunkiem i zasadami filozofji, uprawianej w Krakowie. Gdy przyjaciele Mahrburga: Spasowicz, prof. Cybulski i inni, nie tracąc jednak nadziei, zaczęli potym czynić zabiegi, ażeby go ściągnąć na katedrę do Lwowa, gdzie w pewnym gronie profesorów również zrodziła się myśl podobna, i w tym celu ponowili swe namowy i prośby, ażeby się doktoryzował, Mahrburg w poczuciu wielkiej wartości swych zdolności i wiedzy, nie chcąc nawet uwzględnić konieczności, wypływających z rządowych ustaw uniwersyteckich, zaciął się, żądając odrazu profesury. „Co do mnie, pisał (8. I. 1891) do prof. C., oświadczam, że pod żadnym warunkiem nie zgodziłbym się na docenturę, której perspektywa wobec usposobień galicyjskich, jest smutna. Leżć w to błoto intryg i średniowieczny warto tylko w takim razie, gdyby się było pewnym, że się ma grunt trwały pod nogami, z którego mię nie będą mogli lada chwila zepchnąć możniejsi ode mnie. *A więc jedynie w razie, gdyby mi przedstawiono rękojmię, że otrzymam katedrę odrazu, postarałbym się o doktorat* i zdecydowałbym się na Galicję, która bynajmniej ponętna nie jest. Należy zważyć, że mnie osobiście wcale nie chodzi o to, by zapewnić sobie posadę lub godność profesorską, bo godności nie pożądam, a do zajmowania posad żadne mię nie nagła potrzeby osobiste lub rodzinne. Mnie tylko chodzi o to, by *uniwersytety nasze posiadały jak najlepszych profesorów filozofji*“... (brak dalszego ciągu).

Tę kartę z życia Mahrburga pozwolę sobie zamknąć słowami prof. Cybulskiego z listu do autora (19. I. r. b.): „Tak wysoko ceniłem jego zdolności i wiedzę, że nie prze-

stałbym robić usiłowań, ażeby go ściągnąć do Krakowa, lecz prawie codzienne dysputy z nim w Zakopanym (r. 1891), a następnie kilkakrotne w Warszawie, odbierały mi nadzieję, że się uda skłonić go do tego, co było konieczne... W motywach jego odmowy, jego zapewnieniach, że mu jest dobrze w Warszawie, widziałem oczywistą nieprawdę, widziałem, że sam się łudził i chciał takie same złudzenie wywołać u innych, a co gorsza widziałem, że to mówi szczerze, że wcale nie zdaje sobie sprawy ze swej sytuacji. Nie miałem wyjścia, musiałem się pogodzić z myślą, że uniwersytet i nauka polska straciły go nazawsze“.

VI. Działalność w Warszawie do r. 1900.

Lecz oto otwiera się przed Mahrburgiem nowe pole płodnego działania—w Warszawie.

Jako wstęp do polskiego przekładu rozprawy Taine'a „O metodzie“ drukuje on w tym czasie piękny szkic o myślicielu francuskim, którego jako psychologa i świetnego pisarza zawsze cenił wysoko, jako filozofowi natomiast zarzucał szeregi niekonsekwencji, doktrynerstwo oraz nawracanie do metafizyki heglowskiej. Ósmego zaś stycznia 1891 r. pisze do prof. Cybulskiego: „Od trzech już miesięcy jestem pochłonięty pracą nad wykładami, z których się utrzymuję. Dziwny tu istnieje zapał do wiedzy filozoficznej: jednej grupie pań, złożonej z dwudziestu osób, wykładam etykę dwa razy tygodniowo; drugiej grupie pań, złożonej z trzydziestu osób, wykładam psychologię dwa razy na tydzień, i wreszcie grupie studentów medyków, w liczbie dwudziestu, wykładam trzy razy tygodniowo psychologię także. Proponowano mi jeszcze historję filozofji, ale się narazie podjąć nie mogłem, bo przy-

gotowanie siedmiu prelekcji tygodniowo pochłania mi czas całkowicie. Dopiero, gdy będę już miał kursa gotowe, można będzie myśleć o większej ilości wykładów. O ile można ufać opinii i wnioskować z faktu, że ilość słuchaczy wciąż wzrasta, zdaje się, iż wykłady moje cieszą się powodzeniem“. Tak tedy, miłując niezależność nadewszystko, wolał Mahrburg wykładać prywatnie, niż poddać się tyranji wymagań naszych uniwersytetów. Wychodząc z zasady, sformułowanej już przez Nietzschego, że „wszystkie sztuki i nauki zalewa i zamula niesłychany dyletantyzm“, — niczym niekrępowany, oprócz wymagań logiki i doświadczenia, śmiało rozwija w prelekcjach radykalne poglądy własne na filozofję i naukę i, idąc w ślady Wundta, stopniowo włącza w zakres swych wykładów wszystkie dyscypliny filozoficzne, jak: psychologja, etyka, historia filozofji, logika, teoria poznania, teoria sztuki i pedagogja. Przez lat szesnaście wytrwale odtąd pozostaje na stanowisku prywatnego nauczyciela filozofji, zdobywając sobie coraz większe uznanie i rozgłos, podbijając coraz więcej serc i umysłów i, jako utalentowany prelegient o umyśle obejmującym szerokie widnokregi wiedzy społecznej, wysuwając się na czoło tego zastępu uczonych i literatów, który w ostatnim dziesięcioleciu XIX i pierwszych latach XX wieku stanowił sztab naukowy sił profesorskich, wykładających w oryginalnej, swoistej, nigdzie indziej nieznannej instytucji, jaką był prywatny i tajny uniwersytet w Warszawie. Uczelnia ta w rozbudzeniu ruchu umysłowego u nas wielkie ma zasługi. Kto tu wykładał, co i komu? Słuchaczami byli ci wszyscy, dla których wrota nauki urzędowej pozostały zamknięte, lub ci, których nauka ta nie zadowalała: studenci uniwersytetu i politechniki, nauczyciele, lekarze, mężczyźni i kobiety, słowem — wszyscy

cy spragnieni wiedzy, jak powiada Stanisław Posner, niezależnej od opieki policji i *Warszawskiego dziennika*, spragnieni prawdy, wolnej od godności państwowych i orderów. Wykładano nawet nauki przyrodnicze, lecz głównie cieszyła się powodzeniem humanistyka: nauki historyczne, filologiczne, społeczne, ekonomiczne i filozoficzne w najszerszym zakresie. Wykładano gruntownie, starannie, z petyzmem dla nauki i z głębokim poczuciem spełniania wielkiego obowiązku wobec społeczeństwa, mocą ustaw wyjątkowych pozbawionego możliwości zaspakajania w mowie ojczyźnej przyrodzonego głodu wiedzy i nauki. Wykładano wszędzie, gdzie się dało: na poddaszach studenckich, w mieszkaniach nauczycieli i lekarzy, w bogatych apartamentach burżuazji, czyniącej to ustępstwo natarczywym żądaniom własnej młodzieży. Wykładali zaś uczeni i literaci różnych kierunków i powołania, jak: historyk W. Smoleński, filolog S. Mieczynski, historycy literatury P. Chmielowski i Br. Chlebowski, ekonomista Z. Heryng, prawnik i socjolog St. Posner, geograf W. Nałkowski, psycholog Wł. Dawid, socjolog L. Krzywicki i inni. W gronie tym zajmował Adam Mahrburg miejsce wybitne, jako nauczyciel filozofii niestrudzony, utalentowany, kompetentny i ze wszystkich najgłębszy wpływ wywierający. „Przez lat kilkanaście, są słowa Stanisława Posnera ¹⁾), obfita i dobroczynna fontanna nauki i prawdy spływała na spragnioną, wyschłą, popekaną od wiekowej niedoli glebę Warszawy. W stu miejscach rozpalano ogniska czystej wiedzy, latarnie, co przyświecały tęskniącym, biednym, głodnym rybakom w ich tajemnych nocnych wędrówkach na wyspy hiperborejskie poznania. W liczbie tych

¹⁾ *Przegląd Wileński*, 1913, № 18 — 19.

drogich przyszedłemu historykowi kultury narodowej w ostatnim ćwierćwieczu walki narodu o prawdę, o byt wogóle, także na polu myśli — *latarnikiem* był Ad. Mahrburg, prelegent najpopularniejszy, pracowity, zabiegliwy“. Lecz o tym później.

Pochłonięty wykładami, redakcją kursów oraz rozczytywaniem się w bieżącej literaturze naukowej i filozoficznej, której zdobycie w Warszawie połączone jest nieraz z trudnościami nie do przewyciężenia, przez lat kilka niewiele prac drukiem ogłasza. W roku 1891 na zebraniu ogólnym VI Zjazdu przyrodników i lekarzy w Krakowie wygłasza słynny, nawskroś przesiąknięty duchem filozoficznym odczyt p. t. „Psychologia społeczna i jej stanowisko w systemie wiedzy“, w którym metodą syntetyczną, świetnie, z wielkim poletem i energją myśli charakteryzuje i ocenia istotę i wyniki społecznych badań psychologicznych. W roku następnym w obronie tej rozprawy stacza polemikę z H. Struvernem (Gąsiorowskim), gdzie tak, między innymi, określa własne stanowisko filozoficzne: „Jestem empirykiem względnym i do tego empirykiem z konieczności, żadnych bowiem innych źródeł poznania świata oprócz doświadczenia nie znam dotąd. Wolałbym jużci bezwzględną prawdę z natchnienia, prawdę osiąganą bez mozolnych doświadczeń, sprawdzań i badań; ale jej dotąd nie posiadam i nie znam nikogo, ktoby ją posiadał... Utrzymuję, że taksamo analiza zjawisk, jak i synteza ich naukowa, teoretyczna, opierają się na empirji, czyli na doświadczeniu metodycznym“. ¹⁾ W roku 1893 drukuje studjum o „ideałach“ i jest współpracownikiem *Niwy*, w r. 1894 wydaje przekład „Myśli o muzyce“ Weismanna, uzupełniając go

¹⁾ *Biblioteka Warszawska*, 1892, I. str. 632.

obszernym własnym studjum, oraz tłumaczy dzieło Er. Zieglera p. t. „Przyrodoznawstwo i socjalizm w ich wzajemnym do siebie stosunku na podstawie dzieł Darwina i Bebla“¹⁾. Tu, w dodanym przez siebie do przekładu wstępie, pisze cierpkie słowa o wiecznej walce i spółzawodnictwie społecznym: „Nie należy sądzić — powiada — że walka ta pozostaje, w jakiejś postaci odcieleśnionej, niby idealna szermierka umysłów, które się wzajem starają przekonać, pozyskać umysły dla swoich zapatrywań, dążeń i wierzeń argumentami, nie zaś siłą *pokonań*. Nie, walka ta musi być i cielesna albo materjalna zarazem; pomimo, iż wejdą w grę najbardziej idealne czynniki, musi ona zaprząć najelementarniejsze motywy jednostek, gdyż w przeciwnym razie byłaby cieniem wiatraka, a nie rzeczywistym wiatrakiem, który miele ziarno dziejów... Atoli ustrój społeczny rozwija się nie w kierunku coraz silniejszego wynaturzenia i ujarznienia jednostki, lecz w kierunku coraz pełniejszego jej rozwoju i uświadomienia tych węzłów, które ją czynią zależną od całości społecznej. Społeczeństwo świadome jest o wiele mniej stałe, niż spółdziałanie organiczne i stąd wewnętrzna równowaga całości społecznej jest bardziej chwiejna, niż równowaga funkcji w organizmie. Tu i tam oba czynniki — spółdziałania i spółzawodnictwa, walki i przymierza — są nieodzowne. Formułę, przytoczoną przez Zieglera: „Życie jest walką i tylko śmierć jest ukojeniem“, należałoby uzupełnić: „Życie jest spółdziałaniem w walce“. W roku 1896 pisze artykuły o animizmie i medjumizmie do *Głosu*, którego spółredaktor Józef Potocki dziesięć lat przedtem bezskutecznie zapraszał Mahrburga na spółpracownika.

¹⁾ *Znakomity*, zupełnie wykończony przekład tej książki z nieznanych bliżej powodów pozostał niewydany.

W końcu tegoż roku poznaje córkę literata i lekarza zarazem (z Dunajowiec na Podolu), pannę Janinę Wróblewską; rok następny przeżywa pod tchnieniem czaru wiosny miłości, która na początku r. 1898 wieńczy ślubem ten okres, wnosząc w życie skrupulatnego „profesora niemieckiego“ pewien ład, ukojenie, serdeczność bytu rodzinnego wraz z jego troskami i kłopotami materialnymi.

Jednocześnie rozpoczyna się dla Mahrburga okres wziętej pracy filozoficznej. Ilość prelekcji wzrasta do dwóch i trzech dziennie. W końcu r. 1897 wychodzi pod redakcją dzielnego organizatora ruchu filozoficznego w Warszawie d-ra Wł. Weryhy pierwszy zeszyt *Przeglądu filozoficznego* z naczelnym artykułem Mahrburga p. t. „Co to jest nauka?“, artykułem wysokiej wartości, dającym wyraz dobitny jego jasnym i określonym poglądom na naukę i filozofję. W r. 1898, 1900 i 1901 drukuje Mahrburg w *Przeglądzie filozoficznym* szereg ocen krytycznych i przeprowadza polemiki z profesorami — Winiarskim, Twardowskim, Heinrichem oraz Wł. Dawidem.

Bierze czynny udział w *Wielkiej Encyklopedji*, gdzie od r. 1898 do 1902 zamieszcza około *stu* artykułów, z których zwracam uwagę na takie, jak: forma, fenomenalizm, gienjusz, humanizm, hipostaza, idea, filozofja indyjska, indukcja, indywidualizacja, instynkt, intelektualizm, intuicjonizm, istnienie, jakość. Wszystkie te artykuły, nieraz bardzo obszerne i wyczerpujące, zawsze gruntownie pomyślane, z precyzją i ścisłością niesłychaną pisane, są trwałym i pięknym dorobkiem naszej literatury filozoficznej. W roku też 1897 Karłowicz i Kryński zapraszają Mahrburga na współredaktora i współpracownika znanego już nam *Słownika języka polskiego*; w wydawnictwie tym bierze Mahrburg czynny udział.

opracowując do pierwszych tomów terminologję filozoficzną oraz opatrując w korekcie szereg zeszytów różnemi uwagami. Wreszcie w tym samym roku 1897 zasłużony a niezmordowany pracownik na polu oświaty naszej Stanisław Michalski zwraca się do Mahrburga o pomoc w nakreśleniu planu zamierzonego wydawnictwa p. t. *Poradnik dla samouków*. W różnych tomach tego cennego *Poradnika* do roku 1905 drukuje Mahrburg swe rozprawy, mogące uchodzić, razem wzięte, za doskonałą propedeutykę filozoficzną, opracowaną ściśle a jednocześnie przystępnie dla inteligentnego ogółu, zawierającą mnóstwo świetnych wskazówek metodologicznych oraz poglądów oryginalnych. Wychodząc z założenia, że dzisiejszy samouk—to legjon, który żywiołowo prze ku szerszemu i głębszemu życiu duchowemu, i że szczerą prawdą ma swój niepokonany urok dla umysłów, które raz odczuły jej wartość i potrzebę, Mahrburg, idąc tu w ślady słynnych angielskich popularyzatorów nauki, sądzi, że wobec samouka należy dbać przedewszystkim o szczerą i możliwą gruntowność wykładu. „Prawdziwa popularyzacja wiedzy naukowej nie na tym polega, żeby z jakichkolwiek względów, obcych interesom nauki, okrawać tę naukę lub osładzać jej dawki, przedstawiając ją bardziej doskonałą, skończoną i wolną od trudności, niż jest w rzeczy samej; lecz na tym, by wynaleźć sposoby przedostania się do umysłów fachowo nieprzygotowanych z całą prawdą, bez wszelkich ozdób i obłonek, żeby uzbroić samouka w środki i metody, wskazać mu drogi, któremi w dalszym ciągu mógłby chadzać samoistnie i o własnych siłach pokonywać trudności. Trzeba wyzyskiwać gotowość samouka do samopomocy, jego energję samorzutną i nie obawiać się, że się cofnie wobec nastęrczających się trudności“.

Śród tych prac wielorakich i całkowicie pochłaniających życie, oddane nauce i nauczaniu, spada na Mahrburga cios zgoła nieprzewidziany, możliwy tylko w warunkach naszego istnienia społecznego. Dnia 21 grudnia 1899 roku zostaje Mahrburg w nocy we własnym mieszkaniu aresztowany i osadzony w więzieniu. Trzy miesiące spędza w tych nowych dla siebie a fatalnych warunkach, mocno podupadając na zdrowiu: złe odżywianie się, mieszkanie w nieopalanej celi, różne dolegliwości fizyczne, jak ischias, oraz niepokój moralny o byt rodziny, pozostawionej na łasce losu—szarpia boleśnie duszę i nadwątlają żelazny dotąd organizm. Naglony atoli potrzebą moralną i materialną, kosztem energicznych zabiegów sprowadza do cytadeli dzieła Minto, Pearsona, Sigwarta, Biblję i inne, pisze oceny kilku książek do *Przeglądu filozoficznego*, oraz bardzo cenne notatki do teorii przyczynowości, które, niestety, tylko częściowo ocalały w tej zawierusze.

Oto co, między innymi, jawnie, w listach przejranych i ostemplowanych przez władzę, donosi z więzienia pod adresem żony:

5 stycznia r. 1900. „Dostarczono mi tu jakichś książek z czytelnicy miejscowej i zdaje mi się, że chcą mię nawrócić na socjalizm, bo wszystkie za przedmiot mają propagandę socjalizmu. Zapóźno jednak zabierają się do tego. Naturalnie, ¹⁾ mnie chodzi o książki naukowe“...

¹⁾ Mahrburg nie był wyznawcą zasad socjalistycznych i doktrynę socjalistyczną poddawał surowej krytyce. Z właściwą sobie atoli jasnością widzenia rzeczywistości i sprawiedliwością w ocenie faktów, pisał (w notatach): „Jakiegokolwiek błędy i złudzenia możnaby zarzucić socjalizmowi, wszakże w praktyce doktryna ta wystąpiła, jako jeden z najbardziej doniosłych ruchów społecznych w naszej epoce, i mianowicie

17 stycznia. „...od samego początku siedzę w nieopalanej celi, drzę z zimna i całą dobę mam skostniałe nogi. Nadto, głód mię bardzo zmorzył tak, iż czuję się słaby“...

21 stycznia. „Po dziesięciu dniach przewieziono mię do cytadeli. Tu znów zamknięto w celi nieopalanej, niestychanie brudnej i tak wilgotnej, że na zewnętrznej ścianie, pokrytej plamami wilgoci, w zimniejsze dni występuje szron. Zaczęła mię boleć druga noga i doznaję łamania w obu rękach, szczególnie w stawach, a także bolą zęby i głowa... nie dostrzegłem tu u nikogo cienia spótczucia dla cierpień ludzkich... żadnych względów dla człowieka“.

30 stycznia. „Dotąd, o ile mogłem bez odpowiednich materiałów pod ręką, pisałem sobie notatki do „Teorii przyczynowości“, o której już oddawna myślę. Sporo napisałem, ale wykończenie będzie wymagało bardziej przyjaznych warunków i książek“..

doniosłych pod względem moralnym. Socjalizm zbudził i ożywił klasę robotniczą, zwrócił w znacznym stopniu umysły tej klasy ku ideałom i zadaniom o wiele szerszym, niż te, w których kółku obraca się jednostka pozostawiona własnemu tylko popędowi do zachowania się pod względem fizycznym. Żaden wielki ruch społeczny nigdy się nie mógł obyć bez jakiegoś wielkiego obrazu przyszłości, chociażby ten był jednostronny i wadliwy. Ideał socjalistyczny nie potrzebuje tracić swojej siły bodźczej i porywającej; trzeba tylko wprowadzić pewne korektywy, nakazywane przez historję i rzeczywistość. A nadewszystko zdaje się być wielce prawdopodobnym, że jeżeli socjalizm albo kolektywizm ma przyszłość przed sobą, to przyszłość ta zostanie zapewniona przez wolną pracę i wolne stowarzyszenia, jakkolwiek państwo może przytym odegrać rolę olbrzymią, jako czynnik ochronny, pomocniczy, regulujący i wychowawczy“.

12 lutego. „To jest straszna tortura siedzieć tak w samotnym zamknięciu miesiącami, nie widząc nawet twarzy ludzkiej, i nie mieć jeszcze przyzwoitej książki do przeczytania“...

18 lutego. Oceny trzech książek do *Przeglądu filozoficznego* już napisałem i spróbuję je przesłać“... (mowa tu o Höffdingu, Oppenheimie i Holtzendorffie).

26 lutego. „Ja tu nic dowiedzieć się nie mogę, nawet tego, za jaką to kategorię przewinień prawo poddaje więźnia takim obostrzeniom w ciągu 33 dni (od 21 grudnia do 24 stycznia) w nieopalonej celi“...

1 marca. „Załączam przy tym liście dwie oceny książek Oppenheima i Höffdinga — do *Przeglądu Filozoficznego*. Po otrzymaniu rękopisów oddaj je niezwłocznie... redaktorowi osobiście i zawiadom mię o skutku; wtedy w dalszym ciągu przyślę ocenę Holtzendorffa i sprawozdanie z *Revue de métaphysique*. Oddając, poproś redaktora w moim imieniu o zaliczkę honorarjum... w kwocie przynajmniej rb. pięćdziesięciu. Powiedz mu, że wiele zależy na pośpiechu w tych warunkach, kiedy, z powodu choroby i niepomysłnych dla pracy okoliczności, pozbawiony jestem wszelkiego zarobku. Zapewnij go przytym, że dłużnym nie zostanę i wkrótce będę mógł dostarczyć mu tyle rękopisów, ile sam zażąda“...

Po trzymiesięcznym przeszło zamknięciu w celi więziennej i kilku bezowocnych badaniach w urzędzie śledczym — został Mahrburg wreszcie wypuszczony na wolność. Oficer żandarmerji, wręczając mu przejrzone manuskrypty, miał orzec przytym, iż zawierają taką filozofję, że sam szatan jej nie zrozumie (u was zdieś takaja filiosofija, czto sam czort nie razbieriot).

VII. Ostatnie lata działalności krytycznej.

Współpracownictwo w *Encyklopedji*, *Poradniku*, *Prawdzie* i *Przeglądzie Filozoficznym*, oraz wznowione wykłady natychmiast zupełnie pochłaniają filozofa. W r. 1901 powołany zostaje na redaktora działu filozoficznego *Wielkiej Encyklopedji*; od początku tegoż roku zaczyna stale zamieszczać oceny krytyczne dzieł filozoficznych, niekiedy przyrodniczych i pedagogicznych, w *Książce*, którą potem, od kwietnia 1903 do stycznia r. 1907 sam redaguje. W r. 1903 wchodzi do komitetu redakcyjnego *Ogniwa*, na którego czele staje Stanisław Posner; tu przez trzy lata istnienia pisma drukuje szereg pięknych studjów, między innymi, o „Kancie“, „Spencerze“, „Filozofji społecznej“ i „W sprawie naukowości metafizyki“. Raz tylko wyjeżdża poza granice kraju, ażeby się udać (w r. 1904) do Zakopanego w roli prelegenta na zorganizowanych tam *Wyższych Kursach Wakacyjnych*; licznemu audytorjum wykłada tam *psychologję woli* a na posiedzeniach seminaryjnych z powodzeniem polemizuje z prof. Twardowskim i prof. Baudouin de Courtenay. W końcu r. 1905 podmuch wolności powołuje do życia *Kursy Naukowe* w Warszawie i oto, po piętnastu latach wykładów w katakumbach, rozpoczyna Mahrburg nareszcie jawnie cykl prelekcji filozoficznych, cieszących się nadzwyczajnym powodzeniem tłumnie uczęszczających nań słuchaczy i słuchaczek. Jednocześnie wykłada propedeutykę filozoficzną w gimnazjum Chrzanowskiego, otaczany uwielbieniem młodzieży.

Gdy tak, jako prelegient, od początku swej kariery pedagogicznej święcił Mahrburg coraz świetniejsze tryumfy, jako pisarz — krytyk i polemista zaciekły — zawsze miał przy-

czajonych przeciwników lub wręcz nawet wrogów nieprzejednanych: lubił mówić prawdę bez ogródek, a *veritas odium parit*. Ten człowiek, pełen humoru, jowialny i nawet dobroduszny, nie znosił, nienawidził nierzetelności i wszelką tandetę chłostał niemiłosiernie. Zmieniał się też zupełnie, gdy występował w kwestjach naukowych lub w obronie własnego stanowiska filozoficznego, zapalał się, stawał się bezwzględny, nieubłagany, żywym wcieleniem krytyki i logiki. I biada tym, co się wówczas wyrwali z lekkomyślnym i nieuzasadnionym sądem. Przeciwnicy, których miażdżył w polemikach ustnych, np. na posiedzeniach komitetów organizacyjnych lub w dysputach publicznych, zarzucali Mahrburgowi manję wielkości. Wątpię, czy słusznie. Wszędzie i zawsze cenił on wiedzę prawdziwą, mało jednak spotykał godnych siebie oponentów, czuł też nad nimi wyższość bezwarunkowo. Do siebie samego zresztą stosował miarę najsurowszej krytyki; to właśnie było powodem, iż nie chciał wydawać swych kursów, niesłychanie ciekawych i pięknych, na których wykończenie nie miał dość środków i czasu. Że znał wartość własną — to niewątpliwa: „il faut s'estimer soi-même à un haut prix pour produire des actes dignes de soi“ — powiada mądrze G u y a u.

Jako pisarz, nie należał ani do tych, zbyt licznych u nas umysłów, co sączą z siebie wątek rozmyślań na kruchej podstawie wiedzy naukowej opartych, ani do tych, co bezsilnie i bezradnie uginają się pod ciężarem erudycji; umiał połączyć głęboką i wszechstronną wiedzę z samodzielnym, trafnym i mądrym sądem o każdej rzeczy. I sądu tego nie obwijał w bawełnę. Surowych będąc wymagań zarówno dla siebie, jak i dla innych, wychodził z zasady Nietzschego:

„Ile nieufności — tyle filozofji“¹⁾ i sądził, zgodnie z Schopenhauerem²⁾, że „uwolnić kogoś od błędu, nie znaczy to zabrać, lecz dać, albowiem samo poznanie, że coś jest błędem, jest już pozytywną prawdą“. Pisanie było dla Mahrburga, jak i dla Helmholtza, rzeczą dość męczącą, gdyż, jak powiadał, zbyt dużo myśli i argumentów cisnęło się za każdym razem pod pióro. Pisał też wolno, po długim namyśle i dokładnym uporządkowaniu w głowie materiału, rzadko kiedy co przekreślając lub poprawiając, pisał bardzo treściwie i ściśle, a zarazem klasycznie jasno. Niekiedy zapalał się, wielki bowiem temperament unosił go, dodawał werwy, dowcipu, czasem zjadliwej ironji. Logika rozumowania staje się wówczas jeszcze mocniejsza, zwarta, miazdząca; czytając jednak jego cierpkie wyrazy, sądy ostre i bezwzględne, zawsze przecież odnosimy wrażenie, że się autor rozplómienia w obronie najczystszych interesów nauki. Z tego stanowiska traktuje wówczas wszystkich, nawet najbliższych swych przyjaciół, niezłomnie stosując zasadę: *Amicus Plato, sed magis amica veritas*. Jego ostre polemiki i krytyki, które oburzały i obezwładniały przeciwników, świadczą nie tylko o odwadze, jaką niewątpliwie miał nad nimi, lecz zarazem o jego z niczym poza prawdą nie liczącej się odwadze cywilnej i uczciwości krytyka. Tak, w liście do autora (16. VI. 1901), pisał: „Struve na moje recenzje w *Książce*³⁾ przesłał obszerną replikę z zastrzeżeniem, że w razie, gdybym zechciał znów odpowiadać, odpowiedź moja ma być wprzód jemu

1) „Wiedza radosna“, 295.

2) „O religji“, 32.

3) Mowa tu o rozprawach Struvego: „Anarchizm ducha u obcych i u nas“ i „Ruch etyczny nowszych czasów“.

zakomunikowana. Jakoż odpowiedziałem mu bardzo treściwie, poczym cofnął replikę swoją. Powtórzyła się ta sama komedja, co i z H. Nusbaumem¹⁾. Pisze się replikę w nadziei, że być może krytyk zagapi się tym razem i da sobie wmówić głupstwo; skoro się jednak okazuje, że nie — okrywa się togą milczenia“. Faktów tego rodzaju było dużo. Mahrburg z całą świadomością brał na siebie odpowiedzialność moralną za wszystko, co pisał. Przeważnie, rzecz oczywista, bronić się musiał przeciwko zaczepkom, pochodzącym z obozu konserwatywno-klerykalnego lub od wyznawców metafizyki ontologicznej i mistycyzmu (ks. M. Morawski, ks. Pawlicki, Henr. Struve, W. Lutosławski i inni), w ostatnich atoli latach zmieniły się stosunki. Gdy w kwestji literatury młodej Polski odważnie w swych odczytach zajął stanowisko trzeźwe i krytyczne, gdy rozpowszechniły się zjadliwe docinki, jakich nie szczędził *Chimerze*, gdy ukazały się ostre jego oceny prac Dawida, Przybyszewskiego a potem Brzozowskiego, gdy wreszcie wystąpił z nadzwyczaj surową krytyką Haeckla, zaczęto już z obozu postępowego godzić weń pociskami, które, jak to obecnie najlepiej osądzić można, zupełnie były chybione, gdyż źródłem ich były jedynie zdraśnięte ambicje i osobiste animozje. To też na występy *Biblioteki naukowej* odpowiada Mahrburg pogardliwym milczeniem, a na artykuły Nowaczyńskiego, Brzozowskiego i Dawida w *Głosie* — daje ostrą odprawę w *Ogniwie* p. t. „Bez maski“. Napaść Ad. Nowaczyńskiego wywołała gorący protest ze strony młodzieży wszechnicy warszawskiej, wyrażony w adresie zbiorowym;

¹⁾ Chodzi tu o „Ideał prawdy ze stanowiska higieny duszy i ciała.“

w liście zaś do Mahrburga z d. 28. XI. 1906 sam Nowaczyński gorąco go przeproszał za swój agresywny artykuł, odwołując ¹⁾ zarazem wszystkie zawarte w nim zarzuty i inwektywy. *Habent sua fata libelli!*

Jako człowiek nauki, przesiąknięty jej duchem i metodami, obdarzony tą nieufnością instynktową względem manowców myśli, jaka, zdaniem Nietzschego ²⁾, zapuściła korzenie w duszy każdego prawdziwego uczonego, krytykę rzeczową zawsze witał Mahrburg z uznaniem. Już w r. 1892, polemizując ze Struvem o zasady psychologii, pisał ³⁾: „każdy objaw krytyki, *bodaj najostrzejszej*, byleby uczciwej, rozumnej i miłością prawdy nacechowanej potrafiłbym ocenić, jestem bowiem przekonany, że nauka wogóle nie może się rozwijać bez kontroli takiej krytyki“...

VIII. Zmaganie się z niemocą i śmiercią.

Tylko wielki zapas sił fizycznych i niespożyta energia umysłu Mahrburga mogły podołać tej pracy, jaką był obciążony szczególnie od r. 1897. Ilość wykładów z filozofii wzrosła w tym czasie do czterech i pięciu dziennie. Pozatym z wielką natarczywością zabiegano również o jego odczyty. Przeciężony nawałem zajęć, z całą jednak bezinteresownością, zawsze, gdy chodziło o jakiś cel społeczny, stawał do apelu i w Warszawie, Łodzi i Wilnie wygłosił kilkadziesiąt pięknych, sumiennie opracowanych, tłumnie publiczność ściągających odczytów na rozmaite tematy, jak np. — „Wielkie

¹⁾ List p. Nowaczyńskiego, jako ciekawy dokument, zachowałem.

²⁾ „Ludzkie, arcyłudzkie“, 451.

³⁾ *Biblioteka Warszawska*, 1, 631.

błędy w dziejach myśli ludzkiej“, „Plastyka osobowości w sztuce“, „Poezja społeczna“, „Bruno“, „Kraśiński“, „Nietzsche“ i inne. Zredagował cały szereg przekładów dzieł filozoficznych, z których tylko sześć ukazało się w druku (Paulhan, Ziehen, Boutroux, Biblioteka nowokrytyczna—z. I, Loeb i Jerusalem)¹⁾, przetłumaczył „Historję filozofji“ Höffdinga, redagował *Książkę* i był współpracownikiem kilku pism periodycznych. Wszystko to nie mogło pozostać bez wpływu na organizm, podkopało zdrowie, które niegdyś „odważnie stawiało czoło klimatowi petersburskiemu, a potem dymnicy lipskiej“, i już w końcu 1906 r. doprowadziło do wysokiego stopnia zdenerwowania człowieka, przez całe życie nerwowo zupełnie zrównoważonego. 20 stycznia 1907 r. Mahrburg widocznie zapada na rozstrój umysłowy.

Sprawdzają się słowa Nietzschego: „Każdy rodzaj mistrzostwa trzeba drogo opłacić na ziemi, gdzie może wszystko opłaca się za drogo; jest się mężem swego zawodu za cenę, że się jest też zawodu swego ofiarą“²⁾. O ileż tragiczniejsze są losy uczonych polskich!

Zaczęto *post factum* doszukiwać się objawów choroby, cofając się wstecz o kilka, nawet kilkanaście lat życia. Pozostawmy bez odpowiedzi te nie dające się sprawdzić i uzasadnić domysły. Zapewne, ten dowcipny i wesoły kolega i przyjaciel, ani jednym rysem umysłowości i charakteru nie zdradzający społecznego dekadentyzmu, tkliwy ojciec rodziny, zapalony wielbiciel Chopina, o którym w jednym z listów powiada, że bez wszelkiej przesady chciałby go zawsze słyszeć, chciałby, żeby mu świat grał Chopina w chwili śmier-

¹⁾ Ob. niżej bibliografię pism Mahrburga.

²⁾ „Wiedza radosna“, 335.

ci, człowiek o przedziwnym skojarzeniu zimnej krwi rozumu z żarem duszy i mocą charakteru — miał swoje widoczne idjosynkrazje: lubił samotne spacery i wycieczki, miewał bardzo długie okresy milczenia. Faktem jest atoli, że już parę miesięcy przedtem umysł filozofa wszedł na manowce: Mahrburg pisał geometrię, dowodząc, jak to zresztą miał zwyczaj, iż filozof nigdy nie powinien zaniedbywać matematyki. W prelekcjach swych z r. 1906 nie daje już nic nowego, powtarza się. Stała się rzecz jasna: mózg Mahrburga, jak mózg Nietzschego, uległ przepracowaniu. Ci, co bliżej znali Mahrburga, jego mocny ustrój fizyczny, sprężystość jego funkcji psychicznych, nie wierzyli w możliwość zapadnięcia zasłony na ten gienjalnie jasny i bystry umysł. Pamiętali żart Mahrburga, w którego słuszność nigdy nie wątpili: on, co dużo pracował nad zagadnieniem psychopatologicznym, zwykł był utrzymywać, iż wprost nie rozumie, jak mógłby zwarjować, *tak mocno i dobrze ma tam* — i pukał przytym w czoło. Sprawdziła się wszakże zasada Ostwald'a, głosząca, iż maksymalna wytwórczość przypuszcza również maximum zapasu energii oraz zupełną swobodę jej zastosowania. Właśnie tej niezależności zastosowania swej ogromnej energii mózgowej nie miał Mahrburg nigdy: przez całe życie ciężko walczy o byt, przez długi czas zarabiając na życie wyłącznie piórem, on, który utrzymywał, iż lepiej zapalki szczepać na dwoje i potem sprzedawać, niż pracować u nas w dziennikarstwie i publicystyce. Przepracowaniu sprzyjała również metoda pracy, właściwa temu umysłowi i charakterowi: pracował nadzwyczaj intensywnie, całkowicie pochłonięty jednym naraz przedmiotem, nie uwzględniając zasady płodozmianu umysłowego, jak się wyraża Guyau. Pracował z uporem i zaciekłością, nie przerywając roboty,

dopóki jej nie ukończył; książki czytywał zawsze z ołówkiem w ręku; rzecz każdą badał sumiennie i *con amore*; gdy wpadał na pomysł nowy, nie opuszczał go, dopóki pomysł ów nie przybrał kształtów jasnych, przejrzystych i wyrazistych.

Niespożyty organizm zadaje jednak kłam dżagnoznie najbieglejszych lekarzy, rokującej mu najwyżej rok życia: po paromiesięcznej kuracji następuje częściowa remisja, i stan ten trwa przez pięć lat prawie! To pięcioletnie istnienie ugasającej potężnej inteligencji jest wstrząsającym obrazem rozpaczliwej walki woli nieugiętej i w znacznym stopniu jeszcze świadomej z chorobą, toczącą organizm. Jest to zastanawiający przykład obrony instynktu samozachowawczego i walki z cierpieniem do ostatka przez wysiłek myślowy i pracę niezmordowaną. Przez pięć lat choroba nieuleczalna nie może zburzyć zautomatyzowanego mechanizmu wdrożonych do pracy i w mocne karby ujętych czynności mózgowych, które długo jeszcze działają sprawnie i dość dokładnie. Już w końcu r. 1907 powraca Mahrburg do przerwanych wykładów, wygłasza kilka odczytów publicznych, zabiera głos w dyskusjach ustnie i w prasie. W maju zaś r. 1908 otrzymuje od Z. Herynga list, w którym autor gorąco go zaprasza do wzięcia udziału w projektowanej *Encyklopedji ludowej* i, między innymi, tak pisze: „Byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby szan. pan, którego wykłady i prace naukowe w dziedzinie psychologii są klasycznym wzorem umiejętnej popularyzacji, miał odmówić swego spółdziałania“.

Śród ustawicznego bohaterskiego zmagania się z niemocą, wyładowuje na papier zgromadzone za dobrych czasów skarby wiedzy, przeważnie z dziedziny logiki i teorii poznania, ostatnim wysiłkiem woli tłumaczy tom drugi „Historji filozofji“ (1910) i „Psychologję“ (1911) Höffdinga

i po dwuletnim jeszcze borykaniu się z cierpieniem, broniąc rozpaczliwie i we wszystkim tej samodzielności, która była godłem i hasłem całego jego życia, 20 listopada 1913 r. umiera w Warszawie w stanie nieprzytomnym, pozostawiając żonę i czworo dzieci zgoła bez środków do życia.

IX. Filozof.

Takie są dzieje pracowitego żywota filozofa. Staralem się przede wszystkim uwydatnić duchowe oblicze uczonego, jego wielostronny stosunek do nauk i filozofji. Pracy bynajmniej nie uważam jednak za skończoną. Dla wykończenia obrazu należy jeszcze nie tylko ocenić nauczycielską działalność Mahrburga, lecz w ogólnych przynajmniej rysach, syntetycznie określić jego stanowisko filozoficzne, o ile ramy krótkiego życiorysu na to pozwalają ¹⁾.

Dwuch rodzajów mądrość spotykamy w życiu: mądrość praktyczną, życiową — rozum praktyczny i mądrość teoretyczną — rozum teoretyczny. W swej czystej postaci obie są rzadkie, ostatnia rzadsza od pierwszej. Mahrburg może uchodzić za wzór mędrca teoretyka. Od samego początku swej naukowej kariery, od r. 1884 występuje on jako *umysł ścisły, krytyczny i metodyczny*, jako filozof o jasno skryształizowanym i przemyślanym stanowisku. Mahrburg — to filozof z urodzenia, filozof w każdym calu, *filozof specjalista*, w ścisłym tego słowa znaczeniu. Posiadając niesłychaną zdolność, czytania i wchłaniania olbrzymiego materiału naukowego

¹⁾ Odsyłam w tym miejscu czytelnika do swej monografji analityczno-porównawczej p. t. „Adam Mahrburg i jego poglądy na naukę i filozofję“, 1913.

zachował zupełną samodzielność poglądów we wszelkich zagadnieniach, których dotykał, zawsze stał o własnych siłach, z zamiłowaniem stosując wszędzie ostrze swej krytyki, prawdę jedynie mając na celu. Szereg społecznych uczonych polskich — przyrodników i lingwistów — cenił wysoko, w filozofji atoli polskiej zgoła nie znalazł dla siebie materiału. Stanąwszy odrazu na stanowisku pozytywnym i ewolucjonistycznym nauki społecznej (*pozytywistą w stylu filozofji A. Comte'a nigdy nie był*), oraz wytworzywszy syntezę z kantowskiego krytycyzmu, w jego najczystszej postaci według pierwszego wydania „Krytyki czystego rozumu“, z sceptycznym empiryzmem Hume'a, zbliżył się najbardziej w swych poglądach do filozofji nowokrytycznej Fr. Al. Langego, Wilhelma Wundta, Al. Riehla i K. Pearsona. Różnił się jednak od tych i innych myślicieli w wielu punktach istotnych, co zaś do Pearsona, z którym może najwięcej wspólnych węzłów go łączy, wyprzedził go znacznie, jak to wykazałem w poprzedniej swej pracy, gdyż „The grammar of science“ wyszła dopiero w r. 1892. Z zapałem powitał wówczas słowa Pearsona: „In an age like our own, which is essentially an age of scientific inquiry, the prevalence of doubt and criticism ought not to be regarded with despair or as a sign of decadence. It is one of the safeguards of progress; — la critique est la vie de la science“, — z zapałem, ponieważ właśnie w obronie tego stanowiska przez lat osiem walczył już przedtem.

Z myślą zwróconą ku podstawowym zagadnieniom nauki, jej metodom, zadaniom i celowi, panował znakomicie nad teorią nauki i był jednym z pierwszych wogóle, a u nas stanowczo jedynym filozofem, który uznał *teorię nauki za jedyną dyscyplinę filozoficzną*, broniąc tego stanowiska konsekwent-

nie i umiejętnie we wszystkich trzech okresach swojej działalności—petersburskim, lipskim i warszawskim. „Na kontynencie Europy — mówił w jednym ze swych odczytów o filozofji ¹⁾—pod mianem filozofji budują się systemy teleologiczne i kosmologiczne, a z długiej ich kolei wyrasta napis: „tu niema nadziei“. Co z tego wszystkiego ocalało? Ocalała rozprawa o metodzie Kartezjusza i „Krytyka czystego rozumu“ Kanta. Są to dwa wiekopomne traktaty, poświęcone zasadniczym zagadnieniom z teorii poznania wogóle i specjalnie z teorii nauki. Oto jest filozofja. Jednocześnie w Anglii bujnie rozkwita prawdziwa filozofja, dojrzewają te plenne nasiona, które Europa, znudzona wielowiekową wędrówką po bezpłodnej pustyni metafizyki, przeflancuje na swój grunt żyzny. My dziś żyjemy filozofją angielską. Bakon, Hobbes, Locke, Berkeley, Hume, Mill — to są prawdziwi patroni filozofji dzisiejszej... a przecież żaden z nich nie buduje ani systemów teologicznych ani kosmologicznych. Mamy tu znów do czynienia w części z teorią poznania, w części z teorią nauki. Gdy Europa przeżuwa przeszło od 2000 lat niezmienną naukę o sylogizmie Arystotelesa, Anglicy i tylko oni dokonywają prawdziwych postępów w logice... Poczawszy od Bakona aż do Hershla, Mill'a, Jevonsa, ze zdumiewającą bystrością umysłu budują całą teorię doświadczenia, teorię indukcji. I wobec tego... są liczni profesorowie niemieccy, obok logiki Arystotelesa klepiący formułki metafizyczne, o których nauka nic wiedzieć nie chce, i nie widzą, że filozofja dawno już przeszła po ich głowach i z chlubą stanęła na czele nauki, a za jej przewodem poszły wszystkie wybitniejsze umysły naukowe: matematycy, fizycy,

¹⁾ Według notatek.

biologowie i socjologowie“. I dalej tak formułuje filozofję: „Mamy zatem pięć działów tej części filozofji, którą nazywamy teorią nauki: 1) logikę wraz z metodologją, 2) teorię doświadczenia, 3) krytykę pojęć i zasad podstawowych albo pryncypjów, 4) klasyfikację i systematykę wiedzy naukowej i 5) filozofję nauk specjalnych. Wszystkie te działy, razem wzięte, mają do czynienia z jednym i tym samym przedmiotem — systemem wiedzy naukowej — i wszystkie zmierzają do rozwiązania jednego wielkiego zadania, do wykazania, na jakich podstawach i jak ma być zbudowany system wiedzy naukowej, aby był możliwie uzasadniony i posiadał wartość powszechną“. Widzimy stąd pogląd Mahrburga jasno, jak na dłoni. Kosmologja czyli pogląd na świat na podstawie ogółu nauk jest opisem rzeczywistości w symbolach pojęciowych, *filozofja zaś, czyli teoria nauki, jest próbą zrozumienia wiedzy, jako jednolitego systemu*. Skoro mamy do czynienia z treścią usystematyzowaną w symbolach pojęciowych, jesteśmy na gruncie pewnej nauki szczegółowej lub kosmologii; skoro zachodzi pytanie, jaka jest natura pewnej wiedzy naukowej, jak ona powstała, jakie są probierze jej wartości, w jakim poprawnym sensie należy ją uznać za naukową i jaki jest jej stosunek do całego systemu wiedzy, jesteśmy w obrębie filozofji. „Świat — powiada Mahrburg gdzieindziej — jest takim, jakim go spostrzegamy w każdej chwili zmysłowo, ale nie takim, jakim go sobie wyobrażamy lub myślimy. Nauka nie jest powołana do zbudowania duplikatu świata, lecz jest narzędziem teoretycznym życia, sztuką systematycznego i możliwie prostego rozglądania się w świecie, a więc narzędziem powiadamiającym, objaśniającym i przewidującym... Świat jest takim, jakim jest, konkretnym, nie zaś schematem teoretycznym. Umysł nasz dys-

kursyjny może chwilowo ujmować w postrzeganiu poszczególne części świata, ale nie może w jednym akcie intuicyjnym uprzytomnić sobie całkowitego konkretnego obrazu. Dlatego też skraca, upraszcza, schematyzuje w teorii. Nauka jest systematycznym porachowaniem się ze światem w schemacie, możliwym dla naszego umysłu. Jest to jedyny dla nas możliwy sposób uprzyrzednienia porządku pojęć i sądów do porządku rzeczywistej różnorodności w przestrzeni i czasie. Trzeba i można tłumaczyć ludziom i przekonywać ich, że nasze pojęcia, substancje, byty, atomy, siły nie są rzeczywistością, którą badamy, że wszelkiego rodzaju *idola* trzeba rugować, ale budować nauki bez pojęć i różnych form logicznych nie można, a schemat logiczny nigdy nie będzie opisem *in concreto*“.

Utrzymywał Mahrburg, że logika i matematyka, jako formy, same przez się wiedzy realniej nie dają i nie rozszerzają naszego poznania, a znaczenia poznawczego nabierają zależnie od tego, jaką treść doświadczalną w te formy wlejemy; utrzymywał, że wszelka wiedza opiera się ostatecznie na założeniach intuicyjnych, dogmatycznych i że naukę społeczną znamionuje idealizm teoretyczno-poznawczy, którego świadomym przedstawicielem i teoretykiem był zawsze. W życiu naukowym Polski doby ostatniej odegrał rolę pierwszorzędną, jako namiętny destruktor wszelkiego rodzaju jałowych i bezpłodnych przesądów metafizycznych na niwie naukowej, walcząc słowem i piórem z tym, co uważał za wielkie błędy w dziejach myśli ludzkiej, a przede wszystkim z *hipostazą*, jako nieprawowitym uprzedmiotowaniem lub substancjalizowaniem pojęć ogólnych i oderwanych, przyjmowaniem bytów przedmiotowych jako ich odpowiedników. Ze *stanowiska czystej wiedzy, nauki autonomicznej, niezależ-*

nej od żadnych względów praktycznych, krytykował doktryny, przybierające formę zasady kantowskiej prymatu rozumu praktycznego, był zdania, że ku zgubie własnej pozostaje dotąd filozofja pod jarzmem swoich dziejów i bronił empirycznego fenomenalizmu czy idealizmu w duchu filozofji Hume'a. Stał, jak żołnierz, zawsze czujnie i w całkowitym rynsztunku bojowym na wałach obronnych nauki spółczesnej, niezmordowanie, przenikliwie i przekonywająco *wytykając wszelkie subrepcje metafizyczne* nie tylko w dziełach metafizyków, kokietujących naukę, lecz również w dziełach najwybitniejszych uczonych, bezwiednie lub świadomie sprzeniewierzających się istotnym zadaniom nauki. Nie upatrując, jak np. Huxley, przepaści nieprzebytej pomiędzy procesem etycznym i kosmicznym i uznając człowieka ze wszystkim, co wytwarza, jako część przyrody, podlegającej przedmiotowym badaniom naturalistycznym według zasad ściśle deterministycznych, dochodzi Mahrburg do *syntezy stanowisk naturalistycznego i humanistycznego*. „Człowiek — są jego słowa ¹⁾ — z siebie i dla siebie przeobraza otoczenie swoje, tworzy poematy i muzykę, moralność i naukę, religję i metafizykę. On jest tu źródłem, twórcą, wynalazcą, ostateczną zaś instancją probierczą dla tych dziedzin jest jego uczucie i wola. Stanowisko humanistyczne daje pogląd na świat i życie takie, jakimi człowiek pragnąłby je mieć, do jakich dąży. Ale, żeby osiągnąć cenione przez się wartości i zakładane cele, trzeba się rachować z warunkami obiektywnymi, które poznajemy ze stanowiska naturalistycznego. Zatem humanistyczny pogląd na świat jest samoistny, ale o ile go człowiek pragnie w przybliżeniu iść, o ile chce realizować

¹⁾ „Humanizm“, W. E. P.

ideały czy idealizować rzeczywistość, o tyle musi zasięgać rad i wskazówek z poglądu naturalistycznego“.

Mahrburg nie stworzył systemu w znaczeniu jakiegoś nowego na świat poglądu, bo i nie mógł stworzyć systemu ten, co, jak Nietzsche, burzył wszystkie systemy dawniejsze, co widział wadliwość wszelkich systemów indywidualnych, ich jednostronność nieuniknioną wobec wymagań nauki, ten, co życie całe świadomie pracował krytycznie nad wyjaśnieniem i utrwaleniem podstaw jedyne, ogólnego i powszechnego systemu — systemu wiedzy naukowej. I tu był nie tylko budowniczym, który dokładnie uświadomił plan ogólny i cel wspaniałej budowy nauki spóczesnej oraz wie, skąd brać należy najtrwalszy do niej materiał, lecz był również zwykłym robotnikiem i nie jeden kamień tego gmachu własnym wysiłkiem podźwiął i mocno utwierdził.

Trudno być oryginalnym w naukowej teorii poznania. Oryginalność Mahrburga polega tu na tym, że swoją radykalną krytyką starał się wyświecić i usunąć mnóstwo sprzeczności i nieprawowitych reminiscencji, pokutujących w głowach i teoriach spóczesnych — w imię jedności monizmu teoretycznego, w obronie jedności i jednolitości nauki, w obronie tezy, której bodaj jedynym konsekwentnym był przedstawicielem, że *filozofja w najściślejszym i najgłębszym znaczeniu zawsze była, jest i pozostanie teorią nauki*, dopóki nauka istnieje i rozwijać się będzie.

X. Nauczyciel filozofji.

Na zarzut, że się popisuje swoją erudycją, Mahrburg odpowiada: „Miałem sposobność poznania prawdziwych erudytów i oddawna nie tylko z ubolewaniem widzę swoją ni-

coś pod tym względem, lecz nabyłem przekonania, że mózgi nasze nie udźwignęłyby nawet prawdziwej erudycji, że musiałyby się wdroyć do niej przez długi rozwój w atmosferze bardziej intensywnej pracy i kultury“. Nie ulega jednak wątpliwości, że na przełomie XIX i XX wieków był Mahrburg jednym z najcenniejszych naszych pisarzy, trzymającym przytym zawsze dłoń na pulsie życia naukowego. Słusznie utrzymuje prof. Cyb u l s k i, że faktycznie imponował on ogromem wiedzy z zakresu filozofji, psychologii i logiki, którą zdobył stosunkowo w krótkim czasie dzięki nadzwyczajnej pamięci oraz wielkiej pracowitości. W wielu zasadniczych zagadnieniach przyrodoznawstwa orjentował się znakomicie ¹⁾, w historii filozofji był jak w domu, a klasyków filozofji, począwszy od Platona aż do Wundta, zgłębił i posiadał tak, iż w każdej chwili mógł szczegółowo i ściśle wykładać ich poglądy. Nie był erudytą bezcelowo gromadzącym drobiazgi i fakty bez wartości, lecz był prawdziwym uczonym, umiejętnie, z wielką inteligencją wybierającym oraz krytycznie ujmującym fakty wartościowe w celu powiązania ich w teorię naukową. Jako epistemolog z zawodu, miał własne krytycznie wyrobione poglądy na wszystkie nauki i ustawicznie spierał się o nie z innymi uczonymi, opierając się na gruntownej znajomości historii nauk.

¹⁾ Prof. J. Rostafiński donosi autorowi w liście z 6. IV. r. b., że kilkakrotnie korespondował z Mahrburgiem w *kwestji pochodzenia gatunków*, listów atoli Mahrburga odnaleźć nie może... Charakteryzując Mahrburga, jako pracownika bardzo sumiennego i odczytanego, jako umysł krytyczny i ścisły, powiada, iż od pierwszego wrażenia zachował najprzyjemniejsze o nim wspomnienie, a od czasu nawiązania bliższych stosunków na gruncie naukowym nauczył się go cenić pod każdym względem.

I oto ten teoretyk o wiedzy światowego pokroju, rzucony na bruk warszawski, idąc za własnym popędem, staje się filozofem czynu, nauczycielem filozofji; przez lat szesnaście budzi kulturę umysłową w kraju, wsączając w liczne umysły esencję nauki i szczepiąc w sercach zamiłowanie do pracy naukowej. Wychodząc z założeń, że nauka jest potężną siłą społeczno-kulturalną, prawdziwy uczony — działaczem społecznym, a zawód naukowy funkcją obywatelską, niezmordowanie uczy podstaw filozofji: ścisłości i metodyczności myślenia, bezstronnego a krytycznego badania faktów, ostrożnego a konsekwentnego wysnuwania wniosków, słowem, rzeczy istotnie najważniejszych. Od tych, co chcieli pracować pod jego kierunkiem, a było ich wielu, wymagał wielkiego nakładu czasu i pracy, będąc sędzią bardzo surowym w kwestjach nauki. Przedewszystkiem zaś uczył własnym przykładem, a uczył tak, iż nieraz musiała słuchaczom przychodzić na myśl maksyma Nietzschego, że niema słodsze go miodu od miodu poznania. Słuchacze zawsze wynosili wrażenie, że krytyczny prelegient głęboko wierzy w postę p ro z u m u l u d z k i e g o, że działa w myśl haecklowskiego hasła — „*impavidi progrediamur*“. Gdy chodzi o ocenę wykładów Mahrburga, mimowoli wspominiemy słowa, w których charakteryzował W u n d t a, jako prelegienta. Należał bowiem do tych rzadkich profesorów, jak H e l m h o l t z lub W u n d t, których wykłady bez zmiany, w całości mogły iść do druku. Wykładał faktycznie *ex professo*: na pięciu wszechnicach nie spotkałem profesora filozofji, który mógłby rywalizować z Mahrburgiem prelegientem. Trudno byłoby orzec, co bardziej w jego wykładach należało podziwiać: czy bogatą argumentację dowodową, czy ścisłe pojęciowe i językowe ujęcie treści rzeczowej, czy bystrość, trafność i jasność sądu, czy szczer ość połączoną z prostotą i po-

wagą, czy przedziwne w tym umyśle skojarzenie zdolności syntetycznych z analitycznymi, czy też wzorową, jędrną, w okresy ujętą i porównaniami przeplataną polszczyznę. Mówił nieraz lepiej, żywiej i ciekawiej, dobitniej i plastyczniej, niż pisał. Gdy wykładał, miało się przed sobą świetny umysł filozoficzny, pana myśli, które w dowolne wlewały się formy. Miał tę prawdziwą wymowę, o której La Rochefoucauld powiada, że „consiste à dire tout ce qu'il faut, et à ne dire que ce qu'il faut“¹⁾. Należał do tych, o których *Vauvenargues* pisze²⁾: „Ceux qui sont nés éloquents parlent quelquefois avec tant de clarté et de brièveté des grandes choses, que la plupart des hommes n'imaginent pas qu'ils en parlent avec profondeur“. Przytym postać samego prelegenta — jego pięknie zbudowana głowa, wysokie i poważne czoło, wzrok przenikliwy, głos silny i przyjemny oraz nadzwyczaj plastyczna i żywa, z wielkiego temperamentu płynąca giestykulacja — dodawała uroku i potęgowała wrażenie, wywierane treścią i formą wykładu. Tymbardziej, że zawsze wykładał z pamięci, bez posługiwania się jakimikolwiek notatkami: zdumiewała słuchaczy jego pamięć wierna, dokładna i w potrzebie niezawodna, obejmująca tyle przedmiotów. „W jasnych, precyzyjnych okresach — pisze jeden z uczniów jego³⁾ — zamykał plastycznie najbardziej oderwane zagadnienia. Zdumiewał się laik zwartą logiką jego sądów. Wyraźny bowiem i konsekwentny jego umysł każdą rzecz przedstawiał w formie niezwykle skondensowanej a prostej“. „Kto miał sposobność — powiada A. Niemowski — słyszeć bodaj jeden wykład Mahrburga,

1) „Maximes“, CCL.

2) „Reflexions et maximes“, CCLXXX.

3) *Świat*, 1913, № 50.

ten podziwiał jego talent: w wykładzie jego najbardziej zawiłe zagadnienia filozoficzne stawały się dla słuchacza jasnymi i sam ów słuchacz zaczynał filozoficznie myśleć. „Kto przesłuchał uważnie — utrzymuje St. Posner ¹⁾ — z ołówkiem w ręku jego kursu psychologii, jasnego, przejrzystego, w którym nie było zbytecznych wyrazów, w którym niejasnych myśli nie zamazywano przy pomocy płynnych, kauczukowych wyrazów, w którym jasnej treści odpowiadała jasna i jakże piękna, wielkie tradycje polskiej myśli filozoficznej przypominająca forma wykładu, — ten pozyskany był dla filozofii, ten pamiętał, ten nie może zapomnieć, co i ile winien jest Mahrburgowi“. Gdyby udało się zrekonstruować jego kursy psychologii, logiki, teorii poznania, historii filozofii i etyki, przekonano by się niezawodnie, ile trafnych, głębokich i oryginalnych myśli rozsiał Mahrburg w okresie swej działalności nauczycielskiej. Łatwo też wyobrazić sobie, jak wielką korzyść odnosili członkowie seminarjum filozoficznego pod jego kierunkiem.

Przyjaciołom swym i uczniom zawsze był gotów służyć swą wiedzą szczerze i bez zastrzeżeń. To też eksploatowano go skwapliwie, jak jaką bogatą kopalnię pomysłów, na co chętnie pozwalał. Treść swych nauk zwykł był żartobliwie porównywać z sokiem cytrynowym, siebie zaś z cytryną, którą cisnąć trzeba, dopóki się da. Wyrzucał też nieraz słuchaczom brak pomysłowości w wynajdywaniu właściwych sposobów wyciskania cierpkiego soku. Odwiedzali go tłumnie studenci, przychodzili nauczyciele, literaci, uczeni, szereg wieczorów nieraz spędzając z nim na naradach. Jako indywidualista uspołeczniony, nadewszystko

¹⁾ *Przegląd Wileński*, 1913, № 18—19.

szanował Mahrburg w każdym samodzielną, radząc zawsze iść za popędem swego gienjuszu i brać się systematycznie do roboty. Młodym adeptom wiedzy gorąco zalecał studia nad logiką, teorią poznania i psychologią, oraz matematyką i przyrodoznawstwem, które uważał za *Eldorado* dla filozofji.

Duch filozoficzny, duch rzetelnej teorii przenikał wszystkie jego prelekcje. Dla zilustrowania swego poglądu na naukę wynalazł cały szereg plastycznych porównań: pojęcia naukowe — powiadał — pozostają w takim stosunku do świata, jak rusztowanie do gmachu, do którego w każdej chwili przedostać się pozwala, jak marki wydane z kontramarkarni do szat, przechowywanych pod odpowiednimi numerami, jak bilety, wydane z kasy teatralnej, do publiczności, zajmującej wyznaczone sobie miejsca w teatrze itd. Uczył, że nauka ubezjakościowiona, a właściwie zbudowana z pojęć, zawierających w swej treści najpowszechniejsze i najprostsze jakości, jest pojęciowym skrótem, wyciągiem, schematem symbolicznym, pozwalającym rozglądać się systematycznie i jak najekonomiczniej w ogóle doświadczeń; uczył, że, dogmatyzując wyniki badań naukowych, paczymy ich właściwą naturę oraz składamy dowód niezrozumienia plastyczności nauki; uczył, że nauka nie zna dogmatów, chociaż uczeni bywają dogmatyczni, że pojęcia naukowe, prawa i teorie są tylko tymczasowymi narzędziami pracy, które ustąpić będą musiały wobec narzędzi doskonalszych.

Prawdę tych nauk potwierdza społeczny przewrót w chemji i fizyce, które, dzięki wykryciu radioaktywnych własności materji, dążą do obalenia teorii ciał prostych Lavoisiera i burzą przesąd niewzruszonych atomów Demokryta, wykazując ich bardzo złożoną naturę.

XI. Zakończenie.

Dwudziestokilkoletnia działalność Mahrburga na niwie nauki polskiej wydała, bo wydać musiała, plon sowity. Mądre jego słowa, jak ożywcze krople rosy, padły na nasz grunt zaschły, zorany bólem w walce z przemożnymi potęgami, wsiąkły w tysiące umysłów i serc. Głęboko jednak jestem przekonany, że z braku katedry, mównicy publicznej rozproszył Mahrburg swą wiedzę oraz zniszczył swe zdolności i rozum. W warunkach, w jakich wypadło mu działać, Warszawa nie była dla niego dostatecznie rozległym warsztatem pracy. Każdy uniwersytet w Europie niechybnie posiadałby w Mahrburgu pierwszorzędną siłę atrakcyjną, gdy tymczasem, losem zmuszony, działał on jako nauczyciel filozofji w okolicznościach dla talentu zabójczych: w ukryciu, jak kontrabandzista przemycił skarby nauki spóczesnej na zakazane wówczas terytorjum pracy. Co prawda, gienjalnie, gorliwie i wytrwale na nowe ścieżki filozoficzne skierowywał umysły odporne i niewdrożone do tego rodzaju wysiłku, pełnił swój obowiązek dziejowy sumiennie, z uporem uprawiając glebę pod przyszłe posiewy. Z iście kantowską wiarą w niezawodność nauki, kantowską stałością w wertowaniu zagadnienia poznania, — nie bytu, brnął niezrażony przeciwnościami losu osobistego i społecznego, niosąc pochodnię światła, zapaloną u źródeł najczystszych: najmądrzejszych przedstawicieli nauki, — śmiało walcząc z ciemnotą i brakiem rzetelności duchowej. Twierdził, że „nauka coraz bardziej staje się kierowniczką walk przez człowieka staczanych i kulturalna część ludzkości, pomimo wszelkich zбочzeń i epizodycznych uwstecznień, coraz bardziej wchodzi w okres walki o życie pod kierunkiem rozumu,

uzbrojonego w wiedzę naukową. Najpotężniejszym pazurem w walce o byt jest mózg ludzki“.

Gdyby Mahrburg nawet nic nie napisał, to jednak niepodobna byłoby nie uznać, że swoją działalnością nauczycielską w Warszawie, tak bardzo z wielu względów przypominającą działalność Sokratesa w Atenach, wywarł wpływ niezatarty w dziejach umysłowości naszej.

Jako pisarz atoli, jął się odważnie niewdzięcznej roli karczownika na nieuprawnej niwie naszego piśmiennictwa naukowego i wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu zdziałł niemało: bibliografia drukowanych pism jego wykazuje 286 pozycji. Rozproszone po kilkunastu czasopismach rozprawy te i artykuły, dziwnie jasnym, klasycznym stylem pisane, nieraz z werwą, dowcipem i polotem, są i pozostaną naddługo wzorem polskiej prozy filozoficznej. Należy przytym zaznaczyć, że zwykle nawet jego recenzje krytyczne rozrastają się nieraz do miary rozpraw naukowych, tak dalece istotność i obfitość materiału rzeczowego rozsadza ramy artykułów.

Jako filozof, opierał się na doświadczeniu metodycznym, ewolucjonistycznie i krytycznie pojętym. W kwestjach transcendentnych przestrzegał ściśle zasad agnostycyzmu, nieubłaganie stosując maksymę: *sapiens nihil affirmat quod non probet*. Był to jednak agnostycyzm względny, gdyż, zdaniem Mahrburga, granic rozwoju poznania naukowego zakreślić niepodobna.

Jako umysł z gruntu wolnomysłny, trzeźwy i prawdziwie pozytywny, był zawsze otwartym przeciwnikiem poglądów dogmatycznych, mglistych i mistycznych.

Jako obywatel, stał na stanowisku zasad demokratycznych; rozumiał doskonale, w jak strasznych warunkach spo-

łecznych żyjemy i radził zapuszczać rękę w sam żar życia, skoro pragniemy w nim jakąś rolę odegrać. Oburzał się na tych, którzy postać Chrystusa w fałszywym wystawiali świetle, jako uosobienie jedynie uczuć miłości, dobroci i przebaczenia. Był bowiem zdania, że trzeba mocno kochać, lecz i mocno nienawidzić. „Wyplenić—powiadał¹⁾— z natury ludzkiej takie uczucia, jak nienawiść do tego, co ze stanowiska moralnego w rzeczy samej jest nienawistne, znaczyłoby to nie tylko dokazać cudu psychologicznego, lecz obniżyć naturę ludzką, zepchnąć ją z osiągniętych za wysoką cenę szczybli rozwoju moralnego i pozbawić dźwigni potężnej w walce o ideały“. Bez ideału ani jednostka, ani naród istnieć nie mogą, „tym zaś ideałem jest i, sędzę, zawsze będzie to przeświadczenie, że jedynym obowiązkiem naszym jest służba ludzkości, jej szczęściu przez naród“.

Jako człowiek wreszcie, był szczery, prosty, ze staropolska rubaszny, przystępny dla każdego, komu istotnie chodziło o wiedzę,—gadulstwa i powierzchowności nie znosił jak zmo-ry. Pod powłoką ścisłego teoretyka i świetnego djalektyka pieniał się gorący, namiętny temperament, z trudnością utrzymywany siłą woli i wielkiego rozumu, gdy w grę wchodziły interesy nauki.

Był miłośnikiem i znawcą wielkiej poezji wszechświatowej, o której w prześlicznym, rzewnym artykule na zgon Bohdana Zaleskiego powiedział, że ma swe prawa, tworzy swoje światy, których mechaniki żaden jeszcze Newton nie dociekł. Był wreszcie Mahrburg szczerym, chociaż krytycznym wielbicielem takich głębokich gienjuszów, jak H u m e i K a n t,

¹⁾ Ustęp z manuskryptu: „Odczyt o Krasińskim“.

o którym powiadał, że gdziekolwiek sięgnie, zawsze przedziwnie głęboko, — wielbicielem odważnych a nieprzejednanych umysłów, jak Nietzsche lub ten „najśmielszy zwiastun czasów nowożytnych i najpotężniejszy gienjusz filozoficzny Włoch“ — Giordano Bruno, do którego nieraz myślą powracał.

Pomimo jasnego zdawania sobie sprawy z ogromu ludzkiej i w szczególności naszej polskiej niedoli, z otuchą przecież spoglądał w przyszłość szczęśliwszą. Zdrowy, dzielny i mądry optymizm, oparty na mocnej wierze w zwycięstwo lepszych pierwiastków natury ludzkiej i przede wszystkim najpiękniejszego jej kwiatu — myśli, przenika całą działalność tego niezmordowanego szermierza nauki i prawdy.

Słuszność powyższego sądu niech sam potwierdzi i skromną tę pracę własnymi słowy zakończy: „Myśli nic nie zwycięży — mówił Mahrburg w trzechsetną rocznicę zgonu Giordona Bruno — ona z popiołów odrodzona wstaje jeszcze czystsza i bardziej wspaniała, w życie, w czyny się wciela i urąga fałszom, obłudzie i złości, które jak widma cieni nocnych przed jej promiennym pierzchają obliczem.

Na tym samym miejscu, gdzie przed trzystu laty płonął stos, Rzymianie wzniesli pomnik herezjarchowi i myśl wyzwolona uroczyście oddała hołd pamięci męża, co się dla niej poświęcił i legł, jak bohater, pod tym samym sztandarem, który i nam dziś jako ideał przyświeca, a na którym możnaby wypisać natchnione słowa Krasińskiego:

*Nim los twój ziemski w pełni się dokona,
I ty, ludzkości, będziesz przemieniona:
Zostawisz w dole, u stóp ciemnych wzgórzy
Wszystko, co zwodzi i wszystko, co boli,*

*Zostawisz w dole szataństwo niewoli,
Zostawisz w dole kłamstwa opętanie,
Zostawisz w dole tajemnic zawilość, —
A weźmiesz z sobą duchowe poznanie
I serca wieczną, nieskończoną miłość.*

Władysław Spasowski.

Warszawa, w marcu 1914.

CHRONOLOGICZNIE UŁOŻONA
BIBLIOGRAFJA PISM ADAMA MAHRBURGA.

1884. — Kosiba (O namiętnościach). *Kraj*, Dział literacki, № 17.
— Everett. Jednostki i stałe fizyczne. *Kraj*, tamże, № 23.
— Ribot. Choroby woli. *Kraj*, tamże, № 25.
— Opowiadania Narwoya. *Kraj*, tamże, № 34.
— Król K. Słownik naukowy rosyjsko-polski. *Kraj*, tamże, № 36.
— Rylke S. D. Pierwszy południk i czas powszechny. *Kraj*, tamże, № 38.
— Lubbock. Mrówki, pszczoły i osy. *Kraj*, tamże, № 38.
— Kierunek i wyniki nowszych badań psychofizjologicznych. *Kraj*, tamże, № 39, 40.
— Billewicz. O filozofji Morawskiego. *Kraj*, tamże, № 41.
— Haeckel Dr. Królestwo pierwotniaków. *Kraj*, tamże, № 43.
— Za i przeciw. Odpowiedź Billewiczowi. *Kraj*, tamże, № 45.
— J. B. Nowsze pojęcia i hipotezy o powstawaniu istot, *Kraj*, tamże, № 48.
— Majewski Erazm. Do przyrodników polskich odezwa. *Kraj*, tamże, № 48.
— Huxley. Wstęp do nauk przyrodniczych. *Kraj*, tamże, № 49.

- M. Massonius. Szkice estetyczne. (Artykułu nie odzukałem; podaję na podstawie słów M. Massoniusa).
- 1885. — Prof. Blok i Kariejew jako historycy przyszłości. *Kraj*, tamże, № 1, 2.
- Moes-Oskargiełło. Nauka o zdrowiu. *Kraj*, tamże, № 3.
- Pamiętnik fizjograficzny. *Kraj*, tamże, № 6.
- Nauka i metafizyka w nowej książce prof. Szokalskiego. (Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie). *Kraj*, tamże, № 9, 11, 14.
- Rocznik medycyny sądowej. *Kraj*, tamże, № 16.
- Rola nauki w społeczeństwie naszym (Artykuł wstępny, niepodpisany). *Kraj*, № 19.
- Kartezjusz. Rozmyślenia nad zasadami filozofji. *Kraj*, Dz. lit., № 27.
- Mysł i ruch. *Kraj*, tamże, № 38, 39.
- Prace filologiczne. Tom I, r. 1885. *Kraj*, tamże, № 42.
- Ribot. Dziedziczność psychologiczna. *Kraj*, tamże, № 43.
- Pogląd na wszechświat w utworach Mickiewicza. *Kraj*, tamże, № 46.
- Popularyzacja i szkice Skórkowskiego. *Kraj*, tamże, № 50.
- 1886. — Osobowość według Ribota. *Kraj*, tamże, № 1.
- Billewicz contra Mahrburg. *Kraj*, tamże, № 2.
- Wiek nerwów. *Kraj*, tamże, № 7.
- Za i przeciw. Polemika z prof. Dybowskiem. *Kraj*, tamże, № 10. (Patrz № 5, przypisek redakcji).
- Romans botaniczny. *Kraj*, tamże, № 11.
- Na zgon Bohdana Zaleskiego. *Kraj*, № 12.
- O kształceniu naszej młodzieży akademickiej. (Artykuł wstępny, niepodpisany). *Kraj*, № 19.
- H. Nusbaum. O wrażeniach zmysłowych. *Kraj*, Dz. lit. № 20.
- Wspieranie pracy na polu naukowym. (Artykuł wstępny, niepodpisany). *Kraj*, № 23.
- Z powodu artykułu prof. Rostafińskiego o Uniwersy-

- tecie Krakowskim. (Artykuł wstępny, niepodpisany). *Kraj*, № 28.
- Program postępowy. *Kraj*, Przegląd literacki, № 37.
 - Logika społeczna. *Kraj*, tamże, № 38, 39.
 - Nowa praca Ochorowicza. (O poddawaniu psychicznym). *Kraj*, tamże, № 42.
 - Dawid. Program spostrzeżeń psychologiczno-pedagogicznych nad dzieckiem od urodzenia do 20-go roku życia. *Kraj*, tamże, № 49.
 - Poganka naukowa. (Murray). *Kraj*, tamże, № 52.
1887. — Za i przeciw. Polemika z Dawidem. (o „Szkice psychologiczne“). *Kraj*, tamże № 7.
- Wł. Dawid. Zaraza moralna. *Przegląd Społeczny* we Lwowie. (Artykułu nie znam; podaję na podstawie listu A. Mahrburga).
 - Smolikowski S. Studja krytyczne. *Kraj*, tamże, № 21.
 - Majewski Erazm. O pilniejszych potrzebach naszego języka naukowego. *Kraj*, tamże, № 23.
 - Służewski M. O niektórych terminach używanych w naukach ścisłych. *Kraj*, tamże, № 24.
 - W dniu zaćmienia. *Kraj*, tamże, № 32.
 - Pogadanka naukowa. (Masaryk, Comte). *Kraj*, tamże, № 41, 42.
 - Gienjusz i obłąkanie (uwagi nad dziełem Lombroso), str. 52, odbitka z *Kraju*, № 48—51.
1888. — Teorja celowości ze stanowiska naukowego. Studium filozoficzne. *Rozprawy wydziału historyczno-filozoficznego Akademji Umiejętności*, t. XXII, str. 182—358. Osobne wydanie książkowe.
- List otwarty do redaktora „Kraju“ (w sprawie języka polskiego). *Kraj*, tamże, № 10.
 - Ottuv słownik nauczny. *Kraj*, tamże, № 10.
 - Artur Schopenhauer. *Kraj*, tamże, № 11, 12.
 - Zadowolenie i cierpienie. *Kraj*, tamże, № 13—15.
 - Biblioteka filozoficzna. *Kraj*, tamże, № 18, 19.
 - Z literatury psychologicznej. (Ladd). *Kraj*, tamże, № 24.

- Odpowiedź na list prof. Struvego. *Kraj*, tamże, № 26, 27.
- Z historjozofji swojskiej. (Niemirycz J. „Filozofja historii narodu polskiego“, Chrzanowski T. „Badania z historjozofji“). *Kraj*, tamże, № 29—33.
- Krytyk Spencera. (Cathrein ks. W. „Nauka moralności darwinistowskiej“). *Kraj*, tamże, № 38.
- Reich Eduard. Das Heilbestreben der Natur im Organismus der Gesellschaft. *Kraj*, tamże, № 39.
- Metoda naukowa. (Hoyer Henryk prof. „O metodzie badania naukowego“). *Kraj*, tamże, № 43.
- Celowość w przyrodoznawstwie. (Z powodu „Celowości w naturze“ ks. Morawskiego). *Kraj*, tamże, № 44—46.
- 1889. — Samokształcenie się w filozofji. *Ognisko*, № 1, 2.
- Spirytyzm jako fakt i jako doktryna. *Świat* (krakowski), № 10—15.
- Z powodu antropologii Tylora. *Świat* (krakowski), str. 534, 571.
- Za i przeciw. (o „Teorję celowości“). *Kraj*, tamże, № 1.
- Społeczeństwo i organizm. *Kraj*, tamże, № 4—7.
- Trybunał logiki i tradycji. *Kraj*, tamże, № 9.
- Wundt i jego teorja poznania. *Kraj*, tamże, № 11—14 i 16.
- O charakterze. *Kraj*, tamże, № 19, 20.
- Za i przeciw. Polemika z Z. Heryngiem. *Kraj*, tamże, № 29.
- O prawdę (o „Teorję celowości“). *Prawda*, № 2.
- Polemika o „Teorję celowości“ z Krupińskim. *Ateneum*, t. I, str. 361—370.
- Dziedziczność pod względem empirycznym. *Ateneum*, t. IV, str. 306—343, 435—458.
- 1890. — Hipolit Taine. Przedmowa do polskiego przekładu Taine'a: „O metodzie“. I—XLIX.

- Notatki psychologiczne (o „Szkicach psychologicznych“ Dawida). *Kraj*, tamże, № 22, 23.
- Monizm społeczny i echa jego u nas. *Ateneum*, t. III, str. 75—106, 274—290.
- Polemika o przekład Tyłora (z A. Bąkowską). *Świat* (krakowski), str. 94.
- 1891. — Psychologja społeczna i jej stanowisko w systemie wiedzy. *Odczyt wygłoszony na zebraniu ogólnym VI Zjazdu przyrodników i lekarzy w Krakowie w d. 20 lipca 1891 r.*
- 1892. — Dyskusja z Fl. Gąsiorowskim (Henrykiem Struven) z powodu „Psychologii społecznej“. *Biblioteka Warszawska*, t. I, str. 631).
- 1893. — Ideały. *Upominek*.
 - Z literatury psychologicznej (Ziehen, Angelo Mosso). *Niwa*, № 7—10.
- 1894. — Muzyka w świetle poglądów Weismanna.
- 1896. — Animizm w poezji. *Głos*, № 30—31.
 - Z dziedziny medjumizmu. *Głos*, № 51, 52.
- 1897. — Co to jest nauka? *Przegląd filozoficzny*, zeszyt I.
- 1898. — Prof. K. Twardowski. Psychologja wobec fizjologii i filozofji. *Przegląd filozoficzny*, r. I, z. II.
 - Polemika z prof. Twardowskim (o „Psychologję wobec fizjologii i filozofji“) r. I, zesz. II.
 - O „Dziedzicności w świetle badań dzisiejszych“ Nusbauma. *Przegląd filozoficzny*, zeszyt II.
 - O „Wahaniach natężenia zaledwie dostrzegalnych wrażeń optycznych i akustycznych“ Heinricha, *Przegląd filozoficzny*, zesz. IV.
 - Prawda i prawdopodobieństwo. Polemika z Wł. Koźłowskim. *Prawda*, № 13, 14.
- Wielka Encyklopedia Powszechna:*
 - Fantazja. — Fenomen.
 - Fenomenalizm. — Fenomenologja.
 - Forma.
- 1899. — Historia nauki. *Poradnik dla samouków*, cz. II, str. 458—485.

- Historia filozofji. *Poradnik dla samouków*, cz. II, str. 566—643.
- 1900. — Przedmowa do polskiego przekładu dzieła Ziehena: „Zasady psychologii fizjologicznej“, str. I—XXII.
- Energietyka i metafizyka (Struve). *Prawda*, № 36, 37.
- O „Sumieniu“ Oppenheima. *Przegląd filozoficzny* z. II.
- Nowy słownik filozoficzny (Eislera). *Przegląd filozoficzny*, zes. IV, str. 50—61.
- Z. Billia. Wygnanie św. Augustyna. *Przegląd filozoficzny*, zes. I, str. 94.
- Harald Höffding. Jan J. Rousseau. *Przegląd filozoficzny*, zes. II, str. 117.
- Polemika z Heinrichem (z powodu przedmowy do książki Ziehena). *Przegląd filozoficzny*, z. IV, str. 73.
- Gienjusz. *Wielka Encyklopedia Powszechna*.
- 1901. — Nauka i filozofja. *Prawda*, № 1.
- Odpowiedź M. Massoniusowi w sprawie odczytu: „Plastyczność osobowości w sztuce“. *Kurjer Warszawski* z dn. 23/I.
- Podział i układ nauk. *Poradnik dla samouków*, część I, str. XV—XLII.
- Psychologja. *Poradnik dla samouków*, cz. I, str. 549—643. 1-sze wyd. r. 1898.
- Pedagogika eksperymentalna. *Przegląd filozoficzny*, zes. III, str. 329—447.
- Nusbaum H. Ideał prawdy ze stanowiska higjeny ciała i duszy. *Książka*, № 1.
- Dobkiewicz. Troistość w naturze albo epepeja filozoficzna. *Książka*, № 2.
- Höffding H. Zasady etyki. *Książka*, № 2.
- Münsterberg H. Nauka w stosunku do życia i sztuki. *Książka*, № 2.
- Belot G. Miłosierdzie i dobór naturalny. *Książka*, № 3.
- Gide K. Sprawiedliwość i miłosierdzie. *Książka*, № 3.
- Ferrero G. Czynniki postępu moralnego. *Książka*, № 3.

- Struve H. Anarchizm ducha u obcych i u nas. *Książka*, № 5.
- Struve H. Ruch etyczny nowszych czasów. *Książka*, № 5.
- Ribot T. Spółczesna psychologia niemiecka. *Książka*, № 8.
- Błazek B. Studja psychometryczne. *Książka*, № 8.
- Mercier D. Historia psychologii nowożytnej. *Książka*, № 9.
- Ribot T. Psychologia uczuć. *Książka*, № 9.
- Jeszcze o tłumaczeniach (artykuł wstępny). *Książka*, № 10.

Wielka Encyklopedia Powszechna:

- Hierokles z Aleksandrji. — Hillebrand Franciszek.
- Hiketas. — Hinrichs Herman.
- Hildebert. — Hippasos z Metapontu.
- Hillebrand Józef. — Hipparchja.
- 1902. — Przedmowa do polskiego przekładu dzieła Boutroux: „Pojęcie prawa przyrody w nauce i filozofji społecznej“. Str. V—XXXI.
- Logika i teoria poznania. *Poradnik dla samouków*, cz. IV, str. 1—108.
- Filozofja i metafizyka. *Poradnik dla samouków*, cz. IV, str. 109—199.
- Mercier. Logika. *Książka*, № 1.
- Książka niemiecka (artykuł wstępny). *Książka*, № 2.
- Schopenhauer. Rozprawa konkursowa o podstawie moralności. *Książka*, № 2.
- Polemika (z Novusem). *Książka*, № 2.
- Niedomaganie języka (artykuł wstępny). *Książka*, № 8.
- Przybyszewski St. Synagoga szatana. *Książka*, № 8.
- Ekonomja czytania (artykuł wstępny). *Książka*, № 9.
- Jevons Stanley. Logika. *Książka*, № 9.
- Popławski C. Fatum. *Książka*, № 9.

Wielka Encyklopedia Powszechna:

- | | |
|----------------------------------|---|
| — Heurystyka. | — Ilość w filozofji. |
| — Höffding. | — Ilość w logice. |
| — Holbach Paweł. | — Immanentny. |
| — Hollenberg Wilhelm. | — Imperatyw. |
| — Home Henryk. | — Inadekwatny. |
| — Honor. | — Indeterminacja. |
| — Hoppe Reinhold. | — Indeterminizm. |
| — Horvath Cyryl. | — Filozofja indyjska (patrz
Indostan). |
| — Horwicz Adolf. | — Indukcja w logice. |
| — Huet Piotr. | — Indyferentyzm. |
| — Huet Franciszek. | — Indywiduacja. |
| — Huet l'Ange. | — Indywidualizacja. |
| — Humanizm. | — Indywidualizm. |
| — Hutcheson. | — Indywidualność. |
| — Hilozoizm. | — Indywiduum. |
| — Hipostaza. | — Influxus physicus. |
| — Hipotetyczny sąd
i wniosek. | — Inherencja. |
| — Hipoteza. | — Innerwacyjne czucie. |
| — Hipotypoza. | — Innobyt. |
| — Idea. | — Insolubilia. |
| — Ideacja. | — Instancja (w logice). |
| — Idealizacja. | — Instynkt. |
| — Idealizm. | — Integracja. |
| — Ideał. | — Intelekt. |
| — Ideologja. | — Intellektualizm. |
| — Idola. | — Inteligencja. |
| — Ignava ratio. | — Intelligibilis. |
| — Ignorabimus. | — Intencja. |
| — Ignorancja. | — Intuicja. |
| — Ignoratio elenchi. | — Intuicjonizm. |
| — Illicitus processus. | — Inwolucja. |
| — Illuzjonizm. | — Ironja. |

- Irwing Karol.
 - Istnienie.
 - Istność.
 - Istota.
 - Izolacja.
 - Izydor z Aleksandrii.
 - Jacksona prawo.
 - Jacob Ludwik.
 - Jacobi Fryderyk.
 - Jacques Amadeusz.
 - Jakość.
 - Jakość sądów (w logice).
 - Jamblich.
 - James Wiliam.
 - Jan z Italji.
 - Jan z Salisbury.
 - Janet Paweł.
 - Janet Piotr.
 - Jasnowiedzenie.
- 1903.
- Trzy systemy. *Ogniwo*, № 1.
 - O „Śmiechu“ (Bergsona). *Ogniwo*, № 2.
 - Pozytywizm w opałach reakcji. *Ogniwo*, № 5.
 - Filozofja społeczna. *Ogniwo*, № 6, 8, 9, 11, 12, 13.
 - A. Miecznik. O mistycyzmie. *Ogniwo*, № 12.
 - W sprawie naukowości metafizyki. *Ogniwo*, № 31 — 37 i 39.
 - Herbert Spencer. *Ogniwo*, № 52, 53.
 - Konkursy naukowe (artykuł wstępny). *Książka*, № 4.
 - Kirchner Fr. Katechizm historii filozofji. *Książka*, № 5.
 - Tłum i twórczość duchowa (artykuł wstępny). *Książka*, № 7.
 - Nordau Maks. Miłość. *Książka*, № 7.
 - Schopenhauer. Psychologja miłości. *Książka*, № 7.
 - Wartenberg M. Obrona metafizyki. *Książka*, № 7.
 - Swett-Marden Orison. Sztuka życia. *Książka*, № 7.
 - Krasnowolski A. O samokształceniu. *Książka*, № 7.
 - Wundt W. Wstęp do filozofji. *Książka*, № 8.
 - Znamiona wyższości duchowej (artykuł wstępny). *Książka*, № 9.
 - Gołuchowski J. Filozofja i życie. *Książka*, № 10.
 - Przesilenie w księgarstwie (artykuł wstępny). *Książka*, № 11.
 - Filozofja. *Książka*, № 13.

1904. — Przyroda w naszym pojmowaniu i odczuwaniu. *Myśl*, wyd. *Ogniwo*, str. 315 — 325.
- Emanuel Kant. *Ogniwo*, № 7 — 9.
- Polemika (z Bienkiewiczem). *Książka*, № 3.
- Fikcja literacka i życie (artykuł wstępny). *Książka*, № 10.
- Przypisek od redakcji (artykuł wstępny, niepodpisany). *Książka*, № 11.
- Toulouse i Marchand. Mózg i jego czynności. *Książka*, № 11.
- Nasza prasa i t. zw. do niej dodatki czyli premja (artykuł wstępny, niepodpisany). *Książka*, № 12.
- 1905 — Bez maski (polemika z St. Brzozowskim). *Ogniwo*, № 1.
- Rozwój życia psychicznego. *Poradnik dla samouków*, cz V, str. 725 — 767
- Kant. Krytyka czystego rozumu. *Książka*, № 1.
- Vaihinger J. Filozofja Nietzschego. *Książka*, № 2.
- Hume D. Badania dotyczące rozumu ludzkiego. *Książka*, № 7.
- Lichtenberger H. Fr. Nietzsche i jego filozofja. *Książka*, № 7.
- Vries Hugo de. Nowa teoria powstawania gatunków. *Książka*, № 7.
- Brzozowski St. Zasady psychologii popularnie wyłożone. *Książka*, № 8.
- Kanta... najpiękniejsze myśli... *Książka*, № 8.
- Zell Th. Czy zwierzę nie ma rozsądku. *Książka*, № 8.
- Haeckel Er. Zarys filozofji monistycznej. *Książka*, № 9.
- Huxley T. Ewolucja i życie. *Książka*, № 9.
- Bobak E. Mózg i system nerwowy. *Książka*, № 10.
1906. — Słowo wstępne do polskiego przekładu książki Loeba: „Wstęp do fizjologii i psychologii porównawczej“.
- Pro domo (artykuł wstępny). *Książka*, № 1.
- Bölsche W. Miłość w przyrodzie. *Książka*, № 1.
- Payot J. Wykład moralności. *Książka*, № 2.
- Ostwald W. Szkoła chemji. *Książka*, № 2.

- Barbanell Al. Rewizja etyki. *Książka*, № 7.
- Brzozowski St. Logika. *Książka*, № 7.
- W sprawie czytelni (artykuł wstępny). *Książka*, № 8.
- Kozłowski W. M. Wykłady o filozofji społecznej. *Książka*, № 8.
- Straszewski M. Filozofja św. Augustyna na tle epoki. *Książka*, № 8.
- Loeb J. Wstęp do fizjologii i psychologii porównawczej. *Książka*, № 9.
- 1907. — Przedmowa do polskiego przekładu książki Jerusalema: „Wstęp do filozofji“.
- Polemika (z A. Barbanellem). *Książka*, № 1.
- 1908. — W sprawie referatu „Neurastenja i hysterja“ (polemika). *Kurjer Warszawski*, № 63.

Przekłady Mahrburga.

- Etyka Kanta przez Herberta Spencera (z dopisami tłumacza). *Kraj*, Przegląd Literacki, 1888, № 34 — 37.
- Weismann. Myśli o muzyce (z wstępem tłumacza). 1894.
- Höffding. Historja filozofji. t. I, r. 1906; t. II, r. 1910.
- Höffding. Psychologja. 1911.

Przekłady pod redakcją Mahrburga.

- Paulhan. Fizjologja ducha (z przypisami Mahrburga). 1888.
- Ziehen. Zasady psychologii fizjologicznej. Przedmowa Mahrburga. 1900.

- Boutroux. Pojęcie prawa przyrody w nauce i filozofii spóczesnej. Przekład Wł. Spasowskiego, z przedmową Mahrburga. 1902.
 - Biblioteka nowokrytyczna, zes. I. 1902.
 - Loeb. Wstęp do fizjologii i psychologii porównawczej. Przekład D-ra Z. Szymanowskiego, z przedmową Mahrburga. 1906.
 - Jerusalem. Wstęp do filozofii. Przekład Julji Dicksteinówny. Słowo wstępne Mahrburga. 1907.
-

TEORJA CELOWOŚCI

ze stanowiska naukowego.

STUDJUM FILOZOFICZNE.

380150 100E

100E

100E

100E

W S T Ę P.

Pojęcia są nieodzownymi narzędziami nauki, ale pojęcia metodycznie wytworzone i stosowane metodycznie. Gdziekolwiek filozofia napotyka gotowe już pojęcie w nauce stosowane, tam wyraźne jej zadanie polega na tym, aby pojęcie to krytyce poddać w celu zbadania, jak dalece ono samo i jego zastosowanie jest metodyczne.

Tak właśnie zamierzamy tu postąpić sobie z pojęciem celowości. Kwestja sama nie od dziś dnia istnieje: powstała ona wśród warunków, gdy nie było jeszcze ani odpowiedniego materiału naukowego, ani doświadczenia teoretycznego, jakimi dziś rozporządzać możemy. W przebiegu zmiennych kolei spekulacji filozoficznej uwikłano w tę kwestję wiele pojęć nienaukowych, zaprzęgano ją tendencyjnie do wszelkich, być może najszczytniejszych, ale nie zawsze naukowych celów i widoków. W ten sposób historycznie powstała ta gmatwanina, którą dziś znamy pod mianem doktryny celowości. Każdy zatem, przystępujący do rozstrzygnięcia tego problematu, musi dźwignąć na sobie cały ciężar tego dziedzictwa wieków, musi się liczyć z zastarzaniem nałogami myśli, starannie musi plewy od ziarna wydzielać i przeszk-

dy z drogi usuwać. W tej nawet wstępnej niejako robocie tkwi główny węzeł całego zagadnienia.

Kwestja celowości, zarówno jak wiele innych nieporozumień metafizycznych, zawsze się opierała i dotąd opiera się na niedostatecznej, zupełnie powierzchownej analizie psychologicznej i logicznej z jednej strony, na niemniej wadliwej analizie rzekomych objawów celowości w różnych dziedzinach bytu—z drugiej strony; wreszcie na niedość uzasadnionym przenoszeniu obserwacji subiektywnej na świat obiektywny. Tu więc, jak w każdym zagadnieniu filozoficznym, mamy do rozważenia trzy rzeczy: fakt podmiotowy, fakt przedmiotowy i ich wzajemny stosunek. W tym jednak celu musimy poddać rozbiorowi te pojęcia zasadnicze, które, jak sądzimy, zawsze były i dziś są jeszcze kamieniem obrazy na drodze do właściwego rozstrzygnięcia tej kwestji. Postaramy się tedy pojęcia te albo przez krytykę oczyścić, albo usunąć, gdy się ich nienaukowość wyświetli. Tymbardziej jest to nieodzowne, że zarówno cała literatura, broniąca teleologii, jak i znaczna część tej, co ją odrzuca, raz po raz potrącają o te zasadnicze pojęcia w sposób, który bynajmniej nie zapowiada rychłego rozwiązania sporu *).

I.

Na schyłku trzywiekowego okresu, w którym się rozwinęła filozoficzna spekulacja grecka, występuje wielki klasyfikator i systematyzator zasad, pojęć, metod i rzeczy poznanych—Arystoteles. On to po raz pierwszy usiłował w *Metafizyce* swojej ująć systematycznie zagadnienie przyczynowości; wyróżniwszy zaś czworaką przyczynowość, wytknął kierunek w tej kwestji, któremu nie tylko hołdował scholastyctw, lecz od którego nawet nowoczesna spekulacja wolna nie jest. Jak wiadomo, cztery rodzaje przyczyn według terminologii, przez scholastyctw przekazanej, są następujące: *formalna*, czyli pojęcie pewnej rzeczy, która ma być jako skutek osiągnięta; *materiałna*, czyli substancja, z której pewna rzecz ma powstać; *sprawcza*, czyli czynnik ruch wywołujący; *celowa*, czyli cel, dla osiągnięcia którego dany ruch powstaje ¹⁾. Tak, np. dom każe przypuszczać plan zrodzony w czymś umyśle, materiał budulcowy, budowniczego i cel, dla którego się przeznacza; podobnie, jak po-

¹⁾ 1) *Causa formalis*—*ὅμοια, εἶδος, τὸ τί ἦν εἶναι*; 2) *materialis*—*ὅλη, ὑποκείμενον, ἐξ οὗ*; 3) *efficientis*—*ὁθεν ἡ ἀρχὴ τῆς κινήσεως*; 4) *finalis*—*τὸ οὗ ἕνεκα καὶ τὰ γὰρ, τέλος γὰρ γενέσεως καὶ κινήσεως πάσης*. Tak sam Arystoteles oznaczył konkretnie cztery wymienione rodzaje przyczyn: *Metaphysica*, I, 3; *Physica*, II, 3, 7.

wstanie posągu zależy od czworakiej przyczyny: pomysł, marmur lub bronz, rzeźbiarz i cel estetyczny. Sam podział przyczyn, zarówno jak przykłady, któremi Arystoteles myśl swoją ilustruje, świadczą, że źródłem, z którego myśliciel grecki zaczerpnął swój pomysł czworakiej przyczyny, jest obserwacja podmiotowa, że, innemi słowy, jego pojęcie przyczyny jest antropomorficzne.

Gdy dwa tysiące lat później Locke tłumaczył, że pojęcie władzy, dzięki której jedne rzeczy wpływają na zmiany w innych rzeczach, że zatym pojęcie przyczyny tkwi w świadomości naszych własnych postanowień ¹⁾; gdy metafizyk francuski Maine de Biran wyjaśnia pojęcie przyczyny, jako indukcję opartą na doświadczeniu, jako skutek zwyczajnego naszego rozciągania do wszystkich wogóle zjawisk tego stosunku, który stale spostrzegamy pomiędzy własnym postępowaniem dowolnym i przyczyną osobistą, której ono jest skutkiem ²⁾, to oczywista, iż myśliciele ci o wiele prześcignęli w tym względzie Arystotelesa, bo znalazłszy pojęcie przyczynowości w tym samym, co i on, źródle, usiłowali wyjaśnić psychologiczną genezę jego, by się w ten sposób przekonać o jego wartości; gdy tymczasem Arystoteles wprost poprzestał na przypisaniu obiektywnej wartości temu, co subiektywnie spostrzegł.

Nie idzie tu bynajmniej o historję arystotelesowskiej nauki o przyczynie; dość będzie, gdy się zaznaczy, że już sam Arystoteles utrzymywał, iż przyczyny: formalna, sprawcza i celowa często zlewają się w jedno; jakoż dusza

¹⁾ An essay concerning human understanding, II, § XXI.

²⁾ Nouvelles considérations sur les rapports du physique et du moral de l'homme. Paryż, 1834, str. 274—290; 363—402.

w ustrojach żywych jest zarazem źródłem ruchu, istotą ciał ożywionych i celem ¹⁾; materja w ten sposób zachowuje charakter biernej substancji, podścieliska zmian wszelkich, jakie w niej inne przyczyny sprowadzają. W późniejszej spekulacji przyczyna materjalna coraz bardziej utożsamia się z pojęciem biernej substancji materjalnej; występują zaś tylko trzy postaci przyczyn, z których formalna i celowa coraz bardziej zlewają się w jedno i coraz bardziej przeciwstawiają się przyczynie sprawczej, jako reprezentującej siły mechaniczne materji. Podział ten odpowiada właśnie owemu nieprzejednanemu dualizmowi ducha i materji, subjektu i obiektu, wolności i konieczności, celowości i mechanizmu,—dualizmowi, którego walki po wsze czasy zapładniały myśl spekulującą i dostarczały wątku do systematów wszelkich barw i odcieni.

Rzecz pewna, iż arystotelesowska analiza pojęcia przyczyny, wobec braku krytyki psychologicznej i teoretyczno-poznawczej, była błędna; gdyż treść doświadczenia podmiotowego pomieszała z doświadczeniem przedmiotowym i wszystko uznała za objektywną rzeczywistość. Stąd teoria przyczynowości Arystotelesa mogła się okazać do pewnego stopnia pożyteczna przy analizie dowolnej działalności człowieka, ale musiała pozostać zupełnie jałowa, a nawet zgubna, w zastosowaniu do teoretycznego zbadania zjawisk przyrody wogóle. Wszelakoż jest pewien punkt w arystotelesowskim pojmowaniu przyczyny, ze względu na który późniejsze spekulacje nad tym przedmiotem wydają się nam cofnięciem się, które przyszło okupić kosztem wielu błędów i zawiłań. Punktem tym jest fakt, że Arystote-

¹⁾ Phys. II, 7; de anima, II, 4, p. 415, b, 9.

les, po dokonanej analizie, wszystkie wykryte przez siebie spólczynniki powstawania uważał za przyczyny zjawiska, że nic nie odrzucał. Mniejsza o to, że przyczyna jego była czworaka — taki był wypadek jego analizy każdego powstania—ale ostatecznie w jego mniemaniu przyczyną danego zjawiska był ogół wszystkich spólczynników, ogół niezbędnych do jego powstania warunków. Trudno orzec, jak dalece myśl ta była uświadomiona u niego, tym trudniej, że ani w szczegółach zastosowania jej nie widzimy, ani jej konsekwencji nieuniknionych nauka jego nie zdradza. Niepodobna jednak zaprzeczyć, iż kto przyznał niezbędność udziału w każdym powstawaniu czterech powyższych spólczynników, ten posiadał już wątek myśli ze stanowiska metodologicznego wielce doniosłej, zdolnej go wynieść nad poziom pospolitego, praktycznego pojmowania przyczyny.

Praktyczny punkt widzenia zwyciężył i z wielką szkodą dla postępów teorii aż do dziśdnia z nielicznymi wyjątkami panuje. Pogląd ten dałby się ściśle w następującej formule wyrazić: Przyczyną jest ta część ogółu niezbędnych dla powstania danego zjawiska warunków, którą dla jakichkolwiek powodów w danym razie uważamy za dodatkową, za dopełniającą resztę już gotowych warunków. Aleksander Bain to samo konkretniej wyraża: „W mowie pospolitej za przyczynę jakiegoś zdarzenia uważa się pewną okoliczność wybraną z ogółu warunków i uchodzącą praktycznie za punkt istotny w danej chwili ¹⁾). Pogląd ten, w praktyce zupełnie usprawiedliwiony, ale w teorii nieprawowity ze względu na niemethodyczność swoją, charakteryzują następujące cechy: zupełnie subiektywne rozróżnianie w każdym powstawaniu

¹⁾ Bain: Logika, t. II, str. 21.

strony czynnej i biernej, tego, co wywołuje zmianę i tego, co zmianie ulega; uznanie za przyczynę tylko tej części warunków, która w danych okolicznościach za czynną uchodzi; przypisywanie całego skutku tylko temu warunkowi, lub tej części ogółu niezbędnych warunków, które dla jakichkolwiek powodów za przyczynę uchodzą.

J. St. Mill pisze: „Rozważając rzecz ze stanowiska filozoficznego, przekonywamy się, iż przyczynę stanowi ogół wszystkich dodatnich i ujemnych warunków, ogół zdarzeń wszelkiego rodzaju, których obecność nieodmiennie skutek sprowadza“ ¹⁾. Podobnie czytamy u Baina: „W badaniach naukowych przez przyczynę należy rozumieć całkowity zbiór warunków, czyli okoliczności potrzebnych do wywołania skutku“ ²⁾. Na taką definicję przyczyny godzi się także G. H. Lewes, gdy powiada: „Na każdym szczeblu badania wykryć przyczyny, to znaczy — wykryć spółdziałające warunki“ ³⁾ albo: „Badanie przyczyn, jako spółczynników zjawiska, czyli warunków, przy których dane zjawisko zachodzi, stanowi prawdziwy cel nauki“ ⁴⁾. Definicja powyższa przyczyny, zgodnie brzmiąca u trzech myślicieli angielskich, tu i owdzie napotyka zarzuty. Tak, Wilh. Wundt ^{*}), powołując się na powyższy ustęp Mill'a, twierdzi, że definicja przyczyny, jako ogółu warunków, sprowadzających pewien skutek, rozszerza pojęcie przyczyny tak dalece, iż staje się ono niezasosownym. Ogół warunków, sprowadzających każdy dany skutek, równa się nieskończonemu związ-

¹⁾ System of Logic., 10-te wyd., 1879, ks. III, rozdz. V, § III, str. 383.

²⁾ Logika, t. II, str. 23.

³⁾ Problems of Life and Mind. II, Probl. V, Chap. II. § 48.

⁴⁾ Ibid. § 40.

kowi przyczynowemu rzeczy; gdyż do tych warunków odnieść należy nie tylko te okoliczności, dzięki którym dana przyczyna stała się skuteczną, lecz także szereg dalszych przyczyn, z których dana przyczyna wynika. Wobec tego konieczną jest rzeczą, zdaniem W u n d t a, pojęcie przyczyny ograniczyć do tych warunków, z których dany skutek może zupełnie jakościowo i ilościowo wynikać; ten tylko warunek daje się dokładnie określić, gdy tymczasem, przeciwnie, zawsze jest rzeczą do pewnego stopnia dowolną, jak daleko mamy się posuwać w wyliczaniu tych pobocznych warunków, wśród których zjawisko zachodzi ¹⁾.

Zarzut i definicja W u n d t a niezupełnie, jak się zdaje, wytrzymują krytykę. Ten właśnie jedyny przykład, za pomocą którego uczony ten ilustruje swój pogląd, budzi nieuniknione wątpliwości: „przyczyną spadania ciał z pewnej wysokości jest wyniesienie ich na tę wysokość; ziemia ze swoją siłą przyciągającą jest tylko stałym warunkiem, umożliwiającym spadanie ciał; atoli przyczyną danego zjawiska spadania jest wyniesienie ciała na określoną wysokość... Ażeby ciało spadło z wysokości dziesięciu stóp, musi ono wcześniej być wyniesione na wysokość 10 stóp“. Nasamprzód zastrzec się wypada, że, o ile ziemia jest stałym warunkiem spadania ciał, o tyleż i każde oddzielne ciało jest takim samym stałym warunkiem spadania, bo wiadomo, iż, w danym akcie spadania, nie tylko kamień spada na ziemię, lecz i ziemia na kamień. Dalej, frazes „wyniesienie na pewną wysokość“ jest oczywiście tylko zwrotem, który maskuje istotną treść, jaką wyrazić mamy. „Wyniesienie

¹⁾ Logik. Eine Untersuchung der Principien der Erkenntniss, Tom I, str. 536—7.

ciała na pewną wysokość, oznacza co najmniej ten stosunek przestrzenny, w którym się znalazły wzajem do siebie ziemia i ciało jakieś, które oboje są stałymi warunkami spadania. Przypuśćmy, że wyrzucam kamień do góry: natenczas w tych „stałych warunkach spadania“ powoduję jednocześnie zmianę przedewszystkim we wzajemnym ich do siebie położeniu; bo, wyrzucając kamień, zarazem odtrącam ziemię, jak nas uczy mechanika. Ale nie na tym się kończy szereg zmian w stałych warunkach, zmian, niezbędnych dla jakościowego i ilościowego określenia skutku: oddalenie ciała od ziemi na 10 stóp nie zawsze pociąga spadanie ciała z tejże wysokości. Oto wyrzucam kamień z siłą, która go oddala od powierzchni ziemi o 50 stóp; zanim jednak ciało dosięgło wysokości stóp 50 musiała być chwila, w której ono, było wyniesione tylko na 10 stóp wysokości, pomimo tego wszakże nie spadło z tej wysokości, lecz poszło wyżej. Stąd wypada, że wyniesienie ciała na pewną wysokość nie jest jeszcze przyczyną jego spadania z tejże wysokości, lecz jest tylko jednym z koniecznych warunków spadania. Dla zupełnego jakościowego i ilościowego określenia tego zjawiska brak jeszcze jednego warunku: mianowicie należy uwzględnić stan dynamiczny, w jakim się w danej chwili znajdują ziemia i ciało spadające, gdy to ostatnie jest wyniesione na wysokość 10 stóp. Ziemia i ciała, jako stałe warunki spadania, są to abstrakcje, za pomocą których uogólniamy sobie zjawisko spadania wogóle i przy wszelkich okolicznościach; ale gdy chodzi o dany akt spadania, natenczas, dla wykrycia konkretnej jego przyczyny, trzeba wykazać te zmiany, jakie zaszły w ziemi i w ciele, a bez których dane spadanie nie przyszłoby do skutku, Zmiany te dotyczą wzajemnego przestrzennego stosunku

i stanu dynamicznego obu ciał spadających na siebie. Dwa te czynniki w rzeczy samej jakościowo i ilościowo określają nie tylko dane spadanie w ogóle, lecz każdy moment jego. Wobec tego staje się jasnym, że dla określenia takiego zjawiska, jak spadanie pewnego ciała, nie ma żadnej potrzeby wyliczania całego łańcucha przyczyn, sięgającego w nieskończoność, gdyż wymienione właśnie zmiany w poprzedzającym bezpośrednio stanie warunków stałych są konieczne i wystarczające do sprowadzenia takiego zjawiska. One określają w zupełności jakościowo i ilościowo dane zjawisko. Gdyby zaś zaszła jakaś jeszcze poboczna zmiana w warunkach stałych, któraby wpłynęła na jakość i ilość skutku, natenczas otrzymamy inne zjawisko, którego też przyczynę inaczej określić wypadnie.

Jeszcze bardziej uwydatni się wadliwość definicji Wundta, gdy spróbujemy zastosować ją do innych przykładów. Gdy się mówi o wybuchu, spowodowanym przez iskrę, lub o śmierci przez truciznę, iskra lub trucizna w mo- wie pospolitej uchodzą za przyczyny tych zdarzeń, gdyż ze stanowiska praktycznego zbyteczną byłoby rzeczą wyliczanie wszystkich niezbędnych warunków, jak np. w pierwszym wypadku obecność *pewnej ilości* materji wybuchowej, zamkniętej w stosunkowo szczupłym pomieszczeniu, dostępnej dla powietrza i będącej w zetknięciu z iskrą; w drugim zaś wypadku oddziaływanie ciała trującego na organizm, który jest w pewnym stanie, i cały szereg zmian, które następnie w organizmie zachodzą. W ten sposób jeden z warunków, który najwłaściwiej byłoby nazwać *powodem*, uznajemy za przyczynę, unikając wymieniania za każdym razem całej grupy warunków, których albo stałość dobrze jest znana, albo obecność w każdym danym przypadku

sama się przez się rozumie. Dopóki ten nałóg z praktyki przenosimy do teorii, póty nie jest on szkodliwy; dopóki badacz, dla skrócenia, nie wymienia raz po raz całych kompleksów warunków, niezbędnych dla wytworzenia pewnych skutków, gdyż uważa je za znane i przestaje tylko na wymienieniu tych dodatkowych czy dopełniających szczegółów, których znaczenie w danej chwili bada. Atoli nałóg ten stanowczo staje się zgubnym, gdy filozof to niemetodyczne i z praktyki zapożyczone pojęcie przyczyny wprowadza w obieg spekulacji. Ale i definicja W u n d t a okaże się nie o wiele lepszą pod tym względem. W obu rzeczonych przykładach żaden z warunków, osobno wzięty, nie określa jakościowo i ilościowo skutku, bo jakość i rozmiary wybuchu zależą od wszystkich wymienionych spólczynników, jak również trucizna nie oddziała zabójczo na organizm będący w pewnym usposobieniu, albo następnie postawiony w jakieś zapobiegające otruciu warunki. Określając przyczynę danego zjawiska, musimy wyliczyć wszystkie te zmiany w ogólnym stanie warunków stałych, które sprawiły, iż zjawisko, przedtym nieobecne, naraz powstało. Nie zachodzi tu żadna potrzeba śledzenia za każdym razem nieskończonego łańcucha przyczynowego, ani też zgoła niema tu dowolności.

Stanley Jevons¹⁾ utrzymuje, iż „cała nauka zmierza ku temu, aby dowieść, że istnienie wszechświata w pewnym stanie i w określonym momencie jest warunkiem jego istnienia w następującym momencie i w innym na pozór stanie... Przyczyna oznacza warunki, przy jakich możemy oczekiwać powstania pewnego zjawiska na zasadzie po-

¹⁾ Principles of science. Ks. II, rozdział XI, passim.

przedniej obserwacji nad biegiem zjawisk w przyrodzie". Tak więc w zasadzie Jevons podziela definicję przyczyny, podaną przez Mill'a, Baina i Lewesa. I on wszakże zastrzega się przeciwko zbyt szerokiemu, jak utrzymuje, znaczeniu, jakie Mill temu terminowi nadaje, chociaż w sensie odmiennym od Wundta. „Mill — zarzuca logik angielski — nie tylko uważa prawa przyczynowości za równoznaczne niemal z nauką, lecz używa tego terminu w takim sensie, iż możnaby sądzić, że, gdzie pochwyciliśmy koło przyczynowości, tam już mamy do czynienia z pewnikami.

Ze stanowiska filozoficznego wadliwość takiego użycia terminu powyższego polega na tym, że przyczyna określana bywa jako konieczne i niezmiennie poprzedzanie zjawiska, tak iż, skoro istnieje przyczyna, skutek także istnieje, albo niezwłocznie nastąpić musi. Jeżeli tedy znamy przyczynę zjawiska, to znamy także i to, co niewątpliwie nastąpi; że zaś przypuszcza się, iż nauka za pomocą należytej metody doświadczalnej może osiągnąć znajomość przyczyn, więc wypada, że doświadczenie może nam dostarczyć wiedzy pewnej o przyszłych przypadkach. Nic jednak niema pewniejszego nad to, że doświadczenie ograniczone nie może nam nigdy dostarczyć pewnej wiedzy o przyszłości, tak, iż albo przyczyna nie jest niezmiennym poprzednikiem, albo nigdy nie możemy osiągnąć niewątpliwej znajomości przyczyn". W innym znów miejscu Jevons pisze: „Nic nie mam przeciwko użyciu terminów: przyczyna i przyczynowość, bylebyśmy sobie nie wyobrażali nigdy, że wiedza nasza o przyrodzie może osiągnąć pewność... Moim zdaniem, przyczyna niczym się nie różni od ogółu dodatnich i ujemnych warunków, które z mniejszym lub większym prawdopodobieństwem poprzedzają zjawisko. W tym sensie

niema żadnej różnicy pomiędzy znajomością przyczyn i naszą ogólną wiedzą o następstwie kombinacji, w jakim przedstawiają się nam same zjawiska przyrody, albo w jakim występują one w naszym doświadczeniu“. Jeżeli pominiemy ową podejrzliwość, z którą Jevons zapatruje się na termin przyczyny oraz kwestję, o ile ta podejrzliwość względem Milla jest uzasadniona, to musimy się zgodzić, że wszelkie nadawanie naszej znajomości przyczyn znaczenia wiedzy bezwzględnej byłoby błędem, nie usprawiedliwionym bynajmniej przez to wszystko, co wiemy wogóle o naturze naszej wiedzy doświadczalnej, która jest tylko względna i mniej lub więcej prawdopodobna.

Zważywszy tedy powyższe roztrząsania i zarzuty, tak możemy zdefiniować przyczynę: *Przyczyną pewnego zjawiska jest ogół zmian w bezpośrednio poprzedzającym to zjawisko stanie warunków stałych, które to zmiany, o ile nas doświadczenie uczy, są konieczne i dostateczne do powstania tego zjawiska*. Ponieważ każda zmiana stanu warunków wszechświat składających jest także zjawiskiem, które również przyczynowo wyjaśnić należy, więc w każdym danym razie granica, na której zatrzymać się mamy w poszukiwaniu łańcucha związków przyczynowych, zależy od zadania, jakie sobie stawiamy; dla nauki zaś, uważanej jako całość, granicą taką w każdej chwili jest to najdalsze ogniwo, albo ten najdalszy szereg ogniw łańcucha przyczynowego, do którego nasza wiedza dotarła. *)

Tyle o pojęciu przyczyny. Bardziej szczegółowe zaciekanie się byłoby tu nie na miejscu; ale powyższe wywody były konieczne, aby przystąpić do krytyki pojęcia przyczyny celowej i następnie opartej na tym pojęciu teorii celowości czyli teleologii.

II.

Zacznijmy od zdania sobie sprawy z tego, co mamy rozumieć przez trzy terminy: *cel*, *celowość*, *teleologja*; bo w powikłaniu trzech tych różnych rzeczy już tkwi źródło wielu możliwych nieporozumień.

Cel—jest to wyobrażenie jakiejś rzeczy, działania lub stanu, połączone z pożądanym osiągnięciem w rzeczywistości, za pomocą środków, które się wydają odpowiedniami, tej wyobrażanej rzeczy, działania lub stanu. Jest to więc fakt psychiczny, znany każdemu z własnego doświadczenia wewnętrznego. W mowie potocznej celem częstokroć nazywamy przedmiot, do którego się nasze zamiary odnoszą, ale fakt ten dla teorii celowości jest obojętny.

Celowość jest pojęciem oderwanym: oznacza ono taki wogóle stosunek, jaki zachodzi pomiędzy wyobrażeniem celowym, jako zjawiskiem poprzedzającym — z jednej strony, i uszykowaniem odpowiednich środków, oraz osiągniętym skutkiem, jako zjawiskami następczemi — z drugiej strony.

Teleologja oznacza teorię, która usiłuje wyjaśnić pewną kategorię zjawisk, lub wszystkie wogóle zjawiska we wszechświecie, za pomocą pojęcia celowości, t. j. przyjmując, że przyczyną danego stanu rzeczy jest cel, albo pewna ilość celów, zamierzonych przez jakąś istotę, zdolną do celów dążyć i takowe ziszczać.

Ponieważ psychologiczna faktyczność wyobrażeń celowych nie ulega wątpliwości, celowość zaś, jako pojęcie, jest zupełnie prawowite, ilekroć odnosi się do wypadków, gdzie istotnie wyobrażenie celowe odegrało rolę czynnika, dobierającego i szykującego środki odpowiednie do osiągnięcia pewnego skutku, jak to widzimy w postępowaniu celowym ludzi i zwierząt, więc cała kwestja właściwie powinna się redukowac do teleologii, jako teorii, mianowicie do pytania: czy może być zastosowane pojęcie celowości i w jakim stopniu do wyjaśnienia zjawisk, w których udział czynnika psychicznego wogóle, wyobrażenia zaś celowego w szczególności nie jest widoczny bezpośrednio.

Rozejrzyjmy się jednak bliżej w naturze wyobrażeń celowych, by wiedzieć następnie, czego i gdzie szukać mamy.

Wyobrażenie wogóle możemy określić, jako stan świadomości, który w jednym akcie psychicznym uprzytomnia grupę czuć słabych, skojarzonych na mocy poprzedniego doświadczenia. Czucia w wyobrażeniu zawsze są słabe, co znaczy: odtwarzane, przypominane, nie zaś takie, które wywołane zostały przez bezpośrednie działanie przedmiotów na zmysły; pierwotnie jednak zawsze musiały one powstać pod wpływem bezpośredniego oddziaływania przedmiotów na zmysły, czyli mówiąc jeszcze ogólniej: pod wpływem doświadczenia. Ponieważ wyobrażenie jest skojarzoną grupą czuć, więc samo to skojarzenie lub ugrupowanie czuć może być albo odtworzeniem poprzedniego, bezpośredniego doświadczenia, gdyśmy postrzegali przedmiot będący odpowiednią grupą cech; albo może być powiązaniem za pomocą wyobraźni czuć w taką grupę, której w poprzednim naszym doświadczeniu bezpośrednio nie odpowiada żaden przedmiot realny. W pierwszym wypadku mamy *wyobrażenie odtwa-*

rzające, w drugim — *wyobrażenie twórcze*. Gdy wyobrażam sobie postać znajomego, to oczywiście będzie to wyobrażenie odtwarzające; gdy jednak wyobrażam sobie po raz pierwszy kulę ziemską, będzie to wyobrażenie twórcze, gdyż nigdy nie postrzegałem rzeczywiście kuli ziemskiej, lecz przyszedłem drogą pośrednich rozumowań do tego, iż zdołałem te szczegóły powierzchni ziemskiej, które sam bezpośrednio poznałem, i wiele innych, o których się pośrednio dowiedziałem, ułożyć w grupę analogiczną ze swoich geometrycznych własności do znanej mi wcześniej kuli, albo elipsoidu. W wyobrażeniach twórczych jednak materiał czuciowy pochodzi z doświadczenia; idzie więc o ugrupowanie tego materiału, czyli o ułożenie poszczególnych elementów czuciowych w pewne stosunki. Otóż zdaje się być pewnym, że stosunki te także pierwotnie muszą być zawsze zaczerpnięte z doświadczenia, gdyż własności pewnej bryły materialnej musiałem nasamprzód poznać z doświadczenia, aby dopiero następnie móc według tegoż typu stosunków uszykować szczegóły powierzchni ziemskiej w swojej wyobraźni. Wyobrażenie Pegaza, czyli konia skrzydlatego, składa się z materiału całkowicie doświadczalnego; tylko ugrupowanie tego materiału, stosunek, w jakim się tu znalazły skrzydła do konia, jest czymś takim, czego bezpośrednio z doświadczenia zaczerpnąć niepodobna. Stosunek wszakże pomiędzy szybkim poruszaniem się ptaków i rolą w tej czynności skrzydeł jest znany z doświadczenia; w ten sposób umysł oskrzydla postać rumaka, gdyż wyobraźnia, poszukująca środków przyśpieszenia ruchów konia przez skojarzenie wyobrażeń, oparta na doświadczeniu, zatrzymuje się na skrzydłach, jako na takim środku. Tak więc, każda twórczość wyobraźni polega na układaniu jakiegokolwiek materiału do-

świadczalnego w takie stosunki, które również doświadczalnie poznane zostały, jakkolwiek na innym materiale. Żadne tedy wyobrażenie nie zawiera w sobie nic takiego, czego by nie było w poprzednim zewnętrznym lub wewnętrznym doświadczeniu.

Wyobrażenia celowe stanowią tylko odmianę wogóle wyobrażeń. W każdym wyobrażeniu analiza psychologiczna wyróżnia trzy pierwiastki: umysłowy czyli poznawczy, dzięki któremu wyobrażenie odnoszone bywa do jakichkolwiek przedmiotów wewnętrznych lub zewnętrznych, jako symbol reprezentujący takowe; pierwiastek emocjonalny, czyli poczucie przyjemności lub nieprzyjemności i pierwiastek popędu. Wyobrażenie zawsze dąży do zrealizowania się w czuciach silnych, do maximum uświadomienia się, o ile nie przeszkadzają temu inne wyobrażenia, które pod jakimkolwiek względem posiadają więcej danych do zwyciężenia i zapanowania wyłącznego w świadomości. Właściwość ta wyobrażeń jest swego rodzaju inercją psychiczną. Im więcej dane wyobrażenie zawiera w sobie dodatniego pierwiastku emocjonalnego, im przyjemniejsze jest ono albo samo w sobie, albo ze względu na swój stosunek do innych przyjemnych wyobrażeń, tym więcej jest widoków, aby ono zapanowało w świadomości, tym silniej będzie ono dążyło do zrealizowania się w czuciach, do maximum uświadomienia. Weźmy wyobrażenie jabłka; pierwiastek poznawczy wyobrażenia tego polega na tym, że reprezentuje ono, jako symbol podmiotowy, pewien przedmiot czyli grupę cech; pierwiastek emocjonalny polega na tym, że każde z czuć słabych, składających to wyobrażenie, jak czucie smaku, zapachu, barwy, dotyku, kształtu, jest mniej więcej przyjemne lub nieprzyjemne samo przez się, albo ze względu na swój stosunek do

innych wyobrażeń; wreszcie pierwiastek popędowy polega na tym, że wyobrażenie jabłka dąży do zrealizowania się w czuciach, do osiągnięcia maximum uświadomienia, czyli tym samym do bezpośredniego postrzeżenia rzeczywistego jabłka. Siła pierwiastku popędowego danego wyobrażenia zależy od dwóch innych jego pierwiastków. Wyżej już zaznaczono, w jaki sposób popędowy pierwiastek wyobrażenia zależy od emocjonalnego; tu powiemy o roli pierwiastku poznawczego: wyobrażać przedmiot nieobecny jest trudniej niż postrzegać obecny; nadto wyobrażenie nigdy nie bywa tak silnym i wyraźnym, jak bezpośrednie postrzeganie. Umysł, pracujący nad wyobrażeniem sobie pewnego przedmiotu, dąży do postrzegania, bo w ten sposób ułatwia sobie pracę i lepszy skutek osiąga; dążenie zaś to jest równoznaczne z dążeniem do zrealizowania wyobrażenia w czuciach; do maximum uświadomienia. Ale, podobnie jak się rzecz ma z pierwiastkiem emocjonalnym, poznawczy pierwiastek danego wyobrażenia także może oddziaływać na jegoż popędowy pierwiastek nie tylko ze względu na treść wyobrażenia samego w sobie, lecz także ze względu na stosunek tej treści do treści innych wyobrażeń. Tak np., gdy angielscy astronomowie Forbes i prof. Newton ze zboczeń w drogach zataczanych przez komety wywnioskowali, iż za Neptunem musi istnieć planeta, której perjod obrotu dokoła słońca musi wynosić 1006 lat, to oczywiście, iż dzisiejsi astronomowie, podobnie jak niegdyś odkrywcy Neptuna, Adams i Le Verrier, mają wiele powodów do szukania tej planety, nie tylko dlatego, że czują popęd do bezpośredniego sprawdzenia tego wyobrażenia, jakie sobie wytworzyli na podstawie obliczeń elementów przypuszczalnej planety, lecz jeszcze bardziej dlatego, że od poznania tej planety może zależeć potwier-

dzenie lub wyświetlenie innych wyobrażeń i pojęć astronomicznych. Wyobrażenie o księżycu i jego odległości od ziemi jest bardzo niewyraźne i dlatego to między innymi barwne i pełne konkretnych rysów opowiadanie Jules Verne'a „Podróż na księżyc” posiada tyle uroku dla niektórych umysłów: konkretne obrazy realizują niejako zbyt oderwane wyobrażenie i nadają mu wyższy stopień uświadomienia. Umysły, posiadające wiedzę dostateczną w tej dziedzinie, w nieznacznym tylko stopniu poddają się złudzeniu tych obrazów, gdyż znajomością stosunków rzeczywistych zwalczają popęd do osiągnięcia maximum uświadomienia urojonej podróży na księżyc; ale dzieci po przeczytaniu książki Verne'a często nie zadowolają się tym stopniem uświadomienia, jakie daje opowiadanie obrazowe, i zamyślają plany rzeczywistej podróży. Popędu tego nie zwalczają w nich żadne przeciwne wyobrażenia, bo ich nie dostarczyło jeszcze ani doświadczenie, ani nauka. Dodajemy, że poznawczy kierunek w popędzie do uświadamiania wyobrażeń stanowi wogóle podstawę ciekawości i specjalnie podstawę żądzy wiedzy.

Wyobrażenie, w którym pierwiastek popędowy tak dalece jest rozwinięty, że się uświadamia jako pożądanie zrealizowania przedmiotu tego wyobrażenia, nazywamy *wyobrażeniem celowym*. W tym to sensie określiliśmy cel, jako wyobrażenie jakiejś rzeczy, działania lub stanu, połączone z pożądanym osiągnięciem w rzeczywistości tej wyobrażanej rzeczy, działania lub stanu. Gdy Kolumb wyobrażał sobie drogę do Indji wschodnich przez ocean Atlantycki i te korzyści, jakie znajomość tej drogi przynieśćby mogła dla handlu, dla upowszechnienia chrześcijaństwa wśród niewiernych, dla wiedzy, to oczywista, iż wyobrażenie przedmiotu

zapowiadającego tyle różnorodnych korzyści musiało zawierać w sobie dużo pierwiastku popędowego, czyli dążności do zrealizowania się przez podróż. Innymi słowy: wyobrażenie to stało się celowym i tym natarczywiej celowym, im więcej było motywów, które podniecały w nim pierwiastek popędowy. Wyobrażenie to mogło być powstać przy odmiennych warunkach psychicznych, np. w umyśle, któryby nie miał wyobrażenia o kulistości ziemi, czyli o możliwości opłynięcia jej dokoła, ani o tych korzyściach, jakie odkrycie tego rodzaju zapewniłyby mogło: natenczas pierwiastek popędowy rzeczonych wyobrażenia byłby słabo rozwinięty i samo wyobrażenie, zamiast natarczywie dążyć do zrealizowania się w czuciach, łatwo ustępowałoby miejsca w świadomości innym wyobrażeniom: nie stałoby się celowym.

Cele praktyczne, naukowe, moralne, estetyczne — są to także wyobrażenia pewnych rzeczy, działań lub stanów, ale wyobrażenia o silnie rozwiniętej dążności do zrealizowania się, do osiągnięcia maximum świadomości. Każde zagadnienie naukowe jest wyobrażeniem celowym: chodzi tam zawsze o osiągnięcie maximum uświadomienia pierwiastku reprezentującego czyli poznawczego; to zaś maximum daje się osiągnąć pod następującymi warunkami: pierwotnie niedokładne wyobrażenie (hipoteza) musi się zrealizować w czuciach, w akcie postrzegania (sprawdzenie, doświadczenie) i nadto musi być pogodzone z innymi już wcześniej nabytymi wyobrażeniami, podciągnięte pod jakąś jedność teoretyczną (rozumowanie ¹⁾).

¹⁾ Dążność umysłu do redukowania wiedzy do jedności teoretycznej usiłuje wyjaśnić R. Avenarius z zasady „najmniejszego wydatku siły“. Patrz jego zajmującą rozprawę „*Philosophie als Denken der Welt gemäss dem Princip des kleinsten Kraftmasses*“. Lipsk, 1876.

We wszystkich dziedzinach naszej działalności celowej rzecz się ma tak, że zrealizowanie jakiegoś wyobrażenia celowego może zależeć od poprzedniego zrealizowania pewnej ilości innych wyobrażeń. Te wyobrażenia, które muszą być wprzód zrealizowane, jako konieczne warunki zrealizowania się głównego wyobrażenia celowego, względem tego ostatniego nazywamy *środkami*. Wyobrażenie celowe pociąga za sobą wyobrażenia mniej lub więcej odpowiednich środków na zasadzie doświadczenia: doświadczenie poprzednie, osobiste lub zbiorowe, bezpośrednie lub przekazane, uczy, że pewna rzecz, działanie lub stan może istnieć jedynie pod warunkiem, że pewne inne rzeczy, działania lub stany zostaną urzeczywistnione. Ze stanowiska poznawczego zjawisko uwarunkowane nazywamy skutkiem, zjawiska zaś warunkujące — przyczyną; gdy jednak zjawisko uwarunkowane objawia się w świadomości naszej jako wyobrażenie celowe, jako cel, natenczas skojarzone z nim wyobrażenia zjawisk warunkujących przybiorą postać środków, a popędowy ich pierwiastek o tyle będzie silniejszy, o ile bardziej pożądane jest ziszczenie uwarunkowanego przez nie celu.

W dopiero co rozwiniętej analizie psychologicznej mieliśmy na względzie tylko wyobrażenia celowe, reprezentujące przedmioty już znane i osiągnięte w poprzednim doświadczeniu. Gdy np. celem moim jest znieczulenie pewnego narządu dla operacji, to wyobrażenie to celowe wywołuje w mojej świadomości wyobrażenia różnych środków znieczulających, jako niezbędnych dla osiągnięcia celu; jeżeli z pomiędzy tych środków wyda mi się najodpowiedniejszym zamrożenie, to wyobrażenie sztucznego zamrożenia wywoła z kolei w umyśle moim wyobrażenia różnych ciał, które przez prędkie ulatnianie się w zwykłej temperaturze mogłyby odbierać w znacznej

ilości ciepłotę narządu; jeżeli wybieram dla jakichkolwiek względów eter, jako środek, to w dalszym ciągu rodzą się wyobrażenia tych manipulacji, których dokonać muszę, aby osiągnąć zamrożenie i tym samym znieczulenie operowanego narządu. Wszystkie te sposoby są znane i nieraz już dawały skutek; na mocy kojarzenia wyobrażeń od celu przechodzę do środków i, urzeczywistniając środki, cel osiągam.

Są jednak przypadki, gdy wyobrażenie celowe jest nie odtwarzające, jak powyższe, lecz twórcze, a zatem reprezentuje przedmiot z doświadczenia bezpośrednio nieznanego. Natenczas wypadnie powiedzieć o nim to samo, co się wyżej rzekło wogóle o wyobrażeniach twórczych: materiał ich czuciowy musi być doświadczalny, ugrupowanie zaś tego materiału musi być także zaczerpnięte ze stosunków gdzieindziej doświadczalnie poznanych i na mocy kojarzenia przez podobieństwo na materiał dany przeniesionych. Wyobrażenia celowe twórcze mogą być także teoretycznej natury, etycznej, estetycznej i t. p. Ze stanowiska poznawczego przedmiot twórczego wyobrażenia celowego będzie skutkiem hipotetycznym, środki zaś — warunkami hipotetycznymi. Jeżeli, ziszczając przypuszczalne warunki, otrzymamy hipotetyczny skutek w rzeczywistości, natenczas przekonywamy się, że hipotezę zbudowaliśmy dobrze, że jest ona wyrazem prawdy. Ze stanowiska praktycznego wyobrażenia warunków hipotetycznych objawiają się w naszej świadomości jako wyobrażenia takichże środków. Jeżeli zrealizowanie środków przypuszczalnych zrealizuje nam cel wyobrażany, natenczas przekonywamy się, że plan nasz był trafny, jeżeli zaś nie, natenczas będziemy musieli przyznać, że albo środki były nie-trafnie dobrane, albo sam cel wogóle jest niemożliwy. Kiedy Krebs i Rénard powzięli myśl balonu, którymby można

kierować, to zarówno sam cel jak i środki przez nich użyte były zaczerpnięte z doświadczenia: balonu, którymby można kierować, nikt przedtym nie postrzegał w rzeczywistości, ale znano sposoby kierowania okrętów, znano budowę ptaka kierującego się w locie, jakoż stąd analogicznie usiłowano przenieść stosunki i zastosować je do balonu, stąd też czerpano pomysły środków przypuszczalnie do zamierzonego celu wiodących. Stopniowe udoskonalenia pod kontrolą doświadczeń dokonają reszty ¹⁾.

Powyższą analizę wyobrażeń celowych przedsięwzięliśmy nie próżno: przekonała nas ona, że nietylko wyobrażenia celowe odtwarzające, lecz nawet twórcze, którym żaden przedmiot w rzeczywistości nie odpowiada, są tylko układem materiału doświadczalnego według stosunków gdzieindziej doświadczalnie poznanych. Musimy tu jeszcze zwrócić uwagę na jeden szczegół pierwszorzędnej wagi, który będzie tylko dedukcją z powyższych wywodów. Napozór zdawałoby się mogło i niektórym teoretykom celowości zdaje się w rzeczy samej, że objaśniać wyobrażenia celowe, jako akty psychiczne, które nic więcej w sobie nie zawierają, jak same nabytki doświadczeń poprzednich, to znaczy — dopuszczać się co najmniej paradoksu: wyobrażenie celowe — zarzucą nam — reprezentuje rzecz nie istniejącą w danej chwili, więc przyszłość niejako; co więcej, może ono reprezentować rzecz dotąd zgoła nieznaną, rzecz, która dotąd nie istniała wcale.

¹⁾ Już po wydrukowaniu powyższego wstępu poznałem dzieło d-ra Teodora Lippsa: „*Grundtatsachen des Seelenlebens*“, Bonn, 1883. W rozdziale XXVIII, *Qualitative Strebungen, Ziele und Mittel*, znajduję kompetentne potwierdzenie głównej osnowy wyłuszczonego tu poglądu. Pozostaje mi tylko odesłać czytelnika do tej wybornej pracy, str. 619—650.

Ponieważ jednak w dążeniu do ziszczenia tej rzeczy dobieranie i układ środków odpowiednich zależy od wyobrażenia celowego, więc zdawałoby się, iż mamy tu do czynienia z faktem szczególnym, gdzie czynnikiem staje się „przyszłość idealnie w wyobrażeniu celowym reprezentowana“, że naraz porządek rzeczy w przyrodzie się odwraca; zamiast zwykłego przyczynowego trybu rzeczy, w którym zjawiska poprzednie uwarunkowują następne, tu, przeciwnie, przyszłe, końcowe zjawisko oddziałuje na uszykowanie zjawisk tak, aby się to przyszłe zjawisko ziściło. „Alboż nie jest to przyznanie cudu swego rodzaju — zapytuje P a w e ł J a n e t ¹⁾ — gdy w mechanicznym łańcuchu zjawisk znajdujemy ogniwo, które naraz posiadać ma moc odwracania niejako porządku tego łańcucha, ogniwo, które, będąc samo jedynie wypadkiem następczym nieskończonej ilości zjawisk poprzednich, od tej chwili narzucałoby dalszemu ciągowi łańcucha to nowe i nieprzewidziane prawo, na mocy którego to, co ma nastąpić, staje się prawem i regułą dla tego, co poprzedza?“ *C'est le futur qui détermine le présent*“ — dodaje ten sam autor ²⁾). „Niema tu możliwego wykrętu od wpływu przyszłości na przeszłość — powtarza inny znów autor ³⁾). Warto się zastanowić nad tym fatalnym nieporozumieniem.

Roztrząsania powyższe nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do znaczenia tej lekkomyślnej gry wyrazów. Samo wyobrażenie celowe jest faktem rzeczywistym, jest aktualnym stanem psychicznym; całe uwarunkowanie tego faktu tkwi w poprzednich przyczynach, w poprzednim doświadczeniu. Jako fakt rzeczywisty wyobrażenie celowe musi być jed-

¹⁾ *Causes finales*, 2-e wyd., str. 255—256.

²⁾ *Ibid.* str. 59.

³⁾ K s. M o r a w s k i: *Celowość w naturze*, str. 92.

nym z warunków albo przyczyną przyszłych zjawisk, musi być czynnikiem warunkującym na mocy prawa przyczynowości pewne przyszłe zjawiska, ale nie możemy dostrzec żadnej przyszłości w wyobrażeniu celowym, nic, coby już istniało, a jednak było przyszłym, że już pominiemy niedorzeczność tej gry wyrazów. Pozostaje jedyna tylko okoliczność, która mogłaby w błąd wprowadzić, skoro się jej nie wyjaśni ze stanowiska psychologicznego, mianowicie: stosunek wyobrażenia celowego do przyszłego skutku. Otóż i świadomość tego stosunku opiera się wyraźnie na doświadczeniu poprzednim. Nie dążyłbym do celów, nie poszukiwałbym środków do nich wiodących, gdybym się nie przekonał, że ja sam i inni nieraz już skutecznie osiągnęliśmy w ten albo podobny sposób takie same lub im podobne cele; gdybym nie doświadczył, że z wielkim prawdopodobieństwem można rachować na stałość poznanych związków pomiędzy zjawiskami. Moje wyobrażenie celowe może się ziścić albo nie, dobrane przeze mnie środki mogą się uwieńczyć skutkiem albo nie: zależy to od tego, jaki jest zasób mego doświadczenia i czy trafnie zeń korzystam; ale fakt, że ziszczenie się swego wyobrażenia celowego odnoszę do przyszłości, opiera się na doświadczeniu, z innych wypadków zaczerpniętym. Kiedy przedmiot naszego wyobrażenia celowego ma być zupełnie nowy, nie ulega wątpliwości, że treść tego przedmiotu o tyle tylko może być przewidziana, o ile na to pozwalają analogje z poprzednich doświadczeń; o ile zaś może się zdarzyć, iż treść osiągniętego skutku będzie zupełnie dla nas nowa, o tyle nie ulega wątpliwości, że w wyobrażeniu celowym przewidziana być ona nie mogła. Zatem frazes: „przyszłość jest warunkiem przeszłości“ w zastosowaniu do naszej działalności celowej jest przerośniętą, która w teorii traci sens wszelki. Celowa

działalność człowieka bynajmniej nie jest ogniwem, któreby naraz odwracało porządek przyczynowy w przyrodzie: wyobrażenie celowe, tak ze względu na swoją treść przedmiotową, jak również ze względu na zawartą w nim świadomość, że cel dopiero w przyszłości ma się ziścić, opiera się na przeszłym doświadczeniu, bo przyszłość jest tylko wyobrażeniem takiego stosunku zjawisk, które jeszcze nie zaszły, do zjawisk teraźniejszych, w jakim wogóle zostają zjawiska następcze do poprzedzających. Przedmiot wyobrażenia celowego, o ile się iści, dowodzi, że w naszym wyobrażeniu celowym dobrze są reprezentowane nabytki doświadczeń poprzednich, że, przy przenoszeniu stosunków z jednych rzeczy na inne, kojarzenie na mocy podobieństwa nas nie zawiodło, że wreszcie własności i stosunki zjawisk są stałe. Wobec tego wyobrażenie celowe musi być uznane za jeden z warunków przyszłego skutku, ale przyszłość ani mniej, ani więcej nie jest w nim reprezentowana realnie, jak w każdym innym warunku; w wyobrażeniu celowym przyszły skutek nie istnieje zgoła żadną częścią realności swojej; istnieją tam tylko symbole psychiczne jego możliwych części składowych, o ile te części składowe poznane zostały w przeszłym doświadczeniu. W istotach żywych i w człowieku doświadczenie uorganizowane i w mniejszym lub większym stopniu uświadomione staje się czynnikiem, który oddziaływa na bieg wypadków.

Tak więc, łańcuch przyczynowy nigdzie się nie przerywa; wyobrażenie celowe jest tylko ogniwem, w którym się skupia doświadczenie poprzednie. Skoro mąż stanu obmyśla konstytucję dla państwa, opiera się on albo na znanych sobie własnościach pewnego społeczeństwa, jego stosunkach i potrzebach, albo na analogjach, zapożyczonych z dziejów i obecnych stosunków innych społeczeństw; jakoż, po wprowadze-

niu konstytucji, założony cel może być osiągnięty, ale obok tego mogą się objawić jakieś nieprzewidziane zgubne skutki, które albo były do przewidzenia na zasadzie poprzednich doświadczeń i wtedy twórcę konstytucji nazwiemy niekompetentnym lub nieoględnym, albo niemożna ich było przewidzieć, gdyż zupełnie są nowe — i wtedy, zaoszczędzając wszelkich niesłusznych wyrzutów, zaczniemy badać i myśleć o mniej lub więcej radykalnych reformach. Mechanika praktyczna i medycyna mogą dostarczyć w wielkiej obfitości przykładów, gdzie pomysł maszyny lub środka leczniczego, oparty na wyzyskaniu znanych własności rzeczy i stosunków, okazuje się trafnym w jednym względzie, ale chybionym w jakimś innym, poprostu dlatego, że niepodobna było przewidzieć w pomysle celowym pewnych skutków dotąd nieoświadczonych.

III.

Powyższe preliminarja będą nam pomocne w dalszym ciągu badań nad celowością. Tu czas przystąpić do przedstawienia dogmatycznego teorii celowości, by poznać twierdzenia i argumentację jej zwolenników. Nie mając zamiaru wyczerpywać rzeczy historycznie, musimy jednak poznać teorię celowości w jej nowoczesnym stanie, gdy, stojąc wobec metod i zdobyczy nauki społecznej, liczyć się musi z jej wymaganiami. I tu jednak będziemy się mogli zadowolić zapoznaniem się z niektórymi tylko przedstawicielami doktryny, bacząc na to, aby nic istotnego nie pominąć.

Z pomiędzy filozofów społecznych najsystematyczniej opracował i wyłożył doktrynę celowości, nietylko pod względem dogmatycznym, lecz zarazem historycznym i krytycznym, francuski spirytualista P a w e ł J a n e t *) w dziele swoim „*Les causes finales*“ ¹⁾. Oddając należną sprawiedliwość erudycji i nieraz zręczności dialektycznej tego autora, musimy zaznaczyć, iż, podobnie jak inni społeczni zwolen-

¹⁾ Dzieło to po raz pierwszy ukazało się r. 1876; w r. 1878 w Edynburgu wyszedł jego przekład angielski, dokonany przez W i l l i a m a A f f l e c k'a, ze zmianami wprowadzonymi przez autora i przedmową prof. F l i n t a; wreszcie w r. 1882 wyszło drugie wydanie oryginału, 8-a, str. XI i 755, ze zmianami i dodatkami. Tu opieramy się na wyd. drugim.

nicy teleologii, Janet zupełnie nie korzysta z tak potężnego i stanowczo nieodzownego środka w badaniach filozoficznych, jakim jest analiza psychologiczna pojęć, skutkiem czego dzieło jego sprawia dziwne wrażenie traktatu z owych czasów, gdy jeszcze nie istniała jako nauka psychologja i na niej oparta teoria poznania, gdy racjonalizowano nad pojęciami, nie pytając o ich genezę i metodyczność. W każdym razie książka Janet'a uchodzi dziś za klasyczną w przedmiocie dogmatu i uzasadnienia teorii celowości. Na innych zwolenników i przeciwników teleologii będziemy się powoływali przygodnie, o ile się to okaże potrzebnym do scharakteryzowania ważniejszych odmian tej doktryny i ustalenia krytycznych na nią poglądów. Baczniejszą wszakże uwagę zwrócimy na uzasadnienie doktryny celowości w książce ks. Marjana Morawskiego „Celowość w naturze“¹⁾. Praca ta pod względem teoretycznym bynajmniej oryginalna nie jest; owszem wyraźnie autor się zapożycza z Janet'a, Ed. Hartmanna, ale, według intencji samegoż autora, ma ona być pierwszym systematycznym zarysowaniem obrazu celowości w przyrodzie, pierwszą kosmologją teleologiczną, obejmującą systematycznie całość przyrody. Nadto, studjum ks. Morawskiego *) jest jedynym temu przedmiotowi poświęconym dziełem w języku polskim. Innych autorów społecznych, jak Lotzego i Hartmanna, którzy pilniej zastanawiali się nad celowością, nie będziemy roztrząsali systematycznie już dlatego, że poglądy ich znajdziemy w książce Janet'a, już znów dlatego, że rozbiór Hartmanna wymagałby krytyki całego jego systemu, z którym się jego teleo-

¹⁾ X. M. Morawski. Celowość w naturze. Studjum przyrodniczo-filozoficzne. Kraków, 1887, 8-a, str. 203.

gja ściśle wiąże. Tymczasem dzieło Hartmanna „*Philosophie des Unbewussten*“ jest bardzo wątpliwej wartości naukowej, co też zgodnie i z najrozmaitszych stron wykazali już tacy specjaliści, jak zoolog Oskar Schmidt, filozof i ekonomista Fr. Alb. Lange, filozof Vaihinger, filozof i matematyk Dühring, psycholog i filozof James Sully. Hartmann, wyzyskując i spożytkowując napozór zdobycze nauki nowoczesnej, tak dalece wypaczył jej pojęcia, że głęboki Alb. Lange wyraża się o nim: „Wątpię, czy istnieje druga książka z nowszych czasów, w którejby dorywczo powiązany materiał w tak jaskrawej był sprzeczności z wszelkimi głównymi rysami metody przyrodniczej... System Hartmanna stawia się w jaskrawszym przeciwieństwie do nauk pozytywnych, aniżeli jakiegokolwiekbądź z poprzednich, i pod tym względem powtarza wszystkie błędy Schellingów i Hegłów w nierównie grubszej i dotykalszej formie“¹⁾. Wreszcie rozejrzemy się w poglądach na celowość przyrodników i głównie Gustawa T. Fechnera i J. H. Schneidera, którzy mogą reprezentować dwa typowe kierunki teleologii, o ile ona tu i owdzie uznawana jeszcze była przez przyrodników.

Dzieło Janet'a „*Les causes finales*“ składa się z dwu części głównych, z których pierwsza rozstrzyga pytanie, czy celowość, albo przystosowanie środków do celów, jest prawem przyrody; druga zaś zastanawia się nad zbadaniem ostatecznej zasady celowości we wszechświecie, albo „pierwszej przyczyny prawa celowości“. Według Janet'a celowość nie jest bynajmniej zasadą, któraby się tak koniecz-

¹⁾ Fr. Alb. Lange, „Historja materjalizmu“, przekł. polski, t. II, str. 283.

nie narzucała umysłowi naszemu przy poznawaniu świata, jak przyczynowość. Że w przyrodzie istnieje coś takiego jak celowość, o tym nie możemy wiedzieć *a priori*: gruntowna teoria celowości musi być uzasadniona jako wynik obserwacji i indukcji. Rzut oka na porządek zjawisk w przyrodzie przekonywa, że porządek ten składa się z oddzielnych łańcuchów zjawisk, z których każdy jest dostatecznie w sobie powiązany prawem przyczynowości. Te oddzielne szeregi zjawisk już to rozwijają się równolegle, nie zawadzając bezpośrednio o siebie, już znów krzyżują się i przenikają się wzajemnie, wytwarzając bardziej skomplikowane skutki. Zbieżność szeregów „może być niekiedy uwarunkowana przez samą naturę rzeczy“, jak to widzimy np. w zjawisku przypływu i odpływu morza, stale zbiegającym się z ruchami księżyca i określonymi zmianami we względnym położeniu ziemi do słońca. Niekiedy znów szeregi zjawisk spotykają się ze sobą, nie będąc do siebie bynajmniej w stosunku oddziaływania wzajemnego, jak to się zdarza np. w grach losowych: ten rodzaj zależności nazywamy „przypadkiem“. Przypadek nie jest ani bytem, ani substancją, ani przyczyną, któraby wyjaśniała zjawisko; oznacza on tylko spotkanie się przyczyn, zupełnie zewnętrzny stosunek pomiędzy wzajemnie niezależnymi zjawiskami (str. 24).

Skoro jednak szeregi przyczynowo powiązanych zjawisk spotykają się często, skoro tego rodzaju zbiegi okoliczności są dość liczne i skomplikowane, skoro wymagają większej ilości przyczyn, wtedy już nie wystarcza odniesienie każdego zjawiska do jego przyczyny, wtedy zachodzi potrzeba wyjaśnienia samego zbiegu tych szeregów i to potrzeba tym większa, im samo zjawisko jest częstsze, im składowe części jego są liczniejsze. Przecież częstość zbiegania

się ze sobą pewnych szeregów zjawisk jest także zjawiskiem, które swoją przyczynę mieć musi, które specjalnie objaśnić należy. Niekiedy skomplikowane te zjawiska dadzą się wyjaśnić wprost przez odniesienie ich do poprzedniego układu przyczyn, jak np. gdy chodzi o wyjaśnienie częstokroć napotykanym muszel na górach; atoli w innych razach staje się to niemożliwym, mianowicie gdy badana kombinacja nosi na sobie „takie piętno, jakoby była ułożona odnośnie do przyszłego mniej lub więcej odległego wypadku“. Natenczas odnośność owa do przyszłego wypadku jest elementem dodatkowym, który także wymaga wyjaśnienia; wyjaśnienie zaś to każe przypuszczać „przyczynę, w której przyszłe zjawisko jest idealnie reprezentowane“. Rozum nasz szuka przyczyn nie tylko dla wyjaśnienia zjawisk, tego, co pod zmysły podpada, lecz nadto dla wyjaśnienia porządku zjawisk, który obejmujemy umysłem. Gdybyśmy więc zaniechali wyjaśnienia tego dziwnego stosunku zjawisk, gdzie przeszłość oczywiście godzi się z przyszłością, tobyśmy się sprzeniewierzyli prawu przyczynowości. Tak więc, „wychodzimy od punktu określonego, który nam dany jest jako skutek; ponieważ jednak skutek ten nie byłby inaczej możliwy, jak przez nieobliczoną ilość zbiegów okoliczności, tedy zgodność owa pomiędzy taką mnogością zbiegających się zjawisk i pewnym skutkiem stanowi ścisły dowód celowości“. W ten sposób osiągamy przeświadczenie, że celowość jest faktem, jest prawem przyrody.

Zasadę, na mocy której umysł ludzki wymaga wyjaśnienia porządku i zgodności zjawisk, Janet nazywa „zasadą zgodności (*principe de concordance*, str. 81) i dzieli takową na dwie odmienne postaci: pierwsza stosuje się do porządku fizycznego i mechanicznego, a może być nazwana „zasa-

dą zgodności mechanicznej“; druga stosuje się do porządku biologicznego i może być nazwana „zasadą zgodności teleologicznej“, albo „zasadą przyczyn celowych“. Zasada zgodności mechanicznej orzeka: „Gdy pewien zbieg zjawisk występuje stale, nie dość jest odnieść każde zjawisko w szczególności do jego przyczyn poprzednich, lecz należy nadto dokładnie wytłumaczyć sam fakt zbiegu. Innymi słowy: zgodność zjawisk przypuszcza przyczynę określoną i to z tym większym prawdopodobieństwem, im większą jest ilość i różnorodność zjawisk zgodnych“. Zasada zgodności teleologicznej orzeka: „Gdy pewien zbieg zjawisk uwarunkowany jest nie tylko ze względu na swój stosunek do przeszłości, lecz nadto pod względem stosunku swego do przyszłości, natenczas nie stałoby się zadość zasadzie przyczynowości, gdybyśmy, przypuszczając pewną przyczynę tego zbiegu, pominieli przy tym wyjaśnienie jego określonego stosunku do przyszłego zjawiska. Innymi słowy: zgodność pewnej ilości zjawisk, powiązanych z pewnym przyszłym zjawiskiem, każe przypuszczać przyczynę, w której to przyszłe zjawisko jest idealnie reprezentowane; prawdopodobieństwo takiego przypuszczenia wzrasta w miarę tego, jak się coraz bardziej komplikują zjawiska zgodne, oraz proporcjonalnie do wzrostu liczby stosunków, łączących owe zjawiska ze zjawiskiem końcowym“¹⁾.

Umysł ludzki działa celowo; analogja zmusza nas do przypuszczenia, że zwierzęta także działają celowo, nie tylko w postępowaniu kierowanym przez umysł, lecz także w czynnościach instynktowych; wreszcie według tegoż rozumowania przyjąć musimy, że cała przyroda ożywiona działa celo-

¹⁾ *Les causes finales*, str. 82—3.

wo. Z jednej strony przyczyna celowa niewątpliwie objawia się w porządku psychologicznym; idzie o to, czy objawia się ona niżej? Z drugiej strony przyczyna mechaniczna widocznie się objawia i napozór wyłącznie panuje w porządku nieorganicznym; czy wystarcza ta przyczyna wyżej? Pomiedzy dziedzinami psychologiczną i nieorganiczną rozciąga się dziedzina życia organicznego. Czy rozciąga się tu działanie przyczyn celowych, czy też da się tu wszystko wytłumaczyć przez sam tylko mechanizm? W odpowiedzi na te pytania Janet rozumuje: jeżeli mam prawo przypuszczać, że zwierzę dąży do celu, gdy wybiera środki odpowiednie do samozachowania i obrony, to także samo mam prawo przypuszczać, że przyroda również zmierzała do celu, gdy z niemniejszą mądrością zaopatrywała zwierzę w narządy, które są środkami najodpowiedniejszymi do dopięcia celu powyższego. Jest to tylko indukcja przez analogję.

Jakkolwiek Janet zapowiedział wyżej, że zasada przyczyn celowych stosuje się tylko do porządku biologicznego, nie należy jednakże sądzić, jakoby zamykał on rolę przyczyn celowych wyłącznie w granicach dziedziny biologicznej. W świecie nieorganicznym, co prawda, wyjaśnienia za pomocą przyczyn celowych nie są niezbędne, nie wymagają tego nałogi umysłu, ale bądź co bądź wyjaśnienie takie nie byłoby niedorzeczne, nie byłoby w żadnym razie sprzeczne z prawami rozumowania, na zasadzie „bądź logiki, bądź analogji“. Być może, iż porządek świata nieorganicznego nie zawsze każe celowość przypuszczać, ale też nigdy jej nie wyłącza i mianowicie — celowości względnej. Świat nieorganiczny, dziedzina mechanizmu, może być wogóle podciągnięty pod prawo celowości ze względu na swój stosunek do istot żywych, jako warunek i rękojmia ich istnienia.

Nadto, trudno by zrozumieć, jakim sposobem w przyrodzie bezcelowej naraz pojawia się istota zdolna do celów zmierzających, istota, „która przenosi w przyszłość przyczynę terażniejszą“, niby ogniwo w przyczynowym łańcuchu, które, będąc samo tylko wypadkiem nieskończonego szeregu ogniwi poprzednich, naraz zyskuje zdolność niejako odwrócenia porządku szeregu i narzucenia temu nieprzerwanemu szeregowi nowego prawa, na mocy którego to, co ma dopiero nastąpić, staje się normą i regułą tego, co poprzedza.

Skoro tak jest w rzeczy samej, skoro prawo celowości w przyrodzie jest niewątpliwe, gdzież tedy przyczyna tej celowości? Musi ona tkwić w jakiejś inteligencji wyższej, w rozumie boskim. Jak dalece wniosek ten jest prawowity? Opiera się on na analogji, odpowiada Janet wraz z całą rzeszą teleologów: posiadając bezpośrednie doświadczenie poprzedniego układu warunków we własnym postępowaniu celowym, rozumiemy, że podobnaż przyczyna musi wytwarzać przystosowania celowe w przyrodzie. Jest to rozumowanie równie prawowite, jak to, do którego się uciekamy przy wnioskowaniu, że czynności naszych bliźnich i zwierząt wpływają ze świadomych zamiarów; jest to analogja pomiędzy przemysłem przyrody i przemysłem człowieka: różnica w stopniu tylko. Takim jest dowód fizyczno-teologiczny¹⁾ istnienia Boga, jako źródła i ostatecznej przyczyny wszelkiej celowości w przyrodzie. *)

Cóż jest ostatecznym celem wszechświata? Bo właściwie, bez wykazania stosunku poszczególnych celów do tego ostatecznego, system celowości we wszechświecie nie dał

¹⁾ Termin wprowadzony przez Samuela Parkera i szczególnie używany około 1700 r.

by się wykazać. Taki cel ostateczny musi być celem absolutnym, bezwzględny. Żadna z istot na świecie, sam człowiek nawet, jako niedoskonałe stworzenie, nie może stanowić bezwzględnego celu przyrody. Absolut może być tylko jeden, a tym jest Bóg; więc wypadaloby, że Bóg stworzył świat dla samego siebie. Przeciwno temu przypuszczeniu atoli stoi twardy zarzut Spinozy, iż, skoro Bóg stworzył świat dla siebie, więc oczywiście po to, aby świat ten czynił zadość jakiejś potrzebie jego, skąd wypadaloby, że przed stworzeniem świata Bóg uczuwał brak czegoś, co znów sprzeciwiałoby się pojęciu absolutu, który jest bytem zupełnie w sobie skończonym i wystarczającym sobie. Janet przyznaje, że w zarzucie tym tkwi trudność nielada; „właściwie trzebaby być Bogiem, aby tę zagadkę rozstrzygnąć“¹⁾. Ponieważ jednak świat istnieje, więc nie może on być w sprzeczności z naturą boską. Jedyną doktryną zdolną wytłumaczyć stworzenie świata celowego jest doktryna boskiej miłości. Ale jakże Bóg może miłować coś innego, jak samego siebie? To coś innego, ten świat może spółbytować z Bogiem, nic do niego nie dodając, ani też nic nie odejmując, gdyż świat jest niespółmierny z Bogiem. Motywem stworzenia świata było dobro istot stworzonych. Takim dobrem najwyższym nie może być ani czucie, ani umysłowość i jej wytwór—wiedza, lecz moralność bezwzględna. Ostatecznym celem przyrody, ziszczeniem i ostatecznym dowodem celowości jest moralność. Na dogmatycznym znaczeniu tego Janet poprzestaje: „W ten sposób, powiada on, otwiera się perspektywa dla drugiego dzieła, którego nie wykonam, którego się będzie musiał ktoś inny za mnie podjąć, mianow-

¹⁾ *Causes finales*, 583.

cie: zbadać celowość w porządku moralnym... Zadanie to przekracza obecne siły moje“.

Dogmatycy teleologii w zakresie tej doktryny nigdy nie odznaczali się oryginalnością poglądów; cechę tę raczej ich krytykom przypisać należy. W dziele ks. Morawskiego o „Celowość w naturze“ oryginalnego także znajdziemy niewiele. Ta sama indukcja, a przynajmniej jej pozory, w uzasadnieniu celowości w przyrodzie, te same przyszłe wypadki idealnie reprezentowane w przyczynach celowych, to samo oddziaływanie przeszłości na przyszłość, ta sama analogia celowości tworców przyrody do celowości wytworów przemysłu ludzkiego, poznanej z doświadczenia podmiotowego, wreszcie ten sam dowód fizyczno-teologiczny istnienia Boga i jego stosunku do świata.

Podobnie jak w dziełach człowieka—dowodzi autor „Celowości w naturze“—widzimy odnośność środków umyślnie do pewnych celów zamierzonych i przystosowanych, tak również w przyrodzie napotykamy twory wyraźnie nacechowane odpowiedniością do pewnych celów. Celowość w przyrodzie nie jest jakąś hipotezą lub doktryną filozoficzną: jest to fakt, który się narzuca umysłowi ludzkiemu, gdy ten pierwsze kroki w poznawaniu przyrody stawia, fakt, który się bezpośrednio ze zjawisk wyprowadzić i udowodnić daje. Postęp nauki tylko coraz bardziej fakt ten potwierdza. Jakimże sposobem umysł przychodzi do sądu, że przyroda jest celowa? Podstawa sądu tego bywa dwojaka: albo — o zachodzących zewnątrz nas zjawiskach sądzimy na podstawie analogji do samych siebie, do celowości dzieł człowieka; albo — dostrzegamy wprost w utworach przyrody przedmiotowe piętno celowości, które na tym polega, że liczne i różnorodne czynniki składają się na jedność harmo-

nijną, nie dającą się wytłumaczyć, jako dzieło ślepego przypadku. Tak więc pojęcie o celowości wytwarza się w umyśle na zasadzie doświadczenia wewnętrznego, na podstawie własnego sposobu działania; ale powód przypisywania celowości przedmiotom tkwi w samychże przedmiotach.

Dwa pytania stawia sobie do rozwiązania ks. Morawski: Czy przyroda tak wygląda, jak gdyby była z zamiarem urządzona i do pewnych celów zmierzała? Czy porządek ten w przyrodzie jest istotnie dowodem jej celowych dążeń, czy też być może jakimś innym sposobem da się objaśnić? Na pierwsze z tych pytań dotąd niektórzy badacze odpowiadali w ten sposób, że poddawali rozbiorowi pewne specjalne wypadki, celowy plan przyrody zdradzające; tak, Paweł Janet wykazał celowe urządzenie oka, Chouffard zastanawia się nad objawami celowości w rozwoju zarodka, Fabre śledzi celowość w instynktach owadów, zaś Edward Hartmann, „wielki badacz tej kwestji“, upatruje celowości w „sile leczniczej“ organizmu i indziej. Nikt jednak dotąd nie zdobył się na obraz porządku celowego w całej przyrodzie: dokona więc tego autor nasz „w głównych zarysach“.

Wszystkie twory przyrody, z wyjątkiem człowieka, dzielą się na trzy królestwa: mineralne, roślinne i zwierzęce, i taki też jest porządek ich wzrastającej doskonałości. Otóż, „jeżeli przyroda jest celowo zbudowana, to niższe istoty wogóle muszą być dla wyższych“¹⁾, co też faktycznie spostrzegamy w przyrodzie. Aby uiścić w świecie materialnym najwyższy objaw życia zwierzęcego: czucie, świadomość, na to trzeba dwu rodzajów czynności: czuciowych czyli zmysłowych i organicznych czyli wegetacyjnych. Te ostatnie,

¹⁾ Celowość w naturze, str. 24.

jako niższe, reprezentowane są przez rośliny, których racjonalnym zadaniem jest: zaoszczędzać istotom czującym energię niezbędną dla świadomości, umożliwić istotom świadomym ruch, niezbędny do odbierania całej różnorodności wrażeń. Z zadania tego wywiązują się rośliny, przyswajając z gruntu, w którym tkwią, substancje mineralne i przerabiając je na związki organiczne, potrzebne do żywienia się zwierząt. Takim sposobem świat mineralny jest łącznią, podścieliskiem i spichlerzem życia, które mu napowrót zużyty materiał oddaje, „bo życie, zużywając żywe siły materji, tej nieustannej wymiany wymaga“ (str. 26).

Królestwu mineralnemu celowość zazwyczaj błędnie nie bywa przypisywana, a źródłem tego błędu jest nieuwzględnianie znanej filozofom dwójakiej celowości: *wsobnej*, która polega na tym, iż układ wszystkich części przystosowany jest do życia całości, tudzież *odnośnej*, która znów na tym polega, że budowa i cechy istot niższych przystosowane są do widoków dobra istot wyższych i do całej ekonomji świata. Z tego stanowiska świat nieorganiczny cechuje celowość odnośna: rozglądając się w stosunkach fizycznych, chemicznych, astronomicznych, geologicznych i geograficznych, można w nich dostrzec „ustrojenie niezliczonych środków dla urzeczywistnienia warunków życia i świata żyjących“. Dopiero w świecie roślinnym po raz pierwszy objawia się celowość wsobna: w roślinie ustrój narządów i czynności racjonalnie zastosowany jest do celu całości. Roślina musi się wciąż odradzać, „bo życie ciągle zużywa potencjalną siłę pochłoniętych materiałów“ (36) i rozradzać, bo jednostka jest znikoma, a typ jest wiecznie potrzebny w ustroju przyrody. Oprócz celowości wsobnej, rośliny charakteryzuje jeszcze celowość odnośna do świata zwierzęcego, gdyż słu-

żą one za pożywienie, służą jako przyrządy do oczyszczania powietrza (zwierzęta, oddychając, chłoną tlen, wydzielają zaś kwas węglowy; rośliny, mniema autor, „oddychają w przeciwny sposób: chłoną kwas węglowy a tlen wydzielają“ (str. 39), jako materiał budulcowy, jako materiał do odzieży, jako środki lecznicze.

Świadomość jest celem wsobnym istot królestwa zwierzęcego. Pogląd ten tłumaczy rację logiczną i potrzebę całej hierarchji systemów celowych, jakie w tym królestwie znajdujemy. Narządy czucia „logicznie“ wymagają narządów lokomocji, gdyż inaczej „władza poznawcza przedmiotów odległych byłaby nieracjonalną bez władzy poruszania się ku nim“ (str. 45). Dalej widoczne są objawy celowości w układzie kostnym, w czynnościach odżywiania, oddychania, odradzania, nerwowych, instynktowych, psychicznych.

Jakaż jest racja logiczna istnienia niezliczonych rodzajów i gatunków istot organicznych? Co znaczy walka o byt? Co znaczą gatunki szkodliwe i pasorzyty, cudzym kosztem żyjące? Trzy są racje logicznie wyjaśniające powyższe pytania: 1^o, racja gienetyczna, polegająca na tym, że pojawienie się wyższych typów życia musiało być poprzedzone przez niższe; 2^o, obecna równowaga ekonomji przyrody zależy od tego, że jedne gatunki są pożyteczne, a nawet niezbędne dla innych; albo pojedyncze gatunki przez to służą celowi przyrody, że utrzymują w równowadze nadmierny rozwój innych gatunków, wyniszczając je odpowiednio do potrzeb równowagi; 3^o, „natura chciała wypełnić ile możności tętnem życia całą kulę ziemską, którą dla życia zbudowała“. Atoli skutkiem i warunkiem osiągnięcia tego celu jest walka o byt, przedmiot utyskiwań i niezasłużonych wyrzutów ze strony pesymistów i pozytywistów:

walka o byt jest dobrodziejstwem natury, gdyż dzięki jej większa ilość istot dociska się do uczyt życia, a nadto istoty niższe, nie tylko śmiercią swoją służą wyższemu celowi, lecz słabiej odczuwają one cierpienia agonji i zgoła nic nie wiedzą o śmierci. Tedy całość przyrody jest układem jednolitym, w którym wszystko się harmonijnie wiąże do uiszczenia świadomości i przez tęż świadomość, za cel uważaną, logicznie się tłumaczy. W naturze panuje układ, który myśli celowej odpowiada, panuje celowość.

Do najzacieklejszych przeciwników teleologicznego na świat poglądu należą materjaliści i ewolucjoniści. Według materjalizmu wszystko się dzieje przez przypadek: pozorny porządek w świecie jest tylko koniecznym wynikiem ślepo działających praw mechaniki kosmicznej. Skądinąd ewolucjonizm biologiczny, ze swoją formułą „*die Erhaltung des Bestens*“ (?), podsuwa wyobrażenie jakiejś siły we wszechświecie, która do postępu dąży, utrwalając co pożyteczne i niszcząc co bezcelowe. Bez inteligencji utwory racjonalne są niemożliwe; do takiego wniosku zmuszają bezwzględne zasady rozumu. Celowość jest taką samą *a priori* oczywistą zasadą (principium) wszelkiego bytu i myślenia, jak zasady tożsamości, przyczynowości, racji dostatecznej. Sam fakt, że niektórzy nie upatrują celowości w przyrodzie, dowodzi, że w umyśle naszym jest coś od przyrody niezależnego, że posiadamy jakąś modłę bezwzględną, według której przyrodę sądzimy, że rozumiemy logikę absolutną celów i według niej rzeczywistość mierzymy. Pozory i domysły niecelowości tam się zazwyczaj poczynają, gdzie się kończy wiedza ścisła. Tak, powoływanie się na niektóre niepotrzebne członki ciała, np. gruczoły piersiowe u mężczyzny, albo wprost upada przed oczywistością, że gruczoły te nie są

organami szczątkowemi, lecz po prostu są „dziedzictwem po matce“ (str. 75), albo znów upaść muszą wobec teorii jedności planu w przyrodzie, według której przyroda, modelując istoty żywe według jednego typu, o tyle tylko typ ten w różnych rodzajach odmieniła, o ile tego rozmaite warunki ich życia wymagały. Czego nie tłumaczy potrzeba, to wyjaśnia spójność planu, bez konieczności uciekania się do spólnego pochodzenia.

Ewolucjonizm pomimo tego uchodzi dziś za głównego przeciwnika nauki o celowości. Materializm, widząc, jak z jednej strony postęp nauk przyrodniczych coraz bardziej wyświetla celowy porządek w przyrodzie, z drugiej zaś strony, jak rozwój rachunku prawdopodobieństwa kładzie tamę dowolnym spekulacjom nad przypadkiem, schronił się prawie wyłącznie w teorii ewolucjonizmu, z której zrobił „pod egidą Spencera swój Symbol, swoją filozofję, swoją warownię“. Tymczasem, ewolucjonizm nie zawiera w sobie nic, coby się celowości sprzeciwiało, a nawet sam jest pomysłem teleologów i spirytualistów, takich jak Descartes, Leibniz i Hegel, którzy go rozwinęli jako najwyższy wyraz celowości i antytezę mechanizmu materialistycznego. Trudno znaleźć w ewolucjonizmie miejsce dla przypadku, skoro się widzi, jak idea kształtu końcowego panuje nad robotą przygotowawczą, jak zwolna i zdaleka gromadzi części składowe zrazu nieużyte; nawet samo pojęcie rozwoju „zawiera w sobie uznanie preegzystencji rezultatu końcowego, wydobywania się na jaw czegoś, co już było w pierwotnym stanie rzeczy zawarte. Ewolucjoniści, negując czynnik mądrości w przyrodzie, postępują tak zupełnie, jak ci, coby odrzucali czynnik umysłu ludzkiego w powstawaniu wyrobów przez maszyny wykonywanych; przecież, wiążąc zjawiska w nie-

przerwany łańcuch przyczyn i skutków, nie usuwamy przez to konieczności pierwszej przyczyny: jeżeli pierwsza mgławica zawierała już w sobie potencjalnie życie i wszystkie fazy i szczegóły rozwoju jego, to tymbardziej należy w tym upatrywać objaw nieskończonej mądrości jakiejś pierwszej przyczyny. Tak więc cały ewolucjonizm bez celowości chybia celu; w objaśnianiu zaś szczegółów, zamiast wyłączać celowość, na każdym ją kroku przypuszcza. Do dwu czynników, którymi Lamarck usiłował wytłumaczyć zmienność i rozwój gatunków, mianowicie: środowiska i potrzeby, Darwin dodał trzeci czynnik: dobór naturalny. Spencer dalej zwraca uwagę na: 1^o, koordynację wewnętrzną, która polega na różnicowaniu i całkowaniu narządów i ich czynności; 2^o, przystosowywanie się stosunków wewnętrznych organizmu do zewnętrznych otoczenia. Wszystko to redukuje się do trzech wystawionych przez ewolucjonizm czynników rozwoju organizmów: wpływ przystosowujący środowiska, dobór naturalny i przypadek. Żaden z tych czynników nie tłumaczy powstawania nowych potrzebnych narządów, bo musi je wytwarzać coś, co dąży rozumnie do utrzymania istot organicznych przy życiu.

Sama przyroda w trojaki sposób poucza nas o celowości świata: 1^o, przedstawia się jako system harmonijny z odpowiednich środków do osiągnięcia najwyższych form życia złożony; 2^o, nietylko przez swój stan obecny, lecz przez stawanie się swoje dowodzi ona, że wciąż dla przyszłości pracuje, że wobec tego, co ma być potym, panuje nad tym, co się obecnie dzieje; 3^o, sami przeciwnicy celowości w pracach swoich pośrednio przyczyniają się do jej uzasadnienia. Zresztą, logika jest po stronie zwolenników celowości, gdyż, zgodnie z przepisem Bakona, poczynają

oni w indukcyjnych wywodach swoich od faktu prerogatywnego, najbardziej wybitnego,—od dzieł ludzkich, by się następnie posuwać ku dołowi ¹⁾; gdy tymczasem przeciwnicy ich postępują w kierunku odwrotnym: od dołu, od praw mechanicznych materji, gdzie celowość jest najmniej widoczną, do życia. W ten sposób teleolog zawsze jest w zgodzie z sobą samym i faktami, gdy przeciwnik jego, poczynając od mgławicy kosmicznej, w której celowość nie jest widoczną, konsekwentnie musi zaprzeczyć celowości tam nawet, gdzie ona faktycznie i oczywiście istnieje, w świecie istot żywych.

Nie wchodząc w liczne szczegóły, które nic w sobie oryginalnego nie zawierają, poprzestaniemy na zaznaczeniu, że autor „Celowości w naturze“ system celowości pojmuje antropocentrycznie, t. j. utrzymuje, iż Bóg, transcendentny względem świata, powodowany motywem miłości, świat stworzył dla człowieka, którego przyrodzone zadanie jest dwojakie: utrzymywać życie swoje, co człowiekowi jest wspólne z niższymi tworam, i myślać poznawać świat, a przez świat stwórcę. W dalszym ciągu przy sposobności potrącimy różne szczegółowe pomysły ks. Morawskiego, tu zaś wystarczy powyższy rys zasadniczy, niemal własnymi słowy autora oddany.

Zastanówmy się bliżej nad poglądami obu autorów. Myśl zasadnicza, którą Janet z naciskiem w dziele swoim rozwija, na której nawet buduje właściwie swoją teorię celowości, jako prawa przyrody, w wysokim stopniu na uwagę zasługuje. W rzeczy samej bowiem, gdy mniej lub więcej liczne przyczynowo powiązane szeregi zjawisk rozwijają się w ten sposób, iż nie dostrzegamy żadnej wzajemnej pomie-

¹⁾ Porównaj toż samo w „*Causes finales*“, str. 127.

dzy temi szeregami zależności, a pomimo tego oczywiście przybierają one kierunki, które się spotkać muszą i wydać określony skutek, natenczas dla objaśnienia skutku nie dość jest zbadać wstecz każdy ze składowych szeregów oddzielnie, w celu wykrycia koniecznych przyczynowych uwarunkowań jego, lecz nadto potrzeba wykryć przyczynę zbieżności owych szeregów, co, w sprawie wyjaśnienia danego skomplikowanego skutku, jest rzeczą kardynalną. Jeżeli, mając do zbadania takie zjawisko, jak „*Dictionnaire des sciences philosophiques*“, odniesiemy różne artykuły tego dzieła do właściwych autorów; jeżeli dalej zbadamy genezę przekonań filozoficznych każdego z autorów, genezę ich wiedzy i kierunku specjalnego, to będziemy w stanie przyczynowo sobie objaśnić powstanie każdego oddzielnego artykułu, ale objaśnienie to bynajmniej nie wytłumaczy nam jeszcze ani tego, jakim sposobem usiłowania kilkudziesięciu autorów, piszących o najrozmaitszych przedmiotach, złożyły się na jedno zbiorowe dzieło, które usiłuje systematycznie wyczerpać ogół teorii i zagadnień filozoficznych; ani tego, jak na tę pracę zbiorową złożyli się mianowicie uczeni nacechowani pewną wspólnością kierunku i poglądów charakteryzujących spirytualizm francuski. Dopiero fakt poprzednio powziętego planu przez redaktora tego dzieła Adolfa Francka i historja wykonania tego planu, w porozumieniu z dobraną grupą autorów, wyjaśni nam, jak tyle pojedynczych usiłowań złożyć się mogło na całość systematyczną. Tak samo ten, kto zbada genezę każdego szczegółu w budowie i czynnościach danego organizmu, nie objaśni jeszcze, jak mógł organizm powstać, jak ta mnogość przyczynowo powiązanych szeregów zjawisk zbiegła się w jedną organicznie skoordynowaną całość, zwaną istotą żywą.

To też potrzebę tego objaśnienia uczuвано zawsze: tak samo usiłowali potrzebie tej zaradzić zwolennicy specjalnych aktów twórczych jak i ewolucjoniści. Pierwsi zamiast objaśnić jedną wielką zagadkę: jak powstały organizmy żywe? — postawili dwie takie zagadki: zagadkę stworzenia i zagadkę stwórcy, obie jednostajnie w nauce niemożliwe do rozwiązania; drudzy — samej kwestji nadali postać pytania naukowego: jakie są konieczne i dostateczne warunki powstania i rozwoju istot żywych? Chociaż dotąd nie zdołano zadowalająco na to pytanie odpowiedzieć, to wszakże wstąpiono na drogę bez wątpienia jedynie dotąd płodną w nauce. Teorja rozwoju jest dalszym ciągiem teorji uwarunkowań przyczynowych, teorji zmian pod wpływem otoczenia, czyli przystosowywania się. Pytanie, które Janet z takim naciskiem podkreśla, wcale nie było przez naukę przeoczone, a nigdzie tak świadomie i wyraźnie nie zadawano sobie pytania tego, jak właśnie w nowoczesnej teorji rozwoju. Prawda, że biologja, zanim się uzbroidła w tak potężne narzędzie, jakim jest metoda porównawcza, postępująca przy świetle geologii, paleontologii, geografji i embrjologii, była z jednej strony czysto zewnętrzną systematyką i morfologją istot żywych, z drugiej zaś strony badała fizyczne i chemiczne warunki oddzielnych czynności w organizmach. Prawda i to, że długo wyobrażano sobie tę naukę na wzór ówczesnej fizyki i chemji; wierzono, iż, badając oddzielne kształty, mechanizmy, procesy fizyczne i chemiczne, zdołamy wyjaśnić całość ustroju żywego, która się jakoś tam przypadkiem z tych szczegółów złożyć może; ale zaprzeczyc niepodobna, że biologja spóczesna wyteża wszystkie rozporządzalne siły swoje w celu naukowego zbadania przyczyn, od których zależy kształtowanie się materji żywej w coraz bar-

dziej skomplikowane i coraz ściślej skoordynowane całości.

Przyznając Janetowi słusność zupełną w sprawie położenia wogóle nacisku na myśl, iż niepodobna poprzestać na przyczynowym wyjaśnieniu oddzielnych szeregów zjawisk, lecz należy także szukać przyczyn zbieżności tych szeregów, dzięki której powstają bardziej skomplikowane zjawiska, niepodobna natomiast zgodzić się na zarzut, jaki ten autor czyni nauce spóczesnej z rzekomego ignorowania tej trudności, jak również niepodobna przyjąć bez zastrzeżeń tych wyróżnień, jakie Janet pod tym względem ustala pomiędzy różnymi kategorjami zjawisk. Takie zjawiska, jak zgodność przyływu i odpływu morza z ruchami księżyca, jak pewne zbiegi w grach losowych, jak kwestja obecności muszel na górach, jak wreszcie stosunek różnych narządów i czynności do całego ustroju, niczym istotnym pod względem przyczynowego wyjaśnienia nie różnią się pomiędzy sobą: występują tu różne czynniki i w różnych stopniach komplikacji, ale zawsze przypuszczać musimy ściśle uwarunkowanie jednych zjawisk przez drugie i tylko uprzedzenia mogły podsunąć ten podział dowolny, jaki zaznaczyliśmy w powyższym streszczeniu dzieła: „*Les causes finales*“.

W rzeczy samej, Janet utrzymuje, że w kwestji obecności muszel morskich na górach dość jest cofnąć się do poprzedniego układu przyczyn, aby zjawisko wyjaśnić. Zapewne, ale warto się bliżej zastanowić nad tym, co twierdzenie to znaczy. Oto mamy warstwę muszel na górze; zjawisko to dzieli się nasamprzód na dwie części: powstanie muszli i powstanie góry, które to oba zjawiska możemy badać, cofając się w łańcuchu przyczynowym do coraz dalszych ogniw; w ten sposób otrzymamy dwa szeregi przyczynowe

z których każdy z kolei składa się z wielu podrzędniejszych szeregów i jest bardzo skomplikowanym skutkiem. Przy-
puśćmy jednak, żeśmy zdołali oba te szeregi objaśnić przy-
czynowo z należytą dokładnością; nie wystarcza to oczywi-
ście do zupełnego objaśnienia zjawiska: nie na każdej gó-
rze leżą muszle i nie każda muszla leży na górze; dwa te
szeregi rozwijały się niezależnie od siebie w ciągu wieków,
a jednak zbiegły się we wspólnym skutku: obecności pew-
nych muszel na pewnych górach. Tę zbieżność szeregów,
tę zgodność pewnej liczby zjawisk poprzednich z przyszłym
zjawiskiem także wyjaśnić należy. Fakt, że pewna muszla
leży na pewnej górze, jest skutkiem, któregooby nie było,
gdyby w jednym szeregu nie było całej historii rozwoju
muszel morskich, w drugim zaś szeregu — wyniesienia się
nad poziom morza tej części ziemi, na której pewna muszla
powstała. Czy więc i tu powiemy, że przyszłość wpływała
na przeszłość i tak pokierowała oba niezależne od siebie
szeregi, aby się one zbiegły w tym wspólnym skutku? Nie,
gdyby chodziło o wykrycie przyczyny tego spotkania się
dwu niezależnych od siebie szeregów, co najwyżej po-
wiemy, iż trzeba się zwrócić do jakiegoś dalszego układu
warunków, do jakichś ogólniejszych praw, które nam wyjaś-
nią, jak dwa wymienione szeregi zjawisk koniecznie przy-
brać musiały te mianowicie kierunki, które dany skutek
wytworzyły. To samo da się powiedzieć o każdym innym
złożonym zjawisku: pojęcia zjawiska lub pojedynczego sze-
regu przyczynowo powiązanych zjawisk są względne; za-
leży to od tego, czy w danych okolicznościach umysł nasz
ujmuje coś konkretnie, jako całość w sobie skończoną. Wła-
ściwie jednak każde zjawisko i każdy szereg, gdy je pod-
damy analizie, rozdziela się na części składowe, a chociaż-

byśmy każdy ze składowych szeregów po osobno potrafili przyczynowo objaśnić, to pozostanie jeszcze jakaś koordynacja tych części w ich wspólnym skutku, którejby nie było, gdyby jakieś specjalne przyczyny nie skierowały pojedynczych szeregów tak a nieinaczej. Ponieważ zaś Janet powiada: „*La coordination la plus simple implique déjà que l'idée du tout précède celle des parties*“¹⁾, więc ten sam autor przyznaćby musiał, że wszędzie, gdzie tylko mamy do czynienia ze zbieżnością pewnej liczby szeregów zjawisk w jednym skutku, trzeba specjalnie badać przyczyny tej zbieżności. Rzecz więc jasna: wszystkie bez wyjątku złożone zjawiska zostają w tym samym stosunku do zasady przyczynowości, — wszędzie trzeba wyjaśnić przyczyny części składowych i przyczyny ich zbieżności w jednym skutku, który umysł nasz, dla jakichbądź powodów, ujmuje, jako skończoną w sobie całość. *)

Na to można odpowiedzieć jednym tylko zarzutem i w nim tkwi rdzeń kwestji całej: takie zjawiska, jak obecność muszel na górach, jak uderzenie piorunu w opokę, nie są tej natury, iżbyśmy mogli przypuszczać, że komukolwiek zależeć mogło na osiągnięciu takiego lub innego skutku, gdy tymczasem takie uszykowanie się warunków, dzięki któremu dany organizm może powstać i utrzymać się przy życiu, ma widoczny sens, zostaje w widocznym stosunku do tego, cośmy zwykli za cenne uważać, do czego przywiązujemy wartość praktyczną. Podział Janeta zjawisk na kategorie, z których jedna podlega zasadzie zgodności mechanicznej, druga zaś zasadzie zgodności teleologicznej, opiera się wprost na tym, że do jednych zjawisk nie przywiązujemy żad-

¹⁾ *Les causes finales*, 292.

nej ceny, żadnej wartości praktycznej, gdy tymczasem do innych ją przywiązujemy; opiera się, innymi słowy, na stosunku zjawiska do oceny subiektywnej. Tam przyszłość uwarunkowuje przeszłość, tam idea całości poprzedza części, gdzie przyszłość ta albo całość z naszego stanowiska zasługuje na to, aby do niej dążyć, aby ją za cel sobie stawić.

„Jeżeli istnieje zasada przyczyn celowych — powiada Janet ¹⁾ — to polega ona przecież nie na twierdzeniu, że są cele, lecz powinnyaby nas ona objaśnić, po czym się poznaje cel i czym się różni cel od skutku“. Jakież więc obiektywne cechy podaje Janet, na zasadzie których dałoby się w każdym oddzielnym przypadku orzec, czy dane zjawisko powstało w drodze przyczynowości mechanicznej, czy celowej? Na to odpowiedź brzmi: „Poszukiwane kryterjum przyczyn celowej stanowi zgodność teraźniejszości z przyszłością, uwarunkowanie przez tę tamtej“ ²⁾. Ale, co daje nam prawo orzekać, że tu przeszłość czy teraźniejszość została uwarunkowana przez przyszłość, ówdzie zaś nie? Na jakiej wreszcie zasadzie możemy wyrokować, że w jednym razie zgodność pewnej liczby poprzedzających zjawisk z pewnym zjawiskiem następnym, jako wypadkiem, istnieje; drugi raz, że tej zgodności niema? Takich cech podaje Janet trzy: im częściej spotykają się ze sobą pewne szeregi przyczynowo powiązanych zjawisk w jednym skutku; im bardziej komplikują się zjawiska, zgodnie do danego skutku wiodące; im bardziej wzrasta liczba stosunków, łączących poprzedzające zjawiska ze zjawiskiem końcowym, — tym bardziej wzrasta prawdopodobieństwo przypuszczenia, że dany przebieg zja-

¹⁾ Loc. cit. 14.

²⁾ Loc. cit. 52.

wisk został uwarunkowany przez przyczynę, w której przyszłe zjawisko było idealnie reprezentowane, że przyszłość oddziaływała tu na teraźniejszość, że mamy do czynienia z przyczynowością celową.

Śmiem twierdzić, że powyższy probierz celowości jest niedostateczny, że, na zasadzie cech wskazanych, celowość, jako fakt nigdzie stwierdzić się nie da, bo i w przyczynowym porządku także zgodność zjawisk poprzednich, jako warunkujących, ze zjawiskiem następnym, jako uwarunkowanym, jest konieczną; bo, jakkolwiek częstym będzie spotykanie się szeregów przyczynowo powiązanych zjawisk, jakkolwiek zawiłą będzie komplikacja zjawisk zgodnych, jakkolwiek wreszcie liczne będą stosunki, łączące zjawiska poprzednie ze zjawiskiem końcowym, — dopóki nie zdołamy wykazać jakiejś pozytywnej cechy, na mocy której moglibyśmy stwierdzić obecność tak odrębnego faktu, jak celowość, dopóty zawsze można będzie przypuszczać, że częstość, komplikacja i ilość łączących stosunków w danym razie są jeszcze niedość wysokie, aby tracić wszelką nadzieję, że je kiedyś wytłumaczyć zdołamy za pomocą przyczynowości sprawczej. Celowość ma być faktem zupełnie od przyczynowości odrębnym, nie zaś stopniem tylko tej ostatniej. Otóż cechy rzeczzone są ilościowo tylko względne; różnica zaś oparta na względności ilościowej może posłużyć do wyróżnienia odmian tego samego faktu, ale nigdy do stwierdzenia zupełnej jakościowej odrębności. W żadnej nauce różnice ilościowe nie dały możliwości stwierdzić istnienia zupełnie jakościowo odrębnego faktu.

Ale i z innej strony probierz celowości podany przez Janeta okaże się chybionym. Miljony umysłów nie wahały się i dotąd nie wahają uważać potopu za zjawisko celowe,

choć te same umysły nie wątpiły, że zjawisko to było unikatem; tę samą skłonność do celowego tłumaczenia porządku rzeczy zawsze zdradzał człowiek wobec zjawisk rzadkich, fenomenalnych i w silnym stopniu oddziaływających na interesy jednostek lub ogółu, jak trzęsienia ziemi, niszczące wybuchy wulkanów, zarazy i t. p. Opinji filozofa francuskiego nie popiera nawet analogja z celowymi czynnościami człowieka; tam bowiem niekoniecznie częstość, komplikacja i ilość łączących stosunków rozstrzyga o celowości, lecz, albo bezpośrednia wewnętrzna obserwacja, albo świadectwo doświadczenia poprzedniego, że zawsze skutki pewnego rodzaju są wypadkami działalności celowej. Czy skutek tak będzie rzadki, jak Madonna Sykstyńska lub dramaty *Shakespeare'a*, czy tak rzadki, prosty i małą ilością stosunków powiązany z poprzednimi zjawiskami, jak wybryk *Herosta*, zawsze skutki te uznamy za celowe, ilekroć się okaże bezpośrednio lub pośrednio, że je uwarunkowały wyobrażenia celowe człowieka.

Dodać należy, iż każdy wogóle skutek jest wypadkiem zgodnego skomplikowania zjawisk poprzednich; że zawsze zjawiska, które uważamy za warunki, łączy ze zjawiskiem końcowym czyli skutkiem taka właśnie ilość stosunków, jaka, ze względu na ilość wchodzących części składowych, jest konieczna; wzrost bowiem ilości stosunków, łączących zjawiska poprzednie z następnymi, zarówno jak wzrost komplikacji, zależy nie od obecności czynnika celowego, lecz od ilości wogóle czynników, które uwarunkowały powstanie danego zjawiska.

Względna częstość zjawiska uszła u *Janeta* za obiektywną cechą celowości, jak się wyżej przekonamy, dlatego, że nie analizuje on pojęć, że nie jest wolny od błędnego po-

jęcia przypadku, który według przypuszczenia autora ma tłumaczyć rzadkie zbiegi okoliczności, ale niedostateczny jest do objaśnienia tych, które się często powtarzają. Tymczasem wiadomo, iż wogóle względna częstość, z jaką się powtarzają pewne zjawiska, odgrywa ważną rolę w teorii indukcji stosowanej do wykrycia praw stałych, stałych przyczynowych zależności zjawisk, nie zaś celowego ich porządku.

Każda rzecz w przyrodzie, nawet nieorganicznej, gdy zbadamy warunki jej powstania, okaże się zbiegiem wielu szeregów zjawisk, szeregów, które się nieskończenie długo i być może niezależnie od siebie rozwijały. Skoro na końcowy rezultat będziemy się zapatrywali jako na cel, natenczas okaże się z tego stanowiska, że porządek, w jakim się poprzednie zjawiska rozwijały i szykowały w szeregi i kompleksy szeregów, zostaje w określonym stosunku do owego przyszłego skutku; i z tym skłonni będziemy twierdzić, że dany zbieg zjawisk jest celowy, że przyszłość wpływała tu na przeszłość. Nie na wszystko jednak zapatrujemy się ze stanowiska celowego, bo nie wszystko nas jednostajnie obchodzi, nie wszystko zostaje w widocznym stosunku do tego, co uważamy za cenne pod jakimkolwiek względem — estetycznym lub wogóle praktycznym. Ale ocena taka jest zupełnie subiektywna; pogląd na rzecz pewną zależy nie tylko od jej własnej natury, od jej cech obiektywnych, lecz warunkuje się także przez warunki subiektywne. Sam Janet przyznaje, że ujęcie celowego porządku zjawisk jest subiektywne. Skoro zaś przyczyną celowej oceny zjawisk nie są same zjawiska, lecz ich stosunek do warunków psychicznych subjektu poznającego, więc wyjaśnienia, dlaczego jedne rzeczy wydają się nam celowymi, inne zaś nie, trzeba przede-

wszystkim szukać w subiekcie, co też w swoim czasie czynimy. Ta sama rzecz może być ceniona inaczej przez pesymistę i inaczej przez optymistę; a są usposobienia, dla których t. zw. „celowa harmonja świata“ wydaje się bezsensownym chaosem.

Tak więc jedyna podstawa, na której się Janet oparł, jedyne rzekomo rozstrzygające cechy, które nam podaje dla rozpoznawania faktu celowości, upadają zupełnie; ani podział zjawisk na kategorie i wypływające stąd wyróżnienie dziedziny biologicznej, jako specjalnej dziedziny celowości, ani rozróżnienie zasad mechanicznej i teleologicznej zgodności, — nie są uzasadnione naukowo i żadnych sposobów obiektywnego odróżniania zjawisk celowych od niecelowych nie posiadamy.

Nie podawszy cech pozytywnych samego faktu, tym bardziej nie mógł Janet gruntownie uzasadnić „prawa celowości“, które ma być indukcją z faktów. Prawem wogóle nazywamy każdy stały stosunek zjawisk, zależny od ich własności. Skoro Janet twierdzi, iż w pewnej dziedzinie przyrody panuje prawo, którego formuła brzmi: przyszłość warunkuje terażniejszość, to, albo przez to chce powiedzieć, że coś, co nie istnieje (jako przyszłe), jednak działa, czyli istnieje, co byłoby oczywistą niedorzecznością; albo znów pragnie przez to wyrazić, że ktoś posiadał lub posiada wyobrażenia celowe, kierujące przebiegiem zjawisk, i że w tych wyobrażeniach właśnie przyszłość jest idealnie zawarta. Pomijając atoli mglistość tego twierdzenia, możemy się powołać na powyższy rozbiór, w którym usiłowaliśmy dowieść, że wyobrażenia celowe nie zawierają w sobie nic przyszłego, że są tylko aktualnością, faktem terażniejszym, uwarunkowanym tylko przez zjawiska poprzedzające i obecne. Nie dosyć jednak na tym,

prawo Janeta, oprócz tej własności, iż się nie opiera na żadnym fakcie udowodnionym i że formuła tego prawa jest w sobie sprzecznością, ma tę jeszcze cechę, stanowczo wyróżniającą je z pośród wszelkich znanych praw przyrody, że nie tkwi ono we własnościach rzeczy, lecz przyczyną jego jest transcendent, bo źródłem i przyczyną celowości w świecie jest Bóg transcendentny. Powstaje stąd ta trudność niezwykła, że, oprócz prawa celowości w przyrodzie, Janet przyznaje wprost istnienie celów, jako faktów, jako idei boskich, tak iż, zamiast jednej tajemnicy, mamy w dodatku tajemnicę rozumu transcendentnego i zagadkę oddziaływania czegoś, co jest transcendentne na immanentną przyrodę. O tym jednak niżej.

Napozór bezcelowe albo i przeciwne celowości zjawiska w przyrodzie Janet usiłuje objaśnić w ten sposób, że każde zjawisko w przyrodzie jest ustosunkowane z niezmierną ilością innych zjawisk; żaden umysł skończony wszystkich tych stosunków zbadać nie może: są to anomalje rzeczywiste lub urojone, wymagane przez ogólne warunki całości¹⁾. Jest to oczywiście zupełnie dowolny optymizm; bo skoro umysł ograniczony nie jest w stanie ocenić, czy to, co się złem wydaje, nie jest złem koniecznym, albo i dobrym w ogólnym planie celowo do dobra zmierzającej całości, to i naodwrot, ten sam skończony umysł nie jest w stanie ocenić, czy to, co się nam dobrem wydaje, nie jest tylko pozorem, utudą w ogólnym planie wszechzłego. Boć w końcu trzeba znać cel ostateczny, do którego wszystko zmierza, by sądzić o celowej odpowiedniości szczegółów; ażeby ocenić, czy najwyższy i transcendentny rozum działa według planu celowo, trzeba

1) Ibid. 234.

poznać koniecznie jego plan ostateczny. Sam autor to przyznaje. Takim celem ostatecznym, według Janeta, jest „bezwzględna moralność“; ona jest „zarazem ziszczeniem i dowodem ostatecznym celowości“ (594). Widzieliśmy jednak, że z dzieła „*Les causes finales*“ nie tylko nie dowiadujemy się, czym jest owa bezwzględna moralność, lecz że autor sam zrzeka się naszkicowania ze stanowiska celowości już bodaj obrazu tej warunkowej i względnej moralności, z jaką tu śmiertelni mamy rzeczywiście do czynienia. Można wygodnie rozprawiać o celowości tego lub owego szczegółu, dopóki ze stanowiska subiektywnej oceny orzeka się, co godne jest miana celu, co zaś nie; ale skoro się nie wie, dokąd wszystko ostatecznie zmierza, a tego Janet nie wie, natenczas znikają wszelkie rękojmie, iż wszystko w całości, a więc i w szczegółach, jakąkolwiek uniwersalną wartość celową posiada.

Zatym teoria celowości Janeta, czy ją weźmiemy u jej podstaw faktycznych, czy ją mamy rozważać jako prawo przyrody *a posteriori* poznane, czy się wreszcie zwrócimy do moralności, która ma być ostatecznym dowodem, wszędzie się okazuje dogmatem, naukowo nieuzasadnionym.

Widzieliśmy już, jak dalece ks. Morawski w książce swojej „Celowość w naturze“ zbliża się do Janeta w poglądach swoich. Autor polski jednak o wiele ustępuje francuskiemu pod względem precyzji filozoficznej. Przebiegając szereg wywodów w książce „Celowość w naturze“, dowiadujemy się, że celowość nie jest ani „hipotezą“, ani „teorią filozoficzną“¹⁾; czymże więc jest ona? „Faktem, dającym się bezpośrednio ze zjawisk wyprowadzić“²⁾, „prawem meta-

¹⁾ Celowość w naturze, 6.

²⁾ Ibid., 6, 100.

fizycznym¹⁾, „dążnością natury“²⁾, atoli obok tego — „sądem, pośrednio wysnuwanym przez analogię“³⁾, „pojęciem“⁴⁾ „pewnikiem absolutnym — zasadą myśli“⁵⁾. Określ, jak widzimy, jest dość, ale jak je pogodzić ze sobą? jak pogodzić myśl, że celowość jest pojęciem urobionym na podstawie doświadczenia wewnętrznego i przez analogję stosowanym do świata obiektywnego, z innym twierdzeniem, że jest zasadą myśli, podobnie nieuniknioną, jak zasada tożsamości, lub inne zasady myślenia? Jeżeli bowiem celowość tak jest jasna i pewna, iż „nie tylko rzeczy inaczej pojąć nie można, ale łatwo pojąć, że inaczej rzeczy być nie mogą“⁶⁾, to po cóż zadawać sobie tyle mozółu nad jej dowodzeniem? Wszak zasady tożsamości lub sprzeczności nikt doświadczalnie, czy indukcyjnie, nie uzasadnia i nie dowodzi. W rzeczywistości subiektywnej, psychicznej, poznajemy tylko własne wyobrażenia celowe, jako fakt bezpośredni. Rozważając następnie stosunek, jaki zachodzi pomiędzy naszymi wyobrażeniami celowymi i doborem środków oraz osiąganymi skutkami, możemy sobie przez abstrakcję wytworzyć mniej lub więcej dokładne pojęcie celowości, jako pewnego porządku, czy ustosunkowania pomiędzy zjawiskami poprzedzającymi i następczemi, porządku analogicznego do tego, jaki widzimy pomiędzy wyobrażeniem celowym, wyborem środków odpowiednich i odnośnością tych ostatnich do celu osiąganego; wszystko to jednak nie narzuca się tak dalece naszej wła-

1) Ibid., 70.

2) Ibid., 128.

3) Ibid., 14—18.

4) Ibid., 19.

5) Ibid., 70.

6) Ibid., 70.

dzy poznawczej, byśmy nie mogli inaczej pojmować świata zewnętrznego, jak celowo, albo, według wyrażenia Spinozy, wielkiego przeciwnika teorii celowości — *sub specie finalitatis*. Owszem, możemy myśleć i myślimy o wielu rzeczach, jako niecelowych; innych zupełnie nawet nie podciągamy pod kategorię celowości; jeszcze o innych możemy się spierać, czy są celowe i w jakim stopniu. Innymi słowy: celowość zgoła nie jest taką zasadą myślenia, jak zasada tożsamości.

Wobec tego zmienia się charakter całej kwestji; bo, skoro teleologiczny pogląd na wszechświat nie opiera się na niezłomnej zasadzie myślenia, tedy nietylko staje się możliwym twierdzenie, że wszędzie w przyrodzie daje się napotykać „sposób funkcjonowania machinalny, nie liczący się z przypadkowymi zmianami, i stąd w mnóstwie przypadków działanie bezcelowe, albo też wręcz przeciwne wiadomym natury zamiarom“¹⁾, jak to ks. Morawski sam utrzymuje, lecz nadto otwiera się wolna droga do dyskusji i przytym zupełnie określonej dyskusji, którą możnaby tak sformułować: pojęcie celowości, podobnie jak każde inne pojęcie, musi mieć swoją treść i zakres. Ktokolwiek więc przystępuje do uzasadnienia lub krytyki teleologii, czyli teorii celowego poglądu na przyrodę, bezwarunkowo powinien zdać sobie dokładnie sprawę z treści i zakresu pojęcia celowości i nadto, analizując zjawiska i ich stosunki w przyrodzie, rozważyć, czy elementy, treść pojęcia celowości składające, dają się wykryć w przyrodzie; skąd już wypadnie, jak dalece zakres tego pojęcia może być gruntownie rozszerzony, jak dalece da się ono rozciągnąć do zjawisk, wszechświat

¹⁾ Ibid., 115.

składających. Tak postępuje nauka, gdy chodzi o rozciągnięcie pojęcia rośliny do wielu niższych organizmów, pojęcia demokracji lub monarchizmu do ustrojów politycznych, pojęcia rozwoju do języków; tak postępuje ona w tysiącnych przypadkach: bo innej drogi poznawania rzeczy nieznanych za pomocą znanych — niema. Albo celowość w naturze jest faktem, ponieważ można udowodnić faktyczne istnienie czynników psychicznych, zwanych wyobrażeniami celowymi, mniejsza o to, czy one pochodzą od samej natury, czy od istoty nadprzyrodzonej; albo celowość natury jest postulatem teoretycznym, który zadowalająco przyczynia się do wyjaśnienia zjawisk, w żaden inny sposób niezrozumiałych; albo celowość w przyrodzie nie istnieje. Są to wolne i otwarte kwestje i dlatego właśnie otwarte, że celowość nie jest zasadą myślenia.

Według poglądów wspólnych obu wyżej przytoczonym autorom i zarazem stanowczej większości teleologów, teleogja krótko może być zdefiniowana jako doktryna, usiłująca wyjaśnić niektóre kategorie zjawisk we wszechświecie, albo i wszechświat cały w ogólności, pod względem spostrzeżanego w nim porządku i wzajemnego ustosunkowania zjawisk, jako skutek celowej i rozumnej działalności istoty wszechmądrej, zdolnej mądre cele swoje skutecznie osiągnąć. Dla jednych istotą taką jest Bóg, który istnieje poza przyrodą, ale w sprawy tej przyrody czynnie wdawać się może,—Bóg transcendentny; dla innych jest nią duch, przenikający i ożywiający przyrodę — więc immanentny; dla jeszcze innych potrzebna jest cała hierarchja duchów, które w dziwnej harmonji i subordynacji do rozumnych celów zmierzają. Wspólną wszystkich tych poglądów cechą jest przekonanie, iż zjawiska pewne, zanim się ziściły w rzeczywistości, musiały być

owym οἱ ἔνεκα Arystotelesa, czyli dyrektywami, według których warunki rzeczywiste szykowały się w ten sposób, by reprezentowane w celowych ideach przedmioty ziścić, ową przyszłością, która terażniejszość warunkuje.

Żaden przedstawiciel doktryny teleologicznej, niezależnie od możliwych odcieni, nie odrzuca przyczyn sprawczych; przypuszcza się tylko, że przyczyny sprawcze nie wystarczają, by wyjaśnić poznawany porządek zjawisk w przyrodzie. Jeżeli świat, w którym nie byłoby nic więcej, prócz koniecznego uwarunkowania jednych zjawisk przez drugie, prócz gry działań i oddziaływań według praw stałych, nazwiemy mechanizmem, w takim razie sam mechanizm nie wytworzyłby takiego porządku świata, jaki poznajemy, gdyż w mechanizmie brak czynnika kierowniczego i porządkującego. Takim czynnikiem, który ślepy mechanizm kieruje i rozumny w nim porządek ziszcza, według zwolenników celowości, mają być przyczyny celowe. W gruncie więc rzeczy zwolennicy celowości dodają tylko nowy czynnik, dorzucają nową kategorię warunków, które wraz z innymi, w przyrodzie istniejącymi warunkami, przyczyniają się do wytworzenia pewnych skutków. Z tego stanowiska doktryna celowości w istocie swojej bynajmniej nie zawiera kwestji jakiejś odrębnej przyczynowości, bo wyraźnie przypuszcza, iż cele, spóldziałając pospołu z wszelkimi innymi we wszechświecie czynnikami, warunkują pewne zjawiska jako skutki i przeto są tylko odrębną kategorią czynników, a względnie warunków. Wobec czego doktryna celowości ostatecznie stawia tylko kwestję istnienia takiego odrębnego czynnika, jak cele, i jego stosunku do reszty czynników już poznanych, lub tych, które poznane będą. To objaśnia, jak się zdaje, dostatecznie, dlaczego przyjęcie lub odrzucenie celo-

wości w przyrodzie pod żadnym względem nie narusza pojęcia przyczyny, ani jego zastosowania teoretycznego w t. zw. prawie przyczynowości. W rzeczy samej bowiem, gdy udowodnionym zostało, że w wytworzeniu pewnego narządu, np. oka, oprócz czynników fizycznych (a), chemicznych (b), biologicznych (c) i psychicznych (d), brał nadto niezbędny udział jakiś czynnik metafizyczny, który nazwijmy „celową ideą widzenia“ (e), jak to utrzymuje właśnie Janet i większość teleologów, w takim razie przyczyną powstania oka byłoby spółdziałanie ogółu wszystkich wymienionych warunków (abcde), chociaż przez to pojęcie przyczyny pod względem treści swojej ani rozszerzone ani uszczuplone nie będzie. Gdyby natomiast udowodniona została zbyteczność lub metodologiczna nieprawowitość przyjmowania takiego czynnika, jakim ma być „celowa idea widzenia“, natenczas będziemy mieli o jeden spółczynnik, o jeden warunek mniej, ale samo pojęcie przyczyny nic zgoła nie ucierpi na tym, i to tymbardziej, że, według poglądu teleologów, sama zasada celowości w przyrodzie jest wolna, a więc przyczynowo warunkowana nie jest.

Taki pogląd na stosunek celowości do przyczynowości żadnej nie ulega zmianie, czy doktrynę celowości rozważać mamy pod jej metafizyczną postacią, gdzie celom przypisuje się byt obiektywny, względem mechanizmu świata transcendentny, gdzie cele odnoszone bywają do bytu najwyższego, jako pierwszej *przyczyny wszechrzeczy*; czy też, nie posuwając się tak daleko, zacieśnimy doktrynę celowości do szranków empirycznych, w jakich ją uznają niektórzy przyrodnicy, mianowicie do granic świata istot organicznych, czyli wprost przyznamy, że porządek świata organicznego jest taki, jak gdyby w nim działały cele, że zatył pojęcie

celowości dopomaga nam do zorientowania się w świecie organicznym, do ujęcia stosunków jego, do przewidywania albo odkrywania praw nowych. Zawsze wystąpi tylko kwestja, w jakim stopniu przyznać możemy niezbędność lub rzeczywistość nowego czynnika, raz metafizycznie, drugi raz formalnie pojmowanego, raz, jak się Kant wyraża, konstytutywnego, drugi raz regulatywnego, — ale nic więcej.

Z tego stanowiska doktryna celowości, zredukowana do swego istotnego sensu, nie przestaje być oczywiście zagadnieniem wielce poważnym; usuwają się tylko w ten sposób zawikłania, wynikające z pozornej walki przyczyn sprawczych z przyczynami celowymi, bo takiej walki niema, jeżeli tylko usunąć gminne pojmowanie przyczyny wogóle. Samo jednak zagadnienie celowości pomimo tego w dalszym ciągu należy do najtrudniejszych ze stanowiska naukowego, bo najbardziej zawiłych zagadnień, gdyż wciąga ono w swój zakres pojęcia i zagadnienia z dziedziny psychologii, teorii poznania, przyrodoznawstwa w najszerszym tego słowa znaczeniu, etyki, tudzież metafizyki i teologii. Naukowe uzasadnienie poglądu, któryby jednocześnie godził tyle odmiennych punktów widzenia i czynił zadość tak różnorodnym wymaganiom, jest zadaniem niełatwym, a być może urojonym nawet, gdyż wymagania teorii naukowej, źródła, z których nauka czerpać musi i metody, jakimi się ona posługuje, są odmienne od wymagań, źródeł i metod, mających wzięcie i powagę w różnych systemach metafizycznych lub teologicznych. W tym właśnie tkwi źródło odwiecznych i dotąd niezalutwionych jeszcze sporów o celowość we wszechświecie, podsycanych głównie przez filozofów z wolnej ręki, którzy, poczytując filozofję za rozumowanie o wszystkim na podstawie nieomylnych wyroków rozumu albo „zdrowego

rozsądku", wnoszą zamęt pojęć i metod nienaukowych nawet do nauki i prawdy jej opacznie tłumaczą. Pragnęlibyśmy w dalszym ciągu studjum niniejszego poddać rewizji ze stanowiska naukowego punkty zasadnicze tej doktryny, nie wchodząc jednak systematycznie we wszystkie jej szczegóły i konsekwencje, gdyż zaprowadziłoby to nas zbyt daleko, bez osobliwych zresztą korzyści: krytyka bowiem zasad tym samym jest krytyką ich konsekwencji.

IV.

Jednym z argumentów, któremi się zwolennicy teleologii bardzo często posługują, jako bronią zaczepną i odporną, jest „racja“, „racjonalność“, nie tylko jako cecha rozumowania, lecz jako norma w najszerszym tego słowa znaczeniu, rozciągana do obiektywnego świata zjawisk i ich stosunków. Wynika to z tego ścisłego związku, w jakim teleologia zostaje do metafizyki, albo do filozofji, która bardzo często bywa tylko odmienną nazwą tamtej. Nie bez powodu zaznaczyliśmy, iż zamiarem naszym jest poddać krytyce teleologję ze stanowiska mianowicie naukowego. Wobec charakteru, jaki dziś właśnie noszą spekulacje naukowe w tak nawet empirycznych napozór dziedzinach, jak fizyka, zdawałoby się, iż nic bardziej z prawdą się nie mija, jak zapewnienie Janeta, jakoby „nauka słusznie coraz bardziej usiłuje wyzwolić się z więzów myśli filozoficznej“ ¹⁾. Ani takie usiłowanie dziś nie istnieje, ani mu słuszności przyznać nie można, gdyby w rzeczy samej istniało.

Janet w następujący sposób odróżnia naukę od filozofji: przedmiotem nauki jest wykrycie w skomplikowanych faktach przyrody ich prostych części składowych; w świecie

¹⁾ Ibid., str. 172.

np. istot organicznych nauka powinna poza kształtami narządów i ich właściwym użyciem wykryć nadto składowe ich elementy, tudzież określić ich naturę, bądź to przez wykazanie roli anatomicznej takowych, bądź ich składu chemicznego; obowiązkiem także nauki jest wykryć istotne tych elementów właściwości. Nauka coraz bardziej usiłuje odrzucić wszelkie z góry powzięte idee i ogranicza zadanie swoje do stwierdzenia określonych stosunków pomiędzy faktami i stałymi ich warunków. Nawet przy pomocy rachunku nauka nie jest w stanie dokonać nic nad to; wszystko, cokolwiek przekracza zadanie powyższe, nie jest już nauką, lecz filozofją, „nie jest właściwie nauką, lecz myślą, refleksją — co jest czymś całkiem odrębnym“ ¹⁾. Skoro z nauki mają być wyłączone myśl i refleksja, na co się zapewne żaden z przedstawicieli nauki nie zgodzi, tedy ważną jest rzeczą przyjrzeć się, czym właściwie jest owa myśl i refleksja, któreby filozofja w wyłączne swoje posiadanie zagarnąć chciała. „Filozofja — utrzymuje Janet — i wogóle duch ludzki muszą się ograniczyć do zagadnienia, czy myśl obowiązana jest powstrzymać się od badań nad znaczeniem tego widowiska, jakie ma przed sobą; w szczególności zaś filozofja ma zbadać, jaka myśl kierowała powstaniem istot organicznych, a przynajmniej, czy jakkolwiek myśl rzeczywiście była czynna w tej sprawie“ ²⁾. Zbytecznym byłoby dowodzić, że tu znów żaden filozof ani psycholog nie zgodzą się na serjo, aby zakres czynności myślowych czy refleksyjnych mógł być ograniczony do tak ciasnego zakresu przedmiotów. Zakrawa to na zredukowanie myśli do zakre-

¹⁾ Ibid., str. 170—172.

²⁾ Ibid., str. 171.

su pojęcia „czystego rozumu“, który według Kanta ma być zdolnością operowania nad ideami tylko, jakkolwiek idee te nie są według niego wyrazem prawdy obiektywnej ¹⁾).

Myśl, refleksja, oczywiście jest organem zarówno nauki, jak filozofji, gdyż filozofja jest także nauką, która się od innych tylko przedmiotem i metodą różnić może; żadna nauka nie zrzeka się dziś posuwania się aż do najdalszych w swoim zakresie konsekwencji, których jedyną granicą w każdej danej chwili jest znajomość przedmiotu i siły poznawcze myśli; nauka bez myśli jest niedorzecznością. Przez filozofję jednak Janet prawdopodobnie rozumie wiedzę, której jedyną rękojmią jest formalny mechanizm myśli, a więc to, co dobrze jest znane pod mianem metafizyki racjonalistycznej. Może się komuś wydać paradoksem twierdzenie, że „racjonalność“ tego rodzaju była zawsze plagą nauki; a jednak cała historia nauki jest polem walk z racjonalizmem staczanych. Edward Hartmann, ów słynny filozof Nirwany, pokilkakroć w dziele swoim: *„Philosophie des Unbewussten“* powtarza, że najlepszą metodą filozoficzną jest stopniowe przerabianie gienjalnych przeczuć mistycznych na wiedzę racjonalną, i tak dalece pewny jest siebie, że nawet, gdy mu najgruntowniej wykazano z różnych stron i po wielekroć, że jego „przecucia mistyczne“ i „wiedza racjonalna“ są poprostu „nieuctwem“, pomimo tego nie stracił tryumfującego usposobienia gienjuszu. Dla

¹⁾ Z nauki Kanta rozwinął się pogląd, że rozum ma do czynienia z tym, co nadzmysłowe, wieczne i absolutne (poznanie dobra, prawdy, piękna i Boga), gdy tymczasem rozsądek obejmuje to tylko, co empirycznie jest dane. Rozum w ten sposób stał się źródłem i rękojmią poznania nadprzyrodzonego.

czego? Bo trybunałem racjonalności jest nie żadne doświadczenie lub sprawdzanie, lecz wiara niezachwiana w wewnętrzną konsekwencję myśli własnej. Następujące zdanie streszcza w sobie odrazu cały dogmat racjonalizmu metafizycznego: „Niezawodnie złożona w nas jest możliwość poznania taka, jakiej właśnie potrzebujemy“ ¹⁾).

Cechy znamienne racjonalizmu metafizycznego, o ile potrafiłszy je wydobyć z dziejów filozofji, są: pomijanie kwestji, czy pojęcia oderwane, które są przedmiotem spekulacji, zostały wytworzone metodycznie, a więc psychologicznej gienyzy tych pojęć i ich metodologicznej prawowitości, hipostazowanie pojęć abstrakcyjnych, czyli przyznawanie odpowiadających im bytów w obiektywnej rzeczywistości; uznawanie konsekwencji wewnętrznej, logicznej konsekwencji w powiązaniu danych pojęć i sądów za jedyną i dostateczną rękojmnię prawdziwego poznania rzeczywistości obiektywnej; wreszcie dążność do zredukowania wszystkiego do jedności rozumowej, przez rozciąganie praw i zasad, wysnutych z doświadczenia podmiotowego, psychicznego, na całość wszechświata ²⁾).

Jeżeli pojęcie racjonalności ma jakieś poważne znaczenie, to oznacza ono tylko formalną konsekwencję rozumowań naszych, formalną ich zgodność z przepisami logiki. W tych wyłącznie granicach racjonalność jest ważną, niezbędną i rozstrzygającą. Należy jednak wystrzegać się dwu

¹⁾ Stan. Siedlecki. „Kilka uwag o ewolucjonizmie jako teorii filozoficznej“. („Muzeum“, Grudzień, 1886, str. 691).

²⁾ Co do tego ostatniego punktu porównaj H. Siebecka „*Die metaphysischen Systeme in ihrem gemeinsamen Verhältnisse zur Erfahrung.*“ (*Vierteljahrsschrift für wissenschaftliche Philosophie*, 1878, zes. I, str. 1—17 i zes. II, str. 150—187).

bardzo rozpowszechnionych błędów: nie łudzić się, jakoby samo rozumowanie racjonalne mogło być wystarczającym dowodem jakiegokolwiek obiektywnej, faktycznej rzeczywistości i nie przypisywać praw logiki przyrodzie.

Aparat nasz logiczny, albo mechanizm rozumowy koniecznie musi operować na pewnej treści doświadczalnie zdobytej. Rozum logicznie działający wszystko, jak młyn, przemiele, co się do kosza wsypie; ale nie dziwny się, jeżeli, wsypawszy plewy zamiast ziarna, w rezultacie otrzymamy również plewy przemielone, nie zaś mąkę. Niejednokrotnie już zwracano uwagę tych, którzy są nader pochopni do zastosowywania formuł matematycznych wszędzie, gdzie się da otrzymać cyfry jakies, że, zanim się zastosuje odpowiednią formułę matematyczną, należy wprzód materiały faktyczny odpowiednio opracować i trafnie postawić pytanie, uwzględnwszy własności rzeczy i ich rzeczywiste stosunki. Pomimo tego statystycy do swoich tablic cyfrowych, podobnie jak psychofizycy do swoich protokołów eksperymentalnych, zawzięcie i z pośpiechem stosują formuły matematyczne i temu oczywiście przypisać należy, iż, pomimo ogromu włożonej dotąd pracy, wypadki są mniej niż skromne. Jest to racjonalizm matematyczny, w istocie swojej tyleż warty, co racjonalizm logiczny, gdy się nie zważa na wartość materiału, jakim rozporządzamy. Skoro Platon wychodzi z założeń, iż koło i kula są najdoskonalszymi formami geometrycznymi, tudzież, że Bóg, tworząc świat, musiał go stworzyć najdoskonalszym pod względem formy, to wniosek, że ciała niebieskie zataczają drogi koliste i że ziemia ma kształt kuli geometrycznej, jest zupełnie racjonalnym. Niemniej miał rację ojciec kościoła Ambróży, gdy, wychodząc z założeń, iż wszystko we wszechświecie jest celowe, oraz

że dźwięk jest czymś w rodzaju płynu, który się przez ucho do duszy przesącza, dowodził, że brud nagromadzający się w uszach jest rzeczą celowo wielce pożyteczną, albowiem zatrzymuje w sobie głos dochodzący do ucha, przez co ułatwia odbieranie wrażeń dźwiękowych i utrzymywanie ich w pamięci ¹⁾. W pierwszym przypadku stwierdzono fałszywość wniosku, w drugim fałszywość przesłanek; ale racjonalność bynajmniej nie uratowała od upadku obu tych konstrukcji logicznych. Taksamo ma się ze wszystkimi spekulacjami na temat wszechświata, gdzie zaufano dowodowej sile samego racjonalizmu.

Na każdym kroku teleologowie, i na ich czele Janet, uciekają się do racjonalistycznych spekulacji, które potępiłszy wyżej. Zastanawiając się nad celowością narządów oddechowych, Janet pisze: „Rzecz całkiem oczywista, że zwierzę, żyjące w wodzie, mogłoby oddychać powietrzem tylko pod warunkiem, iż głowę będzie wciąż trzymało ponad wodą; co byłoby *sprzeczne* z zachowaniem zwierzęcia, skoro przypuścimy, iż żywność może ono znajdować tylko w wodzie“. Wobec tego natura obdarzyła zwierzęta lądowe płucami, zaś wodne — skrzelami ²⁾. Atoli, wbrew rozumowaniom teleologa, przyroda dopuściła się bardzo wielu tego rodzaju sprzeczności, gdyż istnieje bardzo wiele zwierząt i ptaków wodnych, które, pomimo, iż żywność swoją jedynie znajdują w wodzie, jednak oddychają płuca-

¹⁾ Cyt. u Zöcklera: „*Geschichte der Beziehungen zwischen Theologie und Naturwissenschaft*“, str. 109. Także liczne tego rodzaju fakty zebrał prof. Fritz Schulze „*Entstehungsgeschichte der Naturverachtung*“ „*Kosmos*“ herausg. von Dr. Ernst Krauze, 1879, str. 245—347, 409—421.

²⁾ *Les causes finales*, 107.

mi, jak również naodwrot, są ryby, oddychające skrzelami, pomimo iż polują na owady nad wodą. Tworząc ptaka, przyroda, zdaniem J a n e t a, który się w tej mierze powołuje na opinię S t r a u s s a D u r c k e i m a ¹⁾, miała tak rozumować: należy dać okrycie ciała ptaka, w ten jednak sposób, by nie powiększyć wagi jego i nie utrudnić przez to lotu. Lekki włos nie byłby dostateczny dla utrzymania stałej temperatury ciała, gęsta zaś sierść uniemożliwiłaby lot; wypada więc pokryć ptaka piórami, które zarazem powiększą powierzchnię skrzydeł, nie przysparzając zbyt wagi. Mniejsza o to, że są ptaki pokryte pierzem, które wcale nie latają, że są zwierzęta latające z niezwykłą szybkością, jak nietoperze, a jednak pokryte włosiem: J a n e t pomimo tego twierdzi, iż przyroda postępowała sobie przy rozwiązaniu powyższego zadania, jak geometra-analityk ²⁾, chociaż oczywiście dowieść tego nie potrafi. W innych znów przypadkach J a n e t teleologiczne dowody swoje formułuje na wzór wniosków warunkowych: „Jeżeli stwórca przyrody chciał, ażeby ptaki latały, to cóż mógł zrobić lepszego, jak obdarzyć je skrzydłami“? ³⁾. Rozumie się samo przez się, iż odpowiedź na podobne pytanie jest niemożliwa, bo nie znamy granic potęgi tego stwórcy i przeto nie wiemy, co by lepszego mógł on zrobić; istniejące zaś warunki aerostatyki, do których się w różnym stopniu przystosowują istoty latające, nie podlegają ocenie ze stanowiska doskonałości, bo są jedyne istniejące i znane nam z doświadczenia; żadnych innych wymyślić nie potrafimy. „Jeżeli przyroda — mówi gdzieindziej J a n e t — chciała zbudować serce skurczliwe, to czyliż nie jest

1) *Théologie de la nature*, t. I, str. 257.

2) *Ibid.*, 50.

3) *Ibid.*, 177.

oczywistym, iż musiała ona użyć do tego tkanki skurczliwej i czyliż nie byłoby dziwnym w wysokim stopniu, gdyby było inaczej“? ¹⁾). Że przyroda, chcąc stworzyć serce skurczliwe, stworzyła je skurczliwym, jest to tautologia, o której również nic powiedzieć nie można pozatym, o ile ona jest stwierdzeniem faktu. Coby naturze na tym zależeć mogło, aby wytwarzać mianowicie takie warunki, wśród których serce skurczliwe byłoby niezbędne, i czy wogóle ona cze-
gokolwiek chcieć może, tego nie wiemy.

Tego rodzaju jałowa djalektyka wypełnia stanowczo dwie trzecie książki *Janet a*; żaden jednak fakt w ten sposób wyjaśniony nie został; wiedza nasza nic na tym nie zyskała. *Janet* bierze zazwyczaj fakt powszechnie znany, np. stosunek danego narządu do danej czynności i dodaje do tego formułę teleologiczną, orzekającą, iż dana czynność była celem, którym się kierowała przyroda lub Bóg przy kształtowaniu odpowiedniego narządu. W ten sposób fakt pozostaje faktem, a wszystko, co do niego dodano, tajemnicą, której rozstrzygnąć niepodobna. Gdzie chodzi o ogólniejsze cele i prawa przyrody, tam *Janet* odnosi je bezpośrednio do Boga; gdzie zaś o szczegóły ze świata biologicznego, tam występuje uosobienie przyrody; gdyż, jak zapewnia nas autor, „rzeczą jest niewątpliwą, że stosowniej jest, aby Stwórca rzeczy działał według praw ogólnych, niż aby się wdawał w każdy szczegół zosobna“ ²⁾). Tego samego zdania w tym względzie jest ks. *Morawski* i nie ulega wątpliwości, iż obaj autorowie mieli swoje racje twierdzenie takie wygłosić; co prawda, są inni, według których Bóg wdaje się

¹⁾ *Ibid.*, 178.

²⁾ *Ibid.*, 221.

w każdy szczegół specjalnie; ci zarzucają zwolennikom powyższego poglądu: „Być może, że są umysły, którym się zdaje, że takie pojęcie bóstwa jest wystarczające, ale to chyba owoc bezmyślności“¹⁾; oni także muszą mieć swoje racje, ale to pewna, że poważnie mówić o tym, co ma być bardziej dla Boga „stosowne“, jest istnym niepodobieństwem, o ile twierdzenia nasze mają mieć jakąś wartość naukową.

Ilustracji do tezy racjonalistycznej w książce „Celowość w naturze“ znajdujemy także aż do zbytku; tu zadowolili się możemy przykładem typowym, który ma tę jeszcze zaletę, że autor sam bezpośrednio nazywa go „racjonalnym“²⁾. Idzie o to, czy inne ciała niebieskie, oprócz ziemi, zamieszkane są przez istoty żywe, innymi słowy, o tak zwaną wielość światów zamieszkałych. Przystępując do tej kwestji z czystym aparatem logicznym, możemy racjonalnie i zupełnie prawnie postawić ten tylko dylemat: ciała niebieskie albo są zamieszkałe, albo nie są; nic trzeciego w tym względzie być nie może. Posługując się samymi prawami myśli, nie możemy ani krokiem dalej postąpić. Dla nauki, której chodzi tylko o wiedzę prawdziwą, co znaczy — bezpośrednio lub pośrednio sprawdzalną, jest rzeczą zgoła obojętną, która z dwu alternatyw okaże się prawdziwą: aby się na tę lub ową stronę przychylić, trzeba koniecznie faktów bezpośrednio lub pośrednio znanych. Tak się ma rzecz z nauką; ale dla ks. Mora wskiego z góry już znać nie jest obojętnym, która alternatywa okaże się uza-

1) Siedlecki, loc. cit., str. 689.

2) Należy tu zauważyć, że ze stanowiska analogji antropomorficznej za najdoskonalszego działacza uważamy takiego, który się wdaje we wszystkie szczegóły w przeprowadzeniu dzieła swego.

sadniona; bo chociaż zgadza się wyraźnie, że przyjęcie tezy, iż inne światy są zamieszkałe, w niczym nie sprzeciwiałoby się poglądom jego na celowy stosunek wszechświata do człowieka i przez człowieka do Boga; to wszakże widocznie woli drugą alternatywę, według której światy nie mają mieszkańców: jakoż usiłuje zbudować hipotezę, któraby racjonalnie pogodziła niezamieszkalność światów z jego poglądem teleologicznym. Nauka po to buduje hipotezy, by wyjaśnić pewne fakty i ich stosunki do innych faktów na podstawie wiedzy poprzednio zdobytej. Rękojmią wartości hipotezy jest jej zgodność z wszelkimi dotąd znanymi faktami danej kategorii; nadto, hipoteza nie powinna zostawać w sprzeczności logicznej z żadną z przyjętych już hipotez lub teorii, o ile te nie okażą się fałszywymi i musi się sprawdzać na wszystkich w dalszym ciągu spostrzeganych faktach tej samej kategorii. W kwestji wielości światów zamieszkałych nauka rozporządza nader szczupłym zasobem faktów znanych pośrednio; zaś przeciw tezie wielości światów zamieszkałych niema nawet cienia dowodu; bo fakt, że na wielu ciałach niebieskich napotykamy warunki, które nie pozwalają przypuszczać tam istnienia takich organizmów, jakie napotykamy na ziemi; fakt bardzo prawdopodobny, że temperatura na powierzchni Merkurego musi przenosić temperaturę wody wrzącej przy normalnym ciśnieniu atmosfery ziemskiej; temperatura zaś Urana lub Saturna pod równikiem jest niższa od punktu marznięcia, — fakty te nie dowodzą bynajmniej, że nie mogą istnieć w tych warunkach inne, nieznanne nam formy życia. Natomiast wyniki badań astrofizycznych dostarczają nam wskazówek, że warunki niektórych innych ciał niebieskich, jak np. Marsa, są nader zbliżone do naszych ziemskich; skąd jedyny tylko prawo-

wity wnioski, że na ciałach tych obecność istot żywych byłaby możliwa, gdyby nic nad to nie stało temu na zawadzie. Ale na tym nader skromnym wniosku i koniec tymczasem; bo nie znamy warunków powstawania istot żywych na ziemi i przeto nie możemy zgoła sądzić o tym, czy powstanie istot żywych na innych ciałach niebieskich jest w jakimkolwiek stopniu prawdopodobne. Jeżeli Huyghens¹⁾ odwołuje się do „racji“ i twierdzi: podobnie jak anatomizując ciało psa, mogę analogicznie wnioskować o ciele świni, wołu, lub innego zwierzęcia podobnego wogóle kształtu, że i tam znajdę też same jelita, żołądek, serce, płuca, w odpowiednich pozycjach, tak również, spostrzegając podobieństwo pomiędzy planetami w wielu względach, słusznie możemy wnioskować, iż one okażą się podobnymi i pod innymi względami, — to oczywiście w twierdzeniu tym Huyghens nieprawnie rozciąga analogję do warunków życia, o które mu chodzi, gdyż w owym czasie nic jeszcze nie wiadano o fizycznych, chemicznych i meteorologicznych warunkach na ciałach niebieskich, a bardzo jeszcze niedokładnie znano warunki życia na ziemi. Ten sam po nim błąd popełnił Fontenelle, Laplace i wielu innych, aż do nam współczesnego Flammariona, pomimo że fizyczne i chemiczne warunki ciał niebieskich dziś w pewnej mierze są już znane. Osławiony dowcip Voltaire'a, w którym przyrównywa zwolenników wielości światów zamieszkałych do człowieka, utrzymującego, iż skoro pchły są na nim, więc powinny być na wszystkich ludziach, jest poważniejszą, niż się z pozoru zdawać może. Stąd wszakże nie wypada aby słuszne było często napotykaną twierdzenie, że ni-

¹⁾ Huyghens: „*Cosmotheoros*“, 1699, str. 17.

gdy nie zdołamy rozstrzygnąć zagadki powyższej, bo i n to brak nam dowodów ¹⁾). Niemasz faktów—niemasz hipotezy.

Wszystko to jednak nie zraża ks. Morawskiego do wyracjonalizowania czegoś, co hipotezą nazywa: Bóg, zamierzając stworzyć świat dla człowieka, zaczął od tego, iż stworzył niezmierzone masy materji kosmicznej o pewnych dowolnie obranych własnościach, poczym rozpoczęły się próby. Po wielu a wielu chybionych usiłowaniach udało się nareszcie wyciosać ziemię maluczką, która jakoby zamierzonemu celowi odpowiada. Niechże kto wynajdzie lep-

¹⁾ Piękną naukę w tym względzie przekazał nam mimowolnie Aug. Comte, który w r. 1834 pisał: *) „*Nous concevons la possibilité de déterminer leurs (des corps célestes) formes, leurs distances, leurs grandeurs et leurs mouvements, tandis que nous ne saurions jamais étudier par aucun moyen leur composition chimique, ou leur structure minéralogique, et à plus forte raison, la nature des corps organisés qui vivent à leur surface*” (*Cours de philos. positive*, II, 6). Rzecz prosta, iż racjonalizm Comte'a opierał się w tym razie na niewiedzy, gdyż nieznanym mu był fakt, że Wollaston w 1802 r., a Fraunhofer w 1815 r. już obserwowali ciemne linje widma, że w 1833 r. Brewster dowiódł, iż linje te zależą od przechodzenia promieni świetlnych przez środowisko. Te zaś odkrycia, o których Comte mógł być już wiedzieć, prowadziły do innych, których w kursie swoim uwzględnić nie mógł, do wielkich odkryć Foucaulta w 1849 r. i Kirchhofa w 1859 r., które faktycznie kłamały racjonalistycznej tezie Comte'a, że chemicznych warunków ciał niebieskich nigdy poznać nie zdołamy. Tenże *) Aug. Comte orzekł, że badanie pozytywne organizmów powinno się zatrzymać na badaniu tkanek i uważał za chimeryczne wszelkie próby badania komórek, z których się tkanki składają, chociaż próby takie robiono już za jego czasów i z zupełnym powodzeniem. (*Cours de phil. posit.* t. III, str. 369 i 372).

szą ilustrację do słynnego wiersza Horacego: *Parturiunt montes — nascetur ridiculus mus!* Reszta światów, te ogromy, „którym niemasz miary“ — to próby chybione, „kwiaty zwiędłe w zawiązku“, „wióry odpadłe przy ciosaniu ziemi“ — na mocy niesłyszanego „prawa elekcji“ (143), które ma na tym polegać: skoro natura (resp. Bóg, str. 172), chce użyć jakiegoś środka, wprzód oczywiście celowo stworzonego, ale „mało do celu uzdolnionego“, wtedy — „zastępuje nieudolność mnogością“ i wytwarza miljarady istot, z których tylko drobna cząstka cel zamierzony iśći ¹⁾. Prawo to elekcji a zarazem rozrzutności każe nam autor do tego racjonalnie godzić z innym przez scholastyków wymyślonym „prawem oszczędności“ w naturze — *lex parcimoniae* (133).

Ponieważ zgodnie z teleologami wogóle autor nasz raz po raz twory i urządzenia przyrody przyrównywa do maszyn i wyrobów człowieka i z analogji tej czerpie rękojmię argumentacji swojej, więc nie od rzeczy będzie rozejrzeć się tu nieco w tej argumentacji, chociaż systematyczniejszą jej ocenę znajdzie czytelnik niżej.

Z książki „Celowość w naturze“ nie widać, jaki jest stosunek świadomości do ogólnej dynamicznej ekonomji przyrody i skąd się ta świadomość bierze; ale to pewna, że,

¹⁾ „Gdyby człowiek, który chce upolować zająca, puszczał miliony wystrzałów na wielkim błoniu we wszelkich kierunkach; gdyby dla dostania się do zamkniętego pokoju skupował tysiącami najrozmaitsze klucze i próbował każdego; gdyby dla posiadania domu wybudował całe miasto i zbyteczne domy pozostawił na pastwę wiatrom i burzom — nikt zapewne nie nazwałby go działającym dla celu, a jeszcze mniej możnaby było domniemywać się jakiejś wyższej mądrości, ukrytych zasad i rozmyślnej przezorności pod takim postępowaniem“. (Fr. Alb. Lange: *Historja materjalizmu*, Warszawa 1881, t. II, 243).

według autora, świadomość jest naczelnym celem życia zwierzęcego. Otóż Helmholtz a po nim inni wykazali doświadczalnie, że tylko $\frac{1}{5}$ całej energii wytwarzającej się w ciele ludzkim przez utlenianie się pokarmu (węgla, wodoru, azotu) zużywa się na pracę zewnętrzną; pozostałe $\frac{4}{5}$ całej energii są niezbędne dla wytwarzania ogromnej ilości pracy wewnętrznej, dla podtrzymania organizmu potrzebnej, jak np. na ruchy serca, płuc, na podtrzymanie pewnej normy ciepła zwierzęcego i t. p. Ta praca zewnętrzna—są to ruchy, umożliwiający w ogólności odżywianie i samoobronę: więc zdobywanie i przeżuwanie żywności, zmianę miejsca, dźwiganie ciężarów i t. d. Wszystko to są rzeczy oczywiście celowo podrzędne, warunkujące i umożliwiający rozwój świadomości, o którą ostatecznie chodzi. Ileż tedy maszyna, zwana ciałem ludzkim, może wytwarzać siły bezpośrednio do celu stosowanej, skoro takie masy tej siły muszą być zużywane na samo tylko podtrzymanie maszyny? Co prawda, słusznie zauważył Armstrong w swojej prelekcji „O maszynach parowych“: „Ilość pracy, wytwarzanej przez żywą maszynę z danej ilości opału, zawstydzają maszyny parowe“; tak samo Moleschott zwraca uwagę: „Praca maszyny ciała ludzkiego może osiągnąć piątą część mechanicznego równoważnika ciepła wytwarzanego, gdy tymczasem inne maszyny osiągają zaledwie połowę tego rezultatu“¹⁾. Należy jednak uwzględnić tę kardynalną w tym razie okoliczność, że w maszynach parowych celowo uwzględniamy tę tylko pracę, która dla nas jest pożyteczna, której od pewnej maszyny oczekujemy; gdy tymczasem, stosując ten sam celowy punkt widzenia do maszyny zwierzęcej, musi-

¹⁾ *Revue scientifique*, serja druga, t. I, str. 487—488.

my przyznać, iż wytwarza ona chyba jakąś nieskończenie małą ilość pracy celowo wartościowej w stosunku do ilości pracy, zużywanej na podtrzymanie organizmu. Właściwie, tak machina parowa, jak zwierzęca, ściśle biorąc, oddają całą siłę, jaką się do nich zastosowują, bo siła ginąć nie może; ale gdy machina parowa wytwarza pracy bezpośrednio celowej bardzo dużo w stosunku do zużytego materiału, machina zwierzęca wytwarza jej bardzo mało, jeżeli się zgodzimy, że świadomość jest celem maszyny zwierzęcej. Gdy nadto zważymy, że świadomość prawdopodobnie według autora nie jest wytworem sił materialnych, lecz jakąś emanacją odrębnej substancji duchowej, natenczas znajdziemy się naraz wobec trudnego pytania: czy wogóle jakkolwiek część pracy maszyny zwierzęcej objawia się pod postacią świadomości, tej najwyższej instancji w celowej hierarchji świata zwierzęcego?

Mechanik, któryby zbudował maszynę, zużywając chociażby 0,95 siły opałowej na pracę wewnętrzną, t. j. na tarcie, na rozgrzewanie kotłów, na funkcjonowanie regulatorów, uchodziłby za niezdarę, tak samo jak fabrykant, któryby przy produkcji marnował, nie mówię już bezmiarów, lecz chociażby 5% materiału. O ileż więc lichszym w pojęciu autora musi być budowniczy świata, który za ledwo nieskończenie drobną cząstkę materiału celowo wyzyskał, i to materiału wcale od ziemi nie gorszego; bo analiza widmowa wykryła w składzie ciał niebieskich też same znane nam z pożyteczności swojej ciała elementarne; bo wreszcie meteory, od czasu do czasu na ziemię spadające, stają się częścią składową gleby urodzajnej, a więc do podtrzymania życia zdatnej! „Twierdzić — powiada Janet — że cały wszechświat został po to stworzony, aby się zjawiło życie

na moment na jednym z najbardziej znikomych globów, to znaczy przyznawać wielką nieodpowiedniość pomiędzy środkiem i celem“¹⁾).

I to nazywa się hipoteza „racjonalna“, „nowa i śmiała“, jak ją sam autor określa²⁾). Przynajmniej *nową* hipoteza ta nie jest; bo jeszcze Arystoteles, usiłując wytłumaczyć obecność rzeczy niecelowych, przypadkowych, w celowym organizmie wszechświata, dowodził, iż przyroda, wskutek nadmiernej obfitości sił swoich, wytwarza wiele rzeczy pobocznych, *παρὰ φύσιν* czy *παραφύσιν*³⁾), niby pędy poboczne, igraszki ślepej konieczności przyczynowej, niby wióry i odpadki nieuniknione, gdy rzeźbiarz ciosa swój pomysły artystyczny z materiału, który w sobie niema żadnej wartości. Ale, na czym się ta hipoteza opiera? Co objaśnia? Co znaczy ten stwórca, tworzący masy materji niezdatnej do zamierzonego celu, a potem próbujący i chybially? Gdzie zresztą jeden choćby dowód, że tak było w rzeczy samej, albo choć jeden powód do przypuszczenia, że tak być musiało, lub być mogło? A jednak hipoteza ta niewątpliwie jest racjonalna, oczywiście ze stanowiska jej autora, skoro go zadowala: ona odpowiada jego pojęciom o Bogu, o celowości, jego wiedzy przyrodniczej wogóle; ona dopomaga mu wierzyć w to, w co on życzy sobie wierzyć. Pewna tylko, że hipoteza ta naukową nie jest, a to już w danym przypadku wystarcza.

Obawa, że czytelnik mógłby z rozumowań powyższych wysnuć niesłuszną opinię, jakobym wogóle „racjonalność“

¹⁾ Ibid., 269–270.

²⁾ Cel. w nat., 145.

³⁾ *Phys.* II, 6, i *Ethic. Nicom.* I, 4, p. 1096, ed. Becker p. 6.

potępiał, nakazuje mi zastrzec się tu raz jeszcze, że racjonalność, jako wewnętrzną konsekwencję, jako logiczną poprawność myśli, uważam za rzecz bezwarunkowo w każdym rozumowaniu nieodzowną. Wiedza prawdziwa, czyli—jak się rzekło—sprawdzalna, musi koniecznie posiadać podwójną rękojmię prawdziwości swojej: empiryczną i racjonalną. Z jednej strony musi być sprawdzalną w elementach swoich czuciowych, które są jedynym źródłem jej treści faktycznej; z drugiej zaś strony musi się formalnie, czyli logicznie godzić z prawami myśli naszej i z ogólnym zasobem nabytych już pojęć i sądów, o ile te za prawdziwe są uznane i tego samego przedmiotu bezpośrednio lub pośrednio dotyczą. Nieracjonalna wiedza za prawdziwą uznana być nie może, ale sama tylko racjonalność nigdy nie może być uznana za rękojmię dostateczną prawdy naukowej ¹⁾.

¹⁾ Dobitnie wyraził to Kant: „Co się tyczy poznania pod względem czystej formy (z pominięciem wszelkiej treści), to oczywiście, że logika, o ile podaje ogólne i obowiązujące prawidła rozsądku, w tych właśnie prawidłach musi też podawać probierze prawdy. Cokolwiek bowiem zostaje z niemi w sprzeczności, jest fałszem; gdyż w ten sposób rozsądek staje w sprzeczności ze swojemi ogólnemi prawami myśli, a więc z sobą samym. Ale probierze owe dotyczą tylko formalnej strony prawdy czyli myślenia wogóle, i w tym też zakresie są zupełnie słuszne, lubo nie wystarczają one. Jakkolwiek bowiem poznanie pod względem formy logicznej może być zupełnie poprawne, t. j. nie będzie samo w sobie sprzeczne, w każdym jednak razie może ono być sprzeczne z przedmiotem. Wobec tego czysto logiczny probierz prawdy, mianowicie zgodność pewnego poznania z ogólnemi formalnemi prawami rozsądku i rozumu, jest *conditio sine qua non*, więc negatywnym warunkiem wszelkiej prawdy, ale dalej logika posuwać się nie może i błędu, któryby tkwił nie w formie, lecz w treści, logika nie zdoła wykryć za pomocą swojego kamienia probierczego“. *Kritik der reinen*

Przedmiot każdej wiedzy jest jeden i ten sam: wszechświat w całości albo w jakiejś części jego. Wiedza, która szuka rękoma swoich w tradycjach uświęconych i popędach serca, jest religią; wiedza, która się z zasady opiera tylko na formalnej sankcji rozumu, która się zadowala, gdy jest sama z sobą w zgodzie, gdy jest racjonalna i konsekwentna — jest metafizyką racjonalistyczną; wreszcie wiedza, która te tylko tezy za prawdziwe uznaje, które się zgadzają z rzeczywistością bezpośrednio lub pośrednio poznawaną, a które w sobie są konsekwentne, i dopóty tylko za takie je uznaje, dopóki się one pod obu rzeczonymi względami sprawdzają, — jest nauką. W przedmiocie tedy różnicy niema; różnica tkwi w odrębnych metodach i w odmiennych probierzach wartości wiedzy. W ten sposób można powiedzieć, że metafizyka racjonalistyczna ze swej strony, religijne zaś systematy ze swojej, podają tezy i dogmaty swoje, jako subiektywne regulatory oceniania świata i postępowania; nauka zaś, nie wyłączając filozofii naukowej, usiłuje podać pod postacią po-

Vernunft, wyd. B. Erdmann, 1884, str. 84. W innym znów miejscu czytamy: „Sztuka sofistyczna nadawania pozorów prawdy swojemu nieucytwu, jak również swoim rozmyślnym sofistom za pomocą naśladowania metody gruntowności przez logikę wogóle przepisywanej, oraz za pomocą posługiwania się topiką logiczną w celu przyozdobienia jałowych wybiegów swoich, nazywa się dialektyką. Można tu polecić pewną i pozyteczną przestrożę, że logika ogólna, jako organon, jest zawsze logiką pozorów (*des Scheins*) czyli dialektyką. Ponieważ logika nic zgoła nie uczy nas o treści poznania, lecz jedynie o formalnych warunkach zgodności z rozsądkiem, które zresztą ze względu na przedmioty są obojętne, więc posługiwanie się nią, jako narzędziem (*organon*) w celu rozwijania i pomnażania chociażby z pozorów wiadomości swoich, prowadzi tylko do bredni, do dowolnego dowodzenia lub zbijania z pozorami prawdy byle czego“. Kant, *ibid.*, 85.

jęć i teorii swoich takie regulatory, któreby posiadały możliwie zupełną zgodność tego, co wiemy, z tym, co było, jest lub będzie. Jeżeli tedy napotykamy zarzut, że z przyrody, która jest *naturaliter christiana*, nauka dzisiejsza robi pogankę¹⁾, to śmiało odpowiadamy na to: nauka nie może być ani chrześcijańską, ani mahometańską — to rzeczą religii i kościoła; nie może być republikańską lub monarchiczną — to rzeczą władz ustawodawczych i warunków politycznych; nie może być moralną lub niemoralną — to rzeczą sumień indywidualnych i opinii publicznej. Ona musi być metodyczną: jej źródłem — faktyczność doświadczalna, narzędziem — metoda i metodycznie wytworzone pojęcia, celem — wiedza prawdziwa, to jest sprawdzalna. Tezy o milionach światów, zmarnowanych gwoli wyciosania ziemi, teologia nie przyjmie, bo się teza ta sprzeciwia dogmatom wszechmocy i doskonałości Boga; metafizyka jej się wyprze, bo znajdzie w niej wewnętrzne, formalne sprzeczności; nauka ją odrzuci, bo niczym zgoła jej udowodnić, na niczym sprawdzić nie można.

Gdy jednak my racjonalność w sensie wyżej wskazanym uznajemy za konieczny lecz nie jedyny probierz prawdziwości wiedzy, nasz teleolog właśnie w tym sensie bardzo często sprzeniewierza się racjonalności, jak to łatwo dowieść licznymi przykładami z dzieła „Celowość w naturze“ zacerpniętymi. Przeciwestawiając się materjalistom, którzy „przyczynę najwyższą“ wszechrzeczy mają pojmować mechanicznie, i panteistom, którzy ją pojmują zoomorficznie (na wzór nieświadomego instynktu zwierząt), ks. Morawski wyraźnie deklaruje się jako zwolennik w tej kwestji an-

¹⁾ Celow. w nat., str. 197.

tropomorfizmu¹⁾; na innym wszakże miejscu tym, którzy rozumieją cud i skuteczność modlitwy jako doraźne wda-
nie się „przyczyny najwyższej“, modyfikujące normalny bieg
przyrody, zarzuca: „to wszystko są wyobrażenia antropomor-
ficzne, niewłaściwie do Boga stosowane“²⁾. Otóż ze stano-
wiska logiki, tej jedynej mistrzyni racjonalizmu, antropo-
morfizm w zastosowaniu do Boga może być albo właściwy,
albo niewłaściwy; ale pod żadnym pozorem jedno i drugie,
bo dwa te sprzeczne pojęcia wyłączają się wzajemnie, zwła-
szcza u tego samego autora i w tej samej pracy. Taż sama
nieracjonalność występuje, gdy autor w kwestji nieskończo-
ności świata raz utrzymuje, że „świat ma *niezawodnie* jakieś
ostateczne granice“³⁾, innym znów razem powiada: „nie ob-
stają za absolutną niemożliwością nieskończoności świata“⁴⁾.
Niemniej zastanawiająca jest u przyrodnika-filozofa niekonse-
kwencja, która zdaje się zdradzać, iż autor niedokładnie zdaje
sobie sprawę ze stosunków dynamicznych w organizmach
żywych. Na str. 26 czytamy, że istnieje ustawiczna wymia-
na materji pomiędzy trzema królestwami przyrody, „bo życie,
zżywając żywe siły materji, tej wymiany nieustannej wy-
maga“. Dalej jednak (str. 36) czytamy: „życie ciągle zuży-
wa potencjonalną siłę pochłoniętych materiałów“. Skoro
uwzględnimy, że fizyka współczesna w nazwach: „żywej siły“
i „siły potencjalnej“ rozróżnia dwie odrębne postaci energii
i jeżeli nadto przyjmujemy, że, zgodnie z wymaganiami logiki,
w obu powyższych zdaniach terminy „życie“ i „zżywać“
zachowują tożsame znaczenie, to słusznym będzie wymaga-

²⁾ Ibid., 105.

³⁾ Ibid., 195.

⁴⁾ Ibid., 134.

⁵⁾ Ibid., 142.

nie, aby się autor zdecydował jakoś w tej alternatywie i orzekł stanowczo, czy życie zużywa potencjalną, czy żywą siłę, czy obie jednocześnie. Pytanie to o tyle jest donioślejsze, że na tym właśnie punkcie opiera się kardynalne zadanie całej książki — przedstawienie ogólnego obrazuelowego planu w przyrodzie ¹⁾. Także trudno racjonalnie po-

¹⁾ Jedynym źródłem żywych sił przez życie zużywanych, t. j. światła i ciepła, jest olbrzymia masa materji, zwana słońcem, ale nic nie wiemy o żadnej wymianie materji stąd właśnie wynikającej. Rzecz tak się ma: rośliny, czerpiąc swój pokarm z ciał względnie tak prostych, jak lotne związki węgla, amoniak, woda, wytwarzają z nich nader skomplikowane i niestałe ciała organiczne. Zwierzęta przeciwnie wymagają przeważnie pożywienia już organicznie przez rośliny albo inne zwierzęta przerobionego. Roślina żyje kosztem tych samych ciał, co i zwierzę trawożerne — białków, tłuszczów, węglowodanów — z tą jednak różnicą, że roślina przeważnie sama wyrabia sobie te ciała organiczne, gdy tymczasem zwierzę musi je koniecznie dostać już gotowe. Stąd żywienie się roślin przedstawia nam dwa procesy: proces, przygotowujący materiał organiczny i proces budujący z tego materiału komórki, tkanki, narządy; chociaż dla roślin zdaje się być rzeczą do pewnego stopnia obojętną, czy one muszą same dla siebie wytwarzać pożywienie organiczne, czy otrzymują już gotowe, czego dowodem szczepy na obcych gatunkach, owadożerne i mięsożerne rośliny oraz grzyby, które mogą wyraść zarówno na sztucznych mieszaninach mineralnych i na ciałach organicznych. Skoro roślina, tak samo jak zwierzę, potrzebuje do życia: białków, tłuszczów i węglowodanów, więc potrzebuje też ona tlenu do wewnętrznych procesów cząsteczkowych, a gdzie istnieje spalanie się tych materiałów, tam musi być wydzielanie się ciepła i strata tej żywej siły. Rośliny atoli w ekonomji świata organicznego przeważnie gromadzą zapasy energii potencjalnej kosztem żywych sił ciepła i światła, pochodzących od słońca, podczas gdy zwierzęta przeważnie tracą te zapasy energii potencjalnej, przez rośliny nagromadzonej, pod postacią siły żywej ciepła i ruchów mechanicznych, które niepowrotnie giną dla ekonomji świata organicznego. Z tego, że rośliny gromadzą zapasy

godzić twierdzenie, że „w mnóstwie przypadków działanie bywa bezcelowe albo wręcz przeciwne wiadomym zamiarom natury“ (115), z innym twierdzeniem, że wszechwiedza boska z góry przewidziała i obmyśliła celowo każdy najdrobniejszy szczegół we wszechświecie (189), że w każdym szczególe należy widzieć powody celowe, moralne, które dobroć Stwórcy na oku miała (196), że „niema nic w świecie, co by z ideą celowości i mądrości twórczej w widocznej stało sprzeczności“ (98). Jest to ważny punkt w doktrynie celowości, który, już pomijając niemożliwość jakiegokolwiek naukowego uzasadnienia, wprost ze stanowiska formalnego przedstawia niepokonane trudności. Jednak i tu w arsenale argumentacji teleologicznej znajdują się podobno dwie odpowiedzi. Po pierwsze, wybryki niecelowe pochodzą od materji, która ma być najmniej zdatnym materiałem do osiągnięcia tworów celowych. Przeciwno temu jednak występują zarzuty: materja, jako „bierna“, jest właśnie najlepszym, najbardziej podatnym dla wszelkich wyrobów materiałem, o czym właśnie świadczy przemysł ludzki; zresztą, dłaczegóż Bóg, którego *fiat* jest wszechmocne, stworzył materję tak celowo niezdatną, że może ona niekiedy celom jego wy-

energji potencjalnej kosztem żywych sił ciepła i światła słonecznego, nie wypada bynajmniej konieczność wymiany materji pomiędzy trzema królestwami, bo żywe siły słońca, dostawszy się do ekonomji życia, nie krążą potym, lecz, przeszedszy szereg przekształceń, wypromieniowują w końcu niepowrotnie dla tej ekonomji, tak iż słońce musi dostarczać wciąż nowych zapasów siły żywej, nie otrzymując nic napowrót, wbrew twierdzeniu ks. Morawskiego, że wymiana na tym polega, jakoby rośliny i zwierzęta, zużywając siły świata nieorganicznego, muszą je „napowrót mu oddawać“, zapewne aby mieć znów co stamtąd czerpać. Nie, łańcuch jest rozemknięty: życie czerpie żywe siły od słońca, ale roztrwania je, o ile dotąd wiemy, w przestworach nieograniczonych.

mykać się, a nawet je krzyżować? Atoli kwestja stworzenia materji bywa dyskretnie pomijana przez teleologów, albo uwikłana w sprzeczności nieuniknione z mądrością celowo działającą, jeżeli teleolog, podobnie jak Janet, przyznaje, iż materja jest wypadkiem opatrnościowego aktu twórczego¹⁾. Druga odpowiedź mogłaby brzmieć: niecelowość po to istnieje, aby tym dobitniej zaznaczyć celowość, przenikającą całą przyrodę, „ażeby celowość uczynić bardziej namacalną i oczywistą, podobnie jak zręczny akrobata podczas najmniejbezpieczniejszych zwrotów pozornie pada, ażeby na chwilę zaniepokoić widza i tymbardziej zadziwić go zręcznością swoją“²⁾. Nie jest to żart bynajmniej, owszem, argumentacją podobną teleologdy posługują się bardzo często³⁾, tak, na pytanie przez siebie samego postawione — dlaczego, wbrew ogólnemu planowi piękna w przyrodzie, niektóre istoty są brzydkie — ks. Morawski odpowiada: „By przez te cienie w obrazie, jak mówi św. Tomasz, wystąpiła świetność i doskonałość całości“. Ileż humorystyki w tym racjonalizmie teleologicznym!

Drugim kamieniem obrazu teleologów-racjonalistów jest

¹⁾ *Les causes finales*, 530—533. „Aucun *) effort de notre esprit ne nous permet de concevoir un phénomène naissant spontanément du néant, sans être provoqué par quelque chose d'antérieur“. Janet, *ibid.* 286.

²⁾ Janet, *ibid.*, 60.

³⁾ Św. Augustyn utrzymywał*), że Bóg w świecie dopuścił zło w tym celu, ażeby dobro jeszcze bardziej zyskało na tym. W tym sensie wygłosił on zasadę: „Contrariorum oppositione saeculi pulchritudo componitur“, zasadę, która potym odegrała wybitną rolę w teorii celowości i w metafizyce, np. Giord. Bruno albo Hegla pod mianem „Coincidentia oppositorum“.

przenoszenie praw myśli na przyrodę obiektywną, za pomocą tych praw właśnie poznana, przypisywanie światu realnemu racjonalności czyli konsekwencji rozumowej. Wszystkie spekulacje teleologiczne o przyrodzie Hartmannów, Janetów i ks. Morawskiego, to jeden ciąg złudzeń w tym kierunku. Jakim sposobem „w świecie tym panują porządek, harmonja i rozum? — zapytuje Janet¹⁾. „Materja — rozumuje on — pozostaje materją, czyli substratem, warunkiem rozwoju zjawisk; siła również pozostaje tym, czym jest, przyczyną ruchu. Ani w jednym, ani w drugim z tych pierwiastków nie zawiera się zasada rozwoju racjonalnego. Co najmniej, trzeba by dodać trzeci pierwiastek, a więc ideę, któraby była przyczyną kierowniczą, co znaczy tyleż, co zwrócenie się do doktryny celowości“²⁾. Czym jest ta doktryna, w części jużesmy widzieli, w części zobaczymy niżej; tu chodzi o racjonalizm przyrody, jeden z dogmatów tej doktryny.

Nie należy sobie wyobrażać, że teleolodzy bardzo subtelizują w sprawie przenoszenia racjonalizmu własnego na przyrodę; owszem, dzieje się to bardzo prosto, po gospodarsku: „Przyroda — rozumuje Janet — coby stworzyła zwierzę trawożerne i nie stworzyła trawy, byłaby niedorzeczna. Otóż przyroda niedopuszcila się tej niedorzeczności: stworzywszy zwierzę trawożerne, stworzyła także trawę; ukształtowała oczy i uszy, stworzyła światło i dźwięk“³⁾. Stanąwszy na tym stanowisku, możnaby wykazać, że przyroda ta dopuszcza się więcej niedorzeczności, niż aktów racjonalnych, bo zawsze i wszędzie tworzy o wiele więcej istot, które muszą ginąć dla braku warunków niezbędnych do życia, niż istot, które znaj-

¹⁾ Ibid., 416.

²⁾ Ibid., 320.

³⁾ Ibid., 267.

dują trawę gotową i uposażone są w środki do zdobywania jej sobie. Zwolennicy teleologii chętnie wypełniają dzieła swoje przykładami racjonalności przyrody w powyższym stylu i każdy znajdzie ich wielką obfitość w każdej książce, temu przedmiotowi poświęconej. Nas tu obchodzi ogólna zasada, że wszystkie tego rodzaju pseudo-fakty zwykły uchodzić za dowody, że wszechświat jest urządzony racjonalnie. Jest to najelementarniejsze złudzenie. Świat poznajemy nie sam w sobie, lecz jako ogół zjawisk i stosunków pomiędzy niemi zachodzących, przez pryzmat własnego rozumu, na zasadzie praw naszej własnej percepcji i własnego myślenia. Wiedza nasza o świecie przybiera postać takich symbolów subiektywnych, jak wyobrażenia, pojęcia, prawa przyrody, hipotezy, teorie. Cała przedmiotowa treść tych symbolów powstała oczywiście pod wpływem wypadków zewnętrznych i porządku, w jakim one zachodzą; nie dziw tedy, że, zwracając się następnie do zjawisk przyrody, znajdujemy w nich ten właśnie porządek i zależności wzajemne, które stanowią treść naszych pojęć, praw, hipotez, teorii. Chcieć z tego wysnuwać wniosek o rozumie przyrody, to znaczy, wpadać w koło błędne bez wyjścia. Nie świat jest racjonalnie zbudowany, lecz odwrotnie dowodzi to, że treść, wypełniająca nasz umysł, powstała pod wpływem zjawisk i ich porządku we wszechświecie. Ks. Morawski cytuje zdanie Naville'a, „że odkrycia naukowe wymagają racjonalnych poszukiwań, poszukiwania zaś takie suponują w duchu ludzkim jakąś z góry daną pewność, że spotka się w naturze z harmonją, jednością, racjonalnością, czyli zgodnością praw natury z prawami myśli“¹⁾). Opinia ta filozofa francuskiego bynajmniej nie po-

¹⁾ Cel. w nat. 183, cyt. Naville, *La physique moderne. Etudes historiques et philosophiques*. Przekład polski—Kraków, 1885.

twierdza słuszności podsuwania racjonalizmu przyrodzie; owszem, jest ona jednym z tych nieporozumień, których w dziejach metafizyki znajdujemy wielką obfitość; nie zwrócono tu uwagi na fakt, że każde t. zw. prawo natury jest wypadkiem oddziaływania przyrody na nasz umysł, że zatem należy rozróżnić dwa te czynniki i role ich właściwe. Skoro znajdujemy, że porządek natury zgadza się z treścią umysłu naszego, to pochodzi to stąd, że treść ta powstała pod wpływem tejże natury; jeżeli zaś znajdujemy, że prawa myślenia dają się stosować do wykrywania nowych praw natury, dowodzi to tylko, że wogóle nic inaczej poznać nie możemy, jak przez pryzmat własnego myślenia, że zatem też sama przyroda, za pomocą tego samego narzędzia poznawana, da zasadniczo analogiczne wyniki teoretyczne¹⁾. Owa „z góry dana

¹⁾ Mutatis mutandis, można się tu powołać na Kanta*): „Es ist... klar, dass die erste Bedingung, nämlich die, unter der allein Gegenstände angeschaut werden können, in der That den Objekten der Form nach a priori im Gemüth zum Grunde liege. Mit dieser formalen Bedingung der Sinnlichkeit stimmen also alle Erscheinungen nothwendig überein, weil sie nur durch dieselbe erscheinen, d. i. empirisch angeschaut und gegeben werden können. Nur fragt es sich, ob nicht auch Begriffe a priori vorausgehen als Bedingungen, unter denen allein etwas, wenn gleich nicht angeschaut, dennoch als Gegenstand überhaupt gedacht wird; denn alsdann ist alle empirische Erkenntniss der Gegenstände solchen Begriffen nothwendiger Weise gemäss, weil ohne deren Voraussetzung nichts als Objekt der Erfahrung möglich ist; demnach werden Begriffe von Gegenständen überhaupt als Bedingungen a priori aller Erfahrungserkenntniss zum Grunde liegen; folglich wird die objektive Giltigkeit der Kategorien als Begriffe a priori darauf beruhen, dass durch sie allein Erfahrung (der Form des Denkens nach) möglich sei. Denn alsdann beziehen sie sich nothwendiger Weise und a priori auf Gegen-

pewność“ stąd pochodzi, że poprzednie doświadczenie nauczyło nas, iż przyroda objawia pewne stałe przyczynowe zależności zjawisk, że nadto każdą nowonabytą wiedzę z konieczności usymbolizujemy według praw myślenia własnego. Pewność, z jaką oczekujemy, iż, poddawszy materiał faktyczny, doświadczalny, przeróbce umysłowej, otrzymamy prawo jakiejś przyrody, opiera się na jednostajności poprzednich doświadczeń; złudzenie zaś, „że się spotka w naturze racjonalność“, polega na tym, że w każdej naszej wiedzy o przyrodzie znajdujemy robotę umysłu własnego, spotykamy się z własnym rozumem. Jeżeli cechy rozumu przyjmiemy wogóle za cechy „rozumności“ czy racjonalności, to nic dziwnego, że je w wytworach naszego rozumu znajdziemy, ale źle będzie, gdy się damy uwieść pozorom i przeniesiemy je na obiektywną przyrodę.

Harmonja, jedność, racjonalność¹⁾—są to pojęcia, które powstały w umyśle naszym pod wpływem doświadczenia zewnętrznego i wewnętrznego, których jednak obiektywizo-

stände der Erfahrung, weil nur vermittelt ihrer überhaupt irgend ein Gegenstand der Erfahrung gedacht werden kann“. Kritik d. reinen Vernunft, loc. cit., str. 111.

¹⁾ Tego rodzaju *) poglądy, począwszy od pytagoresowskiej symboliki liczb aż do najnowszej fizyki, głęboki wpływ wywierały. Dość będzie tu przypomnieć filozoficzny mit twórczy platonowskiego „Timaeus“ i arystotelesowską doktrynę o doskonałości ruchu kołowego, która nie tylko na ptolomeuszowski systemat świata, lecz nawet i na Kopernika i Keplera jeszcze oddziaływała. Ostatni ślad wpływu tego spotykamy w twierdzeniu, niejednokrotnie podnoszonym przez Galileusza, które zresztą i w dzisiejszym badaniu gra pewną rolę, a mianowicie, iż natura uskutecznia wszystko przy pomocy najprostszych środków. Prostota jest pojęciem estetycznym, podobnie jak doskonałość lub piękność. Wundt. Teorja pozn. 303—304.

wać, odnosić wprost do natury nie wolno, zanim się z nich nie wydzielą tego pierwiastku, który pochodzi od naszego rozumu, naszych uczuć, pragnień i dążeń. „Zgodność praw natury z prawami myśli“ nie dowodzi racjonalności świata zewnętrznego, bo ten ani racjonalnym, ani nieracjonalnym nie jest, lecz dowodzi jedynie, „że prawa natury“ są to formuły, zbudowane według praw myśli na podstawie doświadczenia faktycznego i przeto z prawami myśli nie sprzeczne, a obiektywnej rzeczywistości symbolicznie odpowiadające.

Dla ilustracji weźmy znów jeden z wielu przykładów. Ks. Morawski utrzymuje, że proces oddychania roślin jest odwrotny od procesu oddychania zwierząt, że mianowicie „zwierzęta, oddychając, chłoną tlen, wyziewają zaś kwas węglowy;... rośliny oddychają w przeciwny sposób: chłoną kwas węglowy a tlen wydzielają“¹⁾, i na tym opiera część swoich spekulacji teleologicznych nad przyrodą. Trudno zaprzeczyć, że domniemane prawo natury godzi się najdoskonalej z prawami myśli, ale, co godne uwagi, iż wręcz temu przeciwne prawo, głoszące, że proces oddychania u roślin jest zupełnie taki sam, jak u zwierząt, — również doskonale godzi się z prawami myśli. Otóż tak się rzecz ma, że właśnie druga ta formuła, utożsamiająca oddychanie roślin z oddychaniem zwierząt, jest dziś pewnikiem naukowym, doświadczalnie stwierdzonym²⁾, i gdyby nasz „przyrodnik — filozof“

¹⁾ Ibid. 39.

²⁾ Dawniej mniemano, że rośliny oddychają kwasem węglanym i wydychają przy oddychaniu tlen. Chociaż wiadano, że rośliny w ciemności wydzielają kwas węglany i chłoną tlen, ale Dumas i Boussingault objaśniali to przesączeniem się kwasu węglanego z gruntu. Obecnie, dzięki pracom Sachsa, Hoppe-Seilera i Kl. Bernarda wiemy, że tak nie jest. Protoplazma roślinna, bezbarwne części roślin,

uważniej nieco był czytał chociażby Klaud. Bernarda, na którego się tak chętnie powołuje, toby z pewnością oszczędził sobie tego niemiłego nieporozumienia. Co prawda, nie byłby może wtedy tak odważny w swoich wywodach teleologicznych, ale zato byłby uniknął zarzutu niezajomości elementów fizjologii i nadto dowiedziałyby się nietylko, że

korzenie, nasiona posiadają zasadniczo też same własności, co i tkanki zwierzęce. Rozkład kwasu węglanego i uwalnianie tlenu ze związków węgla jest sprawą zieleni (chlorofilu). Tak samo jak zwierzę, przy oddychaniu roślina pochłania tlen i wyziewa kwas węglany; i tak samo następstwem procesu oddychania u roślin jest wytwarzanie się ciepła. (Cl. Bernard: *Leçons sur les phénomènes de la vie*, II, 141—203). Sama nawet protoplazma zieleni, jak każda protoplazma zwierzęca, żyje—wchłaniając tlen i wydzielając kwas węglany. Czynność zieleni, polegająca na rozkładaniu przy pomocy promieni świetlnych kwasu węglanego i wchłanianiu węgla, jest czynnością odżywczą, ale bynajmniej nie oddychaniem. (Cl. Bernard, *ibid.* I, 143, 150, 274. II, 220 — 240). Zresztą pamiętać należy, że istnieje również zieleń zwierzęca z właściwą sobie czynnością; ziarna tej zieleni dostrzegli Cohn, Stein, Schultze i in. u wielu pierwotniaków i wymoczków, u zwierzokrzewów i robaków: *Euglena viridis*, *Stentor polymorphus*, *Hydra viridis*, *vortex viridis*, *ascidia* i t. d. Wszakże z tym ostatnim wiąże się jeszcze kwestja t. zw. *symbiozy*. Mianowicie, prace Cieńkowskiego (1871), braci Hertwigów, węgierskiego uczonego Getza Entza (1876), Brandta, Hamanna i wielu innych dowodzą, że zieleń, w niektórych niższych organizmach zwierzęcych napotykaną, wyrabia się nie przez też organizmy, lecz przez komórki roślinne, żyjące jako oddzielne istoty organiczne, w tkankach danego żyjątku na prawach t. zw. przez de Barye'go *symbiozy*, t. j. wspólnego, wzajemnie pożytecznego pożycia. Jednakże Engelmann znalazł u żyjątku, zwanego *vorticella*, jednostajnie rozłożony barwnik zielony, który, jak tenże Engelmann dowiódł, podobny jest bardzo do zieleni roślinnej. (Engelmann: *Ueber thierisches Chlorophyll*. Pflüger's *Arch. f. Physiologie*, XXXII, r. 1883).

hipoteza racjonalna jest niezbędna, jak słusznie twierdzi Kł. Bernard, ale *czym* być powinna hipoteza racjonalna i jak dalece zgodność domniemanych praw przyrody z prawami myśli nie jest rękojmą prawdy naukowej. Świata wy-myślić nie można—trzeba go poznać.

V.

Wiele zwycięstw pozornych odnieśli zwolennicy celowości i dziś jeszcze odnoszą, strasząc przeciwników swoich—deterministów i ewolucjonistów — widmem tak zwanego „przypadku“ albo „ślepego przypadku“. Ustawiczne napaści teleologów na tych, co się odwołują do przypadku, jako do instancji, mającej wyjaśniać powstanie wogóle danego porządku rzeczy w przyrodzie, albo poszczególnych jej tworów, byłoby zupełnie na miejscu, gdyby nam wykazano, co teleolodzy rozumieją przez przypadek, a co ich przeciwnicy. Być może, że wtedy zrozumielibyśmy, w jakim stopniu przypadek może lub nie może uchodzić za obiektywny czynnik w przyrodzie lub za zasadę, wyjaśniającą porządek świata. Wtedy także okazałoby się prawdopodobnie, że teleolodzy najmniej mają prawa do robienia zarzutów z tego, do czego sami raz po raz się uciekają, w co sami wierzą: „Teoria przyczyn celowych — jak zapewnia Janet¹⁾ — bynajmniej nie zaprzecza istnienia przypadku w przyrodzie“; tylko tam, gdzie zjawisko zachodzi stale, „nie może być ono skutkiem czystego przypadku“²⁾, ale takie zjawisko, jak spadnięcie meteoru na zie-

¹⁾ Ibid. 281

²⁾ Janet, *ibid.* 37.

mię, może być dostatecznie wyjaśnione przez przypadkowe spotkanie się ziemi z asteroidem¹⁾. Innemi słowy przypadek teleolodzy przyznają tam, gdzie się decydują uznać wyłączne panowanie „ślepego mechanizmu“, materji i sił mechanicznych, materję poruszających. Obrońcy celowości twierdzą, że nie mogą zrozumieć, jak przypadek z martwej materji, z atomów o mechanicznych własnościach, może budować skomplikowane organizmy, ale natomiast dają do zrozumienia, jakoby całkiem było dla nich rzeczą jasną, jak przypadek może wytwarzać to i owo, w ogóle wszystko, co się im obojętnym lub prostym wydaje. Skądinąd w pismach ewolucjonistów biologów napotykamy częste odwoływanie się do przypadku tam, gdzie trzeba by wyjaśnić, skąd pierwotnie powstał dany zaczątek organu lub czynności organicznej, które się następnie rozwijają albo zanikają pod wpływem pomyślnych lub niepomyślnych warunków otoczenia.

Stąd można się przekonać, że jedni i drudzy niezbyt się kwapią z zapuszczaniem się w głębszą krytykę pojęcia przypadku. Teleolodzy, co najwyżej, w wycieczkach swoich przeciw „ślepego mechanizmowi“ uciekają się do rachunku, by wykazać jak dalece nieprawdopodobnym jest przypuszczenie, aby przypadek daną skomplikowaną całość mógł wytworzyć. Wzór tego rodzaju jałowych i celu chybiających zarzutów podał C y c e r o²⁾, gdy, zbijając materjalistów, według których świat miał powstać z przypadkowego zbiegu atomów materjalnych, zapytywał ich, dlaczego nie przypuszczają, iż litery alfabetu łacińskiego, rzucone na traf, mogą się tak ułożyć, że powstaną *Annales* Enniusza, albo przynajmniej jeden

¹⁾ Ibid. 33.

²⁾ *De natura deorum*, II, 37.

wiersz tego utworu. Przykład ten tułał się przez całe wieki po pismach teleologów i ich przeciwników: Tolland, Locke, Helvetius, Diderot, Holbach, zastąpili w nim tylko *Annales* przez klasycznější Iliadę; Jan Huber woli w tym razie *De rerum natura* Lukrecjusza; ks. Morawski został wierny Iliadzie. Jest to jeden z przykładów, jakie nieporozumienia powstawać mogą, gdy się nie podda pojęć krytyce należytej, jak wieki całe i pokolenia spierać się mogą o nic, o pozor tylko.

Przypuścmy, że rozebraliśmy czcionki całej Iliady, i, zmieszawszy je należycie, możemy rzucać na chybił trafił. O cóż więc chodzi? Czy o to, jakie jest prawdopodobieństwo, że za pierwszym czy którymś tam rzutem z kolei ułoży się Iliada? Prawdopodobieństwo to jest nieskończenie małe, ale matematycznie przy odpowiednich danych dałoby się wyrazić. Stąd jednak nie wypada bynajmniej, aby przypadek ułożenia się Iliady czymkolwiek różnił się od wszelkiego innego przypadku, o ile elementy pozostaną te same, od przypadku, gdy otrzymamy wierutny bezład; owszem, prawdopodobieństwo, że za pierwszym rzutem otrzymamy wszelki dowolny układ czcionek Iliady, jest jednostajnie nieskończenie małe. A jednak zawsze jakiś układ wypaść musi, który, być może, że się potym nie powtórzy przez miliony lat rzucania. Każdy taki układ ze stanowiska prawdopodobieństwa matematycznego ma zupełnie tyleż szans przyjscia do skutku, co i Iliada. Gdy się mówi o możliwych kombinacjach czcionek, nie należy wikłać takiej rzeczy, jak sens, jaki ktoś może do danej kombinacji przywiązywać, bo to jest dla rachunku kombinacji obojętne; kombinacja, odpowiadająca Iliadzie, wydaje się dlatego czymś szczególnym, że posiada ona subiektywne znaczenie, zupełnie ze względu na rachunek prawdopodo-

bieństwa obojętne. Pomimo tego jednak ks. Morawski, za przykładem innych teleologów, poważnie zapytuje: „Czemuż w takim razie nie przypuszczacie na serjo, że... Iljada takimże przypadkiem, bez niczyjej myśli powstała?”¹⁾ Dlatego, odpowiadamy, że nic nas nie nagli do niedorzecznych przypuszczeń, każde zaś nieuzasadnione przypuszczenie jest niedorzecznością. Z doświadczenia zarówno osobistego, jak zbiorowego i tradycyjnie nam przekazanego, wiemy, że poematy pisują ludzie specjalnie do tego uzdolnieni; przeciwnie zaś, żadne doświadczenie nas nie uczy, aby ktoś przez całe wieki rzucał czcionki i w ten sposób otrzymywał poematy. Innemi słowy, objaśniamy powstanie Iljady w sposób najbardziej z doświadczeniem zgodny. Wrócimy jeszcze do tej kwestji z innej nieco strony, tu zaś zanotujemy fakt, że zwolennicy doktryny teleologicznej opacznie rozumieją pojęcie przypadku, skoro się do takich rozumowań uciekają.

W życiu potocznym przypadkiem nazywamy każde zajście, o którym jesteśmy przekonani, że nie dałoby się przewidzieć, a zatem i oczekiwanym być nie mogło; przewidywanie atoli lub nieprzewidywanie jakiegoś zajścia bynajmniej nie orzeka o obiektywnej naturze samego zajścia i jego możliwych uwarunkowań; wyrazy te oznaczają oczywiście tylko nasz subiektywny stosunek do danego zajścia. Że jednak możliwość przewidywania opiera się na znajomości stałego biegu zjawisk, stałych praw przyrody, tedy łatwo zrozumieć, dlaczego tak często przypadek określano jako graniczne pojęcie wiedzy ludzkiej. Hume powiada: „Chociaż w świecie niema wcale przypadku, jednak nasza niezajomość rzeczywistej przyczyny pewnego zajścia w tym sensie

¹⁾ Ibid. 65.

oddziaływa na nasz umysł i rodzi tego rodzaju wiarę albo
 nniemanie“¹⁾; „wyrząd przypadek—mówi Quételet—służy
 urzędowo do zamaskowania niewiedzy naszej“²⁾; Aleks.
 Humboldt pisze: „Przypadkowym w powstawaniu planet
 wydaje się człowiekowi to, czego on nie zdołał gienetycznie
 wyjaśnić“³⁾; także Spinoza: „O rzeczy pewnej mówimy,
 że jest przypadkową tylko dlatego, że brak nam poznania“⁴⁾.

Z powyższego jest oczywista, że i w pojęciu przypadku
 należy wyróżnić dwie składowe części poznawcze: subiek-
 tywną czyli podmiotową i obiektywną, czyli przedmiotową.
 Pojęcie przypadku w powyższym znaczeniu jest abstrakcją
 od wszystkich tych zająć, gdzie danego zjawiska nie umiemy
 wyjaśnić z praw przyrody wogóle nam znanych, albo gdy
 nie możemy go odnieść do prawa lub ogólnej zasady, która
 nas w danej chwili obchodzi. Pojęcie więc to wcale nie doty-
 czy natury samej rzeczy i przeto wyjaśniać takowej nie może;
 przenoszenie pojęcia przypadku na obiektywne fakty i sto-
 sunki jest pospolitym błędem naiwnego realizmu. W rzeczy-
 wistości pojęcie przypadku odnosi się wprost do stosunku,
 jaki zachodzi w umyśle naszym pomiędzy postrzeżeniem da-
 nego zjawiska i możliwością lub niemożnością subiektywną

1) *Though there be not such a thing as chance in the world, our ignorance of the real cause of any event has the same influence on the understanding and begets a like species of belief or opinion. — Philosophical essays concerning human understanding, 6.*—Porównaj także studjum Wilh. Windelbanda: *Die Lehren vom Zufall*. Berlin, 1870. Z pracy tej zapożyczamy niektóre daty.

2) *Lettres sur la théorie des probabilité*, str. 14.

3) *Kosmos*, 1875, 1, 98.

4) *Res aliqua nulla alia de causa contingens dicitur nisi respectu defectus nostrae cognitionis. Ethica, I, prop. 33, schol. I.*

powiązania tego postrzeżenia ze znanymi nam w pewnym razie prawami. Tak pojmowany przypadek pod żadnym pozorem nie może uchodzić za instancję cokolwiekbaż wyjaśniającą, bo, przedewszystkim, jest to pojęcie względne, oznaczające nasz stan subiektywny; bo, powtóre, pojęcie to oznacza właśnie, że pewna rzecz wyjaśnić się nie daje. Tylko w razach, gdy chodzi o zaznaczenie, że pewne zjawisko nie zostaje w związku przyczynowym z tym, co w pewnej chwili jest przedmiotem uwagi naszej, albo gdy się pragnie zaznaczyć niewiedzę naszą — tak rozumiany przypadek może mieć praktyczne czysto znaczenie.

Teoretyczną jałowość przytoczonej formuły pojęcia przypadku widzieli snadź i teleolodzy i dlatego usiłowano znaleźć bardziej obiektywne znaczenie tego pojęcia. J a n e t wyraźnie powiada: „Przypadek nie jest przyczyną, lecz jest zbiegiem przyczyn, jest to zupełnie zewnętrzny stosunek, który niemniej przeto jest rzeczywistym pomiędzy zjawiskami niezależnymi“¹⁾. Przytym J a n e t powołuje się na C o u r n o t a, który się wyraża: „Przypadek jest kombinacją kilku systemów przyczyn, z których każdy rozwija się w swoim szeregu niezależnie od innych“²⁾. Taka interpretacja pojęcia przypadku nie jest nowa: rozwinął ją najdokładniej S c h o p e n h a u e r, który zwraca uwagę na zgodność tej interpretacji z etymologią wyrazów *συμπεβηχός, σύμπτωμα, contingens, accidens*. Niemieckie *Zufall* i polskie *przypadek* również oczywiście z tym się zgadzają; ale, co najważniejsza, S c h o p e n h a u e r podnosi, że tak rozumiane pojęcie przypadku wcale nie neguje zasady

¹⁾ Ibid. 24—25.

²⁾ Cournot, art. „Hasard“ w *Diction. d. sciences philosophiques*.

przyczynowości, lecz wprost wyraża, że zasada ta nie ma zastosowania do stosunku pomiędzy dwoma faktami, wyraża, że dwa fakty istnieją równocześnie lub następują po sobie, ale nie wynikają z siebie. „Każde zajście w świecie rzeczywistym — są słowa Schopenhauera — jest zarazem konieczne i przypadkowe: konieczne w stosunku do czegoś, co jest przyczyną, przypadkowe w stosunku do wszystkiego innego“¹⁾.

Niestety, i tej formule pojęcia przypadku nie możemy przyznać znaczenia instancji, któraby w jakibądź sposób wyjaśniała stosunki zjawisk świata obiektywnego, i to dla dowolnego powodu: nasamprzód pojęcie to także wyraża tylko nasz subiektywny stosunek do faktów obiektywnych, gdyż od nas zależy, czy dwa jakieś zjawiska zechcemy zestawić ze sobą, czy nie; skoro bowiem w założeniu zgadzamy się, że dwa zjawiska nie są do siebie w żadnym stosunku koniecznym, więc rzecz prosta, iż stosunek ten wytwarzamy tylko subiektywnie, i którekolwiek zjawisko względem drugiego będziemy uważali za przypadkowe, zawsze przyznać wypadnie, że przypadkowość ta nic nie orzeka ani wyjaśnia względem tych zjawisk, bo ona oznacza tylko subiektywne zestawienie tego, co obiektywnie w żadnym stosunku nie jest. Oprócz tego powodu, który możnaby nazwać formalnym, istnieje inny jeszcze, bardziej w głąb rzeczy sięgający. Wyżej zwracaliśmy już uwagę na to, jak dalece względne jest wszelkie orzeczenie o niezależności wzajemnej jakichkolwiek szeregów zjawisk; ileż to, w dziejach rozwoju myśli ludzkiej dałoby się zaznaczyć faktów, gdzie pozorna niezależność zestawianych zjawisk okazała się tylko granicą wiedzy ludzkiej, gdyż po-

¹⁾ *Welt als Wille und Vorstellung*, 550.

tym zależność wykryto. Arystoteles utrzymywał, że „nie ma przypadku, ani zbiegu przypadkowego, jeżeli deszcz pada w zimie, ale jest to przypadek, gdy deszcz pada w czasie, kiedy słońce jest w konstelacji Psa. Nic w tym nie ma przypadkowego, gdy upały panują podczas kanikuły, ale upały w zimie są przypadkiem“. Któryż meteorolog zgodzi się z tym dziś, gdy na zasadzie długich spostrzeżeń wykryto perjodyczne cykle zjawisk meteorologicznych, i gdy w wielu wypadkach to, co się wydawało przypadkowym, zdołano odnieść do pewnych przyczyn? W tym sensie pojęcie przypadku oznacza tylko granicę, gdzie się kończy nasza wiedza o związku lub o wspólnej przyczynowej podstawie pewnych zjawisk lub ich szeregów, napozór przypadkowo zbiegających się ze sobą w przestrzeni i czasie. Twierdzenie stanowcze, że dwa jakiegokolwiek szeregi zjawisk zbiegły się bez żadnej przyczyny, że ani żaden dalszy układ warunków, ani żadne bardziej ogólne prawo, nie wyjaśnią nam faktu zbieżności dwu pozornie niezależnych szeregów zjawisk, równałoby się zapewnieniu, że znamy wszystkie możliwe układy warunków i wszystkie prawa przyrody tak dalece, iż możemy zawsze wyróżniać niechybnie fakty, od praw zależne, od faktów niezależnych czyli przypadkowych. Rzecz jasna, iż i w tym razie pojęcie przypadku oznacza tylko subiektywną granicę wiedzy naszej i bynajmniej natury obiektywnej rzeczywistości nie dotyczy.

W jakimże więc razie pojęcie przypadku mogłoby mieć obiektywne zastosowanie? Tylko w jednym: gdyby się dało dowieść, że zjawisko jakieś samo przez się powstało, że nie zostało zdeterminowane przez żadne przyczyny. Byłoby to absolutne pojęcie przypadku i jednocześnie zupełna negacja przyczynowości. Nietrudno jednak zrozumieć, że dla nas, dla

umysłu naszego jest niemożliwością stwierdzenie takiego przypadku w przyrodzie, bo gdyby nawet w niej były zjawiska od żadnych przyczynowych uwarunkowań niezależne, w żaden sposób nie zdołalibyśmy dowieść ich rzeczywistej niezależności, ich samoistnego, przypadkowego objawiania się, albowiem zawsze zachodziłby mogła zupełnie uzasadniona wątpliwość — skąd wiemy o ich przypadkowości i gdzie pewność, że nie istnieją przyczyny konieczne tych rzekomo przypadkowych zjawisk, przyczyny, których dotąd nie zdołaliśmy wykryć. Można dowieść zależności lub niezależności danego zjawiska od jakiegoś innego, ale niema sposobu udowodnienia zupełnej niezależności czegokolwiek od reszty wszechświata. Człowiek, jak się trafnie wyraził Lichtenberg, jest „*das rastlose Ursachenthier*“ — bez wytchnienia musi przyczyn szukać.

Uczony duński K. Kroman w znakomitym dziele swoim „*Unsere Naturerkenntniss*”¹⁾ powiada, że jeżeli determinizm uciekał się niekiedy do argumentu, że najmniejszy ślad wolności uczyniłby wszelką naukę niemożliwą, to powikłał on fantastycznie naukę, która rzeczywiście istnieje ze swoim dalekim ideałem: z uniwersalną formułą matematyczną, któraby objęła wszechświat, i w której należałoby tylko symbolowi t , oznaczającemu czas, nadać wielkość określoną, aby wnet z całą ścisłością poznać odpowiedni temu czasowi stan rzeczywistości. Oczywiście, iż formuła taka byłaby zgoła niemożliwa, w razie jeżeli wolna wola istnieje. Ale, i niezależnie od tego, zdaniem Kromana rzeczywista nauka nigdy nie zdoła takiej formuły wytworzyć; dotąd w całej nauce o duchu

¹⁾ K. Kroman *Unsere Naturerkenntniss, Beiträge zu einer Theorie der Mathematik und Physik*, Kopenhaga 1883, str. 239—240.

niemasz ani śladu matematyki, nasze zaś formuły matematyczne poniekąd odnoszą się zawsze do pewnych oderwanych, pomyśleć się dających przypadków, gdyż rzeczywistość sama jest zbyt skomplikowana i nieprzezroczysta dla nas, abyśmy ją matematycznie sformułować zdołali. Przytym Kroman z zadowoleniem zaznacza, iż w tej mierze zdanie jego zgadza się ze zdaniem tak wytrawnego myśliciela, jak Helmholtz, który pisze: „Ostateczny cel teoretycznych nauk przyrodniczych polega na tym, aby wykryć ostatnie, niezmiennie przyczyny procesów, zachodzących w przyrodzie. Czy w rzeczy samej wszystkie procesy mogą być sprowadzone do przyczyn takich, czy zatym przyroda miałaby być zrozumiałą zupełnie, albo czy zachodzą w niej zmiany, które się prawu koniecznej przyczynowości wymykają, które przeto wkraczają w dziedzinę samoistności, wolności, tego nie będziemy tu rozstrzygali; w każdym atoli razie jest rzeczą jasną, że nauka, której celem jest zrozumienie przyrody, musi wychodzić z założenia, przypuszczającego możliwą jej zrozumiałość i zgodnie z tym założeniem musi wnioski swoje budować, badać, aż, być może, za pomocą faktów niezbitych zmuszoną zostanie do uznania granic swoich“¹⁾). Przykro mi wyznać, że z obu wymienionemi myślicielami, których tak wysoko cenię, na tym punkcie zgodzić się nie mogę. Owszem, formalnie można przypuścić istnienie takiej kategorii bytów, które w żadnej przyczynowej zależności od czegokolwiek bądź nie zostają, ale przypuszczenie takie żadnego znaczenia dla nauki naszej mieć nie może, dopóki umysł nasz pozostanie istotnie takim, jak jest. Możemy wykryć taką kategorię zjawisk, której zależność przyczynowa nazawsze pozostanie

¹⁾ Helmholtz, *Ueber die Erhaltung der Kraft*, 1847, str. 2.

tajemnicą; ale takiej, któraby nas zmusiła do przyznania, że w rzeczy samej ona nie podlega przyczynowości, nie możemy sobie wyobrazić, bo umysł nasz nie rozporządza żadnymi środkami do stwierdzenia, że coś jest zupełnie niezależne, dopóki będzie stał nieunikniony zarzut, iż być może dotąd nie zdołaliśmy tylko wykryć przyczyn, od których te rzekomo wolne zjawiska zależą. Twierdzenie K r o m a n a, jakoby przyjęcie zjawisk przyczynowo niezależnych ma być obojętne dla fizyki, nie da się uzasadnić, dopóki wprzód nie udowodnimy, że dziedzina przyczynowo niezależna nie może mieć żadnego wpływu na dziedzinę przyczynowości fizycznej; tego zaś udowodnić nie zdołamy, bo wogóle rodzaju i zakresu możliwych wpływów absolutu wolnego, o ileby takowy istniał, na przyczynowy bieg wypadków poznać niema sposobu. Twierdzenie H e l m h o l t z a, że jakieś fakty niezbite mogłyby wskazać granice, do których się nauka ma zapędywać w swoich badaniach przyczynowych zależności we wszechświecie, nie da się dla tego uzasadnić, że takich faktów niezbitych, co do których umysł nasz zostałby naukowo przekonany, iż są przyczynowo od niczego niezależne, wyobrazić sobie nie można, o ile nie posiadziemy rękojmi wszechwiedzy.

Najbardziej, jak sądzę, przyczyniło się do zawikłania kwestji przypadku nienależyte zrozumienie przez wielu przypadku matematycznego w teorii prawdopodobieństwa. Faktem jest, że prawdopodobieństwo przypadku obliczamy tam, gdzie nie znamy prawa lub praw, według których każdy fakt pewnej kategorii dałby się przewidzieć, gdzie nie znamy przyczyn, warunkujących zjawisko: ale skądinąd nie ulega wątpliwości, że matematyczna teoria przypadków opiera się właśnie na przypuszczeniu niezłomnej przyczynowości, gdyż

inaczej nie miałyby sensu żadnego. Gdy matematyk oblicza, jakie jest prawdopodobieństwo, że z urny, zawierającej białe i czarne gałki w określonych ilościach, wyjmemy białą; gdy statystyk obrachowuje prawdopodobieństwo przypadku śmierci każdego krakowianina, lub krakowianina pewnego wieku, to w obu razach przypuszczają oni, iż zjawiska te zależą od pewnych stałych przyczyn, w części nieznanych zupełnie, w części zaś znanych tylko jakościowo, ogólnie, i tak powikłanych, że niepodobna podać formuły, któraby umożliwiła przewidywanie każdego oddzielnego zdarzenia. Ponieważ nadto matematyk wie dobrze, że okoliczności, przyczynowo warunkujące obliczane przezeń zjawiska, są zmienne w pewnych granicach, więc w rachunku swym uwzględnia możliwie największe szeregi cyfr, tudzież maximum i minimum wahań, w przypuszczeniu, iż w długich okresach okoliczności, modyfikujące skutki stałych przyczyn wzajem się równoważą, oraz, że są pewne granice tej zmienności, bo i sama zmienność pewnym stałym prawom przyczynowym podlega.

Gdy podrzucamy monetę, może ona upaść na jedną z dwu stron. Matematyk, abstrahując od wszelkich możliwych przyczyn, uwzględnia tylko okoliczność, że moneta ma dwie strony, na które padać może, i orzeka, iż prawdopodobieństwo upadnięcia monety na tę lub ową stronę jest jednostajne, mianowicie wynosi $\frac{1}{2}$. Wie on jednak dobrze, że fakt upadnięcia monety na tę a nie na drugą stronę ma swoje przyczyny, których pochwycić dokładnie nie może, jak położenie środka ciężkości monety, siła i kierunek rzutu i t. p. Gdyby się te przyczyny, a raczej elementy przyczyny, dały dokładnie zdefiniować, rachunek prawdopodo-

bieństwa byłby wtedy zbyt czyny, albowiem skutek każdego rzutu dałby się dokładnie przewidzieć. Pomijając atoli poboczne i niepochwytne warunki, matematyk zastrzega się, że przepowiednia jego sprawdzi się nie w każdym danym przypadku, lecz na wielkiej liczbie przypadków, gdyż przypuszcza, iż wszelkie jakościowe i ilościowe kombinacje nieznanych lub niepochwytnych warunków tymbardziej muszą się wyczerpać i wzajemnie w rachunku zrównoważyć, im znaczniejsza będzie ilość rzutów, przy zachowaniu możliwie tych samych warunków z naszej strony. Buffon znalazł doświadczalnie, że moneta, podrzucona 4040 razy, upadła 1992 razy na stronę z napisem i 2048 razy na stronę herbu; De Morgan w ten sam sposób znalazł, że na 4092 rzutów moneta upadła 2044 razy na stronę napisu i 2048 razy na stronę herbu: Jevons na 20480 rzutów otrzymał 10127 napisów i 10353 herby. Cyfry te bardzo się zbliżają do wskaźówek rachunku, mianowicie do połowy ogólnej sumy rzutów; ale we wszystkich przytoczonych grupach doświadczeń widoczna jest stała przewaga po stronie herbów, skąd matematyk w dalszym ciągu zawnioskuje, że musi istnieć jakaś stała przyczyna tej wyraźnej tendencji; że jednak jej nie zna, więc na zasadzie wielkiej ilości doświadczeń będzie się starał obliczyć prawdopodobną granicę działania tej nieznannej przyczyny i wprowadzi ją, jako poprawkę, do swego rachunku. Tak więc przypadek matematyczny pod żadnym pozorem nie wyłącza przyczynowości.

Gdy się rozważa ustępy, w których filozofowie i przyrodnicy powołują się na przypadek w swoich objaśnieniach zjawisk, łatwo dostrzec, iż mniej lub więcej wyraźnie zawsze pozostają oni pod wpływem błędnego wyobrażenia, jakoby rachunek prawdopodobieństwa przypadku był pod jakimkol-

wiek względem wyjaśnieniem zjawiska. Tymczasem przeciwnie, rachunek prawdopodobieństwa dlatego właśnie i póty tylko jest potrzebny, że i dopóki zjawisko nie daje się wyjaśnić, z wyjątkiem tego niezłomnego pewnika, że wogóle od jakichś przyczyn zależeć ono musi. Przypadek, jako pojedynczy fakt, nie daje się obrachować; w rachunku prawdopodobieństwa obrachowujemy raczej stałe stosunki, w granicach których przypadek nastąpić może. Prawa rachunku prawdopodobieństwa nie dają nam oczywiście praw faktów, lecz dają nam normy oczekiwania faktów możliwych, i w tym to sensie J. St. Mill mówi, że prawdopodobieństwo nie jest własnością samego zjawiska, lecz tylko nazwą dla stopnia uzasadnienia, z jakim zjawiska tego oczekiwać możemy.

Z jakiegokolwiek więc strony rozważać będziemy pojęcie przypadku, zawsze przekonamy się, że pojęcie to nie objaśnia zjawisk świata obiektywnego. Powoływać się w wyjaśnieniu teoretycznym na przypadek, to znaczy zrzekać się poszukiwania przyczyn i praw stałych i przez to torować wolną drogę kontrowersistom swoim z obozu teleologicznego, którzy pośpieszą wypełnić lukę swojemi konceptami przyczyn celowych, jak to między innymi uczynił Hartmann, podając nawet swój zabawny rachunek prawdopodobieństwa przyczyn celowych we wschświecie.

Z tego, co się dotąd powiedziało o przypadku, zdaje się być jasnym, że odrzucenie przypadku, jako instancji pod jakimkolwiek względem wyjaśniającej zjawiska, bynajmniej nie jest argumentem, któryby nas zmuszał do rzucenia się pod sztandar teleologii, bo przypadek nie jest synonimem przyczynowości, mechanicznej czy jakiegobądź innej, lecz jej zaprzeczeniem, o ile bywa pojmowany obiektywnie. Zresztą, przyczyny celowe, według zwolenników tej doktryny, nie

wyłączają konieczności przyczyn sprawczych; one mają tylko odgrywać rolę reżyserów, porządkujących przyczyny sprawcze, układających je w grupy i szeregi, odpowiednio do idealnie założonych skutków. Czy taka specjalna reżyserja jest potrzebna, czy wszechświat w rzeczy samej jest chaosem niespójnych i niezależnych od siebie szeregów zjawisk, które dopiero trzeba, pomimo koniecznych praw przyrody, wiązać, naginać, sprowadzać razem i kombinować, to inna kwestja. Państwo przyczyn celowych zaczyna się tam, gdzie się kończy państwo poznanych przyczyn sprawczych, tkwiących w naturze samych rzeczy i wybornych reżyserek porządku ¹⁾. Gdzie jednak nauka nie zdołała jeszcze porządku zredukować do przyczyn, tam występują cele i cień swój rzucają na cały obszar wiedzy. Stąd obowiązek dla przedstawicieli nauki: nigdy nie wbijać słupów granicznych dla państwa przyczynowego, lecz zawsze posuwać się dalej, mając za sobą warowny szaniec wiedzy naukowej.

Zastanawiając się w dalszym ciągu nad argumentacją tak zwolenników przypadku w przyrodzie, jak ich przeciwników, dostrzegamy, iż jedni zawsze niemal, a drudzy dość

¹⁾ Le sentiment *) religieux commence là, où le déterminisme mécanique paraît faire place dans le monde à une sorte de réciprocité morale et sociale, là où nous concevons un échange possible de sentiments et même de désirs, une sorte de sociabilité entre l'homme et les puissances cosmiques, quelles qu'elles soient. L'homme ne croit plus alors pouvoir exactement mesurer d'avance le contre-coup mécanique, le choc en retour d'une action,—par exemple d'un coup de hache donné à un arbre sacré; car, au lieu de considérer l'action brute, il lui faut désormais regarder aux sentiments et aux intentions qu'elle exprime, et qui peuvent provoquer des sentiments favorables ou défavorables chez les dieux. M. Guyau. „L'irréligion de l'avenir“, 2 ed., 1887, p. V—VI.

często wyobrażają sobie wykryte przez naukę elementy kosmiczne, z których się konkretny świat zjawisk składa, np. atomy, jakby coś nakształt kostek, które się w grze rzuca, albo gałek w urnie zmieszanych; jakoby one nie posiadały żadnych stałych własności, nie podlegały żadnym prawom, według których wiążą się w nieskończoną rozmaitość stosunków i kombinacji. Skoro ktoś zdradza się z poglądem, według którego materia ma być czymś biernym, co, o ile się z pod reżyserskich rządów celowości wymyka, o tyle może się sobie układać w jakieś igraszki przypadku; skoro ktoś, pragnąc obalić przeciwników teleologii, podsuwa im zdanie: „natura, trzęsąc odwiecznie rzeszotem świata, musiała w końcu z konieczności rzeczy wytrząść i ten szczęśliwy skład atomów, któremu istnienie zawdzięczamy“¹⁾, tedy oczywiście mamy do czynienia z bardzo elementarnym nieporozumieniem. Podobne zwroty wobec dzisiejszej wiedzy muszą ujść za chybione strzały, bo pogląd pierwotny, personifikujący naturę niby jakąś osobę, co przesypuje na chybił trafił piasek atomów biernych, należy do przeszłości, której echa słyszymy dziś chyba w niektórych pomysłach metafizycznych albo w poezji. Dziś naturą nauka nazywa ogół wszystkich pierwiastków, jakie jej analiza wykryła w składzie rzeczy, poznany wszechświat stanowiących, wraz z własnościami tych pierwiastków i stałymi stosunkami, które od tych własności zależą, a które nazywamy prawami przyrody. Pierwiastki te, ze względu na ich własności, nauka dzieli na różne kategorie, jak mechaniczne, fizyczno-chemiczne, biologiczne, psychologiczne; wreszcie skłonna jest do podzielenia ich na dwie wielkie kategorie: atomów dynamicznych

¹⁾ Ks. Morawski, *Cel. w nat.*, 66.

i objawów psychicznych, czyli objawów świadomości. Dwie te kategorie nie dają się już wzajem do siebie zredukować, chociaż zostają w nierozzerwalnym funkcjonalnym związku pomiędzy sobą. Przy wyjaśnianiu więc budowy świata i powstania jego pojedynczych tworów nie możemy elementów, do których analiza naukowa doszła, ogałacać z ich wszystkich nieodjemnych własności, nie możemy zapominać o tych koniecznych stosunkach, jakie z tych własności wypływać muszą, a już tymbardziej nie mamy chęci łączyć się naiwnym wyobrażeniem, jakoby elementy kosmiczne podlegały takiemu tylko prawu, jakiemu podlega piasek, na chybił trafił wysypywany z rzeszota. O żadnych „*matériaux indéterminés, indifférents à toute forme*“, o żadnych „*matériaux qui ne sont pas appropriés à la chose qu'ils doivent réaliser*“¹⁾ — nic nie wiemy. Historia nauki dowodzi, że coraz bardziej postępujemy w poznawaniu koniecznych związków przyczynowych pomiędzy elementami kosmicznymi; w wielu razach zdołano już wykazać, jak na drodze czysto przyczynowych stosunków pomiędzy elementami o pewnych stałych własnościach powstały takie lub inne wytwory, i związki te przyczynowe są tak dalece stałe i wystarczające, że możemy je sztucznie odtwarzać, zestawiając konieczne warunki. Żywimy też nadzieję, iż w tym kierunku będziemy się posuwali coraz dalej, chociaż nie łądzą nas widoki wszechwiedzy. Nikt nie jest w stanie orzec stanowczo, gdzie jest granica praw stałych, które kiedyś poznać będzie można, opartych na własnościach i koniecznych stosunkach elementów; jeżeli dziś nie możemy w ten sposób objaśnić wielu objawów t. zw. porządku we wszechświe-

¹⁾ Janet, *ibid.*, 414.

cie, to nie wiemy, czy jutro nie dadzą się odkryć jakieś nieznanne własności i z nich wypływające stosunki konieczne, które nam takie lub inne szczegóły tego porządku wyjaśniają, wykażą nam konieczność deterministyczną takiego a nie innego kierunku, takiego a nie innego ustosunkowania zjawisk. W poglądzie ściśle deterministycznym o żadnym chaosie mowy być nie może; na twierdzenie J a n e t a: „Bezwzględne zaprzeczenie celowości jest doktryną chaosu“¹⁾, śmiało możemy odpowiedzieć: odrzucając doktrynę celowości, stajemy na stanowisku teorii praw stałych przyrody.

Słabą stroną teorii determinizmu stanowi to, iż nie jest ona w stanie rozwiązać dotąd wszystkich zagadek; ale dla nauki niedoskonałość ta zawsze jest pewniejszą rękojmią, niż pewność, z jaką teleologja pozornie rozstrzyga wszystkie tajemnice przyrody, nie pomnażając wiedzy naszej chociażby o źdźbło. „Z pomiędzy wszystkich niebezpiecznych nałogów umysłowych — powiedział trafnie H u x l e y²⁾ — najniebezpieczniejszym bodaj jest ten, który żaki szkolne nazywają „kogucią pewnością siebie“ (*cocksurenes*), i nieoszacowaną zaletę dyscypliny filozoficznej dla umysłu stanowi ta przeciwwaga, która z niej wypływa przeciw nałogowi rzezonemu. Kto posiada chociażby elementarne wiadomości z filozofji, ten wie, że cecha niezbitiej pewności właściwa jest tylko istnieniu stanów świadomości, dopóki one istnieją; wszelka inna pewność jest tylko mniejszym lub większym stopniem prawdopodobieństwa“. Wobec tego, zrzekając się jałowej pewności siebie teleologów, możemy tymczasowo poprzestać na hipotezie, zgodnej z faktami dotąd wyjaśnio-

1) Ibid., 280.

2) *Sensations and organs of senses*, 1882, str. 32.

nemi i coraz bardziej sprawdzającej się na nowych, że stan rzeczywisty natury, tak wogóle, jak w szczegółach, w każdej danej chwili jest nieuniknionym wypadkiem odwiecznych własności tych elementów, z których się poznawany wszechświat składa, oraz ich wzajemnych na siebie oddziaływań¹⁾. W poglądzie tym dla przypadku obiektywnego niemasz miejsca. Pozorna trudność poglądu tego ma na tym polegać, jak to już nieraz zarzucano, że skazani bylibyśmy w łańcuchu przyczynowym od ogniwa do ogniwa cofać się w nieskończoność, gdyż żaden wysiłek umysłu ludzkiego nie może pojąć, aby coś, co miało początek, nie miało swojej poprzedzającej przyczyny (Janet), albo musielibyśmy dowolnie zatrzymać się na jakimś ogniwie lub szeregu ogniw, jako na takich, które przyczyn nie miały, czemu się znów oprą prawa rozumu ludzkiego. Nietrudno jednak wykazać, że pod tym względem nie lepiej się rzecz ma z poglądem przeciwnym, bo on właśnie zatrzymuje się dowolnie na pewnych ogniwach łańcucha, które nazywa przyczynami celowymi, a które zbiera w ognisko w rozumie najwyższym, jako pierwszej przyczynie; o tej pierwszej przyczynie twierdzi się, że ona sama jest sobie przyczyną, że początku nie miała. Dowolność teoretyczna tego przypuszczenia uwydatni się niżej; tu wystarczy zapytać: dlaczegoż mielibyśmy odrzucać pogląd, który w przeświadczeniu ograniczoności wiedzy naszej żadnych granic nie stawia, ostatecznie zaś nie usuwa możliwości przypuszczenia, że właśnie elementy, z których się wszech-

¹⁾ „Surowe przeprowadzenie zasady przyczynowości z wyrugowaniem wszelkich ciemnych hipotez o siłach, wyprowadzonych z samych tylko pojęć, powinno pozostać na zawsze przewodnim punktem zapytywania się na cały obszar nauk przyrodniczych“. Lange, Historia materializmu, II. 271.

świat składa, wraz z ich własnościami stałymi, są ową pierwszą przyczyną?

Kogo ten pogląd nie zadowala, a on jedyny dotąd był płodny w nauce, ten się powinien uzbroić w rezygnację, albo wykazać, gdzie i kiedy inny jakiś pogląd był płodny w sprawie naukowego wyjaśnienia zjawisk przyrody. Niech ktokolwiek wykaże w całej naukowej wiedzy o przyrodzie coś więcej nad te zwykłe i nieodzowne momenty każdego objaśnienia naukowego: analiza zjawisk, w celu poznania ich pierwiastków składowych; klasyfikacja zjawisk na zasadzie podobieństw i różnic cech przez analizę wykrytych; wreszcie synteza, będąca wykazaniem koniecznych warunków czyli przyczyn powstawania zjawisk, a więc wykryciem praw przyrody. Objaśniać coś w przyrodzie — to znaczy: analizować, klasyfikować i wykrywać zależności przyczynowe. Żadne odkrycie, żadna hipoteza, żadna teoria, nic innego nie zawierają w sobie. *Dich im Unendlichen zu finden — musst unterscheiden und dann verbinden* — powiedział wielki poeta i myśliciel.

Pozostaje nam w końcu zastanowić się jeszcze nad jedną koncepcją pojęcia przypadku, która w istocie odpowiadałaby przypadkowi obiektywnemu, czego dotąd szukaliśmy napróżno. Z pomiędzy wielu postaci, pod którymi „przypadek“ usiłuje wcisnąć się do nauki jako instancja wyjaśniająca, jedną z najbardziej znanych i upowszechnionych są wszelkiego rodzaju „siły wolne“ czyli, innymi słowy, przyczynowo od niczego niezależne. Hum e powiedział¹⁾, że „wolność, jako przeciwstawienie konieczności, jest tym samym, co przypadek, który, jak powszechnie się przyjmuje, nie

¹⁾ *Philos. essays concerning human understanding*, 8.

istnieje“; zgadza się na to pomiędzy wielu innymi i Drobisch, gdy twierdzi: „Pojęcie bezwzględnej wolności zgadza się zupełnie z pojęciem czystej przypadkowości“¹⁾.

Już wyżej zwróciliśmy uwagę na to, że, gdyby nawet przypuścić istnienie czegoś, co od żadnych przyczynowych uwarunkowań zależne nie jest, a więc jest wolne, to nie moglibyśmy w żaden sposób tego bytu wolnego poznać, ani jego niezależności bezwzględnej udowodnić. Tu powołamy się na przykład z polskiego piśmiennictwa zaczerpnięty, by pokazać, jak zwolennicy doktryny teleologicznej nie gardzą nawet bronią pożyczaną z arsenału determinizmu, byle bronić przypadku obiektywnego. W artykule St. Siedleckiego „Kilka uwag o ewolucjonizmie, jako filozoficznej teorii“²⁾, między innymi wyczytujemy zarzut, jakoby przypuszczenie jednakich i jednakowo działających przyczyn nie godziło się z oczywistą różnorodnością skutków. „Skądże—powiada autor—wobec jednakich i jednakowo działających przyczyn taka uderzająca różnorodność skutków? Okoliczność, że różnorodność współdziałających warunków jest coraz inna, usuwa tylko trudność na dalsze pole: bo warunki owe, jeżeli mają mieć wpływ jakikolwiek, muszą być również jakimiś siłami—a zatem są to albo siły wolne, które raz działają, drugi raz nie działają, raz czynne są w jeden sposób, drugi raz w inny—a w takim wypadku da się owa różnorodność wyjaśnić bardzo prosto; albo też warunki te są również siłami działa-

¹⁾ *Die moralische Statistik und die menschliche Willensfreiheit* str. 63. (Przekład polski w serji „Biblioteki umiejętności prawnych“.

²⁾ Czasop. „Muzeum“, grudzień, 1886, str. 670—693.

jącami ślepo i to w pewien ściśle określony sposób—a w takim razie powraca to samo co wyżej pytanie, skąd wobec tej niezmienności przyczyn taka zmienność skutków? Jeżeli warunki te same nie powtarzają się nigdy i nigdzie, jeżeli owszem coraz to inne nastają, to zmiana ta ich musi mieć przecież jakąś przyczynę, a siły działające zawsze z koniecznością bezwzględną, mające zawsze te same ściśle określone skutki, zmienności takiej powodować nie mogą, bo zmienność nie może być skutkiem niezmienności i przyczyny niezmienne mogą także tylko niezmiennie wywoływać skutki. Albo więc musimy przypuścić spółdziałanie w naturze sił wolnych, albo zgodzić się na bezwarunkowo niezmienny przebieg zjawisk w przyrodzie¹⁾. Ani na jedno, ani na drugie godzić się nie potrzeba, bo jest jeszcze trzeci punkt wyjścia: należyte zrozumienie prawd naukowych.

Stałe prawa przyrody bynajmniej nie wymagają jednostajności skutków tam, gdzie niema jednostajności przyczyn; prawo przyrody jest tylko idealną formułą, która orzeka, co się dzieje koniecznie, gdy określone warunki działają. Ponieważ żaden atom we wszechświecie nie może być jednocześnie do całego ogromu atomów wszechświat składających

¹⁾ Autor powołuje się przytym na Ulrici'ego *Grundzüge der praktischen Philosophie*. W nieco zmodyfikowanej formie stawia ten sam zarzut Rowland Hazard, według którego, jeżeli przyczyną każdego zdarzenia jest w ostatecznym rozbiórce ogół zmian, jakie kiedykolwiek zaszyły we wszechświecie, a więc każde zdarzenie ma, ściśle biorąc, tę samą, t. j. jedyną i ogólną przyczynę — skądże ta różnorodność skutków wobec takiej jednotliwości przyczyny? (*Zwei Briefe über Verursachung und Freiheit im Willen gerichtet an J. St. Mill*, 1875, str. 57—63, cytow. przez d-ra A. Racioborskiego „Podstawy poznania J. St. Milla“ t. II, 210).

w jednostajnych stosunkach, bo wchodzą tu w grę nie tylko różne odległości, lecz także oddziaływanie przez pośrednictwo i przy spółdziale innych atomów o niejednostajnych własnościach, więc rzecz jasna, iż owa stała różnica warunków wzajemnego na siebie oddziaływania tylu różnych czynników sprawia niezmierną rozmaitość skutków. Nie wyłącza to pod żadnym względem stałości praw przyrody, wyrażających, że atomy lub jakiegokolwiek inne czynniki, których rzeczywistość udowodnić się daje, na mocy cech sobie właściwych wiążą się w pewne określone stosunki, uwarunkowują się wzajemnie w pewien określony sposób. Ilekroć na mocy tych praw przyrody w pewnym miejscu i czasie powstaną te same warunki, tylekroć skutki będą takie same i o tyle takie same, o ile warunki są takie same. I tu więc determinizm wyłącza możliwość i sens wszelkiego przypadku obiektywnego, tymbardziej, że wolno i dowolnie działające siły uniemożliwiłyby wszelką naukę i wszelkie przewidywanie zjawisk, a tak źle przecież nie jest. „W naturze—jak się wyraził Arystoteles—nic nie istnieje niezależnie i bez związku, jak w złej komedji“¹⁾; „o przypadku należy powiedzieć, że niedostępny on dla żadnej teorii“²⁾. Szukajmy tylko stałych przyczyn i nie łudźmy się nadzieją, że przypadek, jakiegokolwiek mu formę nadamy i gdziekolwiek go przyjmiemy — czy w dziedzinie mechanizmu materialnego, czy w dziedzinie sił wolnych i bytów niezależnych — może cokolwiek wyjaśniać naukowo.

1) *Metaph.* XIII, 3.

2) *Ibid.*, ed. Brandis, V, p. 124.

VI.

Odwieczny problemat „rozumu najwyższego“, demiurga świata, odgrywa wybitną rolę w wywodach zwolenników celowości i w łatwy do zrozumienia sposób częstokroć przenosi czysto naukowe zagadnienie o celowości w naturze na niewłaściwy grunt teologiczny. U wielu kwestja „rozumu najwyższego“ uchodzi za drażliwą i, jak się zdaje, wcale niesłusznie, bo nie należy nigdy wikłać interesów wiary z interesami nauki. Któż nie wie, że w dziejach ludzkości bywały epoki, kiedy usiłowano myśl, poszukującą prawdy naukowej, skrępować dogmatami wiary religijnej i naodwrot, epoki, gdy wiarę chciano poddać wyrokom nauki? I dziś także niewątpliwie podzieliłyby się zdania w kwestji, czy dogmaty religijne potrzebują uzasadnienia swego szukać w wiedzy naukowej, tak jak zawsze się na tym punkcie dzieliły, chociaż zdaje się być pewnym, że założyciele systematów religijnych nie uważali za potrzebne uciekać się do powagi rozumu lub doświadczenia, że ani racjonalistami ani empirykami nie byli. *Fides quaerens intellectum*, jak się św. Anzełm z Canterbury wyraził, jest dziecięciem epoki, gdy racjonalizm trzeba było powoływać na pomoc zachwia-nej wierze. Błogostawieni ci, co nie widzą, a uwierzą; wiara

nie znosi Tomaszów niewiernych, co, jak nauka, muszą palcem wszystko namacać; słynne zaś wyrażenie ojca kościoła: *credo, quia absurdum est*, oznacza, że rzecz jasna i udowodniona przestaje być przedmiotem wiary, bo się staje pewnikiem naukowym. Kwestja tedy rozumu najwyższego staje się wtedy tylko drażliwą, gdy ktokolwiek z aparatem argumentacji naukowej godzi na dogmaty wiary religijnej, głęboko w sercach i sumieniach milionów zakorzenione. Skoro wszakże, nie potrącając wiary niczyjej i jej podstaw, stawiamy kwestję naukowo, skoro pytamy, czy pojęcie rozumu najwyższego da się naukowo uzasadnić, wtenczas wszelka drażliwość znika, bo nawet w razie przeczącej odpowiedzi wypadałoby tylko, że nauka z powodu swoich odrębnych zadań i metod nie może pojęcia tego wcielić do poglądów przez siebie uzasadnianych, że kompetencja jej nie rozciąga się do ustanawiania lub odrzucania dogmatów wiary, i dogmat sam pozostałby niewzruszony, o ile ma trwałe podstawy w sercach i sumieniach ludzkich.

Rozumna przestroga Schopenhauera, której się zresztą sam autor sprzeniewierza, głosi: „Jeżeli chcemy zrozumieć działanie przyrody, nie należy uciekać się do porównań z naszym własnym działaniem“. Przestroga ta dałaby się tak sparafrazować: jeżeli chcemy poznać przyrodę, nie uciekajmy się do wyjaśnień teleologicznych, bo ostatecznie antropomorfizm jest jedyną podstawą doktryny celowości w przyrodzie.

W tak zwanym teleologicznym dowodzie istnienia Boga, a o inne dowody naturalnie w tych okolicznościach nam nie chodzi, antropomorfizm odgrywa pierwszorzędną rolę. Owszem, doktryna celowości jeszcze bardziej zacieśnia zadanie niniejsze, bo właściwie wymaga tylko zbadania, czy na

antropomorfizmie da się naukowo oprzeć jeden tylko atrybut bóstwa, mianowicie—rozum najwyższy, jako absolutny czynnik, tworzący i rządzący świat celowy. Według doktryny celowości umysł ludzki znajduje w sobie samym dane do sądzenia o celowości poznawanej przyrody, a ponieważ cele mogą być przypisane tylko istocie jakiejś, zdolnej myśleć rozumnie, rozumnie środki dobierać i porządkować, więc cele uniwersalne wszechświata mogły powstać tylko w umyśle boskim, w rozumie najwyższym i przezeń tylko skutecznie być mogły. W ten sposób rozum najwyższy ma być superlatywem abstrakcji rozumu ludzkiego.

Aby ocenić, jak dalece metodycznie pojęcie rozumu najwyższego zostało wytworzone, bo metodyczność właśnie jest istotnym naukowości warunkiem, musimy się nasamprzód dobrze rozejrzeć, czy w istocie rozum najwyższy został ściśle antropomorficznie obmyślany, czy nie przypisano temu rozumowi nic jakościowo więcej nad to, co charakteryzuje rozum ludzki, jako bezpośrednio dostępną nam rzeczywistość psychiczną. Gdyby się bowiem okazało, że rozumowi najwyższemu przypisano coś jakościowo nowego, natenczas należałoby wykazać: skąd wiemy, iż jakikolwiek rozum wogóle może takie nieznanne z doświadczenia psychicznego cechy posiadać, a najwyższy rozum rzeczywiście je posiada? Brak dowodów w tym względzie równałby się uznaniu, że podstawa antropomorficzna w tej kwestji ze stanowiska naukowego stanowczo odrzucona być musi.

Cechą rozumu ludzkiego jest to przedewszystkim, że całą wiedzę swoją o świecie zewnętrznym musi zdobywać z doświadczenia, *a posteriori*. Świat musi być poznawany, jako coś, co już istnieje, aby następnie jednego w nim poządać, drugiego nie; jedno uważać za stosowne do osiągnię-

cia pożądanego, inne znów za niestosowne, — bez czego cele i środki nie istnieją. Cele nasze mnożą się i rozszerzają w miarę zapoznawania się z nowymi kombinacjami rzeczy i stosunków w świecie, z których jedne są pożądane, inne nie. Ażeby cel skutecznie osiągnięty został, musimy także przypuścić poprzednią znajomość środków, z pomiędzy których właściwe dobierane być mają; znajomość ta również czerpie się z jedyne go źródła wiedzy naszej — z doświadczenia. Tak iż wogóle w umyśle ludzkim, o ile ten poznany został, niepodobna przypuścić żadnej treści realnej, jako danej bez doświadczenia jednostkowego lub zbiorowego; co najwięcej — można mu przyznać pewne właściwości formalne, dzięki którym przerabia on realne percepcje, nadając im formy pojęć, sądów, wywodów. O pochodzenie tych właściwości, które, jak wiadomo, mogą się objawiać u człowieka tylko pod wpływem zetknięcia się ze światem zjawisk, można się jeszcze spierać, ale fakt niewątpliwy, że umysł ludzki odcięty, od wszelkich możliwych doświadczeń, nie da się zrozumieć jako coś rzeczywistego i realną treść posiadającego.

Tymczasem z pojęciem rozumu najwyższego rzecz ma się zupełnie inaczej. Musimy tu przypuszczać, iż rozum ten przed wszelkim jeszcze możliwym doświadczeniem, bo wtedy przecież, gdy wszechświat nie istniał, powziął był już olbrzymie i pełne treści realnej cele, że najdokładniej całą ich hierarchję i wszystkie szczegóły obmyślił, że przewidział realne własności środków odpowiednich. Mamy więc tu do czynienia z cechą zupełnie *jakościowo* nową, której nigdy śladu żaden z rzeczywiście poznanych umysłów nie objawił, o której wprawdzie mówić możemy, jak mówimy o przestrzeni, mającej cztery lub n wymiarów, której jednak ani pojąć, ani tymbardziej rozumowi przypisać nie możemy. Tu

superlatywy nic nie pomogą, bo jakkolwiek doskonałość umysłu ludzkiego może się stopniować, a każde stopniowanie formalnie można posuwać w kierunku maximum i minimum do nieskończoności, to wszakże stopniowanie to nie może przekraczać granic jakościowych, przez psychologię wytkniętych. Umysł może się doskonalić pod względem zakresu nabytych wiadomości, pod względem sprawności swojej, czyli prędkości i wielostronności, z jaką działa, porównywa, postrzega istniejące stosunki, uogólnia, abstrahuje, wnioskuje, pod względem nieznużoności, ale wszystko to razem wzięte nie zawiera w sobie ani jednego pierwiastka wiedzy o realnym świecie, wiedzy absolutnej, metempirycznej, wszelkie doświadczenie i samo istnienie świata doświadczalnego wyprzedzającej.

Prób sformułowania superlatywu umysłu ludzkiego nie brak w literaturze filozoficznej. Sam wiek XVIII przedstawia ich dostateczną ilość. Racjonalizm ówczesny łudził się wciąż, że nietylko kwestja umysłu ludzkiego da się rozstrzygnąć podobnie jak zadanie geometryczne, na zasadzie rozumowań nad niewielką ilością danych doświadczalnych, lecz wogóle śmiało rozprawiano o umysłach fikcyjnych albo, jak je nazywano, „możliwych“, jak się rozprawia w matematyce o krzywych, dowolnie im dodając i odejmując różne mniej lub więcej urojone cechy. Nie mówimy już o znanej fikcji Condillaca, na której ten nie zawahał się oprzeć swojej teorii poznania, lecz sam Kant raz po raz znajduje coś do powiedzenia o umyśle, który nazywa *der mögliche Verstand*, albo *der göttliche Verstand*. Cechy tego umysłu Kant tak sobie wystawiał: gdy umysł boski coś sobie wyobraża, akt tego wyobrażenia równa się aktowi twórczemu, tak iż wraz z wyobrażeniem istnieją przedmioty temu wy-

obrażeniu odpowiadające. Taki umysł nie potrzebowałby, zdaniem Kanta, specjalnego aktu syntezy rozmaitych danych percepcji w jedynym akcie apercpcji czyli jedności samowiedzy; myślenie według kategorii nie miałoby również znaczenia dla takiego umysłu ¹⁾. Laplace także uległ pokusie podobnego racjonalizmu: „Wypadki obecne, powiada on, zostają z poprzedniami w związku, opartym na oczywistej zasadzie, że żadna rzecz nie może zacząć istnieć bez wytwarzającej ją przyczyny. Pewnik ten, znany pod nazwą zasady racji dostatecznej, rozciąga się nawet do czynności na pozór obojętnych... Musimy więc obecny stan wszechświata rozważać jako skutek jego stanu poprzedniego i jako przyczynę stanu, który nastąpi. Umysł, któryby naraz w jednej chwili znał wszystkie siły, ożywiające przyrodę i względne położenie do siebie istot przyrodę składających; któryby nadto był dość rozległy, aby tę całą wiedzę poddać analizie,—taki umysł w jednej formule objąłby ruchy olbrzymich ciał niebieskich i ruchy każdego najbliższego atomu: nic nie byłoby dlań nieznanne; zarówno przyszłość jak przeszłość byłyby mu obecne. Rozum ludzki, ze względu na tę doskonałość, jaką potrafił nadać astronomji, przedstawia słabą zaledwo kopję takiego ducha, od którego bądź co bądź

¹⁾ *„Derjenige Verstand,*^o) durch dessen Selbstbewusstsein zugleich das Mannigfaltige der Anschauung gegeben würde, ein Verstand, durch dessen Vorstellung zugleich die Objecte dieser Vorstellung existirten, würde einen besonderen Actus der Synthesis des Mannigfaltigen zu der Einheit des Bewusstseins nicht bedürfen“.* (*Kritik d. reinen Vernunft*, wyd. Erdmanna, §. 17, str. 119). — *„Denn, wollte ich mir einen Verstand denken, der selbst anschaute (wie etwa einen göttlichen, der nicht gegebene Gegenstände sich vorstellte, sondern durch dessen Vorstellung die Gegenstände, selbst*

zawsze pozostanie nieskończenie dalekim“¹⁾. Gdyby nawet przypuścić, że wiedza tego fikcyjnego umysłu Laplace'a została doświadczalnie zdobytą, to i tak jeszcze w fikcji jego tkwi błąd kardynalny, którego nawet ze stanowiska czysto formalnego superlatywizmu usprawiedliwić nie można: umysł ten w jednej chwili musi mieć przytomną całą wiedzę o rzeczach, siłach i stosunkach, świat składających, musi w jednym akcie świadomości objąć tak nieskończoną wiedzę i nadto dokonać jej zupełnej analizy, by w jednej formule objąć wielkie ciała niebieskie i każdy drobny atom, przeszłość i przyszłość. Cechą rzeczywistego umysłu ludzkiego jest to, że musi on kolejno przechodzić od wyobrażenia do wyobrażenia, od sądu do sądu, w szeregu momentów; lecz w jednym momencie nie może objąć nawet względnie prostego rozumowania. Innymi słowy: umysł ludzki jest dyskursywny i z natury swojej musi każdą myśl przebiegać w momentach po sobie następujących, czyli w czasie; gdy tymczasem „umysł“ Laplace'a, dodajmy, i „rozum najwyższy“ teleologów, obejmuje wszystko w jednym momencie, w jednym punkcie czasu, czyli od warunków czasu jest niezależny. „U Boga—mówi ks. Morawski²⁾—niema przedtym i potym, przeszłości i przyszłości; jest tylko wiekuista terażniejszość, jeden akt wiedzy“. Czas można dowolnie skracać, ale nicość czasu nie jest już żadnym stopniem czasu; rozum zaś, który wszelką wiedzę zawiera w jednym akcie,

zugleich gegeben oder hervorgebracht würden), so würden die Kategorien in Ansehung einer solchen Erkenntniss gar keine Bedeutung haben“ (Ibidem. §. 21, str. 123).

¹⁾ Laplace, *Essai philosophique sur les probabilités*, 5 wyd. str. 3.

²⁾ *Loc. cit.*, 195.

przez czas nieuwarunkowanym, każe nam znów domyślać się jakościowo nowej cechy, której na żadnym umyśle ludzkim nie mogliśmy stwierdzić ¹⁾ tak dalece, że nawet metafizycy, wyzwalając ducha z pod wszelkich warunków, rozpatrywali go jednak pod kategorią czasu, podobnie jak materję pod kategorią rozciągłości. Możliwość zresztą powątpiewać, czy wyrugowanie z umysłu boskiego kategorii czasu, czyli zdolności odróżniania rzeczy teraźniejszych od przeszłych i przyszłych, zapewnia mu w jakimkolwiek stopniu wyższość, bo w każdym razie albo my jesteśmy w błędzie, gdy urodzenie swoje uważamy za przeszłość i śmierć za przyszłość, albo umysł boski, który tych momentów czasowo rozróżnić nie może, które się dla niego w teraźniejszości zlewają. To tylko pewna, że znaną postać zaburzeń umysłowych, gdy pacjent przeszłe lub przyszłe wypadki bierze za teraźniejsze, powszechnie uważamy za upośledzenie; w koncepcji więc antropologicznej umysłu najwyższego cecha ta za ujemną ująć musi.

Dalsza ze stanowiska naukowego nieprzewyciężona trudność w antropomorficznej koncepcji rozumu najwyższego polega na tym, że żadne doświadczenie nie upoważnia nas bynajmniej do przypuszczania możliwości umysłu czy rozumu, niezależnego od substratu cielesnego, od mózgu żywego

¹⁾ Porówn. Kanta, *Prolegomena zu einer jeden künftigen Metaphysik*, §. 57 passim. Zresztą Kant w tym punkcie nie jest konsekwentny i ostatecznie przyjmuje, że świat musimy tak sobie wyobrażać, jak gdyby był rządzony przez rozum wyższy, bo świat sam sobie nie wystarcza (*Proleg.* §. 58); chociaż filozof, który z takim naciskiem dowodzi, że nic nie wiemy o świecie samym w sobie, najmniej ma prawa orzekać o tym, czy ten świat sobie wystarcza, czy nie.

i w odpowiedni sposób odżywianego. Wiem, że metafizycy lekceważą sobie ten skrupuł, ale wobec faktu, że całą naszą wiedzę naukową o umyśle opieramy dziś na psychologii, która nie dostarcza żadnych podstaw do przypuszczania możliwości jakichkolwiek zjawisk duchowych bez substratu nerwowego, skrupuł ten ze stanowiska naukowego musimy uznać za niepokonalny. Jeżeli nie mamy żadnych podstaw do utożsamiania psychicznych objawów świadomości z jakimikolwiek procesami materialnymi, to natomiast mamy zupełne prawo ogół czynności psychicznych uważać za funkcję systemu nerwowego w tym znaczeniu, że czynności psychiczne od pewnych stanów systemu nerwowego są nieodłączne i wszelkie zmiany w objawach psychicznych są ściśle zależne od zmian fizjologicznych w systemie nerwowym. Duch, albo rozumu absolutnego, od warunków cielesnych niezależnego, nauka uzasadnić nie może, a koncepcja antropomorficzna rozumu najwyższego zawsze pod tym względem musi grzeszyć dowolnością, gdyż nie może przytoczyć żadnej analogii psychologicznie uzasadnionej.

Tak więc „rozum najwyższy“, niby antropomorficznie pojęty, nie posiada najistotniejszych cech i warunków rozumu ludzkiego: ani wiedzy doświadczalnie zdobytej, ani myślenia dyskursywnego w warunkach czasu, ani funkcjonalnej zależności od warunków cielesnych; naodwrot w ten sposób pojęty rozum najwyższy każe przypuszczać takie jakościowo nowe cechy, których naukowo poznać i objaśnić niepodobna. W szeregu tych cech pominęliśmy tu umyślnie jedną, którą na właściwym miejscu omówimy, mianowicie, cechę absolutnej twórczości umysłu boskiego, której także śladów żadnych psychologia wykryć nie zdołała dotąd. Przedmiot o cechach, których dotąd nie spotkaliśmy w doświadczeniu, nad-

to nie zostający w stosunku zależności do żadnej ze znanych nam rzeczy, więc przedmiot absolutny, dla naukowego poznania jest stanowczo niedostępny. Zwolennicy antropomorficznej analogji rozumu najwyższego twierdzą, że cechy tego rozumu określają *analogice et proportionaliter*, że cechy umysłów stworzonych, więc ludzkich potęgują, przenosząc je na bóstwo, że zatem osiągają wiedzę swoją o umyśle najwyższym *via eminentiae, supereminentiae, superlationis*. Zdaje się, iż widzieliśmy z dostateczną dokładnością, że antropomorficzna koncepcja *) rozumu najwyższego nie daje się utrzymać ani ze względu na wskazane jej źródła (analogja do poznanych umysłów ludzkich), ani ze względu na metodę (superlatywizm).

Analogja, do której się redukuje całe zagadnienie o celowości w przyrodzie, wyżej była już sformułowana. Analogja ta, pomimo nacisku, z jakim się na nią teleolodzy powołują, jest przykładem tak wzorowo pod wszelkimi względami fałszywego wniosku analogicznego, że nie łatwoby przyszło zdobyć się na inny podobny przykład. Wniosek analogiczny polega na tym, że, na zasadzie dowiedzionego podobieństwa pewnych przedmiotów pod względem jakichkolwiek własności lub stosunków, wnioskujemy o takimże podobieństwie innych ich własności lub stosunków. Chemja np. na każdym kroku posługuje się tego rodzaju wnioskami. Skoro zbadano, że jod i brom podobne są do siebie pod względem swych właściwości tak dalece, że każdej znanej właściwości jednego ciała odpowiada takąż właściwość drugiego ciała, ilościowo tylko, czyli pod względem stopnia różna (bez czego oczywiście ciała te musielibyśmy uważać za jedno), jeżeli nadto każde znane połączenie jednego ciała odpowiada połączeniu drugiego, natenczas, odkrywając jakieś nowe połą-

czenie jodu, możemy przez analogję z wielkim prawdopodobieństwem wnioskować, że brom to samo połączenie dać musi. Skoro, na zasadzie spostrzeżeń nad stanami własnej świadomości i towarzyszącymi im objawami zewnętrznymi, wnioskujemy o obecności podobnych stanów psychicznych u innych osób, ilekroć spostrzegamy u nich odpowiednie objawy zewnętrzne, to opieramy się tu na analogji tak dalece ścisłej, na takiej masie istotnych podobieństw opartej, że prof. Bain radby ją uważał za zupełnie ścisłą dedukcję, z prawa indukcyjnie zdobytego wysnutą.

Analogja¹⁾, bądź co bądź zawsze jest w gruncie rzeczy tylko mniej lub więcej prawdopodobną wskazówką, w jaką stronę spostrzeżenia, doświadczenia i wogóle badanie skierowałyby należało. Zresztą analogja może zestawiać przedmioty bardzo od siebie różne, nie mające między sobą nic wspólnego, z wyjątkiem jednej lub niewielkiej liczby własności, ale wtenczas baczycь należy, aby wysnuwane wnioski nie przekraczały granic tej mianowicie własności i jej poznanych stosunków. Tak, organizm biologiczny i społeczeństwo ludzkie przedstawiają tylko niektóre podobieństwa stosunków, jak koordynowany podział pracy i rozwój objawiający się w różniczkowaniu się i całkowaniu się czynności i odpowiednich organów; jakoż w tych granicach biologia i socjologia wywzajemniają się już z korzyścią płodnymi analogjami. Gdy jednak poczęto na podstawie tych niewielu podo-

¹⁾ Analogja*) jest domysłem od podobieństw czy zgodności znanych do nieznanych; nie jest ona rękojmią wiedzy, lecz wskazówką, w jakim kierunku wiedzy szukać trzeba. Rękojmią dopiero jest sprawdzenie. Wnioskowanie w granicach znanych podobieństw do jednostajności stosunków jest homologją. Wnioskowanie od podobieństw i stosunków znanych do podobieństw i stosunków nieznanych jest analogją.

bieństw snuć wnioski analogiczne co do dalszych właściwości, gdy nie zawahano się w domach i gmachach widzieć kosztowny system organizmu społecznego, w drogach publicznych i handlowych—układ naczyniowy, w drutach telegraficznych i telefonicznych — nerwy, w giełdach — zwoje sympatyczne, a w rządzie — mózg, to, rzecz prosta, wkroczone na manowce zgoła jałowe a zapewne i zgubne dla postępów nauki. Te same wady miała wyżej przytoczona analogja Huyghensa, mająca dowodzić wielości światów zamieszkaných.

Istota analogji teleologicznej jest następująca: budowa świata ze wszystkimi tworamj jego tak jest podobna do celowych wytworów działalności człowieka, że, o ile niewątpliwie przyczyną celowych dzieł człowieka jest rozum ludzki, o tyle świat i urządzenia jego każą przypuszczać rozum nieskończenie od ludzkiego doskonalszy. Wobec tego przedewszystkim wypadałoby się zastanowić, czy w rzeczy samej przyroda i jej twory są tak dalece do celowych dzieł człowieka podobne, by analogję powyższą usprawiedliwiały. W tym względzie teoretycy celowości ze szczególnym upodobaniem rozwodzą się nad podobieństwem żywych ustrojów do maszyn przez człowieka zbudowanych, a tak są gorliwi i niepowściągliwi w wynajdywaniu rysów wspólnych, iż, gdybyśmy chcieli za pytanie: czemu Iljady nie uważamy za przypadkowy zbieg liter? — odpłacić pięknym za nadobne, tobyśmy mogli zapytać: czemu narzędzi i maszyn, znajdujących w Pompei, albo wykopalisk trojańskich Schliemana nie uważacie za celowe twory przyrody?

Jedni kładą nacisk na podobieństwa, inni przedewszystkim na różnice pomiędzy organizmami, jako *par excellence* celowymi tworamj przyrody i wytworamj przemysłu ludzkiego albo wogóle mechanizmami. Jest to dziedzina bardzo

powikłana i głównie z powodu braku jasnych pojęć, oznaczanych za pomocą specjalnych terminów. Przez wyraz mechanizm bardzo często oznacza się różne rzeczy: 1^o, doktrynę, według której wszystkie zjawiska we wszechświecie tłumaczą się jako wyniki tylko ciśnienia i uderzania się wzajemnego atomów i mas materialnych; 2^o, doktrynę determinizmu przyczynowego, według której zjawiska z koniecznością warunkują się wzajemnie na mocy praw stałych¹⁾; 3^o, układ wszelki, w którym zmiany zachodzą na mocy stałych praw determinizmu; 4^o, maszynę, czyli układ wszelki, przenoszący siły pod pewną postacią i w pewnym kierunku. Pierwszą definicję, jako formułę specjalnej doktryny, która się nie daje dotąd naukowo rozciągnąć do wszystkich zjawisk wszechświata, możemy pominąć: bronią jej dzisiaj tylko metafizycy materializmu. Druga definicja formułuje ów determinizm najszerszej rozumiany, którego właśnie my bronimy; czy chodzi o stałość związków chemicznych, czy o prawa, według których wzajemnie warunkują się zjawiska psychiczne, wszędzie mamy do czynienia z mechanizmem, t. j. z determinizmem według praw stałych, jakiegokolwiek one są i cze-
gokolwiek dotyczą. Wobec tego trzecia definicja określa każdy pojedynczo wzięty odłam przyrody; jeżeli się zgodzimy przyjąć specjalną nazwę *układ mechaniczny*, w takim razie wszystko, cokolwiek weźmiemy, czy układ materialny, czy istotę żywą, gdzie tylko zmiany zachodzą na mocy praw stałych, gdzie jest konieczne uwarunkowanie zjawisk jednych przez drugie — będzie układem mechanicznym. Wreszcie czwarta definicja służy do określenia jednej strony układów

¹⁾ Tak rozumie mechanizm Janet, *loc. cit.*, 244, chociaż nie zawsze konsekwentnie trzyma się tej definicji.

materjalnych, o ile one służą za narzędzia do przenoszenia sił w pewnej postaci i w pewnym kierunku. Mniejsza o terminy — chodzi o rozróżnienie pojęć i ściśle ich oznaczenie.

Przyjętą przez nas definicję mechanizmu przyjmuje także okolicznościowo Janet z tą wszakże różnicą, że Janet oczywiście dziedzinę mechanizmu, czyli determinizmu według praw stałych, rozciąga tylko do martwych żywołów natury, do materji, którą przytym, zgodnie z przedstawicielami ascetyzmu, traktuje z nietajoną ale w nauce o przyrodzie dziwną pogardą: *mécanisme brutal, mécanisme aveugle, mécanisme pur ou jeu aveugle des éléments* ¹⁾ — oto zwykłe u niego przewiska mechanizmu. Nad resztą i przedewszystkim w świecie istot organicznych panuje celowość; owszem, w świecie istot organicznych mechanizm nie jest wcale rzeczą istotną: pięć zasadniczych właściwości organizacji — odżywianie się, wzrost, odradzanie się, skurczliwość i inercja — „są niezależne od wszelkiej budowy mechanicznej” ²⁾. Dość przypomnieć tu sobie, że Janet mechanizmem nazywa konieczne wzajemne warunkowanie się zjawisk na mocy praw stałych, aby doznać wielkich trudności w wyjaśnieniu sobie, jak powyższe funkcje organiczne mogą być niezależne od wszelkiej budowy mechanicznej, jak organizm może nie być określonym układem mechanicznym. Miałyżby czynności życia organicznego nie podlegać żadnym prawom stałym? Dalej Janet przybiera sobie do pomocy H. Spencera, aby tymbardziej stanowczo odróżnić organizm od układu mechanicznego, i przyjmuje, jako cechy znamienne organizmu, koordynację wewnętrzną czynności i ciągle przystosowywanie się stosunków wewnątrz-

¹⁾ Ibid., 370 i passim.

²⁾ Ibid., 167.

nych do stosunków zewnętrznych ¹⁾). Te cechy zupełnie wyrażać mają celowość organiczną i w mechanizmie ich niema. Jest to złudzenie Spencera, któremu Janet zbyt skwapliwie zawierzył: każdy układ mechaniczny posiada koordynację wewnętrzną i w każdym z nich stosunki wewnętrzne muszą się przystosowywać do zewnętrznych; bolid spadający nietylko ma pewną koordynację cząsteczek, dzięki której przedstawia bryłę określonych kształtów i konstytucji chemicznej, lecz nadto, przebiegając różne warstwy atmosfery i zbliżając się do powierzchni ziemi, przystosowuje się w każdym momencie do warunków, zmieniając temperaturę, objętość i stan swój dynamiczny. Pod wpływem potężniejszych czynników zewnętrznych straciłby narazie te cechy, na mocy których uważamy go za ten sam przedmiot, tak samo jak ciało organiczne pod wpływem zbyt potężnych czynników przestaje być istotą żywą, chociaż jako układ mechaniczny dalej się przystosowuje do warunków otoczenia.

Kopiąc przepaść pomiędzy mechanizmem i organizmem, Janet odciął sobie wszelkie drogi do tak ważnej dla teleologów analogji organizmów do wytworów przemysłu ludzkiego. Człowiek właściwie buduje tylko maszyny, t. j. układy przystosowane do przenoszenia sił w pewnej postaci i w pewnym kierunku. Mechanizm, czyli stały determinizm zjawisk według praw przyrody, zawsze mu jest dany. Tymczasem przyroda, wytwarzając organizmy, które jakoby są niezależne od wszelkiego mechanizmu, a tymbardziej nie są maszynami, wytwarza coś takiego, czego w wytwórczości człowieka wcale nie znajdujemy; żadnej tu analogji być nie może.

¹⁾ Ibid., 367 — 8.

Inaczej zapatruje się na tę sprawę ks. Morawski. W książce „Celowość w naturze“ napotyamy tu i owdzie rozproszone wzmianki, że w tworcach przyrody daje się widzieć wielka ilość urządzeń taksamo celowych, jak w dziełach człowieka; znajdujemy tu „domy, mosty, ubrania, kuchnie, śpichlerze, systemy sznurów i dźwigni, pompy kanalizacyjne, uzbrojenia zaczepne i odporne, sprężyny, soczewki i komory optyczne; nawet balony, telegrafy, lampy elektryczne — ręką natury wykonane“ ¹⁾. I odwrotnie, „w maszynach ludzkich znajdują się, oprócz przyrządów służących do zewnętrznego wyrobu, inne przyrządy przeznaczone do zachowania samychże maszyn: jak okrycia, smarowidła, kłapy bezpieczeństwa i t. p.“ ²⁾. „Że maszyna ludzka (t. j. przez człowieka zbudowana?) sama się nie buduje i nie naprawia, jak organizm naturalny, to dowodzi niższości sztuki ludzkiej wobec natury, a więc chyba wyższości tej mądrości i potęgi co naturę utworzyła, w porównaniu z rozumem i środkami, jakie człowiek posiada“ ³⁾. Tak więc, maszyny i organizmy są zupełnie do siebie podobne, z wyjątkiem tej jednej cechy, że się maszyna sama nie naprawia, jak organizm.

Inny nasz teleolog, dr. W. Szokałski ⁴⁾, *) systematycznie zastanawia się nad analogją organizmu i mechanizmu: „Mechanizm—są jego słowa—ma to do siebie, że jest zawsze dziełem obcego usiłowania, i że, wiążąc pojedyncze części ustroju, wprowadza je w ruchy siłami, które mu już gotowe z zewnątrz przychodzą. Obrazem jego jest pierwszy lepszy przemysłowy zakład, rozumem ludzkim powzięty,

¹⁾ *Loc. cit.*, 10—11.

²⁾ *Ibid.*, 104.

³⁾ *Ibid.*, 104.

⁴⁾ Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie. Warsz. 1885.

a ludzką wykonany ręką... Organizm jest także machiną, lecz machiną nierównie doskonalszą, która sama się tworzy, utrzymuje się sama, sama sobie sił na swe potrzeby dostarcza i we właściwych, swemu celowi odpowiednich, zwraca je kierunkach. Nie wytwarza ona ich wprawdzie z niczego, gdyż ani siły ani materji stworzyć nie można, lecz jak pszczoła miód z kwiatów, tak i ona zbiera je po odrobinie z atomów odżywczej materji, przepływającej przez nią w kształcie pokarmu, łączy je z sobą, wyrabia samodzielnie swoje narzędzia i nagromadzonemi samodzielnie siłami w ruch je wprowadza. Takimi organizmami są jedynie tylko istoty żyjące i dlatego też je organicznemi zowiemy... Mechanizm powstaje, utrzymuje się i działa za obcą tylko pomocą, organizm zaś istnieje sam przez się. Mechanizm występuje biernie, organizm czynnie i samoistnie. W pierwszym władza twórcza stoi poza obrębem ustroju, w drugim zaś nierozdzielnie jest z nim zespolona. Jednakże w całym obrazie przyrody mechanizm i organizm tak ściśle z sobą się łączą, tak nierozdzielnie uzupełniają się wzajemnie, że chyba tylko abstrakcyjnie od siebie oddzielić się dają i jeżeli tylko samodzielność prześlepisz, to między niemi nie znajdziesz różnicy¹⁾. „W ogólności każde, i to bez wyjątku, ciało jest organizmem, każde bowiem polega na samodzielnym usystematyzowaniu się wszystkich drobinkowych ruchów w jedną łączących się całość, stosownie do typu jemu właściwego. Każde ciało ma swoją właściwą drobinkową budowę, do której się wszystkie jego fizyczne własności odnoszą; a jeżeli o anatomji i fizjologii minerałów mowy jeszcze niema, to na nie bez zaprzeczenia już zwrócono uwagę, a dalszy nauko-

¹⁾ Szokalski, *ibid.*, 59—61.

wy rozwój doprowadzi nas z pewnością do tego, iż wszystko, co wyszło z ręki przyrody, uznamy za organizm, z tą tylko pomiędzy tworam różnicą, że są organizmy trwałe i organizmy przemijające¹⁾.

Jak widzimy, dr. Szokalski raz mechanizmem nazywa wogóle układ materjalny z właściwą mu grą sił cząsteczkowych, która jest nieodłączna od wszelkiego układu materjalnego; drugi raz mechanizmem nazywa maszynę, czyli abstrakcję budowy, przystosowanej do przenoszenia sił w pewnej postaci i w pewnym kierunku. To powikłanie daje pozory podstawności twierdzeniu, jakoby mechanizm powstawał, utrzymywał się i działał za obcą tylko pomocą, gdy tymczasem organizm istnieje sam przez się. Bynajmniej, maszyny tylko budowane przez człowieka, jako maszyny, powstają za obcą pomocą, ale każda maszyna jednocześnie jest mechanizmem, czyli układem mechanicznym, który ma sobie właściwą koordynację sił wewnętrznych, który samodzielnie w pewien sposób oddziałuje na otoczenie i mocą własnej spójności sił się utrzymuje. Mechanizmu nie charakteryzuje bierność, bo najprostsza bryła inaczej oddziałuje na ciała otaczające, stosownie do swoich rozmiarów, kształtu i składu. Uwzględnienie tego byłoby ustrzeżeniem d-ra Szokalskiego od sprzeczności z samym sobą, w jaką wpada, gdy raz utrzymuje, że różnicę pomiędzy organizmem i mechanizmem stanowi „samodzielność“ pierwszego, w końcu zaś przychodzi do wniosku, że każdy mechanizm bez wyjątku jest organizmem, czyli że żadna różnica nie istnieje. Każdy organizm jest mechanizmem, ale nie naodwrot, bo organizm jest mechanizmem specjalnym, jest gatunkiem mechanizmu.

¹⁾ Szokalski, *ibid.*, 68.

Psycholog belgijski Józef Delboeuf⁴⁾ zwrócił uwagę na analogję pomiędzy organizmami żywymi i maszynami. Według tego pisarza analogja ta występuje pod trzema względami: 1^o, organizm żywy, taksamo jak każda maszyna, może działać tylko pod warunkiem zużywania siły; 2^o, każdy mechanizm sztuczny (maszyna) dobrze wykonywa zawsze jedną jakąś czynność i to samo w ustroju żywym: serce bije, żołądek trawi, wątroba żółć wydziela i t. p.; nadto, każdy z tych przyrządów organicznych jest do pewnego stopnia niezależny, niby mechanizm skończony; 3^o, zarówno organizmy, jak mechanizmy podlegają zepsuciu i nie mogą się same przez się naprawiać. W organizmie naprawa pewnego zepsutego narządu koniecznie zależy od istnienia już gotowych innych narządów, niezepsutych jeszcze.

Niewątpliwa, że każdy organizm, jako układ materjalny, jest mechanizmem, czyli układem mechanicznym, że przeto wszystkie warunki zasadnicze chociażby maszyny sztucznej muszą w nim istnieć. Trudniej się zgodzić na to, że serce wykonywa dobrze tylko czynność pulsacji, bo czynność ta byłaby niemożliwa, gdyby również dobrze nie wykonywało ono czynności odżywiania się albo wzrostu. Jest to tak samo oczywiste, jak to, że każda maszyna może funkcjonować tylko kosztem jakiejś siły, jak i to również, że tylko ze stanowiska utylitarnego można twierdzić, iż każda maszyna zawsze jedną tylką jakąś czynność wykonywa dobrze, bo np. maszyna do szycia nietylko dobrze szyje, co z praktycznego stanowiska jest najważniejsze, lecz

¹⁾ Patrz szereg artykułów jego o życiu i śmierci w „*Revue philosophique*“, 1883, Nr. 10 i 1884, NN. 7, 9, 10, a także osobną książkę jego o tym przedmiocie w serji „*Bibliothèque de la philosophie contemporaine*“.

także dobrze w swoim rodzaju przeprowadza ciepło, wydaje dźwięki i t. p., o czym ze stanowiska teoretycznego zapominać nie należy. Rdzeń kwestji tkwi nie w tym, że organizm jest koniecznie mechanizmem czy maszyną, — to oczywista, ale w tym, że organizm jest to maszyna żywa, że posiada pewne cechy biologiczne, na zasadzie których odróżniamy go od rzeczy martwych. Cechy te, których dotąd nikt w sposób naukowy nie zredukował do innych bardziej prostych, są następujące: cząsteczkowa restytucja zużytych części przez asymilację, obecność w stosunkach z otoczeniem takiego regulatora, jak czucie, które się na wyższych szczeblach rozwoju staje świadomą działalnością psychiczną i gienetyczną ciągłość rozwoju. Wilh. Roux dodaje nadto przewagę restytucji nad zużyciem i samoregulację, jako cechy odróżniające mechanizmy organiczne od nieorganicznych ¹⁾.

Dalsze zapuszczanie się w szczegóły byłoby tu zbyt techniczne. Porównywając utwory żywe z maszynami, o ile analogja ma być poprawna, musimy albo we wnioskach ograniczyć się tylko do mechanicznych cech podobieństwa, albo nadać analogji kierunek odwrotny i wykazać, że maszyny są podobne do organizmów pod względem cech biologicznych. W pierwszym wypadku nie osiągamy żadnego argumentu dla teleologii, bo każdy układ materjalny, czy to będzie kamień, czy drąg, czy wodospad, czy lokomotywa, w stosunku do innych układów może odgrywać rolę maszyny, przenoszącej siłę w pewnym kierunku i pod pewną

¹⁾ Dr. Roux, *Der Kampf der Theile im Organismus*, Lipsk, 1881. — „*Selbstregulation und Uebercompensation sind die Grundeigenschaften und die nöthigen Vorbedingungen des Lebens*“. Str. 226. Dzieło to obfituje w świetne i oryginalne pomysły i spostrzeżenia.

postacią; okoliczność ta jednak nie orzeka jeszcze nic o celowości, bo celowość tkwi w świadomym zastosowaniu pewnego układu materialnego do jakiegoś innego, dla osiągnięcia pożądanego skutku. Gdy więc zaznaczamy, że organizm między innymi jest maszyną, a maszyną jest każdy układ materialny, czy on powstał w drodze naturalnej, czy został przez człowieka zbudowany, to celowość przez to nic nie zyskuje. Trzebaby chyba koniecznie dowieść w każdym przypadku, iż czynniki psychiczne pod postacią wyobrażeń celowych brały udział w wytwarzaniu takich układów materialnych, jak ustroje żywe. Odwrócenie zaś analogji i udowodnienie, że maszyny są podobne pod względem cech biologicznych do ustrojów żywych—jest niemożliwe.

Ale idźmy dalej. Nie da się zaprzeczyć, że wszelkie wytwory przemysłu ludzkiego ostatecznie redukują się do układu wcześniej poznanych materiałów o pewnych stałych własnościach i stosunkach; gdy więc chodzi o wyroby ludzkie, nie może być mowy o stworzeniu według obmyślanego planu bodaj jednego atomu materji, lub o nadaniu bodaj jednej nowej własności atomom: wszystko musi być wzięte, jak jest, poznane, jak jest, i tylko w granicach istniejących i poznanych rzeczy da się skombinować coś celowi odpowiedniego, celowi, który także na zasadzie doświadczenia powstał. Temu, ktoby mniemał, iż właśnie kombinowanie owo jest aktem niezależnej od doświadczenia twórczości umysłowej, historia wszystkich urządzeń ludzkich i ich udoskonaleń odpowie, że i kombinacja rzeczy istniejących i poznanych jest owocem ustawicznych prób i doświadczeń.

Obrońcy celowości zwracają uwagę na to, że wytwórczość człowieka jest tylko dalszym ciągiem twórczości rozumu boskiego, ujawnionego w przyrodzie. Zapewne, człowiek

sam jest ogniwem przyrody i wszelka praca jego także; że jednak teleolodzy wyraźnie przyznają, że wyroby przemysłu ludzkiego są o wiele mniej doskonałe od tworów przyrody, więc chyba musieliby także przyznać, że ten dalszy ciąg twórczości przyrody, który człowiek w swojej przemysłowości ujawnia, jest cofnięciem się wstecz w ogólnym rozwoju. Przechodzić od celowej działalności człowieka do celowej budowy organizmów, to znaczy, przechodzić od czegoś bardzo prostego do czegoś bardzo skomplikowanego i nawet nowego. W najprostszej nawet komórce jest coś, czego dotąd nietylko nie potrafimy odtworzyć, lecz czego nawet wcale nie znamy i nie rozumiemy; jakże więc analogia z działalnością człowieka może tu wystarczać? ¹⁾.

Zwracając się zatem do świata, którego urządzenie ma być w całości i w szczegółach dziełem celowo działającego rozumu, zaś materiały i ich własności mają być środkami, odpowiednio do celów przez tenże rozum stworzonymi, napotykaemy tę nieprzewidywaną trudność, że rozum ów boski musi posiadać wszystkie cechy inne, niż rozum ludzki: wiedzę realną, nie doświadczalnie zdobytą, moc tworzenia materiałów kosmicznych i nadawania im cech właściwych, myśł od warunków materji i czasu niezależną i być może inne

¹⁾ „Więc zwierzęta *) same rozwinęły w sobie te uzdolnienia i własności tak godne podziwu? Czy nie obraża Stwórcy takie twierdzenie“? Odpowiemy, że nauka bynajmniej w niczym nie zaprzecza udziału nadprzyrodzonego w sprawach natury, gdy usiłuje wykazać związek między zjawiskami. Inaczej każde objaśnienie naturalne zjawisk byłoby obrazą bóstwa, a bezbożnym byłby fizyk, nie chcący ograniczyć się na twierdzeniu, że to Pan Bóg grzmi. Zresztą zauważymy, że przyznawanie instynktu ptaków śpiewających działalności boskiej, bez innych objaśnień, nie mówi nic w materji ostatniej analizy.

jeszcze nieznanne cechy, bo właściwie nie możemy wiedzieć, jakie cechy musiałby posiadać ten, ktoby miał żywe organizmy tworzyć, gdyż nie przeniknęliśmy jeszcze tak głęboko w tajniki życia organicznego. Przedmiot o zupełnie innych cechach, niż z doświadczenia nam znany rozum ludzki, może być, czym się podoba, tylko rozumem nie jest, jeżeli wogóle istnienie takiego przedmiotu da się udowodnić. Z powyższych uwag wypada, że w analogji teleologicznej rzeczy porównywane, t. j. wytwory przemysłu ludzkiego i twory przyrody są istotnie od siebie różne, że nadto domyślna przyczyna tworów przyrody — „rozum najwyższy“ — musiałaby być istotnie różną od jednej z rzeczywistych przyczyn wyrobów człowieka, mianowicie — rozumu ludzkiego; że wreszcie analogja ta istotnie przekracza granice cech i stosunków porównywanych i stąd, że organizm jest układem mechanicznym, dającym się przyrównać do wszelkich celowych i niecelowych maszyn, każe się domyślać celowości i w stosunku do tych cech organizmu, których maszyny przez człowieka budowane nigdy nie posiadają. Innemi słowy: analogja jest tak nieuzasadniona pod względem naukowym, jak tylko być może.

Słuszność atoli nakazuje zaznaczyć, że, według ks. Morawskiego, przy wykrywaniu w przyrodzie śladów działalności celowej rozumu najwyższego, kierujemy się nie samą tylko analogją antropomorficzną. Owszem, *najczęściej* w tworach przyrody nie upatrujemy żadnego podobieństwa do dzieł ludzkich, a mimo to bezpośrednio odkrywamy w nich cechę celowej działalności rozumu. Cechą tą ma być: „idealna jedność, wynikająca z mnogich i rozmaitych czynników, stosownie do niej złożonych“. Przykładem — narzędzia kamienne epoki przedhistorycznej: bołdy kamien-

ne, które archeologia uznaje za wyroby celowe pierwotnego człowieka, posiadają „może jakieś dalekie podobieństwo do używanych dziś narzędzi“¹⁾. Każde z otłuczeń bołdu mogłoby być skutkiem sił elementarnych; ale, gdy widzimy, jak wszystkie otłuczenia składają się na całość bołdu, wnet przypuszczamy rozumną przyczynę ich powstania.

Na to nasamprzód odeprzeć musimy, że trudno pojąć, jakim sposobem, widząc po raz pierwszy coś podobnego, jak bołd, możemy bezpośrednio poznać, że to jest właśnie „całość bołdu“. Jeżeli się nie kierujemy żadnymi analogjami i zatym nie mamy żadnego wyobrażenia o możliwym zastosowaniu tego przedmiotu, to z taką samą słusnością mogliśmybyśmy przypuszczać, że jest to dopiero setna część jakiejś całości. Ale właśnie przychodzą nam wnet na myśl analogje broni i narzędzi do rozbijania, na zasadzie których możemy myśleć, że to całość, chociaż to przypuszczenie byłoby jeszcze nie dość uzasadnione, taksamo jak nie jest uzasadniona legienda ludowa, że głaz, stojący pod Pieskową Skałą w pobliżu Ojcowa, jest „maczugą Herkulesa“, chociaż i tu legienda oparła się na analogji kształtów. Powtóre jednak należy uwzględnić, że wyroby kamienne pierwotnego człowieka w rzeczy samej pierwotnie uważano wprost za kawały odłupanej opoki, czyli, jak się wyrażano w wiekach średnich, za *lusus naturae*, tak dalece nie zdradzały one bezpośrednio umysłowi ludzkiemu swojej „idealnej jedności“. Uważano je za igraszki przyrody, wcale nie doskonalsze od wielu innych w rodzaju schodów, kolumn, bram, kopuł i t. p. w wywietrzałych i wypłókanych skałach. Inni znów uważali te narzędzia za broń olbrzyma, którego szczątki

¹⁾ Celow. w nat., 16.

upatrywali w szkielecie słońca pierwotnego; jeszcze inni za pociski piorunowe. Gdy jednak wpadnięto na poszlaki, że noże i topory kamienne znajdują się zazwyczaj w znacznie-szej ilości obok kości zwierzęcych i ludzkich połupanych z wyraźnym zamiarem wydobycia z nich szpiku, bo kości bez szpiku zwykle leżą nietknięte obok żaren i wogóle śladów pierwotnych siedzib człowieka; gdy nadto znaleziono także same albo bardzo podobne narzędzia kamienne u ludów dziś jeszcze pozostających na najniższych szczeblach cywilizacji i poznano ich użytek właściwy, np. posługiwanie się nimi przy zabijaniu ofiar ludzkich i zwierzęcych, — natenczas powstała owa bardzo prawdopodobna hipoteza, bynajmniej nie na bezpośredniej intuicji „idealnej jedności“ oparta. Jej podstawą także jest analogja na doświadczeniu oparta. Bardzo szlusznie w tej materji wyraża się Wundt¹⁾: „Gdy ktoś na widok dzieła sztuki przypuszcza, że ono jest wytworem ręki ludzkiej, to sąd swój bardzo gruntownie opiera na niezliczonej liczbie doświadczeń. Gdyby jednak na zasadzie pośrednio udzielanych mu wiadomości lub własnych spostrzeżeń znany mu był dotąd tylko jeden albo bardzo szczupła liczba przypadków, gdzie podobny przedmiot powstał w ten sposób, natenczas na zasadzie analogji mógłby być oparty wniosek, ale też wniosek ten byłby tylko problematyczny“.

Co godna uwagi, że nawet u zwierząt kopalnych, które przecież przedstawiają tyle analogji do zwierząt obecnie istniejących, często niepodobna zrozumieć roli pewnych szczegółów budowy, gdy nie rozporządzamy odpowiednim zasobem doświadczeń bezpośrednich. Już Schopenhauer²⁾,

¹⁾ W. Wundt. *Logik*, I, 314.

²⁾ *Wille in der Natur*, 40.

zauważył, że u mrówkojada pomiędzy potężnymi ramionami, pazurami mocnymi, długimi i krzywymi, a zupełnym brakiem zębów zachodzi tak rażąca nieodpowiedniość, że, gdyby to zwierzę zaginęło, mrówkojad kopalny byłby dla człowieka zagadką nierozwiązalną, a zwłaszcza, gdyby jeszcze i gatunek mrówek znikł z powierzchni ziemi. Dodajmy, że w takim razie Cuvierowska zasada, *loi des corrélations organique*, która się teleologom¹⁾ wydaje tak niechybnym wytrychem do otwierania zagadek celowości organicznej, byłaby raczej przeszkodą, niż pomocą przy celowym objaśnianiu zjawiska. H. Spencer w swojej „Fizjologii transcendentalnej“²⁾, zwraca uwagę, że kret ma tak niezwykle wąską miednicę w stosunku do reszty ciała, iż, gdyby był zwierzęciem kopalnym, musielibyśmy przypuszczać, że rodził małe w stanie bardzo nierozwiniętym, gdy tymczasem jest on jedynym ssakiem znanym, który rodzi małe nie przez miednicę i dzięki temu rodzi je w stanie normalnym. Przykład ten dowodzi, że nawet w świecie organicznym, tej specjalnie ulubionej dziedzinie teleologów, bez doświadczeń bezpośrednich albo wniosków analogicznych na doświadczeniu opartych, żadnej bezpośredniej intuicji w przedmiocie celowości być nie może.

I o tym także pamiętać należy, że, gdzie brak doświadczałnej znajomości celów, jakimi się człowiek kierował przy wytwarzaniu pewnych wyrobów, tam można budować przypuszczenia, ale żadnych nieomylnych cech właściwej celowości być nie może. Jakkolwiek bowiem człowiek pewną rzecz robi w określonym celu, to wszakże skutku celowego nie mo-

1) Janet, *ibid.*, 63; ks. Morawski, *ibid.*, 85.

2) „Szkice“ T. II w polskim przekładzie.

że odłączyć od innych koniecznie mu towarzyszących skutków pobocznych, jak np. w maszynie tarcie, wywiązywanie się i promieniowanie ciepła, warczenie trybów i inne ruchy poboczne. Dajcie głuchemu od urodzenia zbadać tabakierkę grającą, a z pewnością, pomimo jej wielkiego podobieństwa do innych sztucznych maszyn, wpadnie na dziwaczne pomysły w przedmiocie celowości tej maszyny, jeżeli nie będzie dość mądry, aby się wcale od sądu powstrzymać. My właśnie jesteśmy takimi nieoględnymi głuchymi, gdy twory przyrody oceniamy ze stanowiska celowości: pochwycawszy pewien szczegół budowy, czynność pewną subiektywnie dla nas ważną, nie wahamy się wnet tłumaczyć ich sobie celowo, stosownie oczywiście do horyzontu swego widzenia, chociaż objawom tym towarzyszą tysiące innych, które wprost pomijamy, jako podrzędne. Gdyby Mikromegas Voltaire'a przybył do nas z Syrjusza ze swoim towarzyszem z Saturna i gdyby zaczęli ci przybysze wyroby nasze teleologicznie oceniać, to prawdopodobnie w maszynach i urządzeniach naszych częstokroć braliby za cel coś takiego, co według nas jest tylko nieuniknioną okolicznością towarzyszącą, pozbawioną wszelkiej wartości celowej; ich potrzeby, upodobania i subiektywne sposoby zapatrywania się byłyby dla nich w tym względzie dyrektywą. Działa Kruppa mogłyby się im wydać przyrządami do demonstrowania krzywej pocisku, podobnie jak dzicy Indjanie połykają kawałki pismem pokrytego papieru, tłumacząc sobie celowo ten wyrób ze swego utilitarnego stanowiska, jako środek leczniczy; lub jak ciż dzicy zawieszają sobie na szyi i głowie nasze guziki i inne lśniące lub jaskrawe przedmioty, tłumacząc je sobie ze stanowiska własnej celowości estetycznej, jako przedmioty ozdoby. Te i tym podobne względy są już dostateczną dla

nauki przestroga, aby, odrzuciwszy subiektywne probierze celowości, a takie tylko są możliwe, badać wszystkie bez wyjątku zjawiska w ich właściwej zależności przyczynowej¹⁾.

Znamię „jedności idealnej“ w systemie odpowiednio ułożonych czynników, jak przyznaje zresztą sam ks. Morawski, nie jest bezwzględne: owszem „kilka szczegółów może się zejść *przypadkiem* w taki sposób, w jakiby je ułożyła przyczyna rozumna i przedstawić jakiś pozór celowości“²⁾. Tak, np.: „mucha, atramentem zmoczona i chodząca po papierze, może wykreślić kształt litery C“; w ten jednak sposób może powstać tylko bardzo prosty układ, ale nie może powstać wiersz Horacego. Wyżej już wyłuszczyliśmy, dlaczego się nie zgadzamy, aby wogóle cokolwiek przypadkiem powstać mogło, a więc i owo C; przez muchę skreślone, musiałyby mieć swoje przyczyny, to zaś pewna, że zdarzają się dość często zbiegi okoliczności, które prostotę owego C o wiele prześcigają, a jednak, pomimo ich niezwykłego skomplikowania, nikomu nie

1) Kant powiada*): *Endlich müssen wir nach einer richtigen Maxime der Naturphilosophie uns aller Erklärung der Natureinrichtung, die aus dem Willen eines höchsten Wesens gezogen worden, enthalten, weil dieses nicht mehr Naturphilosophie ist, sondern ein Geständniss, dass es damit bei uns zu Ende gehe*. (Prolegomena zu einer jeden künftigen Metaphysik, §. 44) — *„Wenn ihr (der Naturwissenschaft) auch dergleichen anderweitig angeboten würde (z. B. Einfluss immaterieller Wesen), so soll sie es doch ausschlagen und gar nicht in den Fortgang ihrer Erklärungen bringen, sondern diese jederzeit nur auf das gründen, was als Gegenstand der Sinne zur Erfahrung gehören und mit unseren wirklichen Wahrnehmungen und Erfahrungsgesetzen in Zusammenhang gebracht werden kann“* (Kant, ibidem, § 57.)

2) Cel. w nat., 19.

przyjdzie na myśl dziś poważnie je tłumaczyć celowo. Po-
prezestańmy na kilku przykładach.

Spółczesny astronom amerykański E z a w H a l l odkrył w sierpniu 1877 r. za pomocą refraktora Waszyngtońskiego dwa księżycy Marsa, które M a d a n nazwał *Phobos i Deimos*. Pierwszy odległy jest od środka Marsa o $\frac{1}{3}$ jego średnicy, obiega zaś dokoła Marsa w przeciągu $7\frac{1}{2}$ godzin; drugi, odległy o $3\frac{1}{2}$ średnicy, zatacza drogę swoją w ciągu 30 godzin. Otóż, w fantastycznych „podróżach Guliwera“, znanym dziele J o n a t a n a S w i f t a, znajdujemy opowieść, że astronomowie urojonej wyspy Laputy odkryli dwa księżycy Marsa, z których jeden odległy jest o 3 średnice i zatacza drogę w ciągu 10 godzin; drugi zaś, odległy o 5 średnic, obiega drogę dokoła Marsa w ciągu $21\frac{1}{2}$ godzin¹⁾. Tedy żart Swifta o przeszło 100 lat wyprzedza rzeczywiste odkrycie, a różnice w cyfrach urojonych i astronomicznie obrachowanych bynajmniej nie przekraczają granic znanych w historii astronomji różnic w obliczeniach, w różnych czasach i przez różnych specjalistów dokonanych. Niemniej uderzającym jest następny zbieg okoliczności: francuska izba deputowanych w roku 1830 składała się z 402 członków, z których 221 stanowili stronnictwo zwane „*La queue de Robespierre*“, reszta zaś 181 znani byli pod nazwą „*Les honnêts gens*“. Jeżeli każdą literę w obu tych nazwach przyjmiemy za liczbę, odpowiadającą jej miejscu porządkowemu w alfabecie, natenczas otrzymamy, że suma cyfr każdej nazwy daje liczbę członków odpowiedniego nazwie stronnictwa, a więc obie sumy dodane dają ogólną liczbę wszystkich deputowanych²⁾.

¹⁾ Cytowane u Dubois-Reymonda, *Ueber die wissenschaftlichen Zustände der Gegenwart*. 1882.

²⁾ Cytow. u Jevonsa, *Principles of science*. London, 1877

Do podobnych zbiegów okoliczności nie przywiązujemy żadnej wagi i dlatego nie tłumaczymy ich sobie celowo. Fakt, że rok wstąpienia na tron Ludwika XIV (1643), data, od której zaczął rządzić samodzielnie (1661), data jego śmierci (1715), po dodaniu cyfr zawsze dają 14, czyli jego liczbę porządkową w szeregu imienników jego na francuskim tronie, — fakt ten nie ma dla nas żadnego znaczenia, tak samo jak ten inny: jeżeli do liczby 1794, oznaczającej rok upadku Robespiera, dodamy sumę cyfr tej liczby, to otrzymamy 1815, czyli rok upadku Napoleona I; następnie, powtarzając ten sam proceder z 1815, otrzymamy 1830, czyli rok upadku Karola X. Dość jednak czytać historyków różnych czasów, aby się przekonać, że tym podobne zbiegi zdarzeń stawały się nieraz pokusą do interpretacji celowych i do podejrzenia „palca Opatrzności“. Kwestja t. zw. perjodyzacji historii, czyli podziału dziejów na okresy posiada wielką i pouczającą literaturę, w której łatwo natrafić na tego rodzaju chronologiczne zbiegi okoliczności, jak np. ścisła perjodyczność pewnej kategorii zdarzeń głównych obok możliwego podziału okresów głównych na podrzędniejsze również przez zdarzenia odpowiednio podrzędne; trzeba tylko zręcznie dobierać zdarzenia¹⁾. Nie omieszkało naturalnie w tym również dopatrywać się celowych rządów opatrzności. Co do nas, mamy tylko jedno do nadmienienia, że żaden podobny zbieg okoliczności nie dzieje się bez przyczyn, do których też włączyć często należy nasze urojenia subiektywne.

¹⁾ W tym względzie możemy wskazać dzieło Benloewa „*Les lois de l'histoire*“, 1881, gdzie bardzo dużo włożono pracy w jałowe dla nauki figle chronologiczne.

VII.

Rozciąganie świadomości i jej objawów poza granice organizacji nerwowej jest takim samym odwiecznym błędem metafizyki spirytualistycznej, jak redukcowanie świadomości do ruchów atomów materialnych jest błędem metafizyki materialistycznej. Janet kładzie nacisk na to, że, skorośmy poznali cel w świadomej działalności człowieka i zwierząt, w dalszym ciągu idea celowości nie może zniknąć jedynie dlatego, że napotykamy nowy warunek — nieświadomość; indukcje i analogie nasze teleologiczne nie muszą ustawać tam, gdzie ustaje świadomość ¹⁾. Przykład nieświadomej celowości przedstawia nam instynkt zwierzęcy. Wychoząc od samych siebie, nasamprzód na podstawie indukcji analogicznych przyznajemy, że podobni nam ludzie działają celowo; jeszcze dalej, że czynności instynktowe są skierowane do celu; wreszcie przyznać musimy, że wogóle czynności organiczne, tak analogiczne z instynktami, również skierowane są do celu, i wreszcie, jako ostatnie ogniwo tego szeregu indukcji, przyznać musimy, że samo kształtowanie narządów, wykonywających czynności celowe, każe przypuszczać ideę celu²⁾. Co prawda, sam Janet zastrzega się, że szereg ten

¹⁾ Ibid., 141.

²⁾ Ibid., 152

indukcji nie jest nieprzerwany, gdyż od chwili, gdy fakt świadomości znika nam z przed oczu, nie możemy już przyjmować, iż umysłowość celowo działająca jest bezpośrednio obecna w samej istocie aktu celowego dokonywającej; w ten sposób wystarczy przypuścić, że umysłowość ta jest poza istotą celowo działającą, że jest ona w przyczynie, która z zewnątrz celowym zachowaniem się istoty kieruje ¹⁾. To wyznaczenie dla nas wystarcza, bo widzieliśmy, że świadomości innej od naszej i niezależnej od tych warunków, które psychologia podaje jako niezbędne dla jedynej poznawalnej świadomości, przyznać niepodobna, jeżeli się mamy kierować rzeczywistością ściśle analogią, nie zaś intuicją, której świadectwom nauka kompetencji nie przyznaje. Ks. Morawski, biorąc rzecz od drugiego końca, utrzymuje, że materialści, „prowadząc niecelowość od mgławicy aż do funkcji organicznej i zwierzęcego instynktu, powinni logicznie zaprzeczyć celowości nawet w działaniu zwierząt samoistnym“ ²⁾. Że materialści przy obecnym stanie wiedzy nie potrafią wyjaśnić zjawiska celowego działania u człowieka i zwierząt na podstawie tylko mechanicznych własności materji—to pewna; podobnie jak spirytualiści nie objaśnią możliwości przypuszczenia wyobrażeń celowych tam, gdzie niepodobna dowieść istnienia świadomości analogicznie do naszej podobnej i w analogicznych warunkach zostającej. Dlaczego jednak materialści mieliby być *logicznie* zmuszeni do zaprzeczenia celowości w postępowaniu człowieka i zwierząt, skoro ta celowość jest faktem — tego zrozumieć niepodobna. Zawsze mamy tu do czynienia z tym nieubłagany racjonalizmem, który wyobra-

¹⁾ Ibid., 142.

²⁾ Cel. w nat., 98.

za siebie, że logika może fakt obalić, że niezależnie od tego, co jest, możemy sobie świat wyrozumować.

Celowości jako faktu we właściwej dziedzinie rzeczywistości psychicznej nikt nie odrzuca, ani materjaliści, ani ewolucjoniści. Wszyscy oni podpiszą się pod słowami Wundta: „Szczególnie zaznaczyć należy, że, oprócz postępowania ludzkiego, w dowolnym postępowaniu zwierząt, są także przypadki, gdzie wyobrażenia celowe występują jako czynniki, wpływające na obiektywny przebieg zjawisk w przyrodzie... Wszędzie, gdziekolwiek mamy do czynienia z popędami i wyobrażeniami istot dowolnie działających, a więc szczególnie w przypadkach walki zwierząt tego samego i różnych gatunków o pożywienie i możliwość rozradzania się, tam niepodobna zaprzeczyć przyczynowego i obiektywnego znaczenia wyobrażeń celowych“ ¹⁾. Aby uniknąć wszelkich nieporozumień co do natury tych wyobrażeń celowych, Wundt dodaje: „oczywiście nie pod wpływem jakichś wyobrażeń celowych, któreby się znajdowały poza istotami żywymi, albo były nieświadome ²⁾, niby mistyczne siły życia, lecz pod wpływem wyobrażeń celowych, któreby determinowały dowolne i świadome postępowanie zwierząt“ ³⁾. — „Przeciwnie — powiada tenże uczony — jest to zupełnie dowolna i przeto ze stanowiska teorii poznania zupełnie nieuzasadniona doktryna, która przy-

¹⁾ Wundt, *Logik* I, 583.

²⁾ Malebranche*) przeciw *entités occultes* pisze: „Odpowiedzą mi, być może, że formy substancjalne, np. t. zw. plastyczne, które według przypuszczenia wytwarzają zwierzęta i rośliny, nie są świadome tego, co czynią i zatym, jako pozbawione pojmowania, nie są w żadnym stosunku do bóstw pogańskich. Ale któż uwierzy temu, żeby ten, kto wytwarza rzeczy z mądrością, prześcigającą mądrość wszystkich filozofów, wytwarzał je bez pojmowania“. *Recherche de la vérité*. III, 81.

³⁾ Wundt, *ibidem*, I, 584.

puszcza przyczynową działalność celową tam, gdzie dowolne postępowanie doświadczalnie stwierdzone nie zostało¹⁾. Pogląd ten, bardzo naturalny i nie potrzebujący dowodzeń, napotykaemy u wielu autorów spólczesnych. Wszystkie opinie w tym przedmiocie w gruncie redukują się do twierdzenia, że cele, jako rzeczywistość realna, występują tylko pod postacią wyobrażeń celowych, a więc tam, gdzie jest świadomość i jej substrat nieodzowny — mózg, system nerwowy. „Granice celu (jako czynnika faktycznego) zbiegają się z granicami świata zwierzęcego, który zdolny jest pożądać i wyobrażać; dziedzina, w której zakresie cel posiada znaczenie obiektywne, jest dziedziną psychologii“²⁾.

Mniej prawdopodobnie zwolenników znajdzie inna opinia W u n d t a, według której wyobrażenia celowe mają odgrywać wielką rolę w transformizmie, w powstawaniu form organicznych. „Gdy uwzględnimy — są słowa jego—że już najniższe organizmy zdradzają najprostrze objawy popędów, które spostrzegacz nieuprzedzony musi uważać za postępowanie dowolne, w takim razie niema obawy, abyśmy przecenili rolę tego wpływu w procesach przystosowywania się czynności i prawdopodobnie z czasem dadzą się jeszcze zredukować do tego wpływu najbardziej zasadnicze zagadnienia, dotyczące skomplikowanej organizacji zwierząt. Względ ten z logicznego stanowiska tym większej nabiera wagi, że w ten sposób cel zyskuje owo znaczenie obiektywne, w myśl któ-

¹⁾ Ibidem, I. 584.

²⁾ *Spitzer, Beiträge zur Descendenztheorie*, Lipsk, 1886, str. 436. W pięknym tym dziele rozdział „*Die Teleologie in der Auffassung der Organismenwelt*“ str. 431—470 zasługuje na uwagę pod każdym względem. Porównaj także James Sully, „*Le pessimisme*“. Paryż, 1882, str. 191,

rego wyobrażenia celowe występują jako przyczyny określonych procesów w przyrodzie" ¹⁾). Bądź co bądź, pytanie, w jakim zakresie biologja zdecyduje się uznać wpływ wyobrażeń celowych zwierząt na organizację tych ostatnich, jest zagadnieniem, nad którym można naukowo dyskutować na podstawie faktów pozytywnych, lubo niezbędne są wstępne roboty fachowych biologów w tym dotąd prawie nietkniętym kierunku. Wszelakoż, najpomyślniejsze rozwiązanie tego zagadnienia w sensie twierdzącym pod żadnym względem nie zmodyfikuje problemu teleologicznego, bo wyobrażenia celowe nie przestaną być tylko rzeczywistością psychiczną, we właściwy sposób uwarunkowaną i przyczynowo zależną od innych przyrodzonych czynników. Aktualne wyobrażenia celowe nie mogą pod żadnym pozorem uchodzić za pierwsze absolutne ogniwa w łańcuchach zjawisk, które to łańcuchy zbiec się mają w pewnych skutkach; wyobrażenia celowe tak samo podległe są ogólnej przyczynowości w przyrodzie, a powstawanie ich również przyczynowo wyjaśnione być musi. Są to tylko bardzo skomplikowane stadja w rozwoju szeregów przyczynowych, ale nie pierwsze przyczyny.

Gdy w każdym z przypadków chodzi o praktyczne wyjaśnienie rzeczy, tedy powołanie się na to, iż pewna czynność, np. działacza historycznego, wpływa z jego wyobrażeń celowych, którym też przypisać należy wybór takich a nie innych środków przezeń użytych, mogłoby nas zadowolić; ale gdzie chodzi o teoretyczne wyjaśnienie, tam powołanie się na cel subiektywny, jako czynnik, może być o tyle tylko zadowalającym, o ile samo wyobrażenie celowe, jako zjawisko, przyczynowo zostało już wyjaśnione. Dlatego też historyk

¹⁾ W u n d t, *Logik*, II, 449.

nie poprzestaje zazwyczaj na zaznaczeniu indywidualnej inicjatywy pewnego działacza, jako *primum movens*, lecz bada warunki jego otoczenia, wpływy wychowania i środowiska społecznego, i tak zagłębia się w badaniu przyczynowym powstania jednostki historycznej i jej dążeń aż do granic, gdzie warunkujące przyczyny przestają być z natury swej socjalne i przeto wkraczają w zakres kompetencji innej specjalnej nauki, np. psychologii, antropologii i t. p. W ten sposób nauki wzajemnie się wspierają w sprawie przyczynowego wyjaśniania zjawisk i ostatecznie wiążą się w jeden system wiedzy. Tak śledzimy ten łańcuch przyczynowy — jak mówi Sir William Grove w słynnej swej książce: „Stosunek sił“ — w kierunku stanów poprzedzających, zaciekamy się w nieskończoną różnorodność zmiennych postaci siły, „aż na jakimś momencie tej przeszłości gubimy jej ślad nareszcie nie dlatego, iżby ona wtedy właśnie była stworzona lub wogóle kiedykolwiek, lecz dlatego, że się rozkłada na taką masę sił elementarnych, iż przestaje być dostępną dla naszych zdolności poznania“.

Takie naturalne ograniczenie celowości do dziedziny psychicznej, jakkolwiek zupełnie uzasadnione, teleologów oczywiście nie zadowoli. Jedni z nich nie ustąpią ze stanowiska, według którego przyczyny celowe są bytami absolutnymi, inni — ze stanowiska, według którego celowość jest postulatem teoretyczno-poznawczym, niezbędnym dla objaśnienia zjawisk świata chociażby biologicznego. Jak się niżej okaże, poglądy te mają swoje głębokie podstawy w psychicznej naturze człowieka, jak wiele innych złudzeń, które nauka w swoim zakresie już pokonała, albo pokonać musi. Nie trzeba się jednak łudzić, aby kiedykolwiek mógł nastać czas, gdy takie lub inne poglądy metafizyczne nie będą miały zwolenników swoich, któ-

rych próżno przekonywać z naukowego stanowiska, gdyż stoją na stanowisku zupełnie odrębnym. Chodzi tu wszakże nie o zwolenników celowości, lecz o krytykę filozoficzną tego pojęcia, o oczyszczenie i wyświechtanie drogi, po której teoria naukowa ma kroczyć. Z tych względów musimy wejść w niektóre jeszcze szczegóły analizy psychologicznej i logicznej.

Widzieliśmy już, że pogląd teleologiczny, przypisując byt obiektywny celom, że się tak wyrazimy—matapsychicznym, i przenosząc wszystkie połączone z tym trudności na niby antropomorficzną fikcję rozumu najwyższego, nic nie objaśnia, lecz przeciwnie dodaje nowe powikłania i zagadki. Jeżeli metafizyczna koncepcja celów obiektywnych nie ma uchodzić wprost za nedorzeczność—utrzymuje Trendelenburg — w takim razie musi się ona stać teorią antropomorficzną, czyli wiarą w widziadła, „gdyż cel, któryby faktycznie występował jako czynnik w przyrodzie, może ona w ten jedynie sposób objaśnić, w jaki się to u człowieka odbywa w gruncie rzeczy przez myśli i wolę“. Że jednak teoria ta właśnie ściśle nawet antropomorficzną nie jest i być nie może, wykazaliśmy już to z dostatecznym naciskiem i przeto stronę metafizyczną kwestji możemy uważać za załatwioną.

Można wszakże i należy zadać sobie dwa pytania wcale nieobojętne ze stanowiska teoretyczno-poznawczego i silnie związane ze społecznym ruchem naukowym, zwłaszcza w dziedzinie biologicznej. Oto właśnie pytania owe:

1°. Czy roztrząsanie zjawisk i ich stosunków ze stanowiska pojęcia celowości ma być radykalnie w nauce odrzucone, pomimo niezaprzeczonego faktu, że umysł ludzki wielką posiada skłonność do oceniania i roztrząsania rzeczy ze stanowiska właśnie celowości?

2° Jak się mamy zachować wobec faktu, że ewolucjoniści, nie wyłączając ich wielkiego przewodcy, mędrca z Down, wciąż jeszcze ściągają na siebie zarzuty, poparte przez takie powagi, jak K ö l l i k e r, Alfr. R. Wallace, księżę d'Argyll, iż, będąc w zasadzie przeciwnikami doktryny celowości, raz po raz jednak w pracach swoich uciekają się do języka i zwrotów teleologicznych; że przy objaśnianiu związku pomiędzy zjawiskami ustawicznie prawią o celach i środkach; że w słowniku ich wyrazy: „ażeby“, „w tym celu“ i t. p. grają rolę wybitną, a nawet takie pojęcia teorii ewolucjonistycznej, jak „dobór naturalny“ — *implicite* każą się domyślać celowości?

Nasamprzód odpowiemy na pierwsze pytanie, jako bardziej zasadnicze. Że każde zjawisko w przyrodzie zachodzące, każdy skutek powikłanego łańcucha przyczyn, możemy sobie wyobrazić jako cel do osiągnięcia; że przyczyny, które koniecznie do niego wiodły, możemy sobie wyobrazić jako środki,—rzecz to bardzo zrozumiała. Fakt to psychologicznie nader prawdopodobny, zaś historycznie stwierdzony, że człowiek pierwotnie był praktykiem tylko, zanim został i teoretykiem zarazem. Praktyczne stanowisko jest czysto teleologiczne, bo, czy pragniemy coś osiągnąć i badamy środki rozporządzalne, by z pomiędzy nich wybrać odpowiednie, a więc skuteczność zapewniające, czy zastanawiamy się wprost nad danym zjawiskiem, — przedewszystkiem i pomimo woli rozważamy je pod względem użyteczności lub szkodliwości dla nas, przyjemności lub przykrości, piękna lub brzydoty, dobra lub zła. Takim jest pierwotne stanowisko umysłu ludzkiego. Myśl ta, zresztą nie nowa, tak trafnie została sformułowana przez duńskiego psy-

chologa Harald a Höffding a ¹⁾, że warto się nań powołać: „Pierwotnie interes praktyczny jest dźwignią wyobrażeń. Zadanie pierwotnego poznania polega na tym, aby wynaleźć środek do zaspokojenia popędu. Dopiero powoli rozwija się popęd do poznania dla samego poznania. Nawet próby myślenia, wywołane przez entuzjazm kontemplacyjny, powoli tylko i nie zupełnie wyzwala ją się z pod przemocy uczucia praktycznego i przeto zazwyczaj noszą piętno teleologiczne... Człowiek pragnie poznać przyrodę taką, jaką ona jest, ale zarazem życzy sobie, aby jego własne cele były celami przyrody. Wszystkie prawa przyczynowe w ostatniej instancji swojej są dla niego środkami dla urzeczywistnienia dobra najwyższego... Pojęcie konieczności pierwotnie jest praktyczne: myśl szuka tylko warunków, bez których cel człowieka nie da się urzeczywistnić“. Pierwotne więc stanowisko umysłu — powtarzamy — jest praktyczne i teleologiczne; gdybyśmy stanowiska tego nigdy i w żadnym przypadku pokonać nie zdołali, tobyśmy dotąd zamiast astronomji mieli astrologję, którą zjawiska niebieskie obchodziły ze stanowiska celowego — o ile miały dopomagać do wyznaczania horoskopów i przewidywania ukrytych w łonie przyszłości losów ludzkich; chemja byłaby alchemją, wiecznie poszukującą kamienia filozoficznego, co by nam wszystko w złoto przemieniał; fizyka byłaby wiecznie magją czyli sztuką zaprzęgania za pomocą tajemniczych praktyk przyrody do swoich celów; biologja byłaby wiecznie sztuką leczenia. Szczęściem jednakże, pomimo, że interes

¹⁾ Dr. H. Höffding: *Psychologie in Umrissen auf Grundlage der Erfahrung*. Przekład niemiecki F. Bendixena, Lipsk, 1887, str. 382.

praktyczny przede wszystkim się narzuca umysłowi, pomimo, że pierwsze pytania przez ten umysł stawiane odnoszą się do zjawisk praktycznie ważnych, a same pytania formułują się celowo, — pomimo tego wszystkiego umysł po długich próbach i doświadczeniach zdołał się wyemancypować i zając stanowisko teoretyczne, mniej lub więcej od więzów celowości praktycznej wolne. Długie i pełne zawodów doświadczenie wykazało, następnie zaś teoria wyjaśniła, że najpewniejszą rękojmią postępów wiedzy, którą następnie można sobie w dowolnym praktycznym kierunku wyzyskiwać, jest stanowisko teoretyczne, wobec którego wszystkie zjawiska są jednostajnej wagi, niezależnie od ich stosunku do interesów człowieka, któremu chodzi tylko o poznanie tego, co jest, i tak, jak ono jest. Człowiek wszakże, po zdobyciu tego trudnego stanowiska, nie zmienił natury swojej, nie mógł i nie potrzebował porzucać praktycznego stanowiska, bo nagłony potrzebami, których zadośćuczynienie w otaczającej przyrodzie znaleźć musi, w dalszym ciągu stawia sobie cele, działa celowo i zjawiska przyrody w życiu praktycznym musi rozważać jako środki, mniej lub więcej do jego celów przydatne.

Już sama wyżej zaznaczona okoliczność tłumaczy, dlaczego umysł ludzki w tych nawet razach, gdzie osiągnął wyżyny stanowiska teoretycznego, wbrew woli i wiedzy częstokroć wikała do nauki swoje nałogi praktyczne i wraz z nimi celową zjawisk ocenę. Ale są inne jeszcze niemniej doniosłe przyczyny tego: umysł nasz staje wobec ogromnej ilości gotowych, dokonanych rzeczy i stosunków. Znamy oko, jako narząd widzenia, zanim poznaliśmy jego anatomję i historję rozwoju pod wpływem optycznych warunków środowiska; znamy skrzydło, jako przyrząd do lotu;

serce, jako pompkę, tłoczącą krew do płuc i naczyń; liczne przyrządy nerwowe, jako regulatory różnych czynności organicznych; poznajemy odpowiedniość, jaka istnieje pomiędzy budową kwiatu i owadu, który jego miodniki wypija, odpowiedniość, umożliwiającą zapłodnienie pyłkiem nasennym, zanim poznamy historję rozwoju rośliny i owadu i zawię koleje ich zobopólnego przystosowania się; poznajemy budowę nasion, która w pewnych warunkach otoczenia umożliwia rozpowszechnianie się gatunku, zanim poznaliśmy przyczyny tego. Są to wszystko fakty gotowe, od których zacząć musimy. Tak samo w przyrodzie nieorganicznej nasamprzód poznajemy warunki astronomiczne, fizyczne, hydrograficzne, rozkład prądów wody i powietrza oraz stosunek, w jakim te zjawiska zostają do zjawisk najżywiej nas obchodzących, do życia i jego warunków na ziemi. Są to również fakty gotowe, stosunki wyrobione, wypadki nieskończenie długich procesów przyczynowych, skutki końcowe, od których badania zaczynać musimy.

Badanie gotowych już skutków w przyrodzie rozpoczynać musimy od wyobrażenia ich sobie; następnie zaś cofać się trzeba wstecz do warunków koniecznych, do przyczyn, które pewne skutki wytworzyły. W ten sposób umysł nasz z natury rzeczy zmuszony jest przy badaniu przyrody przebiegać proces co do porządku wręcz odwrotny do faktycznego przebiegu zjawisk, lubo zupełnie zgodny z porządkiem własnego myślenia celowego: musi on zaczynać od wyobrażenia skutku, który go uderza, by następnie badać warunki, któreby taki skutek wydać mogły. Skoro warunki te wykryć zdołał, natenczas przez ich zestawienie może osiągnąć skutek, który już ma reprezentowany w wyobrażeniu. Naiwny realizm pierwotny, przy znanej swej skłonności do przeno-

szenia myśli swojej na zewnątrz i do tłumaczenia wszystkiego antropomorficznie, nie spostrzega się albo zapomina o tym, że proces myślenia przy badaniu był z konieczności odwrotnym do naturalnego porządku zjawisk w przyrodzie, że nie wyobrażenie skutku poprzedziło szereg przyczyn i sam skutek rzeczywisty, lecz że nasze wyobrażenie skutku już istniejącego poprzedziło tylko poznanie szeregu przyczyn, dany skutek determinujących. Takim sposobem celowy porządek myślenia przenosi się bezzasadnie na porządek przyrody, zgruba antropomorficznie pojętej. Wyobrażenie skutku staje się celem metafizycznym—transcendentnym czy immanentnym, wszystko to jedno—a przyczyny odgrywają rolę środków, przez ów cel dobranych i ułożonych. A więc zachodzi tu tylko subiektywne „odwrócenie kota“, przenicowanie rzeczywistego porządku rzeczy i nic więcej. Tak się przedstawia ta fatalność teleologiczna, którą ks. Morawski sformułował w zdaniu: „Niema tu możliwego wykrętu od wpływu przyszłości na przeszłość“¹⁾.

Tę odwrotność porządku przyczynowego i teleologicznego zauważano już dawno; my tylko dajemy, jak się nam zdaje, nieco dokładniejsze jej wyjaśnienie. Widzieli ją Arystoteles, Lukrecjusz, Spinoza, Kant²⁾. Nawet Hartmann, zaznaczając cztery momenty celowości: wyobrażenie celu, wyobrażenie środków, uskutecznienie środków, uskutecznienie celu, dowiódł, iż miał dane po temu, aby się ustrzec

¹⁾ Cel. w nat., 92.

²⁾ Uwagi Kanta nad celowością, przede wszystkim w *Kritik der Urtheilskraft*, pod wielu względami zasługują na uwagę; tu nie możemy zastanawiać się szczegółowo nad poglądami Kanta na celowość, tymbardziej, że wywołały one spory i obfitą literaturę, ważną zresztą dla wyjaśnienia poglądów Kanta, ale nie dla teorii celowości.

błędów teleologii, ale zamęt pojęć metafizycznych stanął mu w tym na zawadzie. Węzeł tej fatalności trafnie pochwylił Trendelenburg w swoich *Logische Untersuchungen*, gdy mówi: „To, co jest późniejszym, w poglądzie teleologicznym staje się wcześniejszym; przyszłość, która nie istnieje jeszcze, rządzi teraźniejszością; stosunek przyczyn sprawczych zupełnie się odwraca, przez co znika porządek w czasie, który właśnie w objaśnieniu przyczynowym uważa się za coś stałego, za właściwy porządek rzeczy; koniec bowiem staje się tu początkiem“. Również dobrze zrozumiał to De Morgan, gdy z ironją pisze: „Niektórzy pisarze wciąż jeszcze prawią o przyczynach końcowych, chociaż większość czytelników tyleż ich rozumie, jak gdyby mówili o początkach końcowych“¹⁾.

Nie zawsze atoli umysł badający zjawiska przyrody zmuszony bywa przebiegać wskazany porządek; niekiedy nieoczekiwanie, zestawiając określone warunki, otrzymujemy skutek i w ten sposób odrazu mamy jego przyczynowe wyjaśnienie. Ponieważ myśl nie potrzebowała tu przebiegać w kierunku odwrotnym do porządku przyrody, więc pochopność nasza do podsuwania w tych przypadkach objaśnień teleologicznych ma mniej pokus, albo ich wcale niema²⁾.

Oddawna już i słusznie zauważono, że porządek ce-

1) De Morgan, *Formal Logic*, 231. „Final causes“ przekładamy przez „przyczyny końcowe“ dla zaznaczenia sprzeczności, o którą De Morganowi chodzi; właściwie zaś należałoby powiedzieć „przyczyny celowe“.

2) W innych znów razach *) wypada nam badać zjawiska, które ani w sobie nie są czymś takim, coibyśmy jako cel oceniać mogli, ani też nie zostają w żadnym widocznym związku z tym, co za cel uważane byłoby mogło. I w tych razach brak pobudek do badania celowego.

łowy i przyczynowy muszą się wzajemnie pokrywać. Z powyższego zdaje się być zupełnie zrozumiałe, dlaczego tak właśnie być musi: porządek przyczynowy jest rzeczywistym porządkiem w przyrodzie; porządek celowy jest porządkiem psychicznym, jest subiektywnym usymbolizowaniem tamtego, o ile on poznany został — w odwrotnym sensie. Szereg środków i szereg przyczyn tu i tam zachowują ten sam szyk, tylko końcowe wyobrażenia skutków, jakkolwiek późniejsze, pod nazwą celów zostają przeniesione na początek procesu naturalnego, niby poprzedzające. Dwa te porządki o tyle się pokrywać muszą, o ile symbol odpowiada rzeczy usymbolizowanej; tylko że pokrywanie się tu nic nie stanowi, bo i obraz w zwierciadle odbity idealnie pokrywa się z przedmiotem oryginalnym, a jednak, gdybym, poznawszy topografię pokoju według obrazu zwierciadłowego, nie odwrócił go symetrycznie, jak tego rzeczywisty porządek rzeczy wymaga, lecz pokierował się ściśle wskazówkami zwierciadła, tobym, chcąc wyjść za drzwi, stłukł sobie nos o zwierciadło, ale zamierzonego celu nie osiągnął. Nie o pokrywanie się tu zresztą chodzi, lecz o to, czy porządek celowy, polegający na przeniesieniu wyobrażenia skutku na początek, cokolwiek naukowo objaśnia w przyrodzie. Oczywiście, że nie, bo wyobrażenie skutku, nazwane celem, nie zawiera w sobie nic nad to, co widzimy już w gotowym skutku; co się zaś tyczy środków, to o żadnych innych mowy być nie może, jak właśnie o przyczynach, które skutek uwarunkowały.

Powyższe wyjaśnienie złudzeń teleologicznych, jeżeli się nie mylimy, rzuca zarazem światło na zarzut, powtarzany często przez naszych i obcych teleologów, że postępy nauki pozytywnej i wszystkie jej nowe zdobycze nie obalają przecież systemu teleologicznego, lecz owszem dostarczają mu

materiału do wypełniania luk jego. Jest to pociecha muchy, co, siedząc na jarzmie wołu, wyobrażała sobie, że razem z nim orze. Przedewszystkiem teleologia obalona być może nie przez materiał pozytywny, którego podatność dostatecznie stwierdza historia systematów metafizycznych, lecz przez krytykę jej pojęć i metod zasadniczych. Wiemy to dobrze, że materiał faktyczny zawsze był dla metafizyków pożądanym nabytkiem, bo chociaż wypierają się oni znikomych zdobyczy doświadczenia, ale z czegożby ostatecznie mieli budować nowe systematy swoje? Spytajcie dzisiejszych marduków hegeljanizmu, czy postępy nauki w czymkolwiek zachwiały ich system, a z pewnością wszyscy, i na czele ich prof. Michelet, odrzekną, że bynajmniej. Wszak Lu d w i k B ü c h n e r w piętnastym wydaniu głośnej swojej książki *Kraft und Stoff* utrzymuje na serjo, że po trzydziestu latach od chwili jej pierwszego wydania nie widzi powodu cofnięcia chociażby jednego zdania, gdyż, jak sądzi, postępy nauki w tym czasie tylko potwierdziły jego poglądy. Tymczasem, w tym okresie sama tylko książka L a n g e g o. „Historja materializmu“ głęboką krytyką swoją wyrządziła tak niepowetowane wyłomy w twierdzy materialistycznej, że myśleć o jakiegokolwiek obronie dziś bodaj niepodobna. Sprawa z materiałem nauki pozytywnej, skoro tylko ten zdobyty już został, jest nader łatwa: jeżeli całe zadanie teleologów ma polegać na odwracaniu porządku naturalnego, to bez wątpienia każde nowe ogniwo wstawione do porządku przyczynowego, każda nowa zależność w świecie zjawisk wykryta, przez znane odwrócenie znajdzie sobie miejsce w porządku celowym. Można by to sobie mniej więcej uzmysłowić schematycznie. Jeżeli porządek przyczynowy jest taki:

Przyczyna A.	}	Skutek,	X.	}	Skutek Z.
Przyczyna B.	}	(resp. przyczyna)			
Przyczyna C.	}	Skutek,	Y.	}	lowe),
Przyczyna D.	}	(resp. przyczyna)			

to porządek celowy będzie taki:

Wyobrażenie lowe Z.	X.	{	Środek A.	=	Przyczyna A.	} itd. porządek naturalny, jak wyżej.
		}	Środek B.	=	Przyczyna B.	
	Y.	{	Środek C.	=	Przyczyna C.	
		}	Środek D.	=	Przyczyna D.	

Wstawiajmy dowolną ilość ogniów — odwrócenie zawsze będzie ściśle. Proceder ten przedstawia nawet ponętną perspektywę dla zwolenników systemu teleologicznego, byleby tylko znaleźli w sobie dość cierpliwości, aby wyczekiwać przyszych zdobyczy nauki i postępować trop w trop za jej postępem, bo mają w ten sposób zupełną rękojmię, że w miarę wypełniania się luk w łańcuchu przyczynowym, przez proceder odwracania, będą sobie uzupełniali swój systemat teleologiczny i jego hierarchję. Że jednak odwracanie to nie przysporzy nam wiedzy naukowej, to tak widoczne, jak, że odbicie szeregu monet w zwierciadle w odwrotnym porządku nie przysporzy nam mienia, „albowiem badanie przyczyn celowych jest jałowe i również, jak dziewica Bogu poświęcona, nic nie rodzi“ — powiedział Bacon¹⁾.

Z tego, co się wyżej powiedziało, wypada, że teleologiczne wyjaśnienie zjawisk przyrody nie ma żadnej naukowej wartości. Jeszcze bardziej utwierdzimy się w tym wywodzie, gdy się rozejrzemy w teleologii biologicznej i zarzutach, jakie na siebie ściągnęła.

¹⁾ „*Nam causarum finalium inquisitio sterilis est, et tanquam virgo Deo consecrata nihil parit*“. *De dignitate et augmentis scientiarum*, III, 5.

Z wyjątkiem badaczy społecznej i etycznej natury człowieka—biolog chyba najbardziej podlega pokusom teleologicznym. Badania swoje rozpoczyna on od przedmiotów indywidualnych, a tak skomplikowanych, jak organizmy żywe, jak narządy i czynności zostające w pewnych określonych funkcjonalnych stosunkach do siebie. Zanim jeszcze powstać mogły teoretyczne badania w dziedzinie biologji, umysł ludzki wcześniej już, kierując się wskazówkami doświadczenia niemethodycznego i praktycznymi względami, przyzwyczaił się odróżniać w chaosie zjawisk indywidua, narządy i czynności, jako pewne skończone całości, które się wzajemnie wspierają i wzajem od siebie zależą. Na ciało własne a stąd i na zwierzęce pomimo woli patrzymy jako na narzędzie przydatne do osiągnięcia pewnych celów, z pośród których życie świadome uważamy za najwyższe w hierarchji celowej dlatego, że ono właśnie stanowi treść naszej osoby. Praktycznie jest to bardzo uzasadniony sposób zapatrywania się na rzeczy. Właściwy błąd rozpoczyna się wtedy, gdy zapatrywania te przenosimy do teorii, gdy, począwszy od świadomości i życia, następnie i treść tej świadomości, nasze pojędy, upodobania, pasujemy na modły do mierzenia treści i wartości rzeczy i ich stosunków w naukowym badaniu przyrody. Teleologja zawsze się opierała na jakichś predylekcjach i upodobaniach subiektywnych: Gustaw Fechner przypuszcza istnienie mieszkańców na księżycu, bo, zdaniem jego, księżyc w takim tylko razie cel swój wypełnia, jeżeli służy za miejsce pobytu istotom myślącym; rośliny według niego muszą mieć swoje duchy, bo nie zgadzałyby się z pojęciem celowości, gdyby przestrzeń była wypełniona tak szczupłą ilością istot czujących, jaką reprezentują ludzie i zwierzęta. Hermann Lotze idzie w tym kierunku je-

szcze dalej, gdyż obdarza atom każdy duszą, na tej zasadzie, że każdy punkt w przestrzeni powinien uczuć rozkosz bytu własnego. Tak, życie świadome tylko z tytułu konieczności celowej narzuca się całej przyrodzie. Nie na tym koniec jednak: oprócz życia i świadomości, tak dla nas ważnych, mamy przecież wiele innych rzeczy cennych i upodobań. Wiele, jedni szukają kół w przyrodzie, bo uroili sobie, że koło, jako niby najdoskonalsza forma geometryczna, musi być celem przyrody i jej Stwórcy; inni szukają proporcji wogóle, albo wolą proporcję złotego cięcia; jeszcze inni harmonji, piękna, symetrii, bo te wydają się im czymś szczególnie właściwym i mądrym ¹⁾; wreszcie są tacy, którzy wprost pragnęliby znaleźć w przyrodzie wcielenie swoich własnych sylogizmów, ziszczenie własnych ideałów etycznych lub estetycznych. Tak, z przyrody gotowi teleolodzy zrobić estetyka, logika, etyka, byleby tylko własnego systemu ²⁾.

Tej pierwotnej, naiwnej teleologii niepodobna zarzucać

¹⁾ Jeden z nowszych teleologów Adolf Mühry w „*Kritik und kurze Darstellung der exacten Naturphilosophie*“ powiada: *Wo Proportionalität sich findet, da ist auch gedacht worden; dies ist so sicher, wie ein Beweis irgend sein kann* (Gdzie jest proporcjonalność, tam przecież myśl działać musiała; jest to tak pewny dowód, że pewniejszego być nie może). Göttingen, 5-te wyd., 1882. Tak samo Bossuet mówi *): „*Tout ce qui montre de l'ordre, des proportions bien prises et des moyens propres à faire de certains effets, montre aussi une fin expresse, par conséquent, un dessein formé, une intelligence réglée et un art parfait*“ *Connaissance de Dieu et de soi-même, chap. IV, 1.*

²⁾ Janet wyraźnie pisze: „*Il faut admettre une nature géometre, comme une nature artiste, comme une nature industrielle*“ *Ibid.* 278.

biologom szkoły ewolucjonistycznej; ale to pewna, że zbyt są nieostrożni w wyrażeniach swoich, że łatwo poddają się bezpośrednim podszeptom myśli niemethodycznej, która z nałogu wpada na celowy tok rozumowań, tam zwłaszcza, gdzie poznajemy pewną budowę, pewien układ czynności ograniczonych w stosunku do danej całości biologicznej, do indywidualium. Nawet w naturze nieograniczonej często biolodzy odkrywają „mądre urządzenia natury“, gdy spostrzegą, iż pewien układ stosunków przyrodzonych uwarunkowuje byt osobników biologicznych.

Że ewolucjoniści wogóle, a na ich czele Darwin, potężnie się przyłożyli do uzasadnienia przyczynowego poglądu na świat zjawisk biologicznych, że, jak trafnie powiedziano, całą teorię celowości wywrócili do góry nogami, że z zasady są zdecydowanymi przeciwnikami teleologii,—to samo się przez się rozumie. Jeżeli jednak wykładają rezultaty badań swoich w formie mniej lub więcej teleologicznej, to, jak się zdaje, z jednej strony należy to przypisać nieoględności, z jaką się powierzają bezpośredniemu tokowi myśli, która, oprócz nałogów teleologii praktycznej, bardzo często z konieczności musi w badaniach swoich przebiegać kolej odwrotną do rzeczywistego porządku rzeczy, jakieśmy to już wykazali. Z drugiej jednak strony, być może, że odgrywa tu rolę chęć nie-dość uświadomiona zainteresowania czytelnika, zejścia do poziomu najlepiej mu znanych stosunków i wyobrażeń, ożywienia stylu przenośniami antropomorficznymi. Wszak Lotze poważnie utrzymuje, że unikanie w wykładzie pojęcia celowości sprowadza „dziwne jakieś znużenie“; niby nauka ma obowiązek, za przykładem starego romansu, wprowadzać gwoli zabawy intrygi, któreby wiodły do celowych i budujących rozwiązań.

Co gorsza, że ewolucjonizm wprowadził nawet terminologię, która nietylko podaje broń do rąk przeciwnikom jego, lecz bezwiednie zbija z tropu samychże przedstawicieli teorii rozwoju. Taki termin, jak „dobór naturalny“, jest stanowczo teleologiczny, bo każe przypuszczać jakiś celowy kierunek doboru, jakiś cel, który się przy dobieraniu ma na widoku, i nawet kogoś, co dobiera. Tymczasem, żadna konieczność nie zmusza do posługiwania się tym terminem, skoro obok niego jest inny, wolny od wszelkich w tym względzie zarzutów i wyrażający to właśnie, co wyrazić potrzeba: *zachowywanie się przy życiu osobników najlepiej przystosowanych* — wyraża właśnie w sposób zupełnie z przyczynowym poglądem na przyrodę zgodny, że te indywidua utrzymują się przy życiu, które najlepiej są przystosowane do warunków otaczających i tym więcej mają widoków utrzymania się, im lepiej są przystosowane. Tak również terminy: „wyższy“ i „niższy“, „doskonalszy“ i „mniej doskonały“ — łatwo mogą podsuwać myśli, zbyt blizki związek mające z naszym subiektywnym sposobem oceny wartości rzeczy. Chociaż skala rozwojowa istot biologicznych jest jeszcze niepewna i często trudno bywa orzec, które z pomiędzy dwu zwierząt lub roślin jest bardziej rozwinięte, to w każdym razie nie ulega wątpliwości, że przy tej ocenie biolog ma na względzie nie jakieś upodobania subiektywne, nie jakieś zbliżanie się do celu zdala przyświecającego lub oddalanie się od niego, lecz, jak to wyjaśnił H. Spencer w swojej słynnej rozprawie „Postęp i jego prawo“¹⁾, a także i w innych pracach myśl tę systematycznie przeprowadził, jedyną obiektywną miarą rozwoju jest stopień wyróżniczkowania się narzą-

¹⁾ „Szkice“ t. I, w polskim przekładzie.

dów i czynności, oraz stopień jednoczesnego zcałkowania się tychże. Taką ma być najogólniejsza formuła rozwoju, a przede szczeble, z tego stanowiska oceniane, można nazywać: „bardziej rozwinięty“, „mniej rozwinięty“.

Z pozoru zdawaćby się mogło, że w sprawie „doboru naturalnego“ mamy do czynienia nie z chybionym tylko terminem, lecz, że faktyczny stan rzeczy termin ten narzuca, jako najbardziej odpowiedni. Mianowicie, zwolennicy celowości a, co gorsza, niedość konsekwentni jej przeciwnicy utrzymują często, iż dobór naturalny, jako czynnik rozwoju, może tylko w pewnych, przez celowy plan przyrody określonych kierunkach wytwarzać odmiany, że w ściśle określonych granicach wiecie on zmienny świat istot żywych do celów, przez też kierunki wytkniętych. Zdaje się, iż pogląd ten opiera się na powikłaniu w jedno trzech różnych rzeczy: nasamprzód bowiem należy odróżniać fakt powstawania takich nowych cech organicznych, któreby, w razie utrwalenia się i rozwinięcia, mogły charakteryzować nowe odmiany gatunków; następnie — zachowywanie się przy życiu odmian najlepiej do otoczenia przystosowanych, czyli właściwy dobór naturalny, i w końcu — kierunki, w jakich dobór naturalny jedne z pojawiających się cech w drodze dziedziczności utrwała i potęguje, zaś inne tłumi i tępi. Gdy się wszystkie te trzy momenty, tak poosobno, jak w należyтым ich związku, rozważy, staje się oczywistym, że teleologia próżno w dziedzinie tej szuka bezpiecznej dla siebie przystani. Każdy z tych momentów jest kwestją faktu, chociaż w obozie nawet ewolucjonistycznym panuje w tym względzie widoczna zdań rozterka. Wszyscy godzą się na to, że dobór naturalny przez dziedziczność utrwała i potęguje cechy nabyte, jeżeli te cechy przystosowane są do warunków, wśród których dany ga-

tunek żyje; a przez śmierć i zatamowany rozplód tłumi je i tępi, jeżeli one nie są do danych warunków przystosowane. Chodzi więc głównie o pojawienie się tych nowych cech, które się mają utrwalac lub ginac, a których przyczyny powstawania są nam prawie nieznanne. Według jednych, i w ich liczbie samego Darwina, cechy te występują jako przypadkowe i pod względem ilości i jakości dowolne (*accidental, fortuitous, spontaneous*); inni znów, a w ich szeregu nietylko Agassiz, lecz Nägeli, Asa Gray, Duc d'Argyll, Huxley, Mivart, Seebohm, Geddes—utrzymują dość zgodnie, że dla każdego gatunku są pewne granice, pewne określone kierunki, w jakich nowe cechy występować mogą, chociaż żaden z nich i dla żadnego gatunku wyłącznych tych granic możliwych modyfikacji wytknąć nie zdołał. Prof. Huxley, w artykule swoim „*Evolution*“, zawartym w „*Encyclopaedia Britannica*“, pisze: „Oczywistą jest rzeczą, iż każdy gatunek dąży do wytworzenia określonej ilości i jakości odmian, przyczym rola doboru naturalnego polega na sprzyjaniu rozwojowi jednych z tych odmian i tłumieniu rozwoju innych“. Na poparcie jednak poglądu tego może tylko przytoczyć następującą spekulację: „Wieloryb nie zmierza w kierunku wytworzenia odmiany porosłej w pierze, ani też ptak żaden w kierunku odmiany opatrzonej w róg wielorybi“. Znakomity zoolog angielski G. J. Romanes o tyle zgadza się z Darwinem, że, słusznie odrzucając przypadkowość, utrzymuje wszakże, iż odmiany mogą występować we wszelkich nieprzewidzianych kierunkach, że są one, jak się wyraża amerykański botanik Asa Gray, wszechstronne (*omniferous*), że zatem żadne prorocтва, na planie celowym oparte, nie są możliwe. Na odparcie poglądu, który reprezentuje Huxley, Romanes trafnie zwraca

uwagę ¹⁾ na tę okoliczność, iż, skoro się przesądza kwestję możliwych kierunków, w jakich mogą powstawać nowe cechy organiczne, jako przypuszczalne zapowiedzi nowych odmian, natenczas należy każdą cechę rozważać nie w stanie wysokiego już rozwoju i wyspecjalizowania, bo wtedy wyda się ona nieprawdopodobną w gatunku, który jej dotąd nie posiadał, lecz uwzględniać należy najbardziej zaczątkowe fazy rozwoju każdej cechy. I w rzeczy samej, blaszki rogowe w jamie ustnej wieloryba powstały ze stwardnień rogowych na brodawkach skórnych, co wskazuje sam układ ich szeregowy; otóż w jamie ustnej niektórych czworonożnych, a szczególnie żyrafy, napotykamy już takie stwardnienia w stanie zaczątkowym, w dziobie zaś u niektórych ptaków, a głównie u kaczek, rzeczony stwardnienia rogowe są jeszcze bardziej rozwinięte i pełnią nawet tę samą rolę filtra, co u wieloryba. Również, śledząc porównawczo stopniowy rozwój opierzenia i uwłosienia, możemy zauważyć fakty analogiczne. Wszelakoż nie podobna dowieść, iżby nie mogła powstać odmiana żyrafy lub kaczki o silnie rozwiniętych w jamie ustnej blaszkach rogowych, gdyby jakieś warunki otoczenia szczególnie sprzyjały zachowaniu i rozplodowi takich tylko osobników, które wymienioną cechę zaczątkową w wyższym posiadają stopniu; lub gdybyśmy pragnęli sztucznie wytworzyć rasę odmienną, wybierając do rozplodu tylko odpowiednie osobniki. Natomiast bardzo liczne fakty z praktyki hodowców zwierząt i ogrodników dowodzą, iż w rzeczy samej można

¹⁾ G. J. Romanes. *Recent Critics of Darwinism (Contemporary Review*, czerwiec, 1888, str. 836 — 854). Porównaj także w tym względzie studjum H. Spencera, *The Factors of Evolution*, gdzie autor usiłuje wykryć właściwe znaczenie i granice doboru naturalnego, jako czynnika rozwoju. Londyn, 1886.

wytwarzać nieokreśloną ilość odmian o cechach najdziwniejszych przez dobór sztuczny osobników, w których cechy te dostrzeżono w stanie zaczątkowym. Zakres faktycznych argumentów tego rodzaju dałby się pomnożyć w najrozmaitszych kierunkach do bardzo poważnych rozmiarów, i to nie wyłączając człowieka. Przytoczę tu jeden przykład: wtajemniczony w plan i cele przyrody teleolog niewątpliwie wyśmiałby tego, kto by mu powiadał o możliwości wytworzenia rasy ludzi, pokrytych pancerzem rogowym, jak krokodyl. A jednak dobrze jest znaną przypadłość *Ichtyosis*¹⁾, która polega na tym, że u pewnych osób już od urodzenia, lub we wczesnym jeszcze dzieciństwie, na naskórku całego ciała lub pewnych tylko części jego występują blaszki rogowe, które ostatecznie tworzą pancerz, przypominający łuskę rybią lub jeszcze bardziej pokrywy rogowe węzów i jaszczurek, z linieniem nawet w odpowiedniej porze roku. Ta nie dająca się usunąć przypadłość występuje niekiedy w bardzo znacznych rozmiarach, przyczym blaszki rogowe przekształcają się w kolce; jest ona nadto tak dalece dziedziczna, iż nietylko utrzymuje się w rodzinach, jak to właśnie widzimy w rodzinie Lambert, która w początku tego stulecia pokazywała się po Europie, lecz staje się nawet endemiczną w okolicach, gdzie stosunki rodzinne w ciasnych zamknięte są szrankach. Podobnie „przyroda“ wytwarza olbrzymie rodziny psychopatów; rodziny indywiduów o rękach sześciopalcowych; rodziny, w których ciała, nie wyłączając twarzy, całkowicie pokryte są długim włosiem (*Hypertri-*

¹⁾ Co do szczegółów patrz: dr. Edmund Lesser, *Lehrbuch der Haut und Geschlechtskrankheiten*, tom, I, str. 203—208, wyd. 2. Lipsk, 1886.

chosis); całe gminy dotknięte kurzą ślepotą i t. p. Mniejsza o to, że przypadłości te z praktycznego lekarskiego stanowiska uchodzą za patologiczne, chociaż względ ten pośrednio potwierdza fakt, że nikt cech tych nie uważa za celowe; atoli z czysto teoretycznego stanowiska biologa są to cechy, które, przy odpowiednich warunkach otoczenia, albo przez dobór sztuczny, dałyby się utrwalić i spotęgować. W takim razie o wytworzeniu się nowej odmiany rozstrzygałby nie jakiś plan celowy, wytykający kierunek i kres rozwoju pewnego gatunku, lecz rozstrzygałoby z jednej strony — wystąpienie nowej cechy zaczątkowej, zależne od nieznanych nam przyczyn, a przeto pod względem kierunku nie dające się przewidzieć; z drugiej zaś strony — warunki zewnętrzne, mniej lub więcej sprzyjające rozwojowi danej cechy.

Tak więc widzimy, że jakość i ilość pojawiających się nowych cech, które przypuszczalnie mogłyby stanowić materjał do nowych odmian, jest o tyle nieograniczona, iż ze stanowiska żadnego planu celowego nikt dotąd jej możliwych granic i kierunków przewidzieć nie zdołał; dalej widzimy, że sam dobór naturalny redukuje się do sprzyjania jednym cechom a niesprzyjania innym, ale w jedynym sensie odpowiedniości pomiędzy temi cechami oraz otoczeniem, czyli w sensie przystosowania; w końcu widzimy jeszcze, iż kierunki, w jakich „dobór naturalny“ pewne cechy utrwała lub tłumi, również ze stanowiska żadnego planu celowego i dla żadnego gatunku przewidzieć się nie dadzą, bo rozstrzyga tu zawsze stosunek danych cech organicznych do warunków zmiennych otoczenia, w którym pewna odmiana trwa lub ginie; stosunek zaś ten dotąd tylko empirycznie i *post factum* poznać się daje.

Wyraz nie jest bynajmniej rzeczą obojętną w oddaniu

myśli naukowej, bo, skojarzony z pewną treścią niemethodyczną, pomimo woli i wiedzy wprowadza do rozpraw naukowych całe dobrodziejstwo inwentarza. Język właśnie teleologiczny przyłożył się do tego, że ewolucjoniści niepostrzeżenie dla siebie wpadają dziś w pułapkę; skoro bowiem zwolennicy celowości poczęli korzystać z nieściśłości języka przeciwników swoich i pozornie wodę na własny młyn obracać, natenczas ewolucjoniści, zamiast stańowczego zaznaczenia swego stanowiska naukowego i przyznania się do niedokładności językowych, poczęli na zbiecie teleologów wyszukiwać w świecie zwierzęcym i roślinnym faktów, gdzie narządy i czynności zostawałyby w stosunku wręcz celowości przeciwnym. Atoli, przez to poszukiwanie faktów t. zw. dysteleologii, w celu osłabienia doktryny teleologicznej, *eo ipso* przyznano poniekąd, że reszta, cały ogrom normalnych stosunków w świecie istot żywych, jest dziedziną celowości; że objawy dysteleologii tylko gdzieniegdzie zakłócają jedność ogólnego planu celowego. Gdy Ernest Haeckel ¹⁾ w licznych swoich przyczynkach dysteleologicznych, albo Herman Müller, w swoich wspaniałych studjach nad zapładnianiem kwiatów przez owady, gromadzą z mozołem przykłady urządzeń organicznych wprost szkodliwych dla istot posiadających takowe, gdy np. Müller, wykazawszy, jak powszechnie kwiaty i owady cudownie są przystosowane pod względem morfologicznym do usług wzajemnych, następnie wynajduje jakiegoś *Bombus mastrucatus* ²⁾, trzmieła, który

¹⁾ Patrz: *Generelle Morphologie der Organismen*, Berlin, 1866 t. I, str. 100 i t. II, str. 266—286.

²⁾ *Bombus mastrucatus, ein Dysteleolog unter den alpinen Blumenbesuchern*, „Kosmos“ (organ ewolucjonistów niemieckich), wrzesień, 1879, str. 422—431.

od dołu przedziurawia kielichy kwiatów dla dostania się do miodu i w ten sposób nie przyczynia się do ich zapładniania, i gdy tłumaczy to dysteleologicznie, to w rzeczy samej może zachodzić wątpliwość, czy ewolucjoniści nie uważają teleologii za normalny stan rzeczy; a w takim razie niewielka ilość przykładów dysteleologii mogłaby ująć za zbiór faktów, które oczekują jeszcze wyjaśnienia celowego. Rzecz prosta, iż wcale tak nie jest: ani fakty przystosowania budowy i czynności istot organicznych do warunków otoczenia nie są dowodem celowości, ani fakty nieprzystosowania pod tym lub owym względem nie uzasadniają dysteleologii; lecz te i tamte przedstawiają różne stopnie przystosowania przy czynowo uwarunkowanego przez otoczenie, pod którego wpływem ten lub ów gatunek przez krótszy lub dłuższy czas pozostawał. Tak samo gatunki i odmiany zaginione są przykładami zupełnego nieprzystosowania i dowodzą, że organizmy te nie były dość odporne zgubnym wpływom nowego otoczenia, w jakim się dla takich lub innych przyczyn znalazły. Przyroda z naukowego stanowiska nie jest ani *teleologiczna*, ani *dysteleologiczna*; przyroda jest, dla naukowego poznania przynajmniej, *ateleologiczna*, co znaczy, że ze stanowiska celowości naukowo objaśniana być nie może.

W gruncie tedy rzeczy przyznać trzeba, że ewolucjonistów słusznie w tym względzie spotkały zarzuty; gdyż nieoględnym użyciem języka teleologicznego nietylko innych w błąd wprowadzają, lecz sami się wikłają w zapale walki z teleologami. Zagadnienia naukowe w ostatecznym sformułowaniu swoim powinny przybierać formę ściśle naukową; wszystkie zaś dotąd osiągnięte wyniki naukowego badania przyrody w istocie swojej są tylko i jedynie stwierdzeniem własności rzeczy i stałych przyczynowych zależności pomię-

dzy niemi. Skoro porządek myśli przy badaniu zjawisk przyrody bywa często odwrotny do naturalnego porządku rzeczy, to nie dajmy się powodować nałogom naiwnego antropomorficznego realizmu, a jeszcze bardziej nałogom teleologii praktycznej, i odwróćmy porządek myśli zgodnie z porządkiem rzeczy, podobnie jak się odwraca negatywną matrycę fotograficzną, by otrzymać obraz z rzeczywistością zgodny. Teoria poznania zna tego rodzaju sprostowania metodologiczne i nawet rugowania tam, gdzie musiano wprowadzić do badań fikcje pomocnicze. W danym zaś razie sprostowanie to o tyle jest łatwiejsze, że pojęcie celowości wcale nie jest nieuniknione i tylko przez przyzwyczajenie do praktycznego zapatrywania się na rzeczy narzucamy nauce pojęcie celu, kojarząc je z wyobrażeniem skutku, który się nam do zbadania następuje.

Nie dowodzi też wcale konieczności teleologicznego stanowiska w nauce odwoływanie się takich przykładów, że Harvey odkrył obieg krwi, zastanawiając się nad celowym przeznaczeniem niektórych właściwości w budowie naczyń krwionośnych; że Weber dokonał ważnych odkryć w przedmiocie budowy oka u psów morskich, kierując się przekonaniem, iż ustrój tego oka musi mieć coś szczególnego, ponieważ celem jego jest widzenie w wodzie i powietrzu; że Cuvier, zapatrując się celowo na budowę ustrojów, trafił z jednego zęba zaginionego zwierzęcia odbudować cały ustrój jego. Trudność wyrobienia sobie jakiegokolwiek opinii na podstawie podobnych przykładów pochodzi stąd, że nie wiemy, jak się właściwie myśl zachowywała we wszystkich szczegółach u wymienionych badaczy; bardzo prawdopodobna, że się oni kierowali praktycznym, celowym sposobem zapatrywania się na rzeczy, ale nie ulega też wątpliwości, że

w zasadzie każdego z powyższych odkryć spoczywa głębokie przeświadczenie o koniecznej przyczynowej zależności zjawisk. Harvey musiał być pewny, iż klapki w przebiegu naczyń nie powstały bez przyczyn naturalnych, podobnie jak Weber musiał wiedzieć, że oko, które powstało pod wpływem dwu różnych środowisk optycznych, musiało okazać pewne zmiany w budowie. Cuvier tylko za pomocą analogji do znanych już sobie zależności organicznych i funkcjonalnych w budowie ustrojów zwierzęcych mógł się domyślać form zaginionych, gdzie zaś te zależności, empirycznie poznawane, wikłyły się przez inne modyfikujące okoliczności, lub wogóle niedostatecznie zbadane były, tam brakowało mu analogji, tam, jak wiadomo, grubo się mylił i ząb *dinotherium* określał, jako należący do *tapyrium giganteum*, chociaż różnica między obu zwierzętami, jak się potym okazało, jest ogromna. Dziś, gdy przyczynowe wyjaśnianie zjawisk stanowi oś wszelkich badań naukowych przyrody, można nawet bez szczególnego niebezpieczeństwa zadawać sobie pytania ze stanowiska celowości, skoro to komuś badania ułatwia, ale w ostatecznym rezultacie konieczną jest rzeczą przeprowadzić ściśle przyczynowy sposób widzenia. Względne teleologiczne stanowisko tam jedynie może być dopuszczone, gdzie dowieść można, że faktycznie wyobrażenia celowe występowały lub występują jako przyczyny, jako warunki psychiczne, modyfikujące bieg zjawisk.

Przewidując tu mało prawdopodobny, ale bądź co bądź możliwy zarzut, nie chcemy go zostawić bez odparcia. W rozdziale drugim studjum niniejszego, kreśląc psychologiczną analizę wyobrażeń celowych, przyszliśmy do wniosku, że wyobrażenia celowe i wypływająca z nich działalność celowa nie zawierają w sobie nic takiego, coby upoważniało do

twierdzenia, iż, z chwilą pojawienia się w przyrodzie istot działających celowo, występuje ogniwo w łańcuchu przyczynowym zjawisk, które naraz odwraca porządek przyczynowy tak, iż zamiast uwarunkowania zjawisk następnych przez poprzedzające, przyszłość zaczyna na terażniejszość oddziaływać. W rozdziale niniejszym usiłowaliśmy znów wykazać, że teleologiczna interpretacja porządku zjawisk jest tylko odwróceniem ich porządku naturalnego, rzeczywistego. Mogłoby się здаwać, że wpadamy przez to w sprzeczność z sobą i przyznajemy możliwość psychicznego odwrócenia naturalnego biegu rzeczy, której zaprzeczyliśmy wcześniej. Dość wszakże zastanowić się, aby zarzut ten cofnąć, jako zupełnie powierzchowny. Wcześniej była mowa o możliwości odwrócenia rzeczywistego porządku zjawisk przez czynnik psychiczny tak, aby to, co jest przyszłym, wpływało na to, co tę przyszłość poprzedza; tu zaś chodziło nie o odwrócenie porządku obiektywnej rzeczywistości, lecz o porządek poznania, czyli subiektywnego usymbolizowania już dokonanej rzeczywistości—odwrotny do porządku tej rzeczywistości. Przez to, że, zając badania od współczesnych stosunków społecznych i cywilizacyjnych, będziemy się cofali w przeszłość historyczną aż do przedhistorycznych zaczątków życia ludzkości, nie odwrócimy jeszcze naturalnego biegu zdarzeń rzeczywistych. Rozbiór doktryny celowości, jako systemu, wymagał rozbioru pojęć zasadniczych, na których się ta doktryna opiera, lub przeciwko którym walczy, i krytyki metod jej zasadniczych. Gdzie toczy się walka na wielką skalę, tam muszą być też partyzanci, którzy, nie wchodząc w całość planów tej i tamtej ze stron walczących, prowadzą mniejsze utarczki na własną rękę i w szerszym zakresie działań mogą wyrządzać przeciwnikowi trudności. W szlachetnej przynoszącej

ludzkości zaszczyt walce idei, w której się zwały dwa systematy: teleologiczny i deterministyczny, ilość partyzantów jest tak ogromna, że uwzględnić tu chociażby najgłówniejszych byłoby dla nas niepodobieństwem. Oprócz filozofów z fachu, największy interes mogą budzić zwolennicy celowości z obozu specjalistów przyrodników. Tu poprzestaniemy na zaznaczeniu kilku typów, któreby można uogólnić.

Specjaliści biolodzy, o ile są zwolennikami celowości, nie zapuszczają się zazwyczaj w głębsze uzasadnienie doktryny, lecz poprzestają na ilustrowaniu za pomocą materiału biologicznego swoich poglądów, które też w wyjaśnieniach swoich zastosowują. Co się tyczy analizy samego pojęcia celowości, poprzestają oni najczęściej na stwierdzeniu faktycznego istnienia urządzeń celowych w świecie istot żywych, a nadto chętnie się przyznają do teoretycznej solidarności swojej w tym przedmiocie z poglądem Empedoklesa z Agrigentu ¹⁾. Filozof ten wyobrażał sobie materję, jako pierwotną substancję niezmienną, której części kształtują się w całości skomplikowane i rozpadają się pod wpływem dwu wrogich sobie sił: miłości i nienawiści. Wśród ustawicznej walki tych dwu sił ostatecznie utrzymują się tylko agregaty trwalsze, gdyż wszelkie możliwe ugrupowania elementów substancji kosmicznej dopóty muszą ulegać rozkładającej sile nienawiści, dopóki w tej grze działań i oddziaływań mogą powstawać coraz trwalsze ugrupowania. On tedy

¹⁾ *Empedoclis Agrigentini fragmenta*, H. Stein, Bonnae, 1852, str. 4. Aristoteles, *Physica*, II, 8. Oblite przyczynki do historii doktryn teleologicznych podaje P. Janet, *Causes finales, Appendice*, str. 595—755.

pierwszy rzucił myśl przystosowania się i zachowywania przy życiu osobników najlepiej przystosowanych, czyli doboru naturalnego na zasadzie wybrakowywania kombinacji do przetrwania niezdolnych. W ten sposób ugruntował on hipotezę powstawania ustrojów w drodze przyczynowości naturalnej. Wilh. Roux, we wzmiankowanym już dziele swoim ¹⁾, wychodząc wprost z poglądu Empedoklesa, w sensie darwinistycznym zmodyfikowanego, pisze: „Tak więc celowość nie jest wytworem woli czyjejs, lecz jest faktem dokonanym; nie jest ona teleologiczna, lecz przyrodnicza, wytworem mechanicznym, gdyż nie odpowiada ona jakiemuś z góry powziętemu celowi, lecz oznacza, iż to, co posiadało własności niezbędne do przetrwania wobec danych stosunków przyrodzonych, przetrwało rzeczywiście“. Mamy więc tu do czynienia z czystym jeszcze deterministą, który zatrzymuje tylko wyraz „celowość“ dla oznaczenia określonej właściwości istot żywych, u których rządy i czynności są tak wzajem do siebie i do otoczenia przystosowane, iż w pewnych granicach czasu, dopóki jakieś przemożne czynniki stosunku tego zbyt silnie nie zakłóca, trwanie tych istot jest możliwe. Bardziej typowym przedstawicielem tego rodzaju celowości ściśle biologicznej wydaje się nam Jerzy Henryk Schneider w dziele swoim „O woli zwierzęcej“ ²⁾. Celowość—zdaniem jego—istnieje tylko w królestwie organicznym, gdyż szeregi zjawisk tylko w świecie istot żywych zamykają się pewnymi końcowymi zjawiskami. Naturalnie,

¹⁾ Wilh. Roux, *Der Kampf der Theile im Organismus*, str. 1—2.

²⁾ *Der thierische Wille. Systematische Darstellung und Erklärung der thierischen Triebe und deren Entstehung*, etc. Lipsk, 1880.

o końcu absolutnym mowy być nie może; są to tylko względnie końcowe zjawiska, końcowe ogniwa zupełnie określonych łańcuchów. Wielu nazywa celowym to tylko, co jest przedmiotem pożądania dla pewnego umysłu. Wobec tego wypadałoby, że, albo wszystko jest celowe, jeżeli się zgodzimy przyjąć, że istnieje umysł uniwersalny, albo celowość zostaje zacieśniona do obrębu dowolnych postępów człowieka i zwierząt. Schneider uważa zagadnienie o duchu uniwersalnym za jałowe; gdyby on nawet istniał, a tego dowieść nie możemy, to w każdym razie musimy badania swoje celowości ograniczyć do świata istot organicznych, gdyż tu jedynie możemy rzeczywiście cel spostrzegać, gdy tymczasem cele ducha uniwersalnego nazawsze pozostaną dla nas tajemnicą. U istot żywych spostrzegamy, że każdy narząd i każda czynność w każdej chwili zdążają do podtrzymania gatunku. Tkwi to już w naturze rzeczy, że wszystko, co celowe, utrzymuje się, gdy tymczasem wszystko niecelowe ginie. Celem życia organicznego jest utrzymanie gatunku i każdy szczegół z tego stanowiska wyjaśniany być musi ¹⁾. Pogląd ten, jakkolwiek bardzo upowszechniony wśród biologów i głównie w wykonaniu często stosowany, nie posiada właściwie żadnej doniosłości teoretycznej. Twierdzenie, że tylko w świecie organicznym widzimy zjawiska końcowe, zupełnie zamykające określone szeregi zjawisk, jest złudzeniem subiektywnym, którego znaczenie wyżej ocenione zostało. Gdy przedmiot jakkolwiek rozważamy ze stanowiska pojęcia, pod które go podciągamy, natenczas staje się on dla nas czymś indywidualnie skończonym

¹⁾ Schneider, *ibid.* patrz głównie rozdział o celowości, str. 23—45.

i przetrwanie jego w tej indywidualnej skończoności, dzięki której moglibyśmy go za ten sam uważać i pod to samo pojęcie podciągnąć, wydaje się czymś pożądanym, celem. Jeżeli np. przedmiot jakiś rozważamy ze stanowiska pojęcia organizmu żywego, natenczas każdą okoliczność, wobec której przedmiot ten mógłby się utrzymać jako organizm, uważamy za sprzyjającą czyli celową, i każdą okoliczność, wobec której przestałby on odpowiadać naszemu pojęciu o żywym organizmie, uważamy za niesprzyjającą czyli niecelową. Stąd wypada, iż normą celowości jest subiektywne stanowisko, z jakiego dany przedmiot rozważamy, połączone z przypuszczeniem, opartym subiektywnie na zasadzie tożsamości, ale obiektywnie niesłusznym, jakoby przedmiot rozważany mógł przez pewien czas zostawać równym sobie. Jeżeli przez gatunek, którego zachowanie według Schneidera jest celem życia, rozumieć będziemy nie własną abstrakcję, lecz realną grupę lub szereg osobników o pewnych wspólnych cechach filogenetycznie przekazywanych, tedy zważyć należy, iż naogół suma okoliczności niesprzyjających przeważa sumę sprzyjających, bo ostatecznie gatunki, taksamo jak osobniki i wogóle wszelkie powstające formy, z biegiem czasu i pod naciskiem warunków wciąż się zmieniają i wreszcie giną, a zatym nie trwają jako te same, nie utrzymują się, a przeto domniemanego celu nie osiągają. Utrzymują się tylko nasze pojęcia o gatunkach i osobnikach, o ile tę samą treść reprezentują. Zatym, właściwie celem tu jest nie gatunek, lecz nasze przypuszczenie, iż żywe osobniki zachowują się tak, aby odpowiedni gatunek wciąż odpowiadał pojęciu, jakieśmy sobie o nim wytworzyli. Innemi słowy, Schneider wyobraża sobie, że, skoro gatunek czas jakiś utrzymuje się w takim stanie, iż możemy go podciągnąć pod

swoje pojęcie o nim wytworzone, to dzieje się tak wskutek celowej dążności życia do zachowania tej zgodności pomiędzy gatunkiem i pojęciem o nim, czyli podsuwa życiu, jako cel, nasz własny postulat celowy. Osobnika ani gatunku, któryby się wiecznie utrzymywał, nikt nie zna; znamy tylko takie, które, albo się dotąd utrzymują jeszcze, albo takie, które zginęły; to samo da się powiedzieć o wszystkich wogóle kompleksach zjawisk.

O wiele głębszy jest inny pogląd, który wobec tamtego biologicznego może być nazwany mechanicznym, a którego przedstawicielem jest Gustaw Teodor Fechner. Myśliciel ten także nigdzie w dziełach swoich nie podał systematycznego uzasadnienia doktryny teleologicznej, ale w licznych pracach swoich, napoty fantastycznych, napoty naukowych, chętnie wracał do tego tematu ¹⁾. Najściślej sformułował on pogląd swój teleologiczny w książce *Einige Ideen zur Schöpfungs- und Entwicklungsgeschichte der Organismen*, pracy, obfitującej w głębokie pomysły i subtelne uwagi, na jakich nigdy nie zbywało temu niespokojnemu umysłowi. Fechner wychodzi z zasady mechanicznej, że wszystko we wszechświecie dąży do stanu równowagi stałej, do stanu, w którym wszystko byłoby możliwie dobrze przystosowane do siebie. Każda cząstka masy kosmicznej, wsku-

¹⁾ Patrz: *Nanna, oder über das Seelenleben der Pflanzen*. Leipzig, mianowicie rozdziały: IV. *Teleologische Gründe*, str. 52—80; X. *Teleologische Gegen Gründe*, 196 do 214; i XI. *Beispiele aus der Teleologie der Pflanzenwelt*, 215—243. — *Einige Ideen zur Schöpfungs- und Entwicklungsgeschichte der Organismen*, Leipzig, 1873, mianowicie rozdział XI, *Teleologische und Psychophysische Verwertung des Principes der Stabilität*, 88—95.—*Die Tagesansicht gegenüber der Nachtansicht*, Leipzig, 1879, str. 110—128.

tek działania sił swoich, przyczynia się do przyprowadzenia i utrzymania innych cząstek, a tym samym całości, do stanu równowagi stałej, która w ogólności daje się osiągnąć tylko w przybliżeniu. Królestwo organiczne taksamo, jak i nieorganiczne, podlega tej ogólnej zasadzie. Pierwotny chaos rozpadł się na dwa królestwa, nieorganiczne i organiczne, możliwie najlepiej przystosowane do ogólnej równowagi i w dalszym ciągu oba te królestwa zmierzają do coraz bardziej doskonałej równowagi. Świat organiczny z kolei, według tej samej zasady, rozpadł się na mniej lub więcej określone organizmy; zasada względnego różniczkowania i walki o byt stanowią tylko dźwignie postępu w kierunku możliwie największej równowagi stałej, czyli możliwego przystosowania, gdy tymczasem zasada dziedziczności utrwała wypadki tego postępu. Nie ma to znaczyć, że osiągnięcie stanu równowagi ma być przejściem w stan wiecznego spokoju; jest to tylko przejście w stan ruchu najlepiej przystosowanego. Zasada dążenia do równowagi stałej zupełnie odpowiada zasadzie celowości, bo w rzeczy samej wszelkie momenty procesu rozwojowego, wszelkie objawy przystosowywania się organizmów i samo zewnętrzne otoczenie organizmów o tyle nazywamy celowemi, o ile one prowadzą albo zbliżają organizm do stanu równowagi stałej, o ile odpowiednie są do utrzymania stanu podobnego nadal, oczywiście w pewnych granicach czasu. Dążenie do pewnego celu nie jest atoli to samo, co osiągnięcie jego; świat zbliża się tylko do tego celu, skąd łatwo zrozumieć, dlaczego świat np. organiczny, pomimo, iż nim rządzi zasada teleologiczna, podlega tak licznym zaburzeniom, które noszą charakter niecelowości. Przejście przybliżonej równowagi stałej organicznej w taką równowagę nieorganiczną, czyli, innymi słowy,

śmierć, także się nie sprzeciwia powszechnej zasadzie celowości. Zasada przyczynowości tym się tylko różni od zasady celowości, że w pierwszej uwzględniamy podstawę, w drugiej zaś cel tegoż samego następstwa zjawisk, które według pewnych praw wynikają jedne z drugich. Uporczywe odrzucanie celowości przez wielu uczonych zależy od tego, że nie mogą oni znaleźć zasady, któraby się zgadzała z zasadą przyczynowości i jednocześnie służyła za cel dla tej ostatniej. Otóż taką właśnie zasadą jest dążenie do stanu możliwie stałej równowagi. Według teorii ewolucjonistycznej z pomiędzy wszelkich możliwych tworów na mocy przyczynowości utrzymują się te tylko, które są przystosowane; wszelkie inne ginąć muszą. Zarówno przystosowane jak i nieprzystosowane organizmy są obojętne wobec zasady przyczynowości, która dotyczy tylko samego faktu. Przeciwnie, skoro zasada dążenia do równowagi stałej istnieje, w takim razie, wobec zasady przyczynowości, która tym dążeniem rządzi, celowe i niecelowe skutki nie są obojętne. Zwracając się od fizycznej do psychicznej strony bytu, Fechner znajduje, że fizyczne dążenie do stanu równowagi odpowiada dążności psychicznej do osiągnięcia i utrzymania tych właśnie stanów, do których dążenie fizyczne zmierza: o ile popędy świadome zawsze się łączą z przyjemnością lub nieprzyjemnością, o tyle przyjemność lub nieprzyjemność zostają w związku ze stanami równowagi lub nierównowagi; każdy ruch, objawiający się w świadomości, o tyle łączy się z przyjemnością, o ile się zbliża poza pewną granicę do stanu równowagi stałej; o tyle łączy się z nieprzyjemnością, o ile poza pewną granicę oddala się od tego stanu.

Spróbujmy w całym tym rozumowaniu zamiast termi-

nologii antropomorficznej podstawić wyrażenia nietyle obrazowe, ile bardziej ściste i nie narzucające przyrodzie psychicznych własności człowieka. Zamiast: „*dążenie* wszechświata do równowagi możliwie stałej“, powiedzmy wprost: „prawo możliwego w danych warunkach ustalania się równowagi“; zamiast: „*obojętność* i *nieobojętność* skutków wobec prawa przyczynowości“, powiedzmy sobie: „zgodność skutków z prawem przyczynowości“,—a wnet obraz się zmieni. Parafraza nasza pozostawia w obu przypadkach fakt, istotę rzeczy nietkniętą; usuwa tylko przenośnie psychiczne, bo w przyrodzie widzimy tylko fakt, że, ilekroć dany jest pewien układ sił w stanie nierównowagi, tylekroć w następnym momencie, lub w szeregu momentów, ten sam układ równoważy się i tymbardziej zbliża się do stanu równowagi stałej, im mniej jest przeszkód do tego w warunkach otoczenia; ale żadnej „dążności“ w znaczeniu mniej lub więcej świadomego popędu do znanego celu nie widzimy wcale. Podobnież znamy fakt, że zjawiska określone zawsze powstają, gdy są przyczyny po temu, i nigdy ich nie bywa, gdy przyczyn niema; ale wcale nie wiemy o tym, aby zasada przyczynowości była jakąś istotą czującą, dla której jedne rzeczy są nieobojętne, inne zaś obojętne: zasada przyczynowości jest to formuła, która orzeka, że wszystko, co istnieje, jest ściśle przyczynowo uwarunkowane. Z chwilą, gdy znika „nieobojętność“, „dążenie“, znika też i *cel* tego dążenia, który jest tylko naszym wyobrażeniem ostatecznego skutku, a tym samym znika i cała fantasmagorja. Pozostaje tylko pewien porządek zjawisk, pewne stale powtarzające się stosunki pomiędzy zjawiskami, które nauka symbolizuje w tak zwanych prawach przyrody.

VIII.

Moglibyśmy na tym zawiesić swoje wywody o celowości, bo, skoro teleologia zasadniczo nie może być ze stanowiska naukowego usprawiedliwiona, więc tym samym wszelkie konsekwencje tej doktryny i wszelkie na niej oparte konstrukcje przyrodniczo-filozoficzne upaść muszą. Ponieważ jednak niektórzy pisarze z naciskiem głoszą, że oto budują system cały wszechświata według planu celowości i zgodnie z wynikami nauki, więc pozwolimy sobie jeszcze rzucić okiem na styl tej budowy w najogólniejszych zarysach.

Nieraz już przedstawiano całość przyrody ze stanowiska celowości; wbrew twierdzeniu ks. Morawskiego, który bierze na siebie rolę pioniera w tym względzie ¹⁾, teleologiczne obrazy przyrody, jako efektowne i stosunkowo bardzo łatwe, często kusily pióra. Szczególnie w bieżącym stuleciu, wobec rozwoju teorii krążenia materji i sił w świecie organicznym, chwycono się z jednej strony—popularyzowania tej teorii, z drugiej zaś strony — uzupełniania i pogłębiania systemu teleologicznego wraz z całą jego hierarchją kosztem tej właśnie teorii. Świat mineralny stworzony został dla roślinnego; rośliny dla zwierzęcego; wszystkie trzy razem

¹⁾ Cel. w nat., 24.

dla człowieka. Jednym z najwybitniejszych pod względem literackim usiłowań wyzyskania przyrodoznawstwa społecznego, wraz ze zdobyczami badań nad historją cywilizacji, na rzecz doktryny teleologicznej — jest drugi tom słynnego dzieła Lotzego „*Mikrokosmos*“¹⁾. Usiłowanie to, jakkolwiek pod względem naukowego uzasadnienia teorii celowości nie przedstawia nic nowego, zasługuje wszakże na uwagę, jako płuód rozległego i dzielnego umysłu, obdarzonego głębokim poczuciem estetycznym i bujnym polotem fantazji. Zastanawiano się także niemało nad celowością świata nieorganicznego i to po wszystkie czasy, chociaż, jak zawsze, spekulacje te i po dziś dzień zostały jałowemi dla nauki. Za wzór ich mogą posłużyć liczne uwagi teleologiczne u Chryściana Wolffa²⁾: „Słońce poto istnieje, ażeby na ziemi mogły zachodzić zmiany pór roku“; „ziemia ze wszystkim, co się na niej znajduje, nie jest niczym innym, jeno środkiem przez Boga po to ustanowionym, abyśmy mieli to, czego potrzebujemy“; „brak ruchu osiowego u księżycy daje się tym wyjaśnić, że obrót ten nie był potrzebny, ponieważ mieszkańcy księżycy mają już zmianę dnia i nocy dzięki obiegowi księżycy dokoła ziemi“ i t. p. U starych i nowożytnych autorów, nie wyłączając takich astronomów, jak F. W. Bessel³⁾, peł-

¹⁾ Hermann Lotze. *Mikrokosmos, Ideen zur Naturgeschichte und Geschichte der Menschheit*, 3 tomy. Lipsk 1-sze wydanie 1856—1864. 3-cie wydanie 1876—1878.

²⁾ *Vernünftige Gedanken von Gott, der Welt und der Seele des Menschen, auch allen Dingen überhaupt*. Frankfurt i Lipsk, 1719 — *Vernünftige Gedanken von den Wirkungen der Natur*, Halle, 1723.

³⁾ Patrz jego: *Populäre Vorlesungen über wissenschaftliche Gegenstände*, 1848, str. 606.

no podobnych tyrad teleologicznych, naturalnie odmiennych, stosownie do społecznego stanu nauk, i zawsze przez właściwą teorię naukową pomijanych. Nawet powstała swego rodzaju dysteleologia astronomiczna, podobnie jak mamy dysteleologję biologiczną; fakty zaś, mające stwierdzać niecelowość warunków astronomicznych, zebrał według pierwszorzędnych powag społecznych Du Prel w artykule „*Das Leben im Kosmos*“¹⁾.

Któż dziś weźmie na serjo podobny „szczegół z fizycznej teleologii wody“:—gdyby ten żywioł, najbardziej (a powietrze?) na powierzchni ziemi rozpowszechniony, w którego łonie większa część fauny i flory przemieszkiwać miała, nie posiadał tego wyjątkowego, a dotąd nie wyjaśnionego prawa, że jego maximum gęstości nie jest, jak u innych ciał, w punkcie marznięcia, ale przy czterech stopniach ciepła nad tym punktem, wówczas co zima wody zamarzałyby do dna i ginęłyby w nich wszelkie życie. Gdy tymczasem, skutkiem tego prawa, przy oziębieniu niżej czterech stopni, woda zimna nie idzie już na dno, ale do góry, na powierzchni ścina się w lód; a na dnie, mimo najsroźszej zimy, zachowuje tyle ciepła, ile potrzeba schronionym tam żyjątkom i zarodkom życia“²⁾. Pomińmy już to, że nikt dotąd nie wykazał, jakoby najniższa temperatura, przy której życie jest możebne, była + 4° C; że przeciwnie, wiele bardzo istot zachowuje się przy życiu wobec temperatury środowiska o wiele niższej: że żyjątka i ich zarodki zamarzają w płytkich wodach i pomimo tego żyją, skoro woda odtaje; że wreszcie znany jest stan *anabiozy*,

¹⁾ „*Kosmos*“ II, str. 1—9.

²⁾ Cel. w nat., 31.

polegający na tym, jak liczne spostrzeżenia i doświadczenia stwierdziły, że żaby i ryby można zamrażać do tego stopnia iż się kruszą, jak lód, a jednak przy powolnym odmrażaniu wracają do życia, podobnie jak zupełnie wysuszone niższe organizmy odżywają przy zetknięciu się z wodą¹⁾. Pomińmy to wszystko, ale przeciwko powyższej argumentacji przedewszystkim występuje fakt, że ryby właśnie powstały i rozwinęły się w wodzie, a powstały i rozwinęły się tak, jak na to własności wody pozwoliły, t. j. przystosowując się do własności środowiska. Woda i istoty w wodzie żyjące — nie są to dwa szeregi niezależne, któreby ktoś osobno urządził i potem sprowadził razem, wpuszczając ryby do wody, lecz są to szeregi, z których drugi jest funkcjonalnie od pierwszego zależny, mianowicie ukształtowanie się ryb uwarunkowane jest przez własności wody i w granicach tych własności rozwijać się musiało, o ile ryby miały pozostać w wodzie i utrzymać się przy życiu. Tak samo nie po to śnieg został stworzony, jak to nasz teleolog utrzymuje, by pod całunem swoim chronić nasionka i poczwarki, lecz dlatego nasionka i poczwarki przechowują się w niektórych przypadkach, że śnieg je pokrywa; jakóż łatwo doświadczalnie dowieść, że nie powstanie śniegu zależy od potrzeby ochrony niektórych istot żywych, lecz ochronienie zależy od obecności śniegu.

Skoro teleologja wygłasza tezę: „jeżeli przyroda jest celowo zbudowana, to niższe istoty wogóle muszą być dla wyższych“²⁾, to odpowiemy, iż, przeciwnie — celowość etycz-

¹⁾ Nad anabjozą między innymi pracował Cl. Bernard, na którego się ks. M. chętnie powoływa, prof. Preyer i inni.

²⁾ Cel. w nat., 24.

na, a taką właśnie ma być celowość świata, wymagałaby, aby wyższe było dla niższego, aby ten, kto jest lepiej uposażony, biegł z pomocą temu, kto jest uboższy pod jakimkolwiek względem, aby nie pożeranie niższych przez wyższych było zasadą, lecz podnoszenie wszystkich do góry. Gdy nam powiadają, że rośliny specjalnie są przeznaczone dla zwierząt, to odpowiadamy, że znane są rośliny, które pożerają zwierzęta; ludzie pożerają bydła, ale też pożerani bywają przez tygrysy, a nawet przez tak niskie istoty, jak bakterje, które znów, o ile wiemy, nie budzą apetytu w istotach wyższych. Zresztą i tego także niczym dowieść nie możemy, aby wilk był wyższym od konia, którego pożera, jeżeli naturalnie sama zdolność pożerania nie ma być miarą wyższości nad pożeranymi. O ile czucie i świadomość są celem przyrody, o tyle trudno zrozumieć z tego stanowiska, dlaczego taka masa istot o bardziej rozwiniętym czuciu i świadomości ginie od istot o wiele pod tym względem niższych. Bronią walki o byt ze stanowiska celowości, której w końcu etyczny ideał przyświeca, jako dobrodziejstwa, dzięki któremu „więcej istot dociska się do uczty życia“, teleolodzy zapominają, że olbrzymia większość tych istot poto się tylko do uczty dociska, by zdołać jej półmiski, bo ginie pod postacią jaj, zarodków i niedorostków. A obok tego, w jakże okrutne środki uzbroidła ta celowa natura zwierzęta dla tępienia się wzajemnego! W wielu przypadkach zwolennicy celowości powinni by przypuszczać, że jej chodziło o możliwe pomnożenie cierpień tych, którzy są pożerani. Zastanawiająca jest okoliczność, że argumentacja teleologów w tym względzie jest nadzwyczaj słaba i pomimo tego stereotypowo jednostajna. Słynny biolog Karol Ernest Baer, który pracami swymi przyczynił się do utorowania drogi ewolucjonizmowi

biologicznemu, przed samą już śmiercią swoją wystąpił przeciwko tej hipotezie i stanął gorliwie w obronie celowości optymistycznej¹⁾. Wielka ilość przedwcześnie ginących istot żywych ma dowodzić, że „żaden gatunek roślin i zwierząt bezrozumnych nie jest głównym celem przyrody“. A przytym „ilość powstających osobników jest tak wielka—rozumuje poważnie sędziwy biolog—że zabrakłoby dla nich miejsca i pożywienia, gdyby wszystkie one zupełnie dorastały“. Zabójczy to argument dla teleologii, ale i Baer salwuje się starym wybiegiem scholastyków, jakoby „przyrodzie chodzi o to, iżby istoty, przeznaczone na pożarcie, czas jakiś same cieszyły się życiem“. Okrutna walka o byt „dowodzi celowości przyrody, wogóle bowiem niżej rozwinięte organizmy pożerane bywają przez istoty wyżej rozwinięte“; zresztą „przesądem jest ze strony nowszych filozofów, gdy zaznaczają z goryczą, jakoby w ten sposób w przyrodzie panowało prawo powtarzającej się bez końca śmierci męczeńskiej“, bo „śmierć zadana przez drapieżnika rychlejszą jest, a przeto mniej, niż naturalna, męczeńską“²⁾. Poważne roztrząsanie podobnej argumentacji byłoby nie na miejscu, bo oczywiście jesteśmy tu poza obrębem wszelkich znanych faktów, a przeto poza obrębem wszelkiej możliwej dyskusji naukowej. Gdy się zważy fakty, że np. kot nie zabija myszy odrazu, lecz godzinami niekiedy i z wyrafinowaniem zabawia się powolną agonją ofiary swojej; że orły i liczne zwierzęta dostarczają

¹⁾ K. E. v. Baer, *Studien aus dem Gebiete der Naturwissenschaften*, Część II, 1876. Głównie szkice: „Ueber Zielstrebigkeit in den organischen Körpern insbesondere“ i „Ueber Darwin's Lehre“. — Rozbiorowi teleologii Baera poświęcił krytyczną pracę swoją dr. S. Kalischer, *Teleologie und Darwinismus*, Berlin 1878.

²⁾ v. Baer, *loco cit.*, str. 193 — 222.

potomstwu swemu żywego łupu, aby niedorośle osobniki ćwiczyć w chwytaniu i zabijaniu ofiar ¹⁾; że tłumy ludzkich ofiar ulegają powolnej śmierci męczeńskiej w walce z istotami, stojącymi na najniższym szczeblu drabiny organicznej, jak np. bakterje gruźliczne i t. p., gdy się zważy to wszystko, natenczas argumentacja powyższa sama przez się upada.

I poco ta cała tragikomedja teleologicznie zorganizowana? Czemuż ten wszechmocny rozum najwyższy — że się odwołamy do „racji“ teleologów — czemuż nie urządził tak jakoś, aby duch ludzki, o który ostatecznie ma przecież chodzić, znalazł sobie inny jakikolwiek pokarm, mniej krwawy, mniej jękami cierpień zaprawny, aby uniknął tych jatek w imię moralności, ale kosztem krwi i cierpień tylu istot, które o moralności nic nie wiedzą i wiedzieć nie mają, których agonji nie osładza nawet myśl o ofierze, poniesionej dla jakiegoś ideału wzniosłego?

Wreszcie celowa ta hierarchja przyrody, to usystematyzowane wszechżerstwo doprowadza nas do pana stworzenia, wybrańca tego, co sam siebie za cel świata ogłasza. I cóż? Człowiek pożera człowieka! Miałożby i tu owo szczeblowanie wyższości grać rolę swoją? Najsumienniejsze badania naukowe dowodzą, że kanibalizm, ludożerstwo, na pewnym szczeblu cywilizacji jest normą, jest pospolitym zjawiskiem wszystkich epok i plemion. „U wszystkich ludów starożytności —

¹⁾ Liczne fakty okrucieństwa ptaków i zwierząt zebrane są w następujących dziełach: H o u z e a u, *Les facultés mentales des animaux*, 2 tomy. Mons, 1872; G. J. R o m a n e s, *Intellect in animals* i *Mental evolution in animals*. Oba dzieła także we francuskim przekładzie: *L'intelligence des animaux*, Paryż, 1888 i *L'évolution mentale des animaux*, Paryż 1884.

powiada Schaa f f h a u s e n ¹⁾—ludożerstwo było bardzo powszechne... Przyjrzyjmy się spóczesnym dzikim ludom, a przekonamy się, że kanibalizm w wysokim stopniu wśród nich jest upowszechniony, że istnieje on jeszcze dotąd u wszystkich ras, z wyjątkiem Europy, we wszystkich częściach świata“. A. W u t t k e ²⁾ twierdzi, że, z wyjątkiem większości ludów koczowniczych, mało jest zresztą ludów, u których nie pozostałyby ślady kanibalizmu. W u n d t ³⁾ utrzymuje, że bardzo prawdopodobnie kanibalizm panował u wszystkich ras rodzaju ludzkiego w pierwotnym stanie cywilizacji, nawet u spóczesnych wysoce ucywilizowanych ludów w języku i zwyczajach znajdujemy ślady tego. Marco Polo podaje, że jeszcze w XIII wieku ludożerstwo istniało w Chinach, Japonji i Indji. Brazylijczycy, których zwiedzał Jan De Lery w początku XVII w., żywili jeńców najlepszymi potrawami i użycali im kobiet swoich, by wygody życia przyczyniły się do utuczenia ich i nadania smakowitości ich mięsu; skoro była wielka obfitość mięsa ludzkiego, wysysano tylko krew i pożerano nogi i ręce ⁴⁾. U ludu afrykańskiego Azin utuczonych niewolników zarzynano albo odprzedawano rzeźnikom; mięso ludzkie sprzedawano w jatkach ⁵⁾. By przerwać szereg cytat z najkompetentniejszych w tym przedmiocie źródeł, powołamy się jeszcze na ustęp Springa, który, obok Duponta,

¹⁾ H. Schaa f f h a u s e n „Die Menschenfresserei und das Menschenopfer“, *Archiv f. Anthropologie*, IV, str. 248, 253.

²⁾ A. Wuttke, „Geschichte des Heidenthums“, I, § 97.

³⁾ W. Wundt, *Vorlesungen über Menschen und Thierseele*, II, 129,

⁴⁾ Klemm, *Allgemeine Culturwissenschaft*, I, 175.

⁵⁾ Wuttke, *ibid.*, 175. Wogóle porównaj w tym przedmiocie gruntowne studjum L. Wojewódzkiego „Kanibalizm w mitach greckich“ (po rosyjsku), 1874.

Schaafhausena, Broca, Karola Vogta, Stenstroopa, przyczynił się do udowodnienia, że ludożerstwo w Europie było faktem powszechnym: „W roku 1842—pisze on ¹⁾—znalazłem w pobliżu Chauvaux w Belgji warstwę w jaskini, złożoną z kości najstarszej epoki przedhistorycznej, resztki uczty pierwotnego człowieka. W tej pomieszanej kupie znajdowały się kości zwierząt i ludzi... Kości, które nie zawierają w sobie szpiku, były nietknięte, ale wszystkie długie kości były połupane... Pomiedzy kośćmi znalazłem nawet część czaszki ludzkiej, w której tkwił jeszcze topór kamienny. Zbadałem wszystkie kości ludzkie starannie jedną po drugiej. Ale jakież było zdumienie moje, gdy pomiędzy niemi nie znalazłem żadnej męskiej i wogóle żadnej, pochodzącej od dorosłego człowieka. Wszystkie pochodziły od młodych kobiet albo dzieci. Tak więc mamy tu do czynienia nie z takimi ludożercami, którzyby pożerali mięso ludzkie tylko wśród okoliczności wyjątkowych, albo z konieczności, lecz z kaniibalami, którzy pożerali je ze szczególnym upodobaniem, wybierając co smaczniejsze kąski“.

Dawniej, dopóki wiadano tylko o luźnych objawach kanibalizmu, zapatrywano się na to zjawisko, jako na ohydny przykład upadku i deprawacji moralnej, oburzano się i moralizowano więcej, niż wyjaśniano. Gdy jednak etnografja i badania dziejów cywilizacji dostarczyły materiału systematycznego, pogląd dawniejszy upadł, okazało się bowiem, że ludożercy nie mają najmniejszego wyobrażenia o zdrożności lub etycznej naganności kanibalizmu; owszem, oddają mu się z całą niewinnością nieświadomych złego dzieci natury. Hipoteza upadku i zwyrodnienia moralnego pierzchła jak złudzenie, a na jej miejscu pozostał fakt nagi, że u kolebki ludz-

¹⁾ Czasopismo „Ausland“, 1870, str. 504.

kości kanibalizm jest naturalnym zjawiskiem, które powoli ustępuje pod naciskiem „sztucznych“ warunków rozwoju cywilizacyjnego. „Niema wątpliwości — pisze Lotze ¹⁾ — że rajski stan pierwotnego człowieka często dochodził do takiej jak kanibalizm ostateczności w sposób zupełnie niewinny (*in aller Harmlosigkeit*), nie upatrując w tym nic zdrożnego; że owszem, przy podniesieniu się stopnia świadomości, ludzkość łatwo wynajdywała pozory dla nadania cech czułości temu zwyczajowi. Jakież los mógłby być bardziej odpowiedni dla osób ukochanych, jak właśnie, przemieniwszy się natychmiast w krew i ciało potomków swoich, dalej ciągnąć swój byt, nie przechodząc w opłakany stan gnicia! Podczas, gdy ręka igra białymi kośćmi pożartego przyjaciela, dusza jednocześnie może się zagłębiać w czułe o nim wspomnienie. Ona nie rozumie zdumienia człowieka ucywilizowanego, którego oburzają rzeczy podobne“.

Kanibalizm nie wyczerpuje wszystkich przypadków, gdzie człowiek staje się ofiarą człowieka. Dalej idzie krwawa walka ras, plemion, narodów, klas i grup społecznych, której mechanikę socjologiczną odmalował nam wymownie i z całą bezwzględnością doktryny prof. Ludwik Gumplowicz *) w nowym i ważnym dla piśmiennictwa naszego dziele „*System socjologii*“ ²⁾. Według autora tego duszą dziejów ludzkich i sprężyną wszelkiego rozwoju społecznego jest dążność różnorodnych grup społecznych do wzajemnego wyzysku, żądza grupy każdej rozciągnięcia władzy swojej nad innymi grupami, żądza panowania za jakąkolwiek cenę, byleby z zyskiem własnym. W walce tej wola jednostki i jej motywy mo-

¹⁾ *Mikrokosmos*, II, wyd. 1-e, str. 383.

²⁾ Dr. Ludwik Gumplowicz: *System socjologii*, Warszawa, 1888.

ralne są niczym: jednostka zawsze jest ślepym narzędziem grup społecznych, które nie znają motywów moralnych i głosu sumienia, bo się powodują wyłącznie i nieomylnie instynktem interesu własnego ¹⁾. Nie miejsce tu wchodzić w rozbiór poglądów, które wymagają wielostronnej krytyki historycznej i ekonomicznej, a być może jeszcze bardziej filozoficznej i psychologicznej. Autor w gruncie rzeczy stoi na stanowisku pozytywizmu Comte'a; pod względem psychologicznym utrzymuje on, iż „największym tryumfem nowożytnej umiejętności przyrodniczej było udowodnienie, że duch ludzki podlega prawom fizycznym, że zjawiska psychiczne są tylko wpływem materji i, jako takie, następstwem praw fizycznych“²⁾. Wreszcie broni on dość niewyraźnej doktryny, według której psychicznemu życiu jednostek odmawia zupełnie roli rzeczywistego czynnika społecznego, sławiąc natomiast jakiś zbiorowy instynkt grup społecznych, gdyż pisze: „działanie jednostek nie rozstrzyga o postępowaniu społeczeństw, na które wpływa tylko działanie ogółu; te zaś tylko jednostki działają skutecznie i nieomylnie, które idą za popędem ogółu. Za własną głową idąc, jednostka błądzi wiecznie, idąc zaś za popędem społeczeństwa swego, nigdy z prawdziwej drogi nie zboczy. Jednostkę na manowce sprowadzają uczucia osobiste, doktryny i teorje; społeczeństwo zawsze idzie najwłaściwszą drogą, bo z koniecznością naturalną dąży zawsze w kierunku swych interesów społecznych“ ³⁾. Cokolwiekbyśmy sądzili o poglądach prof. Gumpłowicza, jedno jest pewne, że nikt mu nie uczyni zarzutu z tego, iż właśnie w pracy swojej, której

¹⁾ Ibid. ks. III, str. 221—342.

²⁾ Ibid., str. 187.

³⁾ Ibid., str. 314—315.

znaczenia społecznego odmówić niepodobna, poszedł „za własną głową“, nie przysłuchując się i nie schlebiając, by zjednać wpływ i powodzenie pracy swojej, instynktom grup społecznych. Co jednak w danym razie nie może być dla nas rzeczą obojętną, to fakt, że prof. Gumpłowicz do poglądów swoich socjologicznych, pomimo zupełnie deterministycznego stanowiska swego, wprowadza pojęcie celowości.

Jest to rzecz zupełnie zrozumiała, że, obok badania świata istot żywych, pogląd teleologiczny nigdzie nie wystąpił tak stanowczo i wyraźnie, jak w dziedzinie wyjaśniania spraw ludzkich, życia jednostek, państw i narodów, w usiłowaniach ujęcia planu dziejów ludzkości. Sprzyjał temu z jednej strony pogląd antropocentryczny, który uporczywie podsuwał myśl, iż człowiek, jako szczyt i pan stworzenia, musi być przedmiotem szczególnych trosk i zabiegliwości tego rozumu najwyższego, który mu świat i specjalnie ziemię za lebkę i siedzibę przeznaczył; że wszystko, co widzimy dokoła siebie, musi zostawać w jakimś rozumnym stosunku do człowieka i ludzkości, jako najwyższej tu instancji celowej. Skądinąd jednak zważyć należy, iż umysł ludzki rychło już spostrzec musiał tę niespójność, jaka istnieje pomiędzy dążeniami i zamiarami pojedynczych osób lub grup społecznych, oraz nie dającym się przewidzieć biegiem spraw ludzkich, który się raz po raz nam narzuca i krzyżuje z nieubłaganą przemocą świadome cele i usiłowania nasze. Wcześniej już musiało się stać oczywistym, że rozum i wola człowieka nie są jedynymi czynnikami, któreby bieg spraw ludzkich warunkowały i niemi kierowały, bo, chociaż w szczegółach tu i ówdzie udaje się nam cele osiągać i spożywać owoce świadomych usiłowań swoich, to wszakże często bywa inaczej, a gdy się rozglądamy w przebiegu kolei ludzkich na

większych obszarach i w dłuższych czasu odstępach, widzimy najwyraźniej, iż rozum i wola człowieka stają się igraszką jakichś potęg nam obcych tak dalece, że ślady naszych usiłowań świadomych zaledwie dostrzec się dają. Dla umysłu pierwotnego i wiedzy niemetodycznej otwierają się stąd dwie drogi rozstajne: albo losy doczesne ludzkości są igraszką ślepego trafu, który bez wszelkiego rozumnego ładu wyrzuca na powierzchnię bytu fale zjawisk, miotające kruchemi nawami narodów najczęściej nie do tych brzegów, ku którym one zmierzają ¹⁾; albo losami ludzkości rządzi istota wyższa według niezbadanych, chociaż ostatecznie zbawiennych planów, swoich, pozostawiwszy rozumowi i woli ludzkiej drobną cząstkę autonomji, obwarowanej kodeksem sumienia, tudzież kar i nagród doczesnych i przyszłych. Powyższe wywody nasze są dostatecznie rozwinięte, aby, oparszy się na nich jako na przesłankach, dedukcyjnie wysnuć odparcie obu tych poglądów, występujących pod różnemi postaciami — chaosu fatalistycznego i spirytualistycznej teleologii.

Prof. Gumpłowicz w kwestji tej stoi na odrębnym stanowisku, które gotowibyśmy uznać za odcień panteizmu monistycznego. U podstawy poglądu jego spoczywa mitolo-

¹⁾ Pogląd ten reprezentuje np. Schopenhauer: *Die Welt als Wille und Vorstellung*, rozdział „Ueber Geschichte“. Według Schopenhauera „to, co historia nam opowiada, w rzeczy samej jest długim, męczącym i powikłanym widzeniem sennym ludzkości“; „t w dziejach widzi on*“) „die vorübergehenden Verflechtungen einer wie Wolken im Winde beweglichen Menschenwelt, welche oft durch den geringsten Zufall umgestaltet werden“. O planie ogólnym dziejów w różnych systematach filozoficznych patrz dzieło prof. Kariejewa „Pytania zasadnicze z filozofji historii“ (po rosyjsku), 2 tomy, wyd. drugie, Petersburg, 1887; głównie tom I. str. 43—127.

giczne pojęcie „natury mądrej i przezornej“, która „wybiera najskuteczniejsze i najodpowiedniejsze środki, prowadzące najlepiej i najpewniej do powziętych z góry zamiarów“⁴⁾. Zamiar oczywiście jest aktem psychicznym, który musimy czyjejś świadomości przypisać. Czyjejże tedy? Zapewne „natury“, ale, pomijając już okoliczność, że pozytywnie nie da się udowodnić obecność świadomości w przyrodzie poza obrębem istot żywych, pozostaje jeszcze wątpliwość: dlaczego zamiarom przyrody mamy przypisywać wpływ aktualny na bieg zdarzeń, skoro wpływu takiego odmawiamy zamiarom rzeczywistych jednostek? Jeszcze większe trudności nastęrcza pytanie: jakim sposobem działanie jednostki na społeczeństwo może w tym lub innym sensie być bezskuteczne? Można twierdzić, że przy pewnych warunkach jednostka, kierująca się własnym rozumem i wolą i będąca w styczności ze społeczeństwem, nie osiąga jakichś określonych skutków, ale, że wogóle działanie jednostki na społeczeństwo w jakimś sensie zawsze musi być skuteczne, jest to tak pewne, jak to, że działanie nigdy nie bywa bez skutku. Skoro zaś jednostka na społeczeństwo oddziaływać może, tedy socjologja oddziaływanie to badać i wyjaśniać winna. Drugim mitologicznym pojęciem u prof. Gumpłowicza jest nieświadomy i nieomylny instynkt grup społecznych. Gdzie niema umysłu indywidualnego, tam mowa o omylności lub nieomylności traci wszelki sens możliwy, bo mylnemi lub niemylnemi mogą być tylko sądy czyjeś, o ile treść ich okazuje się zgodną lub niezgodną z jakąkolwiek rzeczywistością przeszłą, niniejszą lub przyszłą. Jeżeli tedy zbiorowe dążenia i instynkt grup społecznych oznaczają coś więcej, niż zgodny sposób postę-

⁴⁾ Dr. Gumpłowicz. System socjologii, str. 337—8.

powania, czucia, myślenia i chcenia pewnych grup rzeczywistych jednostek, występujących solidarnie, w takim razie mamy tu do czynienia z mitologią, ze zwykłym przypisaniem bytu realnego abstrakcji. Czymże wobec tego jest prawo celowości? „Prawo celowości—odpowiada autor—sprawia, że każde oddziaływanie wzajemne różnorodnych żywiołów jest środkiem ku dalszemu rozwojowi“, poczym pisze: „W dziedzinie zjawisk fizycznych nauki przyrodnicze oddawna już wykazały celowość tego wzajemnego oddziaływania. Botanik wie, jaki cel osiągnięty bywa przez oddziaływanie powietrza na liście roślin i tychże liści na powietrze. Zoolog wie, jaki cel osiągnięty bywa przez oddychanie zwierząt i przez funkcje poszczególnych ich organów. Także w dziedzinie umysłowej oddziaływanie idei jednych na drugie sprowadza dalszy rozwój umysłowy. Na polu społecznym sporną jest wprowadzić ta ogólna celowość, a liczne stronnictwa polityczne, społeczne i filozoficzne, jak np. rewolucjoniści i pesymiści, zaprzeczają, jakoby w rozwoju dotychczasowym społecznym przejawiała się rozumna celowość, którą tym goręcej wykazują inne stronnictwa konserwatywne, liberalne i optymiści. Ale pomimo tych sporów, które nawet z właściwą kwestją celowości nie mają nic do czynienia, jest rzeczą pewną, że każde zjawisko społeczne, każdy ustrój społeczny jest zawsze środkiem do jakiegoś dalszego celu; a nawet, odmawiając celowi temu wartości, nie można nazwać bezcelowym środka, za pomocą którego on osiągnięty został. O ile więc w dziedzinie społecznej nic nie tworzy się bez celu, uznać zatym musimy i tu panowanie prawa ogólnej celowości“¹⁾). Każde zdanie w ustępie powyższym budzi wątpliwości natury fak-

¹⁾ Ibid., str. 196—7.

tycznej: botanik, taksamo jak zoolog nic nie wiedzą o *celach* żadnych, ani też o tym, komuby je przypisać mieli; natomiast wiedzą oni do pewnego stopnia, jakie *skutki* osiągnięte bywają przez wzajemne oddziaływanie zwierząt i czynności ich różnych narządów. Żaden nadto przyrodnik nie zgodzi się na tezę, jakoby każde oddziaływanie wzajemne różnorodnych żywiołów było środkiem dalszego rozwoju, bo znany np. jest fakt, że wzajemne oddziaływanie na siebie organizmu i pasorzytów, które go opadły, bywa tego rodzaju, iż organizm opadnięty cierpi i niszczeje, zaś pasorzyty, jak np. wnątrzniki, redukują się pod względem fizycznym i psychicznym do minimum potrzebnego w danych uproszczonych warunkach rozwoju. Takich przykładów uwstecznienia botanik, zoolog i patolog przytoczą tysiące. Taksamo pedagog i psychjatra, a zapewne i socjolog, wykażą, iż niezawsze oddziaływanie idei jednych na drugie zapewnia rozwój umysłowy, chociaż zawsze sprowadza skutki pewne. Co jednak najgorsza, że o celowości mowy być nie może tam, gdzie nieznanym jest cel ostateczny ani istota, którejby ten cel przypisać można; obojętność zaś prof. Gumplowicza na spory stronnictw o wartości środków i celów tymbardziej jest dziwna u autora, przyznającego celowość, że wobec tego upada wszelka norma do wyrokowania o celowości każdego danego faktu. Wprawdzie przytacza prof. Gumplowicz słowa Agassiza, który hipotetycznie uważa jedność rodzaju ludzkiego za cel ostateczny, do którego ludzkość dąży ¹⁾, ale trudno pojąć, jakby ta jedność pogodzić się dała z wiecznym i niezłomnym prawem walki różnorodnych żywiołów społecznych o przemoc, walki, która ma być duszą i sprężyną

¹⁾ Ibid., str. 167.

wszelkiego rozwoju społecznego. Wobec tego wszystkiego zmuszeni jesteśmy przyjąć pogląd, do którego uzasadnienia dzieło prof. Gumpłowicza pośrednio wielce się przyczynia, że w dziejach ludzkich, podobnie jak w innych dziedzinach przyrody, panuje prawo przyczynowości, prawo warunków dostatecznych i skutków koniecznych, zaś cele występują pod postacią wyobrażeń celowych jednostek, które działają albo na własną rękę, albo w grupach mniej lub więcej solidarnych i w mniejszym lub większym stopniu ożywionych wspólnością uczuć, poglądów, dążeń i usposobień.

Tak więc wykończony plan dziejów rodzaju ludzkiego ze stanowiska celowości nie skreślił nam i prof. Gumpłowicz, lubo po każdym konsekwentnym zwolenniku celowości mamy prawo wymagać tego, gdyż celowość bez celu ostatecznego i systemu wiodących doń środków jest czczym tylko wyrazem. Natomiast, wbrew twierdzeniu autora „Systemu socjologii“, jakoby pesymiści zaprzeczają celowości w rozwoju społecznym, plan taki skreślił właśnie pesymista i to plan, którego styl bardzo niewyznacznie opiera się na prawie walki grup społecznych o przewagę i korzyści wyzysku. Edward Hartmann, „wielki badacz celowości“, jak go ks. Morawski nazywa, maluje nam jaskrawy obraz tej fazy rozwoju teleologicznego ¹⁾. Żadna moc, sądzi on, nie zdolna powstrzymać procesu wytępienia ras niższych; podobnie, jak psu, któremu mamy ogon uciąć, nie przyniesiemy ulgi przez to, że będziemy mu go ucinali stopniowo po kawałku, tak też niema ulgi dla ludzkości w zwłóczeniu wytępienia ras niższych. Trzeba przyspieszyć proces agonji—oto prawdziwa filantropja! Gdy pozostaną na ziemi narody naj-

¹⁾ E. v. Hartmann, *Philosophie des Unbewussten* I, 307—333.

bardziej tylko ucywilizowane, wtedy przewiduje H a r t m a n n walkę o wiele uciążliwszą, bo siły zapaśników o wiele są jednostajniejsze. Mniejsza o to, jakie formy przybierze ta walka, czy to ma być wojna, czy jeszcze gorsza i okrutniejsza forma powolnego tępienia się na wszelkich polach spółzawodnictwa pokojowego. O ile walka ta wydaje się filozofowi Nirwany przerażającą ze stanowiska eudemonologicznego, czyli ze stanowiska interesów szczęścia największej sumy jednostek, o tyleż wydaje mu się „wspaniałą ze stanowiska teleologicznego“, bo zapewni najwyższy rozwój jednej najzdolniejszej rasy germańskiej, która wszystkie inne pochłonie, by następnie z całą świadomością filozoficzną utonąć w niebycie. Trzeba się przyzwyczaić do myśli, że „zasada bezwiedna“ (*das Unbewusste*) nie daje się zbić z tropu męczarnią miliardów jednostek ludzkich i osobników zwierzęcych, skoro męki te prowadzą do celu ostatecznego. Taki jest punkt kulminacyjny w planie teleologicznym.

Niechże nam teleologia ze swoją hierarchją trzech królestw przyrody, ze swoim planem etycznym i człowiekiem u szczytu drabiny celowej, którą miał dźwignąć „rozum najwyższy“ w dobroci swojej, niech wyjaśni takie fakty, jak kanibalizm i zażarte krwawe walki w łonie ludzkości samej. Ze z góry powziętym poglądem teleologicznym trzeba się tu chyba imać sofistyki i sprzecznych w sobie wybiegów dziecinnych, by udać pozory jakiegoś wyjaśnienia. Zaiste, cała treść doktryny teleologicznej zawiera się w słynnej gadce Montaigne'a o gęsi, która uważała siebie za cel wszystkiego, co zna na świecie, bo „nawet człowiek dla mnie sieje i dla mnie miele; a choć mię też czasem zje, toć i ja zjadam robaki, które ludzi pożerają“.

Tylko, że teleolodzy nie łatwo dadzą się pobić: na gęś

Montaigne'a wynaleźli gęś własną. Niejaki Brockes z Hamburga ¹⁾ przedsięwziął dowieść w pracy dziewięciotomowej, że wszystko na świecie przeznaczone jest wyłącznie dla użytku i przyjemności człowieka; Bóg jest niezrównanym kuchmistrem (*Speisemeister*), który z wyszukany smakiem gastronomicznym stworzył taką różnorodność owoców i zwierząt jadalnych ²⁾. Tam, gdzie brak tej jadalności, jak np. u lisów, wilków, lampartów, tam usiłuje Brockes z wielkim mozołem wykryć inne dowody pożyteczności dla człowieka. W jednym z ustępów, po roztrząśnieniu korzyści, jakie człowiek odnosi z różnych części gęsi, autor kończy wykrzyknikiem: „Więc czyliż nie promienieje z tego zwierzęcia mądrość, wszechmoc Stwórcy i zarazem jego miłość ku nam! ...”

Trudno powstrzymać się od satyry; a jednak taka jest teleologia w założeniach i konsekwencjach swoich.

¹⁾ Cytow. przez Ludw. Feuerbacha w jego studjum o Piotrze Bayle'u, 1838.

²⁾ Porówn. „Cel. w nat.“: „Królestwo zwierzęce, szczyt i cel innych, nie tylko niesie człowiekowi pokarm i odzież, ale też ma na jego służbę rozmaite zwierzęta“ i t. d. (128). Pogląd ten często występuje. Prof. Rostafiński cytuje dzieło polskie St. Kaz. Herciusa, wydane w Krakowie w 1660 r. pod następującym charakterystycznym tytułem: „Bankiet narodowi ludzkiemu od monarchy niebieskiego zaraz przy stworzeniu świata z różnych ziół, zbóż, owoców, bydła, ptastwa, ryb etc. zgotowany“. J. Rostafiński, „Ze Świata przyrody“, str. 312. Warszawa, 1887.

ZAKOŃCZENIE.

Wyniki badania naszego w przedmiocie zastosowania pojęcia celowości do teoretycznego objaśnienia przyrody są negatywne, chociaż obok tego, jak tuszmy, udało się nam osiągnąć niektóre pozytywne wyniki. Pomieszenie zadań teorii z zadaniami praktyki, bądź w sferze bliższych potrzeb i celów życia naszego, bądź w sferze dalszych ideałów, bardzo często naraża umysły na paralogizm, który, w imię widoków praktycznych i idealnych, pozornie uprawnia zarzut stawiany teorii, skoro ta nie wypada zgodnie z temi widokami. Determinizm teoretyczny pospolicie oskarżany bywa o to, że przyrodę przedstawia jako mechanizm fatalistyczny*), wobec którego my, wpleceni w ślepy wir kół i trybów jego, musielibyśmy zrezygnować z ułudnych celów i ideałów swoich, które z jakąś okrutną ironją wynurzają się z głębi istot naszych i jak fata morgana w pustyni nęcą nas ku sobie, by po chwili złudzeń subiektywnych odsłonić nagi fatalizm nieubłaganej rzeczywistości i rzucić nas na pastwę zwątpień i rozpaczny zawodu!

Zarzut płytki i niezasłużony. Żaden determinizm teoretyczny nie zna granic możliwego rozwoju w zakresie danych własności i praw rzeczy wszechświat składających; za-

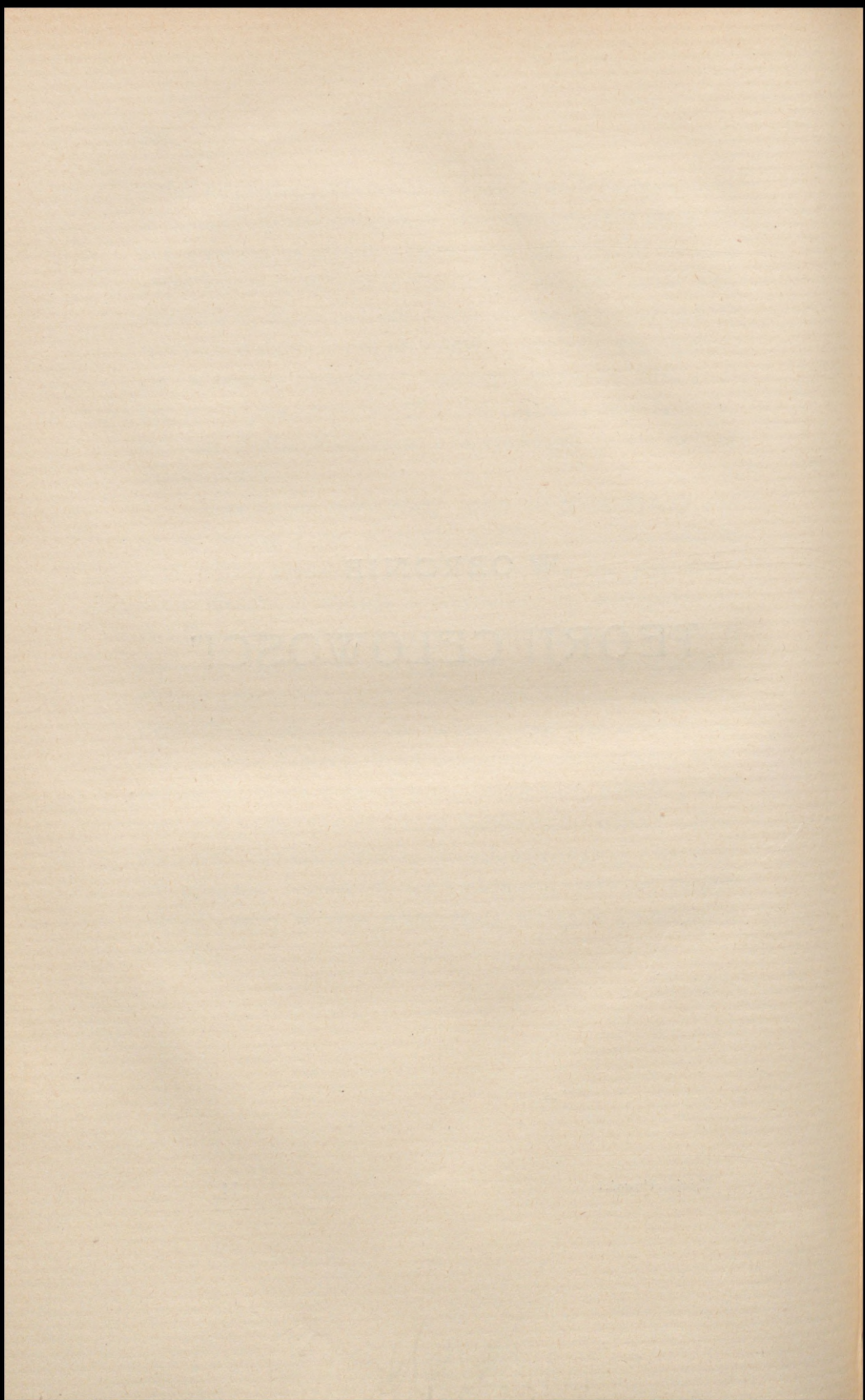
den determinizm nie może się poszczycić, jakoby poznał wszystkie prawa i nieunikniony kierunek oraz kres naturalnego biegu rzeczy; żaden wreszcie determinizm nie przeoczy, że życie nasze psychiczne w takich formach, w jakich ono powstało, jako skutek długiego procesu rozwojowego na mocy praw naturalnych, że życie to z jego pojęciami i wyobrażeniami, pociągami i wstrętami, wymaganiami i ideałami występuje jako czynnik wcale nieobojętny, owszem, potężnie oddziaływający na bieg wypadków. Rozproszone miliardy drobin pary wodnej, oddzielnie wzięte, reprezentują maluczkie ogniska siły, które mają wprawdzie swoje działanie, ale działanie tak minimalnie rozłożone w ogromach czasu i przestrzeni, że skutki tych działań nie dadzą się zdefiniować ani pod względem rozmiarów, ani kierunku. Tymczasem para, nagromadzona w zbiorniku tak zbudowanym, że siły tych miliardów drobin zwracają się w jednym określonym kierunku, reprezentuje potęgę, której działanie może być wielkie, bo ograniczone w miejscu i czasie. Umysłowość nasza jest właśnie zorganizowanym nagromadzeniem drobnych sił takich: pojęcia — są to skoncentrowane ogniska doświadczeń, nabywanych przez szeregi pokoleń pod wpływem działań otoczenia i naszych oddziaływań; popędy — są to wiekami wyłobione drogi, po których się wyładowują w określonym kierunku nagromadzone w nas siły, jako oddziaływania na działania z zewnątrz; ideały nasze — są to ogniska naszych doświadczeń wewnętrznych, są to skoncentrowane zbiorniki energii naszych uciech i bólów, jakich doznajemy pod wpływem zetknięcia się z otoczeniem, o ile ta energia zaoszczędzona została, o ile jej nie wyszafowaliśmy na bezpośrednie reakcje.

Tak więc my, integralna cząstka przyrody, stajemy

wobec niej samej, jako specjalne, w sobie zwarte i zorganizowane ogniska siły nagromadzonej. Dlaczegożby ta siła nie miała być uważana za czynnik, który może oddziaływać na bieg wypadków w sposób sobie właściwy, w miejscu i czasie jego wewnętrznej organizacji odpowiednim, tak, jak działają inne specyficzne skupienia sił przyrody? Posiadamy własną energję i własne jej regulatory. Dlaczegożbyśmy się mieli zrekać ich użycia i rezygnować z roli czynnika w przyrodzie, któremu chodzi o wyzyskanie wszystkiego, co się da, na własny pożytek?

Determinizm teoretyczny wcale nie powstrzymuje nas na tej drodze i nie pozbawia nadziei; on tylko udziela nam mądrej przestrogi, że energja nasza nie jest absolutnie niezależną energją w przyrodzie, że, występując do walki, musimy wiedzieć, iż nie złamiemy praw przyrody, my — jej cząstka specjalna, że możemy tylko je wyzyskiwać, chociaż granic tego wyzyskiwania nikt wskazać nie potrafi. Determinizm teoretyczny nie nakazuje nam zrzeczenia się celów, ideałów i pracy do ich osiągnięcia zmierzającej; lecz, badając przyrodę i naszą istotę psychiczną, usiłuje podać nam pod postacią pojęć i teorii naukowych możliwie najdoskonalsze regulatory, według których moglibyśmy z największą rękojmą bezpieczeństwa i ekonomji rozwijać zasoby energii swojej w celu pomnożenia szczęścia i uniknięcia cierpień.

W OBRONIE
„TEORJI CELOWOŚCI”



ARTYKUŁ PIERWSZY. *)

Nie widzę innego sposobu porozumienia się z anonimem, który w Nr. 51 *Prawdy* ocenia pracę moją—*Teorja celowości*, jak za pośrednictwem tejże *Prawdy*. Porozumienie się to dlatego już byłoby dla mnie pożądane, że widoczna bezstronność oceny i nawet przychylna opinia o pracy mojej budzą we mnie ufność, iż w danym przedmiocie łączą nas dostateczna ilość punktów zgody, abym mógł rachować, do pewnego stopnia przynajmniej, na możliwość rozpostarcia tej zgody również i na inne punkty.

Nasamprzód recenzent mój domyśla się, że książka moja jest odpowiedzią na rozprawę ks. Morawskiego. Jest to domysł o tyle nieścisty, że tak samo słusznie mogłaby ona ująć za odpowiedź na książkę Janeta i wielu innych. Wyłuszczyłem w pracy swojej, iż między innemi z rozprawy ks. Morawskiego czerpię materiał ilustrujący dlatego, że rozprawa ta jest jedyną w tym przedmiocie u nas; uważam zaś za swój obowiązek przedewszystkim nie pomijać prac polskich, jako zostających w najbardziej bezpośrednim stosunku do naszego życia umysłowego. Gdyby zagadnienie celowości nie posiadało żadnego znaczenia naukowego, albo gdyby było stanowczo już rozstrzygnięte, sama

tylko rozprawa ks. M. nie byłaby w stanie skłonić mnie do napisania czegoś więcej nad pospolity artykuł.

Nie mogę się też zgodzić ze zdaniem recenzenta, jakoby zagadnienie celowości nie zasługiwało na rozbiór obszerniejszy. Skoro w obronie naukowego znaczenia teleologii można pisać tomy o 800 stronach, jak to uczynił Janet; skoro literatury francuska, niemiecka i angielska płodzą wciąż szeregi rozpraw bezpośrednio temu przedmiotowi poświęconych i jeszcze liczniejsze szeregi prac, z których pośrednio można wnioskować o rozległym jeszcze wpływie tej doktryny na umysły; skoro wreszcie fala ta bije o nasz brzeg niedostatecznie obwarowany tamami oporu, to bodaj warto się nad tym cokolwiek zastanowić. Poglądy, chociażby najbardziej w nauce utrwalone, nie zamieszkują idealnych przestworów platońskich, lecz żyją w danym miejscu i w danych umysłach; by im przewagę zapewnić, trzeba je rozwijać, trzeba ich bronić, trzeba wywalczać dla nich grunt i powietrze od przeciwników. Fakt, że np. taka książka, jak Dębickiego *Nieśmiertelność jako postulat przyrodoznawstwa*, w krótkim okresie czasu święci już trzecie wydanie, że wyrastają jak grzyby po deszczu rozprawy ks. Zaborskiego *Darwinizm wobec nauki i rozumu*, ks. Morawskiego *Celowość w naturze*, i wiele innych—fakt taki, moim zdaniem, jest wymowny i przekonywa mnie, że należy nie lekceważyć go sobie, nie przyglądać się biernie tej bujnej wegietaacji chwastów, w przeświadczeniu, że słuszność po naszej stronie; że zwycięstwo wyznawanych przez nas poglądów jest kwestją czasu tylko, lecz trzeba czynem walczyć. Nie jest to walka nienawiści i zagłady, lecz walka o poglądy, o prawdę. Nadto, nie ludzę się wcale, iżby doktryna celowości była już z kretesem obalona: głębokich korzeni jej z natury ludzkiej

nigdy nie wykarczujemy i zawsze jej wilczki będą się prze-
dzierały do winnic uprawianych przez naukę. Utrzymuję
tylko, zważywszy *pro* i *contra*, iż jest rzeczą wielce prawdo-
podobną, że doktryna ta w dziedzinie nauki jest błędem,
a przeto wcale nie uważam za rzecz zbytęzną poglądy swo-
je w tej materji uzasadniać, jak umiem, bronić ich, jak mo-
gę, i to — licząc się z danymi warunkami miejsca.

Dalej, winienem zauważyć, że praca moja chyba tylko
z pozoru wydawać się może polemiczną. Z natury rzeczy
wyływa, że, roztrząsając zasady niewyznawanej przez się
doktryny celowości, muszę brać gotowe już jej pojęcia, tezy,
i rozważać ich wartość. Tu się otwierają dwie drogi: można
było wziąć tę doktrynę w jej oderwanej postaci, niezależnie
od pojedynczych umysłów i dzieł, które ją reprezentują;
albo można było roztrząsać jej materiały konkretny, pojęcia
i tezy w ich żywych kształtach, jak one rzeczywiście wystę-
pują w piśmiennictwie. W pierwszym razie ściągnąłbym na
siebie zarzut, że zlewam w martwy obraz abstrakcyjny to, co
drga życiem barw i kształtów indywidualnych, że mam do
czynienia z formułą przez siebie wydystylowaną; wołałem
więc drugą drogę, tu i owdzie tylko skracałą przez ustępy
abstrakcyjne, a wołałem ją tymbardziej, że materiały kon-
kretny dosadniej przemawia do umysłów. Tak więc, w pra-
cy mojej dany materiał pojęć i tez rozkładał na pierwiastki
znane; następnie zaś oceniam wartość naukową tych pier-
wiastków, zarówno jak wartość tych wiązań, za pomocą któ-
rych powiązano je w całości teoretyczne myśli, bo innych
faktów nie mam, poczym usiłuję wysnuć stąd prawdy dla
teorji nauki. Taksamo postępuje sobie chemik z odpo-
wiednim materiałem faktycznym, w którym są rozkładał-
ne ciała w dostępczej dla badania przyrodzie. Różnica ta

jedynie, że dla chemika każde odkryte połączenie jest faktem jednostajnej do zarejestrowania wartości, gdy tymczasem dla filozofa nie każde pojęcie, nie każda teza nadaje się do zarejestrowania, bo on celowo poszukuje takich pojęć i tez, któreby się mogły stać narzędziami do zdobywania prawdy naukowej. Sądzę więc, iż z tego stanowiska słuszniej byłoby nazwać pracę moją analityczną i krytyczną.

Nie wątpię, że w książce mojej znalazłoby się dużo do sprostowania i dlatego żałuję, że recenzent mój nie wytknął wyraźnie chociażby tych „niewielu zdań, którym miałby cokolwiek do zarzucenia“. Ale właśnie, wobec swojej zupełnej gotowości do odpowiadania za własne winy, nie chciałbym się ujrzyć obarczonym odpowiedzialnością za winy cudze. Anonim, zarzuciwszy mi wadliwy układ całości, pisze: „Czytelnik, być może, zauważył pewną niełączyłość w powyższym przedstawieniu wywodów. Wada ta naszego artykułu byłaby wtedy niejako odbiciem podobnego braku w pracy p. M.“ Nie świadczy to w każdym razie ani o poczuciu sprawiedliwości, ani o cywilnej odwadze mojego recenzenta, gdy, obwarowawszy się już anonimem, odsyła jeszcze czytelnika pod moim adresem po generalną egzekucję. Przynajmniej podzielmy się brzemieniem odpowiedzialności według zasady: *suum cuique*. Ponieważ nie pisałem systemu jednolitego, lecz analizowałem i krytykowałem system, więc zupełnie świadomie i umyślnie roztrząsałem osobno pojedyncze elementy doktryny, lubo na każdym kroku usiłowałem wykazać, w jakim stosunku zostają te szczegóły zarówno do tego, co odrzucam, jak i do tego, czego bronię. Utrzymuję też, iż przy baczniejszym czytaniu łatwo dostrzec w pracy mojej pewną jedność myśli przewodniej, ład pewien. Myśl tę sformułowałem, gdy, czyniąc zadość wymaganej formal-

ności, przed rokiem przeszło wraz z rozprawą złożyłem w Akademji następujący autoreferat:

W rozprawie *) niniejszej zamierza autor zbadać, jak dalece pojęcie celowości w tym kształcie, w jakim ono u teleologów występuje, zostało metodycznie wytworzone i jak dalece daje się ono metodycznie zastosować do naukowego objaśnienia zjawisk i ich stosunków w przyrodzie. Ponieważ doktryna teleologiczna opiera się na pojęciu przyczyny celowej, przeciwstawianym pojęciu przyczyny sprawczej, więc bada się istota i stosunek wzajemny tych obu pojęć; że zaś przyczyna celowa, jak się okazuje, jest tylko wyobrażeniem celowym skutku, więc nadto bada autor naturę wyobrażeń w ogólności i wyobrażeń celowych w szczególe, by wykazać, że wyobrażenia celowe są wynikami doświadczeń i, jako zupełnie deterministycznie uwarunkowane, nie mogą uchodzić za odrębne czynniki, w jakiś odmienny sposób modyfikujące deterministyczny ład zjawisk w przyrodzie.

Pomimo tego doktryna celowości nietylko błędnie pojmuje naturę wyobrażeń celowych, lecz nadto przenosi je do świata obiektywnego pod postacią przyczyn celowych i na tej hipostazie opiera dalsze spekulacje swoje. Główne momenty, na których opierały się wszelkie dotychczasowe spekulacje nad celowością, są następujące: 1^o — Co się tyczy metody — racjonalizm, posługujący się wnioskami analogicznymi i postulatami utylitarystycznymi i estetycznymi, tudzież redukowanie *ad absurdum* wywodów tych przeciwników teleologii, którzy przy objaśnianiu przyrody powołują się na ślepo działający mechanizm albo na przypadek. 2^o — Co się tyczy treści, doktryna celowości ześrodkowuje ją w pojęciu „rozumu najwyższego“, Boga, który się kieruje motywami racjonalistycznymi i etycznymi, a więc w pojęciu Boga

antropomorficznym, które jest spotęgowaną analogią do abstrakcji dodatnich cech rozumu ludzkiego.

Wobec tego autor usiłuje w rozprawie swojej wytknąć właściwe znaczenie i prawowite granice racjonalizmu i analogji w zakresie poznawania naukowego; nadto zaś próbuje poddać dokładniejszej analizie pojęcia przypadku i „rozumu najwyższego“, oraz rzeczoną analogję antropomorficzną. Po wykazaniu bezpodstawności tych pojęć i metod a także ich zastosowań u teleologów, autor w drodze analizy logicznej i psychologicznej bada doniosłość teoretyczno-poznawczą pojęcia celowości i przychodzi do wniosku, że celowość, jako zasada konstytutywna nie może być zastosowana w naukowym objaśnianiu przyrody, zaś jako pojęcie psychologiczne może ona tam być stosowana, gdzie się daje stwierdzić istnienie wyobrażeń celowych, jako faktów psychicznych, a więc przy objaśnianiu skutków działalności praktycznej jestestw zdolnych myśleć i pożądać. We wszystkich innych razach teleologiczne objaśnianie jest psychicznym odwróceniem rzeczywistego porządku rzeczy.

Dwie dziedziny — świat jestestw organicznych i losy dziejowe ludzkości głównie dostarczają materiału do spekulacji teleologicznych. Z powyższego jednak wypada, iż w obu tych dziedzinach pojęcie celowości o tyle tylko da się zastosować do wyjaśniania zjawisk i ich stosunków, o ile odnośne badania dowodzą, że wyobrażenia celowe istot, zdolnych wyobrazać i pożądać, mogą być uznane za przyczyny modyfikujące przebieg zjawisk i uwarunkowujące określone działania; chociaż i wtedy jeszcze wyobrażenia celowe będą miały znaczenie wtórnych zjawisk psychicznych, nie zaś znaczenie ostatniej instancji w procesie objaśniania, nie znaczenie pierwszej przyczyny, jaką ma być przyczyna celowa. Biolo-

giczny ewolucjonizm nowożytny który z zasady jest przeciwnikiem teleologii, posługując się z jednej strony terminologią teleologiczną, skądinąd zaś walcząc z teleologami, przyłożył się do pewnych nieporozumień, dla siebie samego niekorzystnych. Tak np. wprowadził on pojęcie dysteleologii, przez co sam poniekąd zajmuje stanowisko teleologiczne w objaśnianiu przyrody i pośrednio uprawnia niejako do konsekwencji, że, poza obrębem pewnej ilości nie bez móżu wykrytych stosunków dysteleologicznych, reszta stosunków może być teleologicznie objaśniona. Naukowe objaśnienie przyrody nie może być ani teleologiczne, ani dysteleologiczne: ono powinno być ateleologiczne.

Kto przyjmuje naukową bezpodstawność zasad doktryny teleologicznej, ten musi konsekwentnie odrzucić i wszystkie z tej doktryny wypływające wywody; gdy jednak zwolennicy celowości, opierając się na postulatach pożytku, dobra i piękna, kreślą swoje fantastyczne obrazy przyrody, więc sądził autor, iż nie będzie rzeczą zbyteczną zaznaczyć i w tym także kierunku niektóre główne sprzeczności rzeczonoego systemu.

Taką jest kanwa czy „szkielet“, na którym sprawozdawca mógłby rozsnuć obraz mniej lub więcej wyczerpujący treść książki, stosownie do swoich zamiarów, wypełniając osnowę szczegółami. Zdaje się, iż powyższa kanwa myśli zasadniczej jasno występuje w pracy mojej. Co gorsza jednak, że recenzent w kilku miejscach swego referatu zupełnie zatracą wążek myśli i już najoczywiściej nie z mojej winy. Tak np., zapowiada: „Natomiast wskażemy na próby wyszukania probierza przedmiotowego dla wyznaczenia zewnętrznej pozapodmiotowej celowości“. Bezpośrednio jednak po tej zapowiedzi napotyamy, zamiast tych prób, kilka zdań

bez związku, chociaż w książce mówi się o tym z powodu Janeta na str. 55—57, następnie zaś z powodu ks. Morawskiego i ogólnie na str. 141—145. Dalej, recenzent postanawia „rozejrzeć się nieco“ w mojej analizie pojęcia „rozumu najwyższego“, chociaż, przytoczywszy jeden szczegół, urywa, wcale nie zaznaczając sprawy o wiele istotniejszej, że ja metodycznie tę rzecz roztrząsam, że wykazuję, iż „koncepcja rozumu najwyższego“ nie daje się utrzymać ani ze względu na wykazane jej źródła (analogja do poznanych umysłów ludzkich), ani ze względu na metodę (superlatywizm dodatknych cech abstrakcji rozumu ludzkiego). Takich nieodmiennie zależnych *hiatus* w jego streszczeniu jest więcej. Sądźmy się wzajemnie, ale niech każdy odpowiada za winy własne.

ARTYKUŁ DRUGI. *)

Przegląd Katolicki w N-rze 49 zamieścił recenzję pracy mojej „Teorja celowości ze stanowiska naukowego“. Pod względem naukowym wszystko o tyle jest w porządku, że nic tam nie znalazłem nieprzewidzianego, nad czymby się choć chwilę zastanowić warto było. Prostu ufalem i ufam wiedzy i rozsądkowi czytelników. Zupełnie inaczej rzecz ma się ze stroną moralną recenzji, przedstawia bowiem ona w takiej formie i rozmiarach złą wolę i nierzetelność recenzenta, że warto zaznaczyć je jako materiał i napiętnować to zboczenie moralne, nie tylko niecierpiane w nauce, lecz potępiane przez etykę i religję. Materiał ten rozdzielię na dwie kategorie: rozumny fałsz i potwarcze insynuacje.

1°. Recenzent mój, zarzucając mi sprzeczność sądów, przytacza, jako jedyny przykład w cudzysłowach i z powołaniem się na stronie książki mojej, następujące zdania: „prawa rozumu ludzkiego nie mogą przypuścić przyczyny niezależnej“ (str. 114), a zarazem: „można przypuścić, że istnieje cała kategoria bytów niezależnych“ (str. 105). Otóż jest to najelementarniejsze kłamstwo, bo takich zdań nigdy i nigdzie nie wyraziłem, jako niemożliwych dla mnie tak ze względu na treść, jak i na formę. Na str. 114, streszczając rozumo-

wania teleologów i głównie Janeta, którego imię podałem w nawiasie—piszę: „już nieraz zarzucano, że... musielibyśmy dowolnie zatrzymać się na jakimś ogniwie lub szeregu ogniw, jako na takich, które przyczyn nie miały, czemu się znów oprą prawa rozumu ludzkiego“. Jest to więc cudze zdanie. A na str. 105 piszę: „*formalnie* można przypuścić istnienie takiej kategorii bytów, które w żadnej przyczynowej zależności od czegokolwiek bądź nie zostają, ale przypuszczenie takie żadnego znaczenia dla nauki naszej mieć nie może, dopóki umysł nasz pozostanie istotnie takim, jakim jest“. Zdaje się, że w rozdziale IV pracy swojej wypowiedziałem się dość jasno, aby zapobiec wszelkim możliwym nieporozumieniom, co do właściwego znaczenia tego i tak jasnego zdania. Oznacza ono, że możemy sformułować sąd: *istnieją byty niezależne*, jakoż nieraz go wygłaszano, ale sąd ten jest tylko formalny i umysł nasz nie przyzna mu słuszności, bo nie posiada żadnych środków do jego sprawdzenia. Gdyby nawet w rzeczywistości istniały byty niezależne, umysł nasz nie posiada żadnego sposobu do stwierdzenia ich niezależności i z natury swojej zmuszony jest do badania wszędzie warunkowań przyczynowych.

Dalej recenzent narzuca mi fałszywie zdanie niedorzeczne: „ponieważ celowość jest błędną, a zatem prawdziwym jest determinizm“. Niniejszym zwracam ten nonsens według przynależności, bo sam, przeciwnie, w książce swojej (str. 62—63) starałem się wykazać, że pojęcie celowości w zastosowaniu do naukowego objaśnienia przyrody dałoby się zupełnie pogodzić z pojęciem przyczynowości, gdyby tylko skądinąd można było udowodnić, że cele obiektywne, jako fakt, istnieją, oraz że celowość, jako pojęcie i teleologja, jako teoria, zostały na faktach oparte i metodycznie wytworzone.

Nie wypowiedziałem także nigdzie podsuwanego mi twierdzenia: „dowiedliśmy, że teleologia *zasadniczo* nie może być ze stanowiska naukowego *uzasadniona*“, lecz na str. 187 wyraziłem się warunkowo: „Skoro teleologia *zasadniczo* nie może być ze stanowiska naukowego *usprawiedliwiona*, więc tym samym wszelkie konsekwencje tej doktryny i wszelkie na niej oparte konstrukcje przyrodniczo-filozoficzne upaść muszą“. Stąd widać, że gdyby nawet dowiedzionym było, iż wszystko, co utrzymuję o celowości, jest błędem, to i wtedy jeszcze wniosek mój, przytoczony w postaci niefałszywej, pozostałby niewzruszony w swej prawdziwości i, jak każdy wniosek warunkowy, dopuszczałby, z równą gruntownością logiczną, sprzeczną alternatywę: „skoro teleologia jest naukowo *usprawiedliwiona*, więc wszelkie konsekwencje tej doktryny i t. d. ostać się muszą“. Warunkowość formy pochodzi u mnie stąd, że o sobie tyle tylko powiedzieć mogę, iż w dobrej wierze *usiłowałem dowieść* tego, o czym sam jestem przekonany, ale czy w rzeczy samej *dowodłem* — sąd o tym pozostawiam innym.

Jeszcze dalej recenzent podsuwa mi dosłownie takie rozumowanie: „Gdyby nauka zgodna była z chrześcijańskim zapatrywaniem, wówczas wszyscy niechrześcijanie musieliby najzupełniej ją uważać za błędną“. I znów mamy do czynienia ze sfałszowaniem w nagannym celu faktu. Nie w „Teorii celowości“, lecz w N-rze 43 „Kraju“ w art. „Metoda naukowa“ napisałem: „Gdyby tak nawet było (t. j. gdyby monizm naukowy zupełnie się godził z monoteizmem religijnym), chociaż w rzeczy samej monizm naukowy ściśle i konsekwentnie nie daje się pogodzić z żadną z faktycznie istniejących form monoteizmu religijnego (t. j. chrześcijaństwem, mahometaństwem i judaizmem), to i wtedy jeszcze możnaby słusznie

zarzucić, że nauka dąży do wykrycia i udowodnienia prawdy dla wszystkich umysłów, nie wyłączając politeistów i ateistów, którzy są także wyznawcami poglądów religijnych; czerpiąc tedy argumenty dla poparcia monizmu naukowego z domniemanej zgodności jego z monoteizmem religijnym, tym samym musielibyśmy dyskredytować podstawność wywodów naukowych wobec tych, którzy monoteizmu nie wyznają". Znaczy to, iż z jednej strony zaprzeczam, jakoby monizm naukowy był zgodny z monoteizmem religijnym; z drugiej zaś strony zaznaczam, iż gdyby nawet ta zgodność istniała, nie może ona w żadnym razie ująć za dowód, popierający prawdziwość nauki, bo wierzenia religijne nigdy nie mogą być uznane za dowody naukowe, tymbardziej, że wyznawcy innych, niemonoteistycznych religii mogliby się takim samym prawem uciec do tej argumentacji *a contrario* i powiedzieć: monizm naukowy jest błędem, bo się nie zgadza z naszą religią.

Od fałszów, pozorowanych cudzysłowami, przechodzę do insynuacji niczym niepozorowanych.

2°. Recenzent pisze: „Sam tytuł *Teorja celowości ze stanowiska naukowego* jest niewłaściwy i oczywiście pretensjonalny“ i dalej: „Książka tedy p. M. mogłaby nosić tytuł *Teorja celowości ze stanowiska spenceryzmu*“. W innym znów miejscu nazywa mnie „szczerym darwinistą“. Nasamprzód nadmienić winienem, że pomimo szczerego uwielbienia dla gienjuszu Darwina i Spencera, nie poczuwam się wprost do prawa nazywania się darwinistą lub spencerystą, bo ani poglądów jednego w dziedzinie biologji, ani poglądów drugiego w dziedzinie filozofji nie podzielam, dotąd przynajmniej, w całości. Według tej metody możnaby mnie z taką samą słusnością zaawansować na kartezyjanistę, kopernikanistę i kto wie nie co jeszcze. Gdyby Spencera mogły cokolwiek

obchodzić moje poglądy na jego doktrynę o bycie niepoznawalnym i Absolucie, toby z pewnością niekorzystne powziął wyobrażenie o bystrości i sumienności mojego recenzenta. Co się tyczy właściwości tytułu książki mojej, to sądzę, iż to, co powiedziałem na str. 66—67 i 82—84, powinno wystarczyć do obalenia wszelkich insynuacji, wietrzących „pretensjonalność”. Wyłuszczyłem tam, że nauka, moim zdaniem, jest systemem wiedzy o wszechświecie, ale systemem, opartym na rękojmi dwojakiej sprawdzalności: empirycznej i racjonalistycznej; wykazałem, że są także inne systemy wiedzy — teologiczne i metafizyczne, i wreszcie z dostatecznym naciskiem w różnych miejscach pracy swojej przyznałem, że pojęcie celowości może być zupełnie prawowicie stosowane do sądów i rozumowań w dziedzinie praktycznej. Wobec tego, dla zapobieżenia bardzo częstym nieporozumieniom, uwydatniłem w tytule, a jeszcze dokładniej w książce, że będę rzecz rozważał mianowicie ze stanowiska, dla którego nie znam innej nazwy jak „naukowe”. Dlaczegożby to wyraźne i konieczne przyznanie się do stanowiska miało być pretensjonalnością? Żadne zdanie w mojej książce nie zdradza chęci przywłaszczenia obranemu przez się stanowisku monopolu nieomyślności, i to tymbardziej, że w ten sposób sprzeniewierzyłbym się własnym poglądom na naturę umysłu ludzkiego i niepewność dróg, którymi ten do prawdy zmierza: sądzę niynych w dobrej wierze i sam się chętnie takimuz sądowi poddaję. Wolno mi krytykować z wszelkiego dowolnego stanowiska, ale niewolno mi insynuować nagannych intencji. Jeżeli mi recenzent zagląda do sumienia i zarzuca: „widocznie p. M. ma bezwzględne zaufanie do swoich rozumowań”, to w imię słuszności odwołuję się do sądu czytelnika: czyż nie jest praca moja nawskroś przesiąknięta świadomością, że wie-

dza ludzka, a więc i moja, jest względna, warunkowa, tylko prawdopodobna, o ile się sprawdza? Czyliż nie usiłuję wbrew tym, którzy z góry i z pewnością siebie rozstrzygają o wszystkim, co ziemskie i niebieskie, starannie oddzielić to, co wiemy od tego, czego nie wiemy, — albo dla braku materiału doświadczalnego, albo dla ograniczoności środków poznawczych umysłu?

Wreszcie najobrzydliwszą, bo wprost potwarczą insynuacją są zdania, w których zamaskowany anonimem recenzent, nurtując moje chęci i podsłuchując sumienie, zarzuca mi „chęć zadokumentowania w całej swej książce ateizmu“, „wycieczki przeciwko religii chrześcijańskiej“, „zaprzeczenie Opatrzności boskiej“, „oburzanie się na wyrazy: Bóg, Stwórca, a tymbardziej Opatrzność“. Znam wprawdzie uczucie oburzenia i nawet pogardy, ale te żywię tylko do fałszerzy i szpiegów. Nigdy nie czyniłem wycieczek przeciwko żadnej religii; nigdy nie zaprzeczałem istnienia Boga, taksamo jak nie podawałem za naukową tezę, że Bóg istnieje, bo na żadną z tych tez nie umiałbym przytoczyć żadnych dowodów naukowych: jest to wyłączny i nietykalny przedmiot wiary i sumienia osobistego. W książce swojej staram się dowieść, że nauka nie może uzasadnić pojęcia Boga, jako rozumu najwyższego, tworzącego, rządzącego i do celu zmierzającego; że zatem pojęcia tego nie może wcielać do systemu swojego. Dostłownie na str. 120 powiedziałem: „Kwestja rozumu najwyższego staje się wtedy tylko drażliwą, gdy ktokolwiek z aparatem argumentacji naukowej godzi na dogmaty wiary religijnej, głęboko w sercach i sumieniach milionów zakorzenione. Skoro wszakże, nie potracając wiary niczyjej i jej podstaw, stawiamy kwestję naukowo, skoro pytamy, czy pojęcie rozumu najwyższego da się naukowo uzasadnić, wten-

czas wszelka drażliwość znika, bo nawet w razie odpowiedzi przeczącej wypadaloby tylko, że nauka z powodu swoich odrębnych zadań i metod nie może pojęcia tego wcielić do poglądów przez siebie uzasadnianych, że kompetencja jej nie rozciąga się do ustanawiania lub odrzucania dogmatów wiary, i dogmat sam pozostałby niewzruszony, o ile ma trwałe podstawy w sercach i sumieniach ludzkich". W mechanice, fizyce, chemji, fizjologii, psychologii i t. d. przyznany jest, że objaśniać zjawiska argumentem, iż tak Bóg chciał i tak się dzieje, to znaczy nic nie objaśniać. Ja utrzymuję, że to samo odnosi się do całego systemu wiedzy, o ile ta ma być naukową. Że nawet największe powagi kościoła nie uważały dogmatów i tajemnic religijnych za powołane do rozjaśniania czegokolwiek bądź naukowo, to szeregiem cytat *) wykazałem w artykule swoim o książce Cathreina („Kraj“ № 38). Niechże mi więc nie będzie poczytane za złe, że w tej kwestji pójdę za zdaniem wielkiego nauczyciela kościoła Augustyna, który dobrze wiedział, że celem nauki jest *scientia* i wobec tego pisał: „*Melius scitur Deus nesciendo*“ (*De ordine*, II, 16).

Zadowolam się tym wiernym szkicem etyki krytycznej „Przeglądu Katolickiego“, gdyż sądzę, że niesłusznym byłoby pismo teologiczne pociągać do odpowiedzialności za wygłaszane przezeń sądy w rzeczach naukowych; przeciwnie, względy moralne obowiązują jednostajnie pisma teologiczne, jak i wszelkie inne.

ARTYKUŁ TRZECI. *)

W niniejszej replice na krytykę „Teorji celowości“, zamieszczoną w styczniowym zeszycie „Ateneum“, str. 149—154, pozwalam sobie wyjść z założenia, że *krytyk pracy naukowej powinien conajmniej poznać ją, zrozumieć, o co w niej chodzi i złożyć tego dowody w krytyce swojej*. Otóż wykażę na faktach, że w krytyce p. K. *) tym prostym wymaganiom nie stało się zadość.

Pomiędzy innemi p. K. pisze: „nasz autor, chcąc zdobyć i zburzyć *twierdzą celowości*, zaczyna itd.“; „czy jej (tj. teorji celowości) wyznawców przekonał o kruchości podstaw, nie można orzec“. „Obrońców jej, osobliwie J a n e t a i ks. M o r a w s k i e g o, zapewnie nie przekonał“. Muszę tedy zapewnić, że krytyk mój chybił; chęci zburzenia *twierdzy celowości* nigdy nie żywiłem i, o ile mi się zdaje, w książce swojej niczym do podejrzeń takich nie upoważniłem. Oto co napisałem na str. 154 *Teorji celowości*: „Takie naturalne ograniczenie celowości do dziedziny psychicznej, jakkolwiek zupełnie uzasadnione, teleologów oczywiście nie zadowoli. Nie trzeba się łudzić, aby kiedykolwiek mógł nastać czas, gdy takie lub inne poglądy metafizyczne nie będą miały zwolenników swoich, których próżno przekonywać ze stanowiska na-

ukowego, gdyż stoją na stanowisku odrębnym. Chodzi tu wszakże nie o zwolenników celowości, lecz o krytykę filozoficzną tego pojęcia, o oczyszczenie i wyswietlenie drogi, po której teoria naukowa ma kroczyć. Niezrozumiałą tedy „chęć zburzenia twierdzy celowości“ zmuszony jestem przypisać wyobraźni krytyka, sam bowiem jestem przekonany, że celowość, jako pojęcie faktycznie istniejące w miliardach umysłów, „ma swoje głębokie podstawy w psychicznej naturze człowieka i codziennie w niezliczonych okolicznościach zupełnie słusznie bywa stosowane do objaśniania faktów z dziedziny świadomego i dowolnego postępowania istot żywych. W pracy mojej chodzi o coś zupełnie innego, mianowicie o to, że pojęcie celowości niesłusznie bywa stosowane do naukowego objaśniania przyrody, czyli o bezpodstawność *teorii celowości*. Z tego też względu muszę odrzucić, jako z gruntu niesłuszne, twierdzenia p. K.: „Nie mamy tedy powodu wątpić, iż autor... jest przeciwnikiem celowości w naturze“, albo znów indziej: „Ze wszystkiego, co powiedziano, widać, że p. M. jest przeciwnikiem celowości, jako pewnej kategorii myślenia“. Sama myśl, iż czytelnik nie znający książki mojej, na chwilę mógłby zaufać temu twierdzeniu krytyka i wziąć mię za wyznawcę przytoczonych zdań, przeraża mię. Nasamprzód, nie rozumiem nawet, co znaczy być przeciwnikiem „celowości, jako kategorii myślenia“, tymbardziej, że wielokrotnie zaznaczam, iż celowość właśnie w myśleniu naszym ma wyłączne siedlisko swoje. Gdy zaś nadto p. K. robi ze mnie jeszcze „przeciwnika celowości w naturze“, to niechże mi wolno będzie zauważyć, że w całej książce swojej mówię nie o „celowości w naturze“, lecz o pojęciu celowości w przyrodoznawstwie, i tylko w ustępach, gdzie roztrząsam mniemania J. n. e. t. a i ks. Morawskiego o objek-

tywnych znamionach celowości w naturze, usiłuję wykazać, że takich znamion niema, że fakt celowości obiektywnej stwierdzić się nie da. Jestem więc przeciwnikiem stosowania pojęcia celowości w przyrodoznawstwie, nie zaś przeciwnikiem celowości w naturze. Tę ostatnią uznaję jako fakt natychmiast, skoro mi ją ktokolwiek pokaże. Być w nauce przeciwnikiem faktu rzeczywistego, to znaczy cierpieć na obstrukcję metafizyczną, być zaś przeciwnikiem faktu, którego istnienia nawet stwierdzić niepodobna, to znaczy cierpieć na brzydką halucynację. Przytym trącą czężą retoryką zdania, iż orzec nie można, czym wyznawców teorii celowości przekonał, tudzież że Janeta i ks. Morawskiego zapewne nie przekonałem, bo, jak z powyższych słów moich widać, sam byłem daleki od takich zamiarów i nadziei, i co do Janeta jest rzeczą pewną, że się nie mógł przekonać z książki polskiej. Mógłby mię wprawdzie spotkać zarzut, iż skoro nie mam zamiaru przekonywać wyznawców teorii celowości, więc niepotrzebnie podjąłem się tej pracy, gdyż przeciwnicy teorii celowości dowodzeń tego, o czym są przekonani, nie potrzebują. Na to jednak można odrzec, że dana praca naukowa może nie mieć na względzie nikogo specjalnie, lecz dążyć do ugruntowania za pomocą nowych materiałów lub nowego oświetlenia tezy, która bezwzględną prawdą nie jest i w której się trzeba coraz lepiej utwierdzać za pomocą sprawdzeń coraz dokładniejszych.

Krytyk mój pisze: „Słusznie autor zauważył, iż ten podział (Arystotelesa) i pojęcie przyczyny są wzięte z obserwacji podmiotowej i noszą charakter antropomorficzny. Być może, iż dałoby się to prościej wyrazić, mianowicie: że człowiek, *uwważając siebie za miarę wszech rzeczy* i widząc jak bliźni jego, o ile nie są dziećmi lub warjatami, *wszystko ro-*

bią w pewnym dobrym lub złym celu, przenosi to osobiste postrzeżenie ze stosunków ludzkich do ogółu zjawisk wszechświata, w których poszukuje także celu i pyta się od dzieciństwa: a poco to, a naco to, a dlaczego to? Zastanówmy się nad tą proponowaną stylizacją, aby się przekonać, jak krytyk rzecz rozumie i o ile usprawiedliwiony jest ton protekcjonalny, w jakim mi wytyka „sposób pisania niewyrobiony“. Gdybym się zaczął posługiwać takim językiem, tobym nie tylko był zmuszony wykładać w kilku tomach to, com powiedział w niewielkiej rozprawie, lecz nadto powiedziałbym wiele rzeczy, których nie chciałem powiedzieć, jako z prawdą niezgodnych. Zarówno dzieci jak i osoby dorosłe, przenosząc dane obserwacji podmiotowej na ogół zjawisk świata, *nie uważają* siebie bynajmniej za miarę wszech rzeczy, lecz, właśnie o ile nie są warjatami, uważają łokieć za miarę długości przedmiotów, przyjętą jednostkę wagi za miarę ciężarów, kwaterkę za miarę okowity, korzec za miarę zboża itd. Tym bardziej fachowi uczeni, obierając za jednostki miary kilogram, odległości międzyplanetarne, długość fali świetlnej lub wahnięcie wahadła, nie tylko dowodzą, iż wiele im zależy na mierzaniu obiektywnym, lecz nie szczędzą wszelkich usiłowań, aby metodycznie usuwać wszelkie błędy w pomiarach, wynikające z podmiotowych warunków obserwacji. Nawet w starożytności sofista Protagoras, według świadectwa Diogenesa z Laerty, nie dopuszczał się błędu, przez p. K. wyrażonego, gdyż w aforyźmie swoim πάντων χρημάτων μέτρον ἀνθρώπουś stwierdził, iż człowiek jest miarą wszech rzeczy, nie zaś jakoby się za miarę wszech rzeczy *uważał*, chociaż i Protagoras mylił się o tyle, że umysł pospolity nie wszystkie rzeczy wymierza własną osobą, lecz tylko niektóre dziedziny bytu i działań ocenia według miary własnych motywów i pobudek

podmiotowych. I to także nie jest prawdą, jakoby człowiek widział, że „bliźni jego wszystko robią w pewnym dobrym lub złym celu“, bo widzi on także, jak ciż bliźni w postępkach swoich częstokroć mają na widoku osiągnięcie piękna lub brzydoty, prawdy lub fałszu, albo wogóle nie powodują się żadnym celem.

Dalej, p. K. podsuwa mi taką definicję celu: „Cel jest to rzecz, stan lub działanie, które chcemy osiągnąć za pomocą odpowiednich środków“. Protestuję przeciwko temu wypaczeniu myśli mojej, zwłaszcza, że wyraźnie napisałem: „Cel, jest to *wyobrażenie* jakiejś rzeczy, działania lub stanu, połączone z pożądaniami osiągnięcia w rzeczywistości, za pomocą środków, które się *wydają* odpowiedniami, tej wyobrażanej rzeczy, działania lub stanu (str. 16)“. I tuż obok, mając na względzie nasz znany wstręt do ścisłego analizowania myśli, załączyłem dwa następujące zastrzeżenia: „Jest to więc fakt psychiczny, znany każdemu z własnego doświadczenia wewnętrznego. W mowie potocznej celem częstokroć nazywamy *przedmiot*, do którego się nasze zamiary odnoszą, ale fakt ten dla teorii celowości jest obojętny“. Przezorność ta jednak na nic się nie zdała, gdyż p. K. podsuwa mi myśl, jakobym za cel uważał rzecz samą, nie zaś wyobrażenie rzeczy; język niemiecki posiada dwa wyrazy *Ziel* i *Zweck*, których po polsku odpowiednio oddać nie potrafię: otóż moja definicja określa *Zweck*, czyli pojęcie, o które właśnie chodzi w teorii celowości, gdy tymczasem podsuwana mi definicja mogłaby chyba w przybliżeniu stosować się do pojęcia *Ziel*. To samo z definicją celowości, gdzie zamiast mojego *wyobrażenia celowego* p. K. najdowolniej podstawia *wyobrażenie celu*, coś zupełnie innego.

Krytyka moja pojęcia „rozumu najwyższego“ ma redu-

kować się „do twierdzenia, że teleolodzy utworzyli sobie antropomorficzną koncepcję rozumu najwyższego, przenosząc na ów rozum własności umysłu ludzkiego i wyrażając je w stopniu najwyższym“. Błąd tu czworaki: 1-o, nie przypisują teleologom, że utworzyli to pojęcie, lecz zarzucam, że posługują się tym, już skądinąd gotowym pojęciem przy objaśnieniu przyrody, które ma być naukowe; 2-o, nie krytykuję pojęcia rozumu najwyższego, lecz je analizuję, krytykuję zaś zastosowanie jego do nauki; 3-o, ze słów p. K. należałoby wnosić, iż skoro teleolodzy przenoszą własności umysłu ludzkiego na rozum najwyższy, więc ten rozum istnieje już wcześniej, skąd powstaje pytanie: czymże jest ten rozum najwyższy, zanim jeszcze nie przeniesiono nań własności umysłu ludzkiego? U mnie rzecz ma się zupełnie inaczej: na str. 128, referując tylko twierdzenia teleologów, zaznaczam, iż oni we własnym mniemaniu własności umysłu ludzkiego *analogice et proportionaliter* „przenoszą na bóstwo“; sam natomiast utrzymuję, że pojęcie—rozum najwyższy, zanim się go nie wytworzy z pewnych cech umysłu ludzkiego, wogóle nie istnieje; 4-o, analiza moja wykazuje, że pojęcie rozumu najwyższego jest nie produktem przeniesienia własności konkretnych umysłu ludzkiego na rozum najwyższy, lecz jest „superlatywem *abstrakcji* rozumu ludzkiego“.

Niezadowolony z tego, że ja w książce swojej usiłuję analizować ze stanowiska psychologii i logiki pojęcia i metody, stosowane w teorii celowości, oraz krytykować je ze stanowiska teorii poznania, p. K. radzi mi natomiast: „zgromadzić dostateczną ilość faktów typowych, mogących przeważyć szalę na stronę ateleologii“. Przed ćwiercią wieku p. K. czytał „w kwestji celowości takie rozumowania“ i przy-

tacza wzory takich rozumowań, nadmienając, że „przykładów podobnych jest moc wielka i zdaje mi się, że one skuteczniej przekonywają umysł, niż dialektyka, logika i psychologia“. Oczywiście jest to kwestja zasadnicza, nad którą warto się zastanowić. Wprawdzie nie mogę się pochwalić, iżbym przed ćwiercią wieku wogóle cokolwiek czytał, ale jeżeli z pism ówczesnych można było zaczerpnąć takie tylko poglądy na celowość, jakie p. K. zaczerpnął i dotąd przechował, tedy śmiało mogę się pocieszać z Owidjuszem: *Prisca juvent alios, ego me nunc denique natum gratulor*. Dziś wiemy dobrze, że statystyka porównawcza faktów domniemanej celowości i bezcelowości w przyrodzie do niczego prowadzić nie może, bo skoro się przy objaśnianiu faktów posługuje błędnymi pojęciami i metodami, to można w ciągu wieków spierać się bez skutku o to, czy pierwiej była kura czy jajo, i wpaść ostatecznie w stan apatii teoretycznej, albo uwierzyć, że obie alternatywy są prawdziwe, podobnie jak p. K. przyszedł do wniosku, że musi wierzyć nam obu, Janetowi i mnie. Przytoczone przez krytyka fakty są przykładami nie ateleologii, lecz dysteleologii, ta zaś koniecznie przypuszcza cel już dany, od którego fakty dysteleologiczne zbaczać mają. Ateleologii, a właściwie nieistnienia celowości obiektywnej w przyrodzie nie ma sposobu dowieść za pomocą faktów obiektywnych. Pomimo tego p. K. ma słuszość: „fakty... w teorjach naukowych są decydującą instancją“. Do jakichże więc faktów mamy się zwrócić w danym przypadku, skoro fakty z przyrody obiektywnej na nic się tu nie zdały, bo przy błędnych pojęciach i metodzie, można te fakty obojętnie tłumaczyć tak i owak? Fakty te są psychologiczne i logiczne. Zresztą i przed ćwiercią wieku wiedziano, co dziś wiemy znacznie lepiej, że

to, co nazywamy faktem obiektywnym, w istocie zawsze jest wynikiem psychologicznego i logicznego przerobienia materiału czuciowego, który został nabyty pod wpływem mniej lub więcej bezpośredniego oddziaływania na nas czegoś, co jedni nazywają „nie—ja“, inni „objektem“, jeszcze inni „rzeczywistością przedmiotową“ itp. Zanim się tedy przystąpi do rachowania faktów obiektywnych i wysnuwania na podstawie tego rachunku wniosków indukcyjnych, trzeba wprzód zbadać, jakie to są narzędzia psychologiczne i logiczne, przy pomocy których fakty te wytwarzamy; trzeba się rozejrzeć, czy nie jesteśmy w kole błędnym, gdy nasamprzód wykonczywszy niekrytycznie fakty niby-obiektywne, następnie mozolimy się nad ich tłumaczeniem w tę i ową stronę, podziwiając ich podatność w obu przeciwnych kierunkach. Tak właśnie postąpiłem ja sobie: roztrząsam odpowiednie fakty psychologiczne i logiczne i, rozważywszy je pod względem treści i formy, usiłuję wykazać, że nic nie pozostaje na rzecz faktu obiektywnego, że teoria celowości, wraz z całym szeregiem uwikłanych w nią pojęć i metod, jest przywidzeniem, opartym w części na obserwacji podmiotowej, w części na niekrytycznej obserwacji przedmiotowej, oraz na zupełnie nieuzasadnionym przenoszeniu obserwacji podmiotowej na świat przedmiotowy. Jakkolwiek cała moja książka poświęcona jest udowodnieniu za pomocą faktów tego poglądu, wszelakoż przytoczę tu dwa miejsca, które wyraźnie potwierdzają, iż zupełnie świadomie rozwijałem ten pogląd i poczyniłem odpowiednie zastrzeżenia, których p. K. nie czytał albo nie zrozumiał: „Kwestja celowości — napisałem — zawsze się opierała i dotąd opiera na niedostatecznej, zupełnie powierzchownej analizie psychologicznej i logicznej z jednej strony; na niemniej wadliwej analizie rzekomych objawów celowości

w różnych dziedzinach bytu – z drugiej strony; wreszcie na nie-
dość uzasadnionym przenoszeniu obserwacji subiektywnej na
świat obiektywny. Tu więc, jak w każdym zagadnieniu filo-
zoficznym, mamy do rozważania trzy rzeczy: fakt podmioto-
wy, fakt przedmiotowy i ich wzajemny stosunek“. (str. 4). Na
str. 163 piszę znów: „Teleologia obaloną być może nie przez
materjał pozytywny, którego podatność dostatecznie stwier-
dza historia systematów metafizycznych, lecz przez krytykę
jej pojęć i metod zasadniczych“. Tak więc i ja uciekam się
do faktów, chociaż nie do tych, które nie istnieją i nie do tych,
które w danym razie są zakwestjonowane, lecz do faktów
rzeczywistych, sprawdzalnych i w danym zagadnieniu jedy-
nie odpowiednich i rozstrzygających. Nie pokazałem faktów
ateleologicznych, bo ateleologia jest zaprzeczeniem domnie-
manego faktu teleologii, przeczenia zaś faktu pokazać bezpo-
średnio niepodobna; natomiast roztrząsam liczne przykłady
domniemanej teleologicznej interpretacji i wykazuję, że inter-
pretacja ta jest nieuzasadniona.

Krytyk mój utrzymuje, że w przedmiocie celowości to
samo, co ja, „uczynił daleko dawniej B a k o n, którego autor
cytuje, a pomimo tego nie brak dotychczas teleologów ani
między metafizykami, ani pośród przyrodników“. Cytatę,
w której B a k o n potępia badanie przyczyn celowych, przyto-
czyłem, jako aforyzm, dosadnie, chociaż ogólnikowo, ilustru-
jący mój własny pogląd. Krytyk jednak powinienby wie-
dzieć, że podczas gdy ja *nie jestem* teleologiem, B a k o n
przeciwnie był zdecydowanym teleologiem, skąd wypada, że
w sprawie teleologii nie mogłem uczynić tego samego, co
B a k o n, jeżeli już pominiemy ten niemniejszej wagi fakt,
że B a k o n nie mógł znać i nie znał rzeczywiście większo-
ści faktów i argumentów, które ja dziś mogłem dla uza-

sadnienia poglądu swego wyzyskać. Bakon pisze:*) „*Metaphysicae pars secunda est finalium causarum inquisitio, quam non ut praetermissam, sed ut male collocatam notamus. Solent enim inquiri inter physica, non inter metaphysica. Quamquam si ordinis hoc solum vitium esset, non mihi fuerit tanti; ordo enim ad illustrationem pertinet, neque est ex substantia scientiarum. At hoc ordinis inversio defectum insignem peperit, et maximam philosophiae induxit calamitatem. Tractatio enim causarum finalium in physicis inquisitionem causarum physicarum expulit et dejecit*“. W innym znów miejscu czytamy: „*Neque haec eo dicimus, quod causae illae finales verae non sint, et inquisitione admodum dignae in speculationibus metaphysicae, sed quia, dum in physicarum causarum possessiones excurrunt et irruunt, misere eam provinciam depopulantur et vastant*“. (*De augmentis scientiarum, lib. III, cap. 4*). Z tych i innych miejsc widzimy najoczywiście, że Bakonowi chodziło tylko o wykluczenie teorii przyczyn celowych z fizyki, wbrew opinjom przytoczonych przezeń filozofów, i o wcielenie jej do metafizyki, jako niezbędnego, zdaniem jego, działu w ogólnym systemie wiedzy. Innemi słowy, była to dlań kwestja podziału wiedzy (*ut male collocatam notamus*), nie zaś kwestja odrzucenia teleologii. Jakkolwiek więc to przykre, ale faktem jest: Bakon był teleologiem, a przeto nie mógł się przyczynić bezpośrednio do uszczuplenia ilości teleologów między metafizykami i pośród przyrodników.

Być może najbardziej znamienną jest okoliczność, że p. K. z pewnym niesmakiem wyrzuca mi „zbyteczne podnośzenie metody i metodyczności, a to tak dalece, że metodyczność ma być istotnym naukowości warunkiem. Odpowiada-

my: jeżeli brak treści i to treści rzeczowej, nie słownej, metoda żadnego systemu nie ocali. Autor zaś chce, żeby nawet treść była metodyczna, gdyż gani niemethodyczną". Przyjrzyjmy się temu zarzutowi i odpowiedzi na serjo. Przez „treść rzeczową“ w nauce niepodobna nic innego rozumieć, jak wyobrażenia nasze o rzeczach i ich stosunkach. Otóż wyobrażenia te nie stanowią jeszcze nauki; nauka rozpoczyna się tam dopiero, gdzie się zaczyna świadome kontrolowanie według pewnej metody nabytych wyobrażeń, pojęć, sądów i wszelkich innych wytworów umysłu naszego. Budować naukę—to znaczy budować taki system teoretyczny, w którym pojęcia i wszelkie stosunki pomiędzy temi pojęciami byłyby skontrolowane według dwojakiej metody: o ile się one zgadzają z doświadczeniem i o ile są w logicznej zgodności ze sobą. Tak tedy, skoro nauka bez metody istnieć nie może, więc metodyczność jest istotnym naukowości warunkiem. Sprawdźmy z kolei, o ile treść może być metodyczna lub niemethodyczna. Zaznaczyliśmy już, że „treść rzeczową“ w nauce stanowią nie realne przedmioty i stosunki, lecz wyobrażenia i pojęcia o przedmiotach i stosunkach. Weźmy więc jako przykład treści rzeczowej takie pospolite u najmniej wykształconych osób wyobrażenia, jak wyobrażenia duszy, robaka, soli.

Już pierwsze kroki w analizie tych wyobrażeń przekonają nas, że elementy, z których się te wyobrażenia składają, są zaczerpnięte albo z bardzo ograniczonego doświadczenia osobistego, albo z doświadczenia zbiorowego i przekazanego niesystematycznie, przyczym obie te kategorie doświadczeń nie zostały przekontrolowane ze świadomym zamiarem przekonania się, czy się w rzeczy samej wyczerpało wszystko, co jest do wyczerpania względem danego przedmiotu. Innemi

słowy, wyobrażenia te nie zostały metodycznie przekontrolowane pod dwoma wymienionymi względami, i dlatego osoby niewykształcone częstokroć nazywają robakiem istotę, która wcale nim nie jest i naodwrot. Tak więc treść rzeczowa, np. wyobrażenie robaka, o ile nie zostało metodycznie wytworzone i przekontrolowane, o tyle nie posiada żadnej wartości naukowej i na każdym kroku może narażać na sądy błędne, bez możliwości wykrycia przyczyny błędu. Stąd też wypada, czym ma być treść metodyczna. Pozostaje nadmienić, że treść może być *wzorowo niemetyczną*, taksamo jak wniosek może być *wzorowo fałszywym*, chociaż zadziwia to krytyka naszego. Takie właśnie *wzory* błędów i fałszów logicy wybierają i podają w osobnych rozdziałach dzieł swoich ku przestrodze czytelników.

Niepodobna wyczerpywać całego szeregu nieporozumień, co jak wiry zamętne lub niewykarczowane pniaki załęgły łożysko wylewu krytycznego pana K. Minęły już owe dni niewinności rajskiej dla filozofji, kiedy to każdy zapuszczał się w ten matecznik, kto się tylko mienił być posiadaczem „zdrowego rozsądku“, dziś jest to specjalność, która od adeptów swoich bezwarunkowo wymaga pewnego *minimum* wiedzy fachowej. W tym to sensie zastrzegłem się w książce swojej na str. 64: „W tym właśnie tkwi źródło odwiecznych i dotąd niezłatwionych jeszcze sporów o celowość we wszechświecie, podsycanych głównie przez filozofów z wolnej ręki, którzy, poczytując filozofję za rozumowanie o wszystkim na podstawie nieomylnych wyroków rozumu albo „zdrowego rozsądku“, wnoszą zamęt pojęć i metod nienaukowych nawet do nauki i prawdy jej opacznie tłumaczą“. Do przykładów już rozważonych dodam jeszcze kilka drobniejszych, chociaż niemniej pouczających i wymownych. Domysł krytyka mo-

jego: „Być może, iż nawet kierunki te — teleologiczny i ate-
leologiczny nigdy się nie spotkają na wspólnym gruncie“ jest
pewnikiem, z którym nauka nie ma już żadnych kłopotów;
dwa kierunki przeciwne nigdy się spotkać nie mogą, dwa
sprzeczne pojęcia nie mogą się spotkać na wspólnym grun-
cie, bo takim gruntem wspólnym musiałyby być jakiś *termi-
nus medius*, czemu sprzeciwiałaby się wyraźnie znana zasa-
da logiczna wyłączonego środka. Ale z tej bezwarunko-
wej rozbieżności pojęć sprzecznych bynajmniej nie wynika
konieczność apatii teoretycznej i bezradnego opuszczenia
rąk, bo właśnie, o ile zostanie udowodniona fałszywość pew-
nego pojęcia, o tyle staje się pewnym, że sprzeczne z nim po-
jęcie wyraża prawdę. Albo, czego np. dowodzi zarzut nastę-
pujący: „Zbyteczne jest powtarzanie analizy celu i celowo-
ści i na początku książki i ku jej końcowi“. Oczywiście, iż
krytyk zupełnie nie zrozumiał tego, co czytał: na początku
książki, od str. 16 do 29, zajmuję się nie analizą celu i celo-
wości, których tylko definicje podałem, lecz psychologiczną
analizą *wyobrażeń celowych*, co naturalnie musiało i mogło
być załatwione na samym wstępie, bez zaciekania się
w dziedzinę teleologii właściwej. Zupełnie co innego mamy
na str. 149 do 186: tu podaję rozbiór logiczny i teoretyczno-
poznawczy *pojęcia celowości*, użytego za narzędzie do pozna-
wania przyrody, co mogło być gruntownie dokonane tylko
ku końcowi, t.j. po rozważeniu owych trzech rzeczy, o których
mówię we wstępie: faktu podmiotowego, faktu przedmiotowe-
go i ich wzajemnego stosunku. Badania z zakresu teorii
poznania muszą być oparte na faktach odpowiednich, fakta-
mi zaś temi muszą być dane już objawy i wypadki działalno-
ści poznawczej umysłu, a więc w naszym zagadnieniu faktami
takiemi, które nasamprzód poznać należało, są: *pojęcia ob-*

jektywnej przyczyny celowej, przypadku, mechanizmu i rozumu najwyższego, tudzież *metody* dialektyki racjonalistycznej i analogji.

Gdyby p. K. był poprzestał na pytaniu swoim: „Co to za ptak owa celowość“, tobym mu odpowiedział, że celowość bynajmniej ptakiem nie jest, że „jest ona pojęciem oderwanym i oznacza taki wogóle stosunek, jaki zachodzi pomiędzy wyobrażeniem celowym, jako zjawiskiem poprzedzającym — z jednej strony, i uzyskowaniem środków oraz osiągniętym skutkiem, jako zjawiskami następczemi — z drugiej strony“. W ten sposób uniknęłoby się niebezpiecznych wycieczek w pogoni za urojonym ptakiem i niewdzięcznej roli bohatera, wybierającego się z motyką na słońce.

ARTYKUŁ CZWARTY. *)

Z powodzi licznych recenzji i krytyk pracy mojej — „Teorii celowości“ poświęconych i świadczących o niepospolitej u nas ilości znawców filozofji, a mianowicie doktryny teleologicznej, ocena p. Z. Herynga *), zamieszczona w N-rach 23 i 24 „Głosu“, zasługuje na wyróżnienie. Na niektóre recenzje odpowiedziałem niezwłocznie, na niektóre inne nie odpowiadałem wcale, albo dlatego, że nie zawierały w sobie żadnych zarzutów, albo znów dlatego, że autorowie ich sami siebie potępiłi najskuteczniej w oczach każdego światłego czytelnika. Ocena p. Herynga tym się korzystnie wyróżnia, że w oddaniu treści pracy mojej jest gruntowniej pomyślana i z małemi wyjątkami ścisła; że autor usiłuje zdać sobie sprawę z tego, co rzeczywiście w książce swojej zrobiłem i nadto zapuszcza się w krytykę niektórych punktów pracy mojej.

Nie wchodząc w to, jak dalece są słuszne hojne pochwały *), których mi p. H. nie szczędzi, postaram się dać wyjaśnienia w przedmiocie zarzutów krytycznych, rzecz prosta, najżywotniej interesu prawdy dotyczących.

Przedewszystkim p. H. nie godzi się na to, „że w dążeniach naszych ku urzeczywistnieniu wyobrażeń celowych

przyszłość żadnej nie odgrywa roli“, a to na tej zasadzie, że „wyraźnie jesteśmy świadomi, iż wyobrażenie celowe odnosi się do przyszłości“. „Wprawdzie — pisze p. H. — każdy taki przewidywany fakt stanowi ogniwo w sięgającym w przyszłość łańcuchu przyczynowym, lecz tym niemniej od chwili, gdy dzięki znajomości przyrody lub stosunków społecznych mamy możność rozwinięcia w myśli tego łańcucha wcześniej, zanim się on rozwinie w rzeczywistości, to takie myślowo odtworzone, chociażby nawet biegiem poprzednich wypadków uwarunkowane przyszłe ogniwo, oddziaływać zaczyna ze swej strony na terażniejszość“. Oczywiście p. H. wikła się tu z powodu dwuznaczności wyrazu *przyszłość*: raz oznacza on faktyczny, realny stan rzeczy, którego w danej chwili nie masz, który jednak ma nastąpić; drugi raz — jak się wyraziłem — „przyszłość jest tylko wyobrażeniem takiego stosunku zjawisk, które jeszcze nie zaszły, do zjawisk terażniejszych, w jakim wogóle zostają zjawiska następne do poprzedzających“. Otóż w doktrynie celowości *) chodzi nie o to, czy istnieje wyobrażenie celowe, ściągające się do przyszłości, które jest nawskroś aktualnością terażniejszą i nie zawiera w sobie nic takiego, coby jeszcze nie istniało jako przyszłe, a jednak już istniało, — lecz o to, czy istnieje już ta przyszła realność, która ma wstecz oddziaływać. Utrzymuję tedy, iż wyobrażenie celowe jest tylko „jednym z warunków przyszłego skutku“, twierdzenie zaś: „przyszłe ogniwo oddziaływać zaczyna ze swej strony na terażniejszość“, z pominięciem niewłaściwych tu przenośni, równa się twierdzeniu, że ogniwo, które jeszcze nie istnieje, jako przyszłe, już działa czyli istnieje — oczywista niedorzeczność, którą w książce swej wyjaśniłem.

Nie rozumiem, w jaki sposób z powyższym zarzutem

swoim p. H. wiąże ten oto inny: „Z tego też względu wątpić przychodzi, czy uda się kiedykolwiek, jak to p. M. przypuszcza, powiązać przyczynowo szczegółowe przejawy działalności ludzkiej z procesami przyrody“. Załóżmy sobie, że w rzeczy samej nigdy nie zdołamy przyczynowo powiązać szczegółowych objawów działalności ludzkiej z procesami przyrody; cóż stąd wypada? Czy to zmusi nas do przyjęcia, iż przyszłość, t. j. to, co nie istnieje jeszcze, oddziałuje na teraźniejszość, czyli już istnieje i przeto przyszłością nie jest? Prawdopodobnie — nie. Ale, co gorsza, tkwi tu nieporozumienie, stąd wynikające, że p. H. zdaje się zupełnie inaczej, niż ja, rozumieć naturę nauk deterministycznych. Że dziś już, do pewnego stopnia przynajmniej, możemy przyczynowo objaśniać szczegółowe objawy działalności ludzkiej, to fakt, jakkolwiek nigdy nie utrzymywałem, że kiedykolwiek będziemy w stanie każdy dany objaw przyczynowo prześledzić, badając genezę danej jednostki, gatunku i t. d. Sądzę nadto, że ani w praktyce, ani w teorii nie jest to potrzebne. Stąd, że nie jesteśmy i nie będziemy w stanie prześledzić każdego danego objawu działalności człowieka, cofając się wstecz śladem nadmiernie skomplikowanego i nie wiedzieć gdzie kończącego się łańcucha przyczynowego, nie wypada bynajmniej, iżby hipoteza deterministyczna nie miała tu racji; tak samo stąd, że nie jesteśmy w stanie zbadać szczegółowo historii danego atomu węgla, by zdać sobie sprawę, jakimi drogami, wskutek jakich powikłań nieskończonego łańcucha przyczynowego znalazł się on w danym miejscu i w danym połączeniu, nie wypada wcale, iżby deterministyczne objaśnienie zjawisk chemicznych było tylko złudzeniem. P. H. utrzymuje, że przyczynowe powiązanie szczegółowych przejawów działalności ludzkiej z procesami przyrody „byłoby

wtedy tylko możebne, gdyby wszyscy ludzie w jednakowych warunkach jednakowo przewidywali i w równym stopniu pobudzeni byli do działania⁴. Wymagalnik ten stanowi właśnie podstawę determinizmu i wszystkich opartych na nim nauk. Utrzymuję właśnie, że czy to chodzi o ludzi, czy o atomy, zawsze w ściśle jednakowych warunkach zachodzą jednakowe skutki. Bez tego założenia ani w chemji, ani w psychologii nie byłibyśmy w stanie jednego kroku uczynić. Możliwie zwięźle sformułowałem to w książce swojej w słowach: ilekroć skutki będą takie same i o tyle takie same, o ile warunki są takie same. Psychologja, taksamo jak fizyka, chemja, biologja nie jest nauką fenomenologiczną, nie chodzi jej o wyśledzenie całego rodowodu przyczynowego danego osobnika lub stanu tego osobnika; jest to nauka nomologiczna, usiłująca odkryć prawa ogólne, któreby formułowały przyczynową zależność zjawisk i sprawdzały się w poszczególnych przypadkach. Tu nawija mi się przykład z Hobbesa, który rzecz objaśni: w pewnym towarzystwie rozmawiano o Karolu I i rewolucji angielskiej; naraz ktoś z obecnych zapytał: ile wynosił srebrnik rzymski? Zastanawiając się nad tym, Hobbes przyszedł do przekonania, że wyobrażenie srebrnika odtworzyło się wskutek skojarzenia wyobrażeń, że wspomnienie zdrady Judasza i nagrody, wypłacanej zdrajcy w srebrnikach, powstało na mocy podobieństwa stosunków, o których była mowa, ze stosunkami, które towarzyszyły postępkowi Judasza. Objaśnienie to zadowala Hobbesa; jest to skojarzenie wyobrażeń na mocy podobieństwa. Gdyby kogo zajęło pytanie: skąd dana osoba znała historję Judasza, to prawdopodobnie przyszłoby odwołać się do wspomnień szkolnych i do podręcznika historii biblijnej, i znów odwołanie się do teorii pamięci starczyłoby nam za

objaśnienie. Tak więc psychologa zawsze zadowoli wykrycie prawa zależności przyczynowej, którego powszechność polega na domyslniej tożsamości warunków; nie potrzebuje on, jak biograf lub historyk, śledzić rozwoju danych indywidualnych łańcuchów przyczynowych do nieskończoności. Nawet biograf zatrzymuje się na pewnej granicy, chociaż ani na chwilę nie wątpi, że łańcuch przyczynowy ciągnie się wstecz bez końca.

Co się tyczy porządku, który p. H. pragnęłby wprowadzić do układu książki mojej, to żałuję bardzo, że nie mógłbym się przychylić do udzielonych wskazówek, a to w interesie gruntowności wykładu. Na tego rodzaju zarzuty w części odpowiedziałem w „Prawdzie“, w części w „Ateneum“. „Czyż podobna — zapytuje p. H. — wymagać od przeciętnego czytelnika, aby zestawiał części poglądu, oddzielone setką stronice“? Oczywiście niepodobna, i ja też niczego od przeciętnego czytelnika nie wymagam, a nawet dziwię się, ilekroć się dowiaduję, że jakiś przeciętny czytelnik zadaje sobie trud czytania książki mojej. Skoro przeciętny czytelnik nie czytuje rozpraw matematycznych, chemicznych, to pocóż ma się koniecznie nadrywać filozoficznymi? W warunkach normalnych specjalne rozprawy naukowe czytują specjaliści, którzy wiedzą dobrze, że nieraz wypada odczytywać szereg tomów, aby objąć w całości pogląd danego autora. Smutne to, ale myśl nasza jest dyskursywna, musimy ją rozwijać stopniowo i częściowo i w jednym okresie niepodobna skupić całego poglądu. Nadto mogę zapewnić p. H., że praca moja nie powstała „z połączenia i rozwinięcia recenzji, poświęconych w swoim czasie przez autora pracom Janeta, Siedleckiego i ks. Morawskiego“; nigdy takich recenzji nie pisałem, ocena zaś pracy ks. Morawskiego

w „Kraju“ powstała wtedy, kiedy książka moja była już wyszła. Zresztą, gdyby się okazało, że krytyk lepiej ode mnie w tym względzie jest poinformowany, to prosiłbym o dowody faktyczne, popierające jego twierdzenie, więcej niż lekomyślne, moim zdaniem, i zakrawające na reporterję z własnej głowy.

Przechodzę z kolei do najstaranniej umotywowanego zarzutu, jakoby moja definicja przyczynowości polegała na niezrozumieniu poglądu Wundta i ostatecznie była chybioną parafrazą definicji wundtowskiej. Wundt utrzymuje, że przyczyną spadania kamienia z wysokości 10 stóp na ziemię jest tylko poprzednie wyniesienie go na tę wysokość; reszta należy do warunków stałych. Ja twierdzę, że kamień, wyniesiony na wysokość 10 stóp, w danym razie może nie spadać, lecz wznosić się jeszcze wyżej, skąd wypada, że sam fakt wyniesienia kamienia na 10 stóp nie jest przyczyną spadania, o ile się nie zgodzimy na to, że przyczyna może mieć sobie raz taki skutek, drugi raz inny. Wundt utrzymuje, że „to, w jaki sposób zostało uskutecznione wyniesienie i t. d., są to warunki, które najrozmaitszym mogą ulegać zmianom bez wywoływania zmiany w następstwie“. Ja sądzę, że żadne warunki nie mogą ulegać jakimkolwiek zmianom bez wywoływania zmiany w następstwie; nadto zdaje mi się, że bynajmniej nie jest rzeczą obojętną, w jaki sposób kamień został wyniesiony na daną wysokość, bo od tego zależy ilość i jakość skutku. Dany spadek kamienia nie jest jakąś abstrakcją nieokreśloną, lecz jest to zetknięcie się kamienia z powierzchnią ziemi, z pewną siłą; kamień, puszczony wolno z wysokości 10 stóp, spadnie z inną siłą, niż kamień, wyrzucony na wysokość 100 stóp, który nadto znajdzie się dwa razy na wysokości 10 stóp: raz, gdy będzie się

wznosił ku górze i drugi raz przy spadaniu. Wobec tego właśnie nie mogę uznać z Wundtem, aby przyczyną spadania z wysokości 10 stóp było wyniesienie na tę wysokość; jest to warunek konieczny, ale niedostateczny. Można rozważyć to samo i z innej jeszcze strony. Wundt utrzymuje, że „nie możemy wyobrazić sobie żadnego związku przyczynowego w innej formie, jak w formie następstwa“, czyli „zjawiskową formą przyczynowości jest kolejność przyczyny i skutku“. Z tego stanowiska wypadałoby, że różnica w czasie następstwa jest tu rozstrzygająca, gdyż trwanie jest jedynym znamieniem zjawiskowej formy przyczynowości. Kamień, puszczony wolno z wysokości 10 stóp, zużyje mniej czasu na spadanie, niż kamień wyrzucony z siłą, która go wyniesie na 100 stóp, rachując od chwili, gdy, wznosząc się ku górze, znajdzie się na wysokości stóp 10, aż do chwili, gdy spadnie. Znow więc widzimy, że sam fakt wyniesienia na 10 stóp nie jest przyczyną spadania z tej wysokości, bo wypadałoby, że ściśle ta sama przyczyna wywołuje skutek raz prędzej, drugi raz powolniej, jako swoje następstwo.

Wundt uznaje ziemię za stały warunek przyciągania ciał; ja uważam za taki stały warunek zobopólną dążność do zbliżania się do siebie ciał i ziemi według formuły Newtona i, chociaż słuszne jest zdanie p. H., że „Wundt nie miał potrzeby dowiadywać się dopiero od p. M., iż przy spadaniu kamienia nietylko ziemia przyciąga kamień, lecz i kamień ziemię“, to jednak nie wypada stąd, abym ja nie miał tego uwzględnić. Mogę przytym autentycznie zapewnić p. H., że Wundt nie dlatego w swojej ilustracji przyczynowości pominął wzgląd na wpływ kamienia na ziemię, żeby się wpływ ten nie dał ocenić; pochwałę zaś: „Wundt słusznie uczynił, że, analizując spadek kamienia, wzgląd ów po-

minął, gdyż wpływ kamienia na ziemię nie jest ocenialny"— ten sam Wundt odrzuciłby stanowczo, bo przy analizie pojęcia przyczyny wogóle nie można pomijać bodaj najdrobniejszych okoliczności dlatego tylko, że w pewnych wypadkach ilościowe ich oszacowanie mogłoby nastęrczać pewne trudności. Wyrażenie: „zmiany konieczne i dostateczne do powstania zjawiska“ uznałem dlatego za najbardziej odpowiednie, że w ten sposób dokładniej określa się stosunek stałej ilościowej równoważności przyczyny i skutku, niż w wyrażeniu Wundta: „warunek, z którego następstwo zarówno jakościowo, jak i ilościowo może powstać“, tym bowiem sposobem nie wyklucza się tego, coby ilościowo więcej mogło powstać nad to następstwo. Wundt dlatego oznacza tylko minimum w ilościowym stosunku przyczyny do skutku, że w dalszym ciągu wypadnie mu stosować to pojęcie przyczyny do zjawisk duchowych, gdzie, jak on utrzymuje, skutki mogą nieograniczenie przerastać przyczyny; dla mnie zaś pojęcie ilościowej równoważności przyczyny i skutku zlewa się z pojęciem stosunku przyczynowego tak w dziedzinie materji, jak ducha, i dlatego przez wyrazy *konieczne* i *dostateczne* oznaczyłem minimum i maximum zarazem. Wreszcie, zastrzeżenie moje w formule przyczynowości „o ile doświadczenie nas uczy“, p. H. uważa za „całkiem zbyteczny frazes... gdyż to się samo przez się rozumie“. Nie uwierzyłbym, że to napisał p. H., tłumacz „Teorji poznania“ Wundta, gdybym nie widział własnymi oczyma. Jak dalece ten rzekomo zbyteczny frazes sam przez się oczywisty nie jest, o tym przekonywa fakt, że według Wundta zasada przyczynowości tkwi *a priori* w umyśle naszym i *a priori*, wbrew opinji Milla, może być poza granice doświadczenia naszego rozciągana; przekonywa o tym i ten fakt, że Jevons, jak to

w pracy swojej zaznaczyłem, uznał za potrzebne zastrzec się pod tym względem przeciwko formule Milla, jakkolwiek co do Milla zastrzeżenie się przeciwko aprioryczności zdawałoby się mniej właściwym, niż co do Wundta. Pan H. poczytuje za niespożytą zasługę Wundtowi jego definicję przyczyny; przykro mi bardzo, że nie mogę podzielać tego zdania, że pogląd Wundta na przyczynowość uważam za najślabszy punkt w jego teorii poznania, który nieuniknienie pociągnął za sobą takie następstwa, jak konieczność rozróżnienia dwu przyczynowości — mechanicznej i duchowej, oraz pewne specyficzne poglądy w etyce i teorii rozwoju, wymagające w każdym razie próby czasu. Dotąd nauka nie stosowała pojęcia przyczynowości w sensie Wundta i, zdaje mi się, że gdybyśmy zawsze objaśniali zależność przyczynową w przyrodzie w stylu formuły: „przyczyną spadania ciała z wysokości 10 stóp jest wyniesienie ciała na tę wysokość“, to byśmy nietylko krokiem nie postąpili w poznaniu przyrody, lecz narazilibyśmy się na liczne błędy.

Ostatni zarzut p. H. pomawia mnie o „próżność erudycyjną“, jak również o to, że na niewłaściwej dla siebie drodze szukam uznania. Zarzut ten wysnuł mój krytyk z załączonego w końcu książki „Wykazu nazwisk autorów“, nie bezpośrednio, jak sędzę, lecz przy pomocy wyobraźni, ożywionej gorliwym duchem domyślności reporterskiej. P. H. sądzi, że imiona romansopisarza Jules Verne'a, inżynierów Renarda i Krebsa, poety Ennijusza, znalazły się w książce mojej poto, bym mógł je w spisie wymienić, „po-obwieszać się, jak wódz indyjski, skalpami zabitych nieprzyjaciół“ i „tryumfująco nimi potrząsać“. Z powodu mojej dokładnej notatki bibliograficznej o głównym, w danym razie, dziele J a n e t a, w której wymieniłem, że tłu maczył je na

angielski Affleck i przedmową opatrzył Flint, krytyk pisze: „Czytelnik nie pojmie zapewne, po co mu ta wiadomość, a tu po prostu chodzi o to, aby mieć okazję pod A. umieścić Afflecka, a pod F. prof. Flinta“. W tych prostych domysłach p. H. podsuwa mi własne chyba motywy. Ani na tej, ani na żadnej innej drodze nie uważam za potrzebne szukać uznania, bo chodzi mi tylko o prawdę, co się zaś tyczy erudycji, to własna tylko naiwność nasza pozwala nam wzajemnie posądzać siebie o takową; miałem sposobność poznania prawdziwych erudytów i oddawna nie tylko z ubolewaniem widzę swoją nicość pod tym względem, lecz nabyłem przekonania, że mózgi nasze nie udźwignęłyby nawet prawdziwej erudycji, że musiałyby się wdroyć do niej przez długi rozwój w atmosferze bardziej intensywnej pracy i kultury. Nie kadźmy sobie wzajem dymem urojonej erudycji; bo nam daleko do tego. W jaki sposób wymienione nazwiska wiążą się z tekstem pracy mojej, to spostrzeże każdy, kto uważnie ją przeczyta; w jaki zaś sposób powstał inkryminowany spis nazwisk, to opowiedzieć winienem. Napisałem rozprawę bez wszelkiej myśli o spisie i dokumentalnie udowodnić mogę, że miałem już wszystkie arkusze w rękę gotowe z druku, gdy zażądano ode mnie, bym ułożył spis wymienionych w pracy nazwisk, co też z całą dokładnością uczyniłem. Nieśluszny napis „Wykaz nazwisk autorów“ położono wbrew wiedzy mojej, a tymbardziej niepodobna mi zarzucać, abym, pisząc rozprawę potę wymieniał nazwiska Afflecka i Flinta, by nimi ozdobić wykaz, o którym wcale nie myślałem. Jest to oczywista, że dokładną notatkę bibliograficzną o dziele Janeta i angielskim jego przekładzie podałem dlatego, aby pokazać czytelnikowi, że korzystałem z drugiego wydania oryginału, oraz że uwzględniłem przekład angielski,

opatrzone własnymi przypiskami autora, tak iż w sądach swoich o pracy J an e t a pragnąlbym być odpowiedzialnym nietylko za tekst oryginału, lecz i za te dodatki i poprawki, któremi filozof francuski uzupełnił rzecz w angielskim przekładzie dzieła swego. Innemi słowy, pragnąlbem roztrząsać autora w możliwie najkorzystniejszych dla niego warunkach i podnieść skalę odpowiedzialności swojej przez przedstawienie przeciwnika swego w całym rynsztunku, nie wyłączając luźnych jego poprawek w angielskim przekładzie. Niestety, okazało się, że muszę się tłumaczyć nie z rzeczy samej, lecz z tego, jak śmiałem zadrasnąć ambicję krytyka, który w spisie nazwisk dopatrzył się olśniewającej wzrok jego erudycji. Mógłbym wykazać dziesiątki dzieł klasycznych, opatrzonych wykazami, które zawierają po parę tysięcy imion, i wszędzie uchodzi to za udogodnienie przy informacjach w książce. U nas zrobiono z tego akt oskarżenia, ot, jak to zwykle u nas.

PRZYPISY.

- Str. 4. Dla ułatwienia uchwycenia myśli przewodniej oraz planu rozprawy zwracam uwagę na autoreferat Mahrburga, napisany dla Akademii Krakowskiej i zamieszczony w pierwszym z dołączonych tu artykułów polemicznych.
- „ 9. Wilhelm Wundt (ur. 1832), wielki spóczesny uczoney i filozof niemiecki. Rozpoczął od studjów medycznych i przyrodniczych, był uczniem Jana Müllera, asystentem Hassego i Helmholtza. Studjuje następnie Kanta, Herbarta i Leibniza. Od r. 1862 wydaje szereg olbrzymich prac ze wszystkich dziedzin filozofji. W r. 1863 wychodzą „Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej“ (przekład polski r. 1874, 2 t.), w r. 1864— „Lehrbuch der Physiologie“; w r. 1874 wydaje Wundt główne swe dzieło p. t. „Grundzüge der physiologischen Psychologie“, w r. 1875 obejmuje katedrę profesora w Lipsku i tworzy stopniowo słynny „Instytut psychologii eksperymentalnej“. Nieco wcześniej ukazują się jego „Untersuchungen zur Mechanik der Nerven“ (1871—1876) i dalej — „Logik“ (1880—83, część tego dzieła wyszła wprzekładzie polskim Z. Herynga w r. 1889), „Ethik“ (1886), „System der Philosophie“ (1889), „Grundriss der Psychologie“, „Völkerpsychologie“, „Wstęp do filozofji (1901, przekład polski z r. 1902). Przez długi szereg lat wydaje też „Philosophische Studien“. Potężnym swym umysłem, jako wybitny klasyfikator i systematyk, objął Wundt cały niemal obszar nauki spóczesnej i obok Spencera jest może jedynym przedstawicielem uniwersalnej wiedzy w drugiej połowie XIX wieku.
- „ 15. Teorią przyczynowości zainteresował się Mahrburg już w czasach uniwersyteckich, kiedy, pracując w seminarjum prof. Władysława, zgłębił poglądy Arystotelesa na przyczynowość. Do tego zagadnienia wraca potem ustawicznie. Bada je w Lipsku.

W r. 1900 w więzieniu pisze notatki do „Teorii przyczynowości”; szkic ten, częściowo zachowany, niebawem ukaże się w druku.

- Str. 30. Paweł Janet (1823—1899), filozof francuski, profesor w Bourges, Strasburgu i Paryżu. Uczeń Wiktora Cousina, eklektyk i spirytualista. Od r. 1864 członek Akademii. Odznaczał się rozległą erudycją i jasnym, pięknym wykładem. Autor licznych prac: a) z historii filozofii (najwybitniejsza — „Histoire de la philosophie morale et politique dans l'antiquité et dans les temps modernes“, 1858, 2 tomy); b) z filozofii (największe dzieło — „Les causes finales“, 1876); c) z dziedziny propedeutyki filozoficznej (główne dzieło, opracowane wspólnie z G. Séaillesem — „Histoire de la philosophie“, 1894). Ponadto Janet napisał dużo rozpraw poświęconych żywotnym zagadnieniom chwili.
- „ 31. Ks. Marjan Morawski (1845 — 1901), jezuita, profesor teologii i filozofii na wszechnicy Jagiellońskiej, wieloletni redaktor *Przeгляdu powszechnego*. Główne prace: „Wieczory nad Lemnem“ (1877) „Celowość w naturze, studjum przyrodniczo-filozoficzne“ (1887), „Podstawy etyki i prawa“ (1891). W pracach tych występuje jako filozof naiwnego realizmu, skrajny dogmatyk i gorący obrońca nowoscholastyizmu.
- „ 37. Przypisek do terminu: „fizyczno-teleologiczny“— dodany później przez autora.
- „ 51. Koniec zdania, od słów: „który umysł nasz“ itd.—jest późniejszym uzupełnieniem.
- „ 77. I.—Zdanie Comte'a oznacza; „Pojmujemy możliwość wyznaczenia ich (ciał niebieskich) kształtów, odległości, wielkości i ruchów, gdy tymczasem nigdy i w żaden sposób nie potrafimy zbadać ich składu chemicznego lub ich budowy mineralogicznej, a tymbardziej natury organizmów, zamieszkujących ich powierzchnię“.
- „ — II. — „Tenże August Comte orzekł“... — późniejszy przypisek autora.
- „ 88. I. Cytata francuska oznacza: „Żaden wysiłek umysłu nie pozwała nam zrozumieć zjawiska jako samorzutnie powstającego z nicności i niespowodowanego przez jakiś czynnik poprzedni“.
- „ — II. Przypis, rozpoczynający się od słów: „Św. Augustyn utrzymywał“...—później dodany przez autora.
- „ 91. Cytata z Kanta oznacza: „Z powyższego zaś widać jasno, że pierwszy warunek, to jest ten, pod którym jedynie przedmioty mogą być oglądane, istotnie a priori w umyśle tworzy podstawę dla przedmiotów pod względem formy. Z tym formalnym warunkiem zmysłowości zgadzają się tedy koniecznie wszystkie

zjawiska, gdyż przez nie jedynie mogą zjawić się, t. j. być empirycznie oglądane i dane. Otóż zachodzi pytanie, czy i pojęcia aprioryczne nie wyprzedzają wszystkiego jako warunki, pod którymi jedynie coś, lubo nie oglądanym, lecz jako przedmiot wogóle pomyślanym zostaje; w takim bowiem razie wszelkie empiryczne poznanie przedmiotów odpowiadałoby w sposób konieczny takim pojęciom, gdyż bez ich poprzedniego uznania nic nie jest możliwe jako *przedmiot doświadczenia*, wszelkie zaś doświadczenie oprócz oglądu zmysłowego, przez który coś bywa dane, zawiera w sobie jeszcze *pojęcie* o przedmiocie, który dany jest w oglądzie czyli zjawia się; stąd pojęcia o przedmiotach wogóle, jako warunki aprioryczne, będą podstawą wszelkiego poznania doświadczalnego; a zatem przedmiotowa ważność kategorii, jako pojęć apriorycznych, polegać będzie na tym, że przez nie jedynie możliwe jest doświadczenie (co do formy myślenia). Wówczas bowiem odnoszą się one w sposób konieczny i a priori do przedmiotów doświadczenia, gdyż tylko za ich pośrednictwem wogóle może być pomyślany jakikolwiek przedmiot doświadczenia". „Krytyka czystego rozumu“, przykład P. Chmielowskiego, str. 129 — 130.

Str. 92. „Tego rodzaju poglądy, począwszy od"... — późniejszy przypis Mahrburga.

„110. Cytata z Guyau, późniejszy dodatek autora, oznacza: „Uczucie religijne budzi się wówczas, gdy determinizm mechanistyczny zaczyna, jak się zdaje, ustępować w świecie przed pewnego rodzaju wywzajemnianiem się moralnym i społecznym, wówczas, gdy uważamy za możebną wymianę uczuć i nawet pragnień jako rodzaj stosunków towarzyskich pomiędzy człowiekiem a potęgami kosmicznymi, jakimikolwiek byłyby one. Wówczas człowiek nie jest już zdania, iż może ściśle z góry wymierzać odbicie mechaniczne, cios zwrotny danego czynu, np. cios siekiry w święte drzewo, gdyż zamiast brać pod uwagę samą czynność, musi odtąd zważać na uczucia i zamiary, jakie ona wyraża, a które mogą wywołać w bóstwie przychylne lub nieprzychylne uczucia“.

„124. Cytata z „Krytyki czystego rozumu“ oznacza: „Taki jest rozsądek, któremuby jego samowiedza dawała zarazem rozmaite szczegóły oglądu; rozsądek, któryby swoim wyobrażeniem powoływał do bytu przedmioty tego wyobrażenia, nie potrzebowałby wcale osobnego czynu złączenia rozmaitych szczegółów w jedność świadomości, jakiego potrzebuje rozsądek ludzki, który tylko myśli, nie zaś ogląda“. „Bo gdybym pomyślał sobie jakiś rozsądek, któryby oglądał sam przez się (dajmy na to bo-

ski, któryby nie wyobrażał sobie przedmiotów, lecz któregoby wyobrażenie samo sobie równocześnie przedmioty dawało lub tworzyło); to wówczas wobec takiego poznawania kategorje nie miałyby żadnego zgoła znaczenia". Przekład P. Chmielowskiego, str. 130, 144.

- Str. 128. Tu możnaby przytoczyć silny argument Kanta z „Krytyki czystego rozumu“ (621): „Porządek i celowość w przyrodzie należy objaśniać tylko z podstaw przyrodzonych i według praw natury, i tu najdziksze nawet hipotezy, jeżeli są jeno fizycznymi, są znośniejsze, niż jakaś hiperfizyczna, t. j. powoływanie się na boskiego twórcę, którego się w tym celu z góry przypuszcza. Byłoby to bowiem zasadą ospałego rozumu (*ignava ratio*), wszystkie przyczyny, których przedmiotową realność, przynajmniej co do możliwości, można poznać tylko przez coraz dalsze doświadczenie, tak sobie po prostu pomijać, by odpocząć w gołej idei, bardzo dla rozumu dogodnej“.
- „ 129. „Analogja jest domysłem“...—dopisek późniejszy.
- „ 134. Szokalski jest autorem prac: „Fantazyjne objawy zmysłowe“ (1862) i „Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie“ (1885). Empiryczne stanowisko autora nie jest wolne od grubych nieporozumień natury metafizycznej. Ob. artykuł Mahrburga p. t. „Nauka i metafizyka w nowej książce prof. Szokalskiego“. *Kraj*, 1885, № 9, 11, 14.
- „ 140. Zdanie: „Więc zwierzęta same rozwinęły“... — przypis późniejszy.
- „ 146. Tekst z Kanta w przekładzie polskim brzmi: „W końcu, wedle słusznej maksy filozofji przyrody, musimy się powstrzymać od wszelkiego objaśnienia urządzenia przyrody na zasadzie istoty najwyższej, gdyż to nie jest już filozofją przyrody, lecz wyznaniem, żeśmy doszli do jej kresu“. „A nawet gdyby jemu (przyrodoznawstwu) skądinąd coś podobnego zaofiarowano (np. wpływ istot niematerjalnych), to powinno wprost to odrzucić i wcale nie wprowadzać w zakres swoich objaśnień, a te opierać zawsze tylko na tym, co jako przedmiot zmysłów może należeć do doświadczenia i da się doprowadzić do łączności z naszymi rzeczyswistemi spostrzeżeniami wedle praw doświadczalnych“. „Prolegomena“ w przekładzie R. Piątkowskiego, str. 94, 121.
- „ 151. Zdanie: „Malebranche przeciw *entités occultes* pisze“... — jest późniejszym przypisem Mahrburga.
- „ 161. „W innych znów razach wypada nam badać“...—późniejszy dodatek autora.
- „ 166. Cytata z Bossueta oznacza: „Wszystko, co wykazuje porządek,

dobry układ i środki właściwe do wywoływania skutków określonych, objawia również cel umyślny, a zatem zamiar powzięty, umysł uporządkowany i doskonałą sztukę“.

- Str. 196. Ludwik Gumplowicz (1838---1909), europejskiej powagi i zasługi socjolog, prawnik, historyk i publicysta polski. Od r. 1871 do 1874 redaktor *Kraju* krakowskiego, od roku zaś 1882 profesor prawa publicznego w Grazu. Autor wielu prac drukowanych w różnych pismach polskich i obcych. Z dzieł ważniejszych zaznaczam: „Philosophisches Staatsrecht“ (1877), „Rassenkampf“ (1883), „System socjologii“ (1887), „Soziologie und Politik“ (1892), „Allgemeines Staatsrecht“ (1897). Bardzo wybitny pisarz; twórca szkoły socjologicznej. Zmarł śmiercią tragiczną. Ob. St. Posnera „Ludwik Gumplowicz, zarys życia i pracy“ (1912).
- „ 199. Schopenhauer w dziejach widzi „przelotne powikłanie ruchliwego, jak chmury przez wiatr pędzone, świata ludzkiego, który się często przekształca z powodu bardzo błędnego przypadku“.
 - „ 206. Determinizm, zdaniem Mahrburga, twierdzi jedynie, że „wszystko, co się staje, wszelkie zjawisko o tyle tylko może uchodzić za poznane, o ile znamy ogół koniecznych i dostatecznych warunków jego powstania czyli przyczynę jego“. Determinizm nic nie ma wspólnego z fatalizmem, tym sofizmatem leniwym, gdyż człowiek ze swoim rozumem stanowi jeden z czynników przyrody, Ob. „Indeterminizm“ w *Wielkiej Encyklopedji*.
 - „ 211. Artykuł z *Prawdy*, 1889, № 2.
 - „ 215. Ustęp, od słów: „W rozprawie niniejszej zamierza autor zbadać“... do słów: „Taką jest kanwa czy szkielec“... – jest wspomnianym wyżej autoreferatem Mahrburga.
 - „ 219. Artykuł z Przeglądu literackiego *Kraju*, 1889, № 1.
 - „ 225. W artykule tym p. t. „Krytyk Spencera“ tak, między innymi, pisał Mahrburg (*Kraj*, 1888, № 38): „Religia bynajmniej nie uważa się za powołaną do wyjaśniania lub dowodzenia czegokolwiek, lecz podaje nam przepisy, w co wierzyć mamy, chociażby to niepojętą tajemnicą było. Pogląd ten wyraźnie potwierdzają słowa wielkiego ojca kościoła Tertulliana, który pisał: *Credo quia absurdum est; prorsus credibile est quia ineptum est, certum est quia impossibile est*. Wiara, szukająca swych podstaw w rozumie (*fides quærens intellectum*) św. Anzelma z Canterbury jest już symptomem racjonalizmu, a więc zachwianej wiary. Chrystus uczył, że błogosławieni ci, co nie widzą, a uwierzą, i z tego stanowiska przyganił niewiarę Tomasa. Z ksiąg *Nowego Testamentu* przekonywamy się, iż przemawiał do rzeszy w przypowieściach, których znaczenie musiał potym specjalnie uczniom swoim wyjaśniać, chociaż ci nieważ-

pliwie byli bardziej wtajemniczeni w naukę mistrza, niż pospólstwo. „To wszystko mówił Jezus w podobieństwach do rzeszy, a krom podobieństwa nie mówił im“ (Mat. XIII, 34); „I pytali go uczniowie jego, coby to za podobieństwo było“ (Łuk. VIII, 9); „A oprócz przypowieści nie mówił im: a uczniom swoim osobno wszystko wykładał“ (Mar. IV, 34). Co do powodów, dlaczego mistrz tak postępował, również niema żadnych wątpliwości: „Wam (uczniom) dano jest wiedzieć tajemnice Królestwa bożego, a innym przez podobieństwa, aby widząc nie widzieli, a słysząc nie rozumieli“ (Łuk. VIII, 10). „Wam dano jest poznać tajemnicę Królestwa bożego, ale tym, którzy na stronie są, wszystko bywa w przypowieściach, aby patrząc patrzyli, a nie widzieli, a słysząc słyszeli, a nie rozumieli“ (Mar. IV, 11, 12; Mat. XIII, 11, 13; Jan XVI, 29, 30 i t. d.). Tak więc z najważniejszych źródeł przekonywamy się, iż największe powagi kościoła nie uważały dogmatów i tajemnic religijnych za powołane do wyjaśniania czegokolwiek bądź, co też zrozumieli i uszanować umieli filozofowie. Fr. Bakon wyraźnie powiada. *Quando mysterium aliquot divinum fuerit magis absonum et incredibile, tanto plus in credendo exhibitur honoris Deo et fit victoria fidei nobilior* (Im bardziej jakaś tajemnica boska jest niepojęta i nieprawdopodobna, tym większą cześć okazujemy Bogu, wierząc w nią, i tym podnioślejszym jest zwycięstwo wiary). Tomasz Hobbes utrzymuje zgodnie o dogmatach wiary, że należy je dla zbawienia duszy przyjmować podobnie, jak się przyjmuje pigułki przez lekarza dla poratowania ciała przepisane.— w całości i nie rozzuwając“.

Str. 226. I. Artykuł z *Ateneum*, 1889, t. I.

- „ — II. Ks. Franciszek Krupiński (1836—1898), Pijar, filozof i publicysta; gorliwy obrońca niewzruszalności postulatów religijno-etycznych. Najpierw heglista, potem umiarkowany pozytywista, autor pracy „O filozofji w Polsce“ (1863) oraz szeregu rozpraw drukowanych w *Bibliotece Warszawskiej*; tłumacz kilku dzieł filozoficznych.
- „ 235. Cytata z Bakona oznacza: „Część drugą metafizyki stanowi badanie przyczyn celowych, które uważamy nie za zbyteczne, lecz za źle umieszczone. Zwykło się ich dochodzić w dziedzinie fizyki, nie zaś metafizyki. Lubo gdyby to była wada jedynie porządku badań, nie miałyby dla mnie zgoła znaczenia, porządek badań bowiem ściąga się do wyjaśniania, a nie dotyczy substancji nauk. Lecz to odwrócenie porządku było powodem znacznych braków i przyprawiło filozofję o najwyższą klęskę.

Zajmowanie się bowiem przyczynami celowymi w dziedzinie fizyki wyrugowało zupełnie badanie przyczyn fizycznych. A utrzymuję to nie dlatego, jakoby owe przyczyny celowe nie były prawdziwe i istotnie godne dochodzenia w spekulacjach metafizycznych, lecz dlatego, iż, o ile wdzierają się one we właściwości przyczyn fizycznych, nędznie ową prowincję niszczą i pustoszą“.

Str. 240. I. Artykuł z *Kraju*, 1889, № 29.

- II. Zygmunt Heryng (ur. 1854), wybitny ekonomista i publicysta polski. Najpierw poświęcił się studjom społecznym i ekonomicznym (Marks, Rodbertus, Lassalle). Po powrocie z wygnania na Syberję pracuje w *Ateneum*, *Prawdzie*, *Głosie*, *Gazecie Handlowej* i oddaje się nauczaniu ekonomii w Warszawie. W r. 1886 daje jednotomowy przekład „Teorii poznania“ Wundta, a w r. 1896 wydaje najoryginalniejsze swe dzieło, oświetlające całokształt zjawisk ekonomicznych ze stanowiska energetyki p. t. „Logika ekonomii“. Przez lat kilka bez przerwy administracyjnie karany więzieniem, przeniósł się od roku 1906 na stałe do Krakowa, gdzie w ciągu dalszym rozwija gorliwą działalność oświatową.
- III. W *Głosie* (1889, № 24) tak, między innymi, pisał Z. Heryng o „Teorii celowości“: „Znajomość odnośnej literatury, gruntowność i ścisłość badania przebijają się z każdego niemal wiersza tej pracy. Rzecz to naturalna, że argumentacja w kwestji tak szeroko i przez tylu myślicieli opracowanej nie może być zawsze oryginalna, gdyż oryginalność taka świadczyłaby tylko o niedostatecznym uwzględnieniu prac poprzedników; w każdym jednak razie spotykamy się tu dość często z nowymi poglądami naukowymi, bądź popierającymi tezę zasadniczą tego studjum, bądź obalającymi twierdzenia przeciwnego obozu, bądź wreszcie wyjaśniającymi psychiczną genezę zdradliwej dążności ku dopatrywaniu się celowości poza sferą nerwowej organizacji. Jeżeli się nie mylimy, Mahrburg pierwszy uwydatnił szkodliwy wpływ, jaki wywiera pod tym względem teleologiczna tradycyjna terminologia, której się nawet ewolucjoniści z dziwnym uporem trzymają, oraz wskazał na niewłaściwość wysuwania dysteleologicznych faktów dla obalenia teleologicznych doktryn. Niemalą jego zastępcę stanowi należyte uwydatnienie tego zasadniczego faktu, że umysł ludzki nie tylko ma możność i skłonność ku celowemu komentowaniu faktów, lecz bywa nawet zmuszony odwracać naturalny bieg zjawisk, ile razy od gotowych już faktów i form ustalonych dopiero stopniowo powrócić można ku przyczynom, skutki te wywołującym. Podnieść też musimy wysokie zalety formy tej pracy. Zawsze ścisły

i poprawny w wykładzie, zdobywa się Mahrburg miejscami i na subtelną ironję, gdy złośliwie zestawia społeczne poglądy Janeta i ks. Morawskiego co do tego, co jest dla Boga stosowniejsze, czy rządzić wszechświatem wedle ogólnych i stałych praw, czy też wchodzić za każdym razem w szczegóły administracji, — i na siłę słowa, gdy ontologiczną metafizykę pobija zwięzłym aforyzmem: „wymyślić świata nie można, trzeba go poznać“, — i na tak trudną do osiągnięcia w kwestjach abstrakcyjnych plastyczność porównań, gdy dla wykazania jałowości racjonalizmu upodabnia rozum logiczny do młyna, który wszystko przemiele, co mu się do kosza wsypie...“

- Str. 241. Wyniki badań nad zagadnieniem o celowości są bardzo doniosłe nie tylko dla biologji, lecz dla etyki, historii i filozofji. Zagadnienie to nurtuje całe dzieje filozofji, dzieląc umysły na dwa obozy. Po jednej stronie, jako zwolennicy celowości, stają liczni wielcy filozofowie, począwszy od Platona i Arystotelesa aż do Kanta, Schellinga, Hartmanna i wielu myślicieli społecznych, jak np. Windelband, Wundt, Erhardt, Paulsen, Eucken, Neumann, Ward, Lachelier; po drugiej stronie. wśród stanowczych przeciwników tej teorii widzimy Lukrecjusza, Hobbesa, Kartezjusza, Spinozę, w nowszych zaś czasach Nietzschego, Steinera i Haeckla. Stanowisko Mahrburga zbliża się bodaj najbardziej do poglądów R. Stammlera, Fr. Schultzego, J. Bahnsena i Al. Riehla, według którego teleologia nie wyjaśnia przyrody, lecz ją ocenia, a pojęcie celu nie jest zastosowalne do wszechświata. Według Mahrburga, doktryna celowości jest tylko pewną postacią antropomorfizmu, z którym nauka musi walczyć na każdym kroku (ob. „Celowość w przyrodoznawstwie“, studjum w wielu miejscach uzupełniające „Teorię celowości“—*Kraj*, 1888, № 44—47). Nowoczesna teleologia, biorąca początek od Newtona „nic z siebie płodzić nie była zdolna, powiada Mahrburg, i, jak pasorzyt, ssała wciąż soki świeże, dostarczane obficie przez determinizm nauk pozytywnych; system celowy cudzym kosztem pęczniał, jak kleszcz, i do dziśdnia niektórym się wydaje, że pęcznienie to jest rozwojem, chociaż w gruncie rzeczy ulega ono zwykłemu losowi pasorzyta: jałowiej pod względem uzdolnień organicznych i skazany jest na życie z łaski chlebobdawcy, który go zniszczyć nie może, bo coraz nowe nasiona jego kiełkują bezpiecznie na gruncie niewiedzy“. (*Kraj*, *ibid.*, № 44). Zresztą zauważyć należy, że Mahrburg nie mówi i mówić nie chce o celowości w przyrodzie, uznając to zagadnienie za wychodzące poza granice doświadczenia ludzkiego, stale natomiast

rozprawia o zastosowalności tej doktryny w przyrodoznawstwie słowem, bada ją ze stanowiska metodologicznego.

Jak dalece gorących obrońców zasada celowości ma dziś jeszcze, dowodem chociażby nowe dzieło słynnego przyrodnika Alfreda Russela Wallace'a, dzieło (z r. 1910), którego sam tytuł godzien uwagi i tak brzmi w przekładzie francuskim (r. 1914): „Le monde de la vie. Manifestation d'un pouvoir créateur, d'un esprit directeur et d'un but final“. Niezmordowany w pomyślach, pragnie tu udowodnić autor celowość w naturze, palec opatrności, która wszystko tak urządziła, ażeby człowiek jak największą korzyść mógł osiągnąć. W dziele tym uczony przyrodnik składa dowody niezbite nierozumienia elementarnych podstaw teorii poznania. Z odmiennych założeń wychodzi J. de Lanessan w pouczającym swym dziele z filozofji przyrodoznawstwa p. t.: „Transformisme et créationisme“ (r. 1914). Lanessan zestawia tu zasadę powszechnego ewolucjonizmu z zasadą stworzenia świata, zasadę przyczynowości z zasadą teleologiczną, słowem determinizm z teleologją w ich rozwoju od starożytności do Darwina. Co do literatury, dotyczącej zagadnienia celowości, ob „Zweck“ w dziele d-ra Rudolfa Eislera „Wörterbuch der philosophischen Begriffe“.



25328/

12

